

NRLF-1
MAIN

DROBIAZGI.

OBRAZKI Z CODZIENNEGO ŻYCIA.

PRZEZ

Marję Bogusławską.



WARSZAWA.

„Księgarnia Polska“ Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej.

1922



I.

Szczęście rodzinne.

Franciszek Wnęk miał się za człowieka bardzo nie-szczęśliwego z powodu niewłaściwego ożenienia. On, który skończył sześć klas gimnazjalnych i był starszym subjektem oraz sekretarzem stowarzyszenia handlowców, uchodząc wśród towarzyszy za tęgą głowę, poślubił był dziewczynę ledwie umiejącą czytać, pospolitego umysłu, nie rozumiejącą jego szerszych poglądów i dążeń. Wprawdzie w pierwszych czasach małżeńskiego pożycia przyznawał, że Bronia ma wiele dobrych chęci, że jest do niego przywiązana, potulna, cicha, oszczędna, lecz jednak z czasem dziwnie zaczęło się to wszystko jakoś zacierać w jego umyśle, coraz więcej zaś występować przeświadczenie, że ma towarzyszkę nie-dopasowaną do siebie, nieinteligentną, nieciekawą, a przedewszystkiem nudną. A kiedy zaczął porównywać swoją dolę z dolą innych żonatych, doszedł do przekonania, że każdy w domu miał coś więcej od niego. Żona Stalskiego miała taki humor, że gdy się zjawiała w restauracji Czynszla, albo w kawiarni Racławickiej, ludzie woleli słuchać jej żartów, niż walców i czardaszów, wygrywanych przez damską kapelę; w domu Ignaca, dzięki zapobiegliwości i ładowi jego małżonki, było tak dostatnio i elegancko, jak w domu urzędnika co najmniej piątej rangi; Wolczyńskich

dzieci odbierały wyższą edukację, nietylko synowie uczęszczali do uniwersytetu, ale i córka zdała maturę i zarabiała kilku godzinami lekcyj prawie tyle, co jej ojciec, mozoląc się cały dzień w fabryce. Coraz większy żal i niechęć do żony wciskały się w serce Franciszka; dom stawał mu się nieznośnym, począł go tedy unikać, coraz dłużej przesiadując u Czyszla i w kawiarni Raławickiej. Nie był człowiekiem nałogowym, brzydził się pijaństwem, a jednak przyszło do tego, że większą część zarobku pozostawiał poza domem. Bo przecież, gdy się jest wypędzonym z niego przez przekłete nudy, trudno w jadłodajni siedzieć i nie wypić bodaj kufelka piwa, trudno do piwa nie przegryźć choć kawałka kiełbasy lub kilku rzodkiewek. A gdy towarzysze stolika wzniosą jaki serdeczny toast, jakże nie spełnić go lampką wina? Gdy przyjaciel, rozczulony twemi wynurzeniami, postawi ci kieliszek wódki ze słowami: „na fraszunek dobry trunek“, niepodobna nie wywzajemnić mu się drugim. Gdy się nie wydaje grosza na prenumeratę gazet, przyzwoitość nakazuje, czytając je w kawiarni, dać zarobić właścicielowi na kawie i ciastkach.

Tak rozumował pan Franciszek, więc coraz bliżej połowy miesiąca zdarzało mu się odsyłać „do djabła“ żonę, proszącą o pieniądze na gospodarstwo, i wydziwiać, że jada się „pod psem“, a jej zachciewa się coraz więcej pieniędzy.

Niedostatek począł wciskać się do domu Wnęków, a z nim bladła i gasła uroda Broni, aż mąż niedelikatnie robił uwagę, że od jakiegoś czasu, nawet gdy się ubierze w niedzielę w najlepszą suknię i kapelusz, nie odnajduje w niej cienia tej urody, którą dawniej chlubił się przed przyjaciółmi. Ta szczerość czyniła ją jeszcze bardziej nieśmiałą i spłoszoną. A już też najbardziej wypędzał z domu Franciszka nieład i brud. Dalekim był od pobłażliwości, nie miał wyrozumienia, że wątpliej, obarczonej sześciorgiem

dzieci kobiecie brakło sił i czasu na staranne sprzątanie, szorowanie podłóg, pranie bielizny. On wiedział jedno, że gdy przychodził do znajomych, zastawał tam ładnie sprząnięte mieszkanie, choć składało się ono nieraz tylko z pokoju i kuchni; o tem, że każdy z jego kolegów opłacał bodaj jakieś nieletnie dziewczę do pomocy i kobietę do prania, wołał nie myśleć.

I dzieci nie przytrzymywały go w domu. Takie były za matką jakieś lękliwe, dzikie, spłoszone i niezdolne do nauk; a rzemień, którym kilkakrotnie przypominał swą ojcowską powagę za dziecinne hałasy, nie przyczynił się bynajmniej do poprawienia stosunku. Gdy skutkiem chorób w ciągu kilku lat czworo młodszych dzieci wyniesiono na cmentarz, między dwojgiem pozostałych a matką wzrosło przywiązanie i czułość, że Franciszek był o to wprost zażdoszny.

— Kto na nich, psiakrew, pracuje, kto im jeść daje — mawiał do przyjaciół — jeżeli nie ja? a oni do mnie jak do wroga. Nieraz, wracając do domu, na schodach już słyszę, jak jazgoczą, śmieją się, czulą z matką... Ja wejść — cisza... jedno do kąta, drugie do kąta, żona nos spuszcza nad robotę, i milczy to wszystko, jakby kat wszedł do domu; a nawet przyznam się szczerze, że mi od pewnego czasu tak wygląda, jakby coś bestje spiskowały między sobą.

I pokazało się pewnego dnia, że w tym względzie nie mylił się pan Franciszek.

Gdy jednej soboty wrócił nad ranem do domu, stróżka, otwierając mu bramę, oddała zarazem klucz od mieszkania.

— Co to jest? co to znaczy? — zapytał zdziwiony.

— Klucz od panowego mieszkania.

— A czemu mi go oddajecie?

— No, żeby pan sobie drzwi otworzył.

— To już nie mogą mi ich otworzyć moja kobieta

albo Pietrek?... Patrzcie państwo, już im i ten trud za wielki dla ojca!

— Pani Franciszkowa z dziećmi pojechała zaraz po południu.

— Co?... czyście rozum stracili?... Wyjechała?... Gdzie?... dokąd?...

— Ja tam nie wiem, gdzie, ale to pewne, że już dawno słyszałam, jak mówiła do Anielci, że dłużej takiego życia nie zniesie, że woli gdzie w świecie ciężko na siebie pracować, aniżeli...

— Ot, nie gadałaby pani głupstw!.. Idjotka!.. — zachnął się Franciszek i szybko zwrócił się ku schodom.

Miał zamęt w głowie, przed oczyma latały mu czerwone płatki, a że nadto stróżka, obrażona, odeszła, nie myśląc poświecić mu lampką, którą miała w ręku, potykał się na każdym stopniu i klnąc w żywe kamienie, poomaku odnalazł drzwi swego mieszkania, a w niem zapalki i lampę. Zaświecił sobie drżącą ręką.

Panował tu nieład, właściwy mieszkaniu, z którego pośpiesznie odjechało kilka osób. Franciszek rozejrzał się błędnem okiem po tym pokoju nędznym, niemiłym, i przyszło mu na myśl, że jednakże przyjemniejszym się wydawał, gdy z nad poduszki unosiła się głowa żony o lękliwym, ale nacechowanym głębokiem przywiązaniem obliczu,— gdy przy drzwiach spotykał go wysmukły, ładny Pietrek, a z kuchni odzywał się słodki głos Anielki:

— Może tacie zrobić herbaty?

Na stole stała zawsze karafka z wodą i sok dla ugaszenia pragnienia pana domu, bo na to zawsze stać było Franciszkową, choćby kosztem odmówienia sobie najbardziej podstawowych potrzeb. Mimowoli rzucił okiem na stół i przedewszystkiem uderzyła go duża ćwiartka papieru, pokryta niezbyt wprawmem pismem Piotrusia. Pochwy-

cił ją, podniósł do oczu, znowu opuścił i dopiero przeżegnawszy się dla nabrania odwagi, odczytał.

List był krótki:

„Kochany Tato! Mama dostała miejsce gospodyni na plebanji u wuja Romualda, który dla mnie wyśtarzał się tam o miejsce w sklepie, a dla Anielci w magazynie, to znaczy w Rzeszowie; oba płatne. Będziemy zatem razem, każde będzie zarabiać, to się utrzymamy, a Tacie będzie łatwiej, gdy nas karmić nie będzie potrzebował. Nie mówiliśmy Tacie o tym projekcie, bo baliśmy się zakazu, a przecież tak będzie najlepiej. Mamy nadzieję, że jak Tata będzie chciał wypocząć, to przyjedzie do nas na jakiś czas. Rączki Tacie całujemy.

Kochający syn

Piotr.“

Franciszek przetarł zroszone potem czoło. Ten list sprawił mu niespodziankę; wolałby, żeby spłynęły z niego wymówki i zarzuty: mógłby przynajmniej wściekać się na tych, co go opuścili, w wybuchu klątw zrzucić część gniewu, który wezbrał w jego duszy. Uczuł się niesłuchanie samotnym, w przeciwstawieniu do tej trójcy najbliższych sobie istot, która odjechała w harmonji, a w poczuciu swej siły, owocu jedności, wspaniałomyślnie przebaczała mu krzywdy i zapraszała do siebie na wypoczynek.

Nie kładł się tej nocy. Gdy zadzwoniono na pryma-rję, poszedł do kościoła, ale wzburzony do głębi, modlić się nie mógł, to też nie wyniósł ukojenia. Poszedł przeto szukać go w kawiarni Raclawickiej i restauracji Czyszla i w ogródku „Pod Jesionem“. Ale wszędzie wzmagало się rozdrażnienie i niezmierny smutek; rozmowy zaś i banalne zapytania przyjaciół drażniły go, tak że po raz pierwszy

od wielu lat wżgardził lokalem restauracyjnym i towarzyszy-
szami kufla dla samotnej przechadzki za miastem. I tu
wprawdzie spotkał kilku znajomych, ale ci szli gromadka-
mi. w towarzystwie rodzin, wymieniali przeto ukłony i szli
dalej, nie zwracając już na niego uwagi.

Słońce już się miało ku zachodowi, gdy od jednej
z takich grup odłączył się mężczyzna lat średnich i przy-
glądając się uważnie Franciszkowi, zastąpił mu drogę. Ten
rzucił przelotne spojrzenie i mruczając coś chciał się odda-
lić, ale przechodzień pochwycił go za kłapę palta.

— Franek, do pioruna, czy ja się tak zestarzałem, że
mnie nie poznajesz?

Franciszek drgnął, podniósł oczy i na chwili radość
kazała mu zapomnieć o nurtującym go smutku.

— Czesiek!

Rzucili się sobie w objęcia.

Był to cioteczny brat Franciszka, który przed kilku-
nastu laty wyemigrował do Ameryki, a od dłuższego już
czasu nie dawał znaku życia o sobie.

— Franek, bracie drogi! jakim rad, że cię spotykam!

— A ja... Ja, co byłem przekonany, że żyjesz za
oceanem i żeś już całkiem dla naszego kraju i rodziny
stracony.

— Wiesz, za tak obelżywe przypuszczenie powinie-
nem dać ci w papę; ale wiem, że to radość z mego spo-
tkania rozum ci odebrała, więc niech cię uściskam jeszcze
raz i chodź do moich.

Franciszek nie znał żony ciotecznego brata, który oże-
nił się, gdy pracował w Westfalji, — tembardziej zaś jego
dzieci, urodzonych na obczyźnie. Było ich troje: dwie cór-
ki, ładne podlotki, i chłopiec dziesięcioletni.

— Odkąd jesteś w naszym mieście? — zapytał Fran-
ciszek krewnego.

— Od czterech miesięcy.

— Od czterech miesięcy?!... Jakże się to stało, żeśmy się nie spotkali dotychczas?

— To chyba dowód, żeś straszny domator. Ja bowiem codziennie, deszcz czy pogoda, wychodzę na półtorej godziny spaceru z moją gromadką, a w niedzielę całe popołudnie spędzamy za miastem.

— Ah! a ja nie byłem za miastem chyba z pięć lat.

— Czemu?

— Nie lubię się włóczyć.

— To bardzo źle; przecież masz żonę, dzieci, powinienś dać im codziennie użyć powietrza. Ale wy tu w Polsce nie macie pojęcia o higienie. Gdzie przesiadujesz z babą i bachorami w piękne popołudnia? Może w knajpie?

Franciszek nie odpowiedział na to pytanie, tem więcej że pani Czesławowa odezwała się jednocześnie:

— Bardzo jestem rada, żeśmy się zeszli w jednym mieście; nie mamy tu jeszcze znajomych, a u państwa i ja znajdę towarzyszkę i moje dziewczynki, co są prawie w jednym wieku z waszą córeczką.

— Moja żona wyjechała z dziećmi... chwilowo — nieśmiało odrzekł Franciszek.

— Kiedy twojej niewiasty niema w domu, to zabieramy cię do nas bezpośrednio; w przeciwnym bowiem razie wprzód wstąpilibyśmy po twoją rodzinę.

— Dziękuję ci, Czesławie, zostawmy to na inny raz; jestem dziś jakiś niezdrów i pójdę już do siebie położyć się wcześniej.

— Nie zawracaj głowy! Jeszcze szóstej niema; chodź, kochany, rozgrzejesz się herbatą, opowiesz, jak ci się powodzi, porównasz swoją babę z moją, twoje dzieci z moimi. Oj! porównanie co do żon pewnie wypadnie na niekorzyść mojej, bo piekielnica, a twoją pamiętam taką dobrą, cichą, słodką, skłonną do poświeceń. Dotąd widzę te jej śliczne oczy, jak z zachwytem i uwielbieniem patrzą za to-

ba, jak wszystko uznają za doskonałe, co ty powiesz lub zrobisz. Oh, taką żonę to można jak воск urobić!

Franciszek zmarszczył się.

— Tak sądzisz?... Brakowało jej inteligencji.

— Raczej wykształcenia; ale to się dopełnia przy dobrej woli męża.

Czesławostwo zajmowali ładne mieszkanko, złożone z dwóch pokoi i kuchni, dostatnio umeblowanych; znać było w niem dobrobyt, a w mieszkańcach zadowolenie i harmonję. Franciszka, że się uskarżał na ból głowy i dreszcze, posadzono w wygodnym fotelu i okryto pledem; rad siedział w tym gościnnym domu, oderwany od ciężkich myśli, które go cały dzień dręczyły. Pomimo to po niecałej godzinie dźwignął się z wysiłkiem i rzekł słabym głosem:

— Ja doprawdy muszę iść; kłuje mnie w piersiach i pod łopatką, mam zamęt w głowie — trzeba się położyć.

Pani Czesławowa ujęła go za rękę.

— Pozwól pan; mnie się zdaje, że pan ma silną gorączkę. Maryniu, podaj termometr!

Termometr rzeczywiście wskazał blisko 39 stopni.

— No, widzicie państwo, że wobec tego trzeba iść.

— Przeciwnie, wobec tego zostań u nas.

— Gdzieżbyśmy pana puścili tak chorego! wieczór przejmująco chłodny, mgła...

— Rozłożymy dla ciebie tę kanapę, przeistaczając ją w łóżko; żona kropnie ci ze czterdzieści baniek, ja tęgi kompres. Marynia dwa proszki aspiryny. A jeżeli jutro rano pomimo to nie będzie ci lepiej — poszlemy po doktora.

Mimo rozsądnych środków, zastosowanych energicznie, Franciszkowi nie było lepiej nazajutrz, a lekarz zdecydował, że to zapalenie płuc. Chory rwał się do szpitala, nie chcąc sprawiać kłopotu krewnym, ale ci stanowczo

sprzeciwili się temu; chcieli tylko zaraz zawiadomić żonę o stanie męża; ale Franciszek tak żywo zaprotestował, że domyślili się jakiegoś cichego dramatu rodzinnego i przestali nalegać, usilnie tylko zabiegając, aby chory i bez żony miał pieczołowitą opiekę.

Chory, leżąc w gorączce, żuł ciężki żal do żony; wmawiał w siebie, że ona jest przyczyną jego choroby, i starał się nie liczyć z tem, że już przedwczoraj, wychodząc z mocno ogrzanego pokoju restauracyjnego, uczuł przejmujące zimno, że od tej chwili kaszlał i kilkakrotnie czuł klucie w piersiach. Zdenerwowany chorobą, płakał cichaczem po nocach, rozczulając się nad sobą, że po osiemnastu latach małżeńskiego pożycia nie ma nikogo ze swoich przy swem łożu i że musi pod cudzym dachem korzystać z opieki.

Chwilami znowu obserwował, jaka zgoda, ład i harmonja panowały w tej rodzinie, — jak Czesław wszystkie wieczory spędzał w domu, na wspólnych czytaniach i gawędkach, — jak dzieci garnęły się do niego z zaufaniem i serdecznością. Zasługę tego wszystkiego przypisywał wyłącznie Czesławowej. Długo walczył z miłością własną, nie pozwalającą mu użalić się, nareszcie wybuchnął:

— Fioletowa zazdrość człowieka ogarnia, gdy się na was patrzy!

Cała rodzina, zebrana przy okrągłym stole pod wiszącą lampą, zwróciła się w stronę chorego.

— Czemu?

— Boście tacy szczęśliwi, dobraliście się jak w korcu maku. Między wami chyba nigdy kłótni nie było?

— I były i bywają, ale godzimy się łatwo; a tak przy wspólnej wyrozumiałości żyć nie trudno.

— Jeszcze ty miałbyś być niewyrozumiałym, mając tak idealną żonę!

— Ja jędza jestem! — zaśmiała się Czesławowa. — Te-

raz lepiej panuję nad sobą, bo wiem, jaką przykrość sprawiają Cześkowi moje wybuchy; ale ile razy w pierwszych latach zrobiłam awanturę bez żadnej racji! Aż mi Czesiek zaproponował, że jak zacznę krzyczeć na niego, czy na dziecko, czy na sługę, on położy na gramofon płytę z popularną amerykańską piosenką, zaczynającą się od słów: „Czy wy znacie czarownicę?...“ To mnie tak rozśmieszało, że potem już wystarczało, kiedy mój chłopak zaczynał tylko to nucić.

— Powiadają, że najlepsze gospodynie bywają prędkie do gniewu, i tu jeden z dowodów, bo aż miło patrzeć, jaki u was porządek, czystość.

— To mała zasługa, gdy się ma służącą, oraz podrastające córki do pomocy.

Tu nagle zwróciła się z pytaniem:

— Wy trzymaliście sługę?

— Nie — trochę zaambarasowany odparł Franciszek.

— Wam umarło kilkoro dzieci?

— Tak... mieliśmy sześcioro.

Zapadła chwila milczenia; Franciszek znowu porównywał, myśląc o swej żonie, ale tym razem ogarnęła go litość i rozrzewnienie.

— Już to Cześkowi przyznać trzeba, że jest wzorowym mężem; każdy grosz mnie oddaje; nie chodzi ani do knajpy, ani na karty; siedzi w domu, obcuje z dziećmi, to też mają do niego zaufanie i on ma wpływ na dzieci. Gdzie jabym dała sobie radę z Włodkiem, który ma bardzo trudny charakter, gdyby go ojciec odpowiednio nie prowadził? A wasz Piotruś łatwy był do prowadzenia w dzieciństwie?

Franciszek zawahał się na chwilę.

— Nie wiem: — odpowiedział wreszcie szczerze — matka go wyłącznie chowała.

— I wykierowała na porządnego chłopca?

— O, bardzo!

— Wielka to jej zasługa.

— Pewnie i w Rzeszowie wszyscy go pokochają.

— To on teraz w Rzeszowie?

— Tak, u wuja księdza.

— Razem z matką?

— Tak.

W kilka dni potem Franciszek obudził się rano z dziwnym snem: wydało mu się, że jest w swoim mieszkaniu i że słyszy w przyległym pokoju cichy, tłumiony płacz żony, który niestety tak często rozlegał się w ścianach jego domu. Wyteżył słuch: w przyległym pokoju ktoś głosem niezmiernie podobnym do głosu jego żony mówił cicho, wśród tłumionych łkań:

— I pomyśleć: pierwszy raz w życiu zachorował ciężko, a mnie wtedy nie było!

— Cóż robić, kochana pani? taki zbieg okoliczności.

— Szatan, szatan mnie skusił, żebym wtedy odjechała; obowiązkiem moim było pozostawać przy nim. Ale mnie się nie chciało pocierpieć trochę niedostatku, chciało mi się znaleźć w takich warunkach, żeby mi nikt marnego słowa nie powiedział. Ale niech mi pani wierzy, ja nie przez brak sumienia tak zrobiłam, tylko przez głupotę. Ja zawsze byłam za głupia dla Frania, dlatego on nie chciał siedzieć w domu, i to było jedyną przyczyną naszego nieszczęścia.

— Bronka! zawołał w tej chwili Franciszek.—Bronisiał. Dziurluchna!... Żonuś!...

Wszystkie serdeczne zdrobnienia, jakimi posługiwał się w pierwszych chwilach obudzonego dla niej uczucia, popłynęły teraz z ust chorego. Bronisława porwała się z miejsca, otworzyła drzwi szeroko i podbiegła do łóżka męża, a padłszy przy nim na kolana, płacząc całowała je-

go rękę, tę rękę, która tyle razy podnosiła się na nią w prędko tłumionym, niemniej wszakże brutalnym gniewie.

— Franuś, przebaczysz ty mi?

— To ja cię o przebaczenie prosić powinienem za te długie lata, które zatruwałem ci moją niewyrozumiałością, egoizmem i brutalstwem.

— Ja cię zostawiłam samego na pastwę choroby!

— Bóg tak chciał; doświadczył mnie, abym się nauczył, że szczęście domowe nie jest darem nadprzyrodzonym, ale że je trzeba zdobywać, kując codziennie z wytrwałością ten delikatny łańcuch, który spaja małżeństwo.

II.

Dwie matki.

Przy samej rogatce Krakowskiej w Wieliczce stoją dwa ładne białe domki w ogrodach, bliźniaczo podobne do siebie, zamieszkane przez rodziny dwóch nadsztygarów salinarnych: Nowaka i Słupskiego.

Związani przyjaźnią od lat dziecinnych, razem skończyli szkołę nadsztygarów, razem wstąpili na służbę w kopalni, w jednym czasie się ożenili, za pierwsze oszczędności zakupili plac, na którym wzniesli dwa jednakowe domy i założyli ogrody, a prześcigali się w pięknym ich utrzymaniu. W domkach tych i ogródkach bywało z każdym rokiem gwarniej, obie panie bowiem rzetelnie wykonywały obowiązek narodowej troski o przyrost ludności.

Pani Słupska i Nowakowa żyły z sobą zgodnie pomimo tak bliskiego sąsiedztwa, ciągłego schodzenia się z sobą i różnych usposobień. Zgadzały się w mieszkaniu i w ogrodzie, we wspólnych kurnikach i w dole od kartofli; różniły się tylko w pokojach dziecinnych. Miały bowiem zupełnie różne metody wychowania, przyczem pani Nowakowa zarzucała pani Słupskiej zbyt psucie dzieci, Słupska Nowakowej zbyt surowość.

Znajomi dzielili się w zapatrywaniach pod tym względem, większość jednak uważała Słupską za idealną matkę, Nowakową zaś za „taką przeciętną“.

Słupska otaczała swoją gromadkę niezmierną czułością, do dużych już dzieci przemawiała jak do niemowląt, ubierała je i rozbierała trzymając na kolanach, choć nogi podrostków dotykały ziemi, niemal zacałowywała je, nigdy nie gniewała się na nie, tembardziej nie podniosła ręki, gderając jedynie, ile razy wystąpiło które przeciwko przepisom światowym, lub splamiło czy rozdarło ubranie, które ona, nie szczędząc zdrowia, szyła i przerabiała po całych nocach. Dzięki temu miały one zawsze garnitunki i sukienki wzorowane na garderobie dzieci dyrektora, które z corocznych wyjazdów do dziadków w Paryżu przywoziły najmodniejsze modele.

Dzieci Nowakowej, przeciwnie, ubierane były skromnie i trzymane krótko. Ledwie od ziemi odrosły, musiały się już same ubierać, ślać łóżeczka, sprzątać pokoik. Przemawiała do nich matka bez zmiękczeń i zdrobnień, wymagała szacunku i względności zarówno w stosunkach między sobą, jak dla rodziców i sługi. Kilkakrotne spełnienie na jednym lub drugim rady Ducha Świętego, czego echo doszło do uszu sąsiadów, nappełniło oburzeniem czule serce Słupskiej.

Lecz rzecz dziwna: przedmiot ciągłej troskliwości i zabiegów, dzieci Słupskiej często chorowały, do nauk brały się niechętnie, a matkę tyranoizowały wymaganiami i fantazjami. Nowakowej dzieci, przeciwnie, zdrowe były jak orzeszki. uczyły się doskonale, a matkę, mimo że zapoznała je z pięciopalczastem narzędziem władzy rodzicielskiej, kochały niezmiernie.

Lata płynęły.

W białych domkach pod rogatką Krakowską figurali już dwaj dorośli chłopcy i dwie dorosłe panienki, czworo podrostków w wieku od lat dwunastu do szesnastu i troje drobiazgu. W gromadce tej sześcioro, w tem pięciu chłopców, trzeba było zapisać na dobro pani Nowa-

kowej, trzy dziewczynki i dwóch chłopców na rachunek pani Słupskiej.

Mimo serdecznej przyjaźni, jaka łączyła ojców, i przyzwyczajonych stosunków między matkami, młodzież niezbyt Ignęta do siebie. Póki to było małe, nierozdzielnie bawiło się z sobą w chowanego, ślepą babkę, kolej, cyganów, zbójców i t. p. Skoro jednak poszły do szkół, każde znalazło sobie przyjaciela lub przyjaciółkę bardziej do siebie dopasowanych.

Przytem dzieci pani Nowakowej były, zdaniem Słupskiej, opętane manją skautową, którą oboje rodzice nietylko tolerowali, ale wręcz popierali, pozwalając na ciągłe uprawianie skautu nietylko chłopcom, ale i córce. Ładna, smukła Hanka szpeciła swe kształty krótką, fałdowaną spódniczką z szarego materiału i bluzką jakby ze starszego brata, a na głowę wkładała kapelusz, jakiego za żadną cenę nie byłaby włożyła żadna z córek dyrektora Pichau, a zatem i żadna z panien Słupskich. Zbrojna w długi kij, z plecakiem wyładowanym, wyruszała nieraz na cały dzień z domu na wycieczki, w których prócz braci brali udział różni inni chłopcy, Bóg wie z jakich domów i jak wychowani. Skutkiem tego przebywania na powietrzu cera jej ściemniała, ruchy nabrały rubaszności, a śmiech bywał tak donośny, że wywoływał zawsze monitum pani Słupskiej: „Tak nie śmieje się nigdy elegancka kobieta“.

Z dumą też Słupska porównywała z nią swoją Zochnę, wyglądającą iście na księżniczkę. Cerę miała przezroczystą, rączki drobne, wypieszczone, o polerowanych i ukarminowanych paznokciach. Nie lubiła dużo chodzić, bo miała zwykle przyciasne, lecz ostatniej mody obuwie. Bała się myszy, chrabąszczy, żab, opalenia i posądzenia o brak znajomości form towarzyskich. W sercu swem mieściła miłość do matki obok zamiłowania strojów i ukochania

pieska Bonusia, bliźniego brata foksterjerka panny Blanki Pichau. Umiała niedrogo a wykwintnie się ubierać, prześlicznie czesać, obierać raki nie biorąc ich w palce i być zupełnie swobodną w zachowaniu pomimo silnego ściśnięcia gorsetu.

Cóż dziwnego, że panienka takich przymiotów i talentów prędko zwróciła na siebie uwagę i zaledwie skończyła lat siedemnaście, znalazła już konkurenta.

Był nim pan Józef Strzelbicki, administrator księzcych dóbr, człowiek starszy, stateczny, z ogromną pensją i już odłożoną gotówką. Rozważając te dane, pani Słupska orzekła o Strzelbickim, że jest dobrą partją i że najlepiej od pierwszej wizyty traktować go jak konkurenta. Zosia ulegle przyjęła decyzję matki, tylko wieczorem raz po raz ucierała nos, leżąc już w łóżku. Zaniepokoiło to młodszą o rok Alinkę, wyskoczyła z pościeli, a siadając na łóżku siostry, zapytała ją troskliwie;

— Zochna, co tobie?

— Nic.

— Płaczesz...

— Nie.

I jakby na potwierdzenie, rozległo się jeszcze żałośniejsze utarcie nosa i ciche pochlipywanie.

— Zosiunia, powiedz, co ci jest.

— Jak ci się podoba pan Józef? — zapytała wzamian Zosia.

— Piernik.

— Stary, prawda?

— Próchno się z niego sypie; ma chyba z czterdzieści pięć lat.

— I ja tak myślę... Mama chce, żebym za niego wyszła.

— Wyglądałabyś przy nim jak córka.

— O, to to dobrze... Mamcia powiada, że starszego męża najłatwiej za nos prowadzić.

— Ja myślę, że każdego łatwo, więc poco brać starego?

— Bogaty bardzo.

— Ty jesteś taka ładna, że znalazłabyś i tak męża bogatego, nie za rok, to za dziesięć.

— Za dziesięć!... Zlituj się, Ala! miałabym wówczas dwudziesty ósmy rok, byłabym już stara panna.

— Nieprawda. Marta Pichau ma dwadzieścia dziewięć lat, a wygląda młodo i wszyscy się nią zachwycają.

— Spaliłabym się ze wstydu, żebym nie wyszła za-mąż przed dwudziestym rokiem; każdyby myślał, że się nie podobam młodzieży. A gdzie ja tu w Wieliczce znajduję w ciągu dwóch lat drugiego bogatego konkurenta?

— A tobie pan Józef się nie podoba?

— Taki... za stary... za mądry.

— Et, chyba nie taki mądry, kiedy się w tobie zakochał, a tyś przecie nawet pensji nie skończyła. Wiesz, ja małżeństwa bez miłości nie pojmuję.

— Mamcia mówi, że lepiej, kiedy małżeństwo obywa się bez miłości, niż bez pieniędzy...

W imię tej zasady Zosia przyjmowała ze sztucznie przywołanym na usta uśmiechem codzienne wizyty konkurenta. Matka przytem poczęła przygotowywać panienkę do doniosłego stanu małżeńskiego: zaabonowała jej francuski dziennik mód, na którym miała wyrabiać sobie gust; zapłaciła kilka lekcyj u fryzjera, boć na wsi nie zawsze łatwo o kogoś uzdolnionego w czesaniu. Musiała też Zosia bywać obecnie w kuchni, ile razy robiły się konfitury, piekły ciasta, lub przyrządzało coś zbytkownego. Troskliwa matka pomyślała nawet o posyłaniu Zosi do ogrodnika państwa Pichau, u którego nauczyła się panienka układania bukietów, tak jak uczyły się córki dyrektora.

Wierna starodawnym obyczajom i przykazaniom pra-

babek, pani Słupska na jedną chwilę nie pozostawiała młodych samymi. W czasie wizyt pana Józefa mogło się być nie wiem co dziać w domu, ona pozostawała w saloniku lub ogrodzie, bawiąc narówni z córką jej konkurenta, choć ten nieraz nie umiał zapanować nad objawami swego zniecierpliwienia z powodu tego ciągłego towarzystwa starszej i mało inteligentnej kobiety.

Zosia nie gniewała się o to; nie ciekawa była duszy swego przyszłego, nie miała mu nic do zwierzenia, a rada słyszała ciągle pochlebstwa i podkreślanie swych przymiotów przez matkę.

Bardziej jeszcze rada z tej sytuacji była Alina. Usposobieniem różna od siostry, z przykrością dźwigała ona jarzmo ciągłego towarzystwa, kontroli i strofowań matki za niedostateczne szanowanie przepisów światowych. Cieszyła się przeto zaabsorbowaniem matki Zosią i jej konkurentem, bo korzystając z tego, cały ten czas spędzała w ogrodzie sąsiadów z drugiej strony rogatki Krakowskiej w towarzystwie syna ich, studenta politechniki.

Mijało pogodne, piękne lato, z cudnymi zachodami słońca, srebrnymi mrokami i wieczorami przepelnionymi zapachem lip kwitnących i łąnów zbożowych. Zosia dnie całe spędzała wśród prozy życia kobiety, przygotowującej się na panią dostatniego domu, wieczory w małym saloniku z matką i panem Józefem, rozmawiając o najnowszych powieściach, sztukach pięknych (według sprawozdań z wystawy obrazów, starannie obecnie studjowanych i ustępami uczonych na pamięć) oraz... o ploteczkach.

Tymczasem Alina śmiała się, płakała lub przytulała do Pietrka Oknińskiego w altance chmielem obrosniętej. Hanka zaś, w towarzystwie dorosłego brata i przyjaciela jego, malarza, Zbigniewa Darosta, lub całej gromady skautów i skautek, odbywała bliższe i dalsze wycieczki po cudnej Galicji Zachodniej.

Pewnego ranka Nowakowa upatrzyła chwilę, w której Błupska siedziała sama w altance, ubierając nowy kapelusz dla Zosi, i przysiadła się do niej, mając na lewej ręce dziurawą skarpetkę i cerując ją bez przerwy.

— Moja Olesiu, chciałam z tobą pomówić... zwrócić ci uwagę na jedno...

— Że Zosia za dużo zajmuje się swemi paznokciami!..

— z ironją odezwała się pani Olga.

— Ach, nad tem już dawno przeszłam do porządku, to wasza rzecz, czy...

— Gdybyś słyszała, ile razy pan Józef zaznaczył to, jak prześlicznie utrzymaną rękę ma Józieńka!... powiada, że mało która hrabianka ma równie wypielegnowane. A on może o tem decydować, bo jego matka jest baronówna z domu.

— Czy on myśli żenić się z Zosią?

— Spodziewam się!... Przecież bywa prawie codziennie, przynosi kwiaty, cukierki...

— Czy to człowiek z wartością?

— Powiadam ci, ma matkę baronównę.

— Ale on sam?

— Cóż on?!.. Ma świetną posadę, stosunki, pięknie urządzony dom... będą bywali u obywateli...

— I niedługo myślisz wydać to dziecko?

— Oh, niech się nacieszy pięknym stanem narzeczeńskim... Powiedz, czy to nie najszcześniejsze czasy?... Nie ma się obowiązków, kłopotów domowych, a ma się przyjemności, hołdy, uwielbienie...

— Życie jest za poważne, żeby takie błahe czynniki stanowiły treść jego przez długie lata.

— Ah, już zaczynasz swoje morały!...

— Całkiem bezcelowe, przyznaję i przestaję. Zresztą przyszedłam tutaj, aby mówić nie o Zosi, lecz o Alince.

— Cóż powiesz?

— Czy wiadomo ci, co ona robi w czasie, gdy ty przesiadujesz z konkurentem Zosi?

— Zawsze na ten czas daję jej książkę do czytania.

— No, i skontrolowałaś, czy ją rzeczywiście czyta i ile z tego korzysta?

— A, dajżeż spokój!.. Gdzie jabym czas miała, jak kawaler w domu, jeszcze egzaminować Alinę z tego, co przeczytała?... Może mam jeszcze paznokciem zaznaczyć, odkąd dokąd ma przeczytać?

— Nie o to idzie, ale...

— Tybyś wołała, żeby z Hanią i jej czeredą latała po wycieczkach?

— Pewnie, że to byłoby najlepiej; dziewczynka zdrowa, bujna, z temperamentem, doskonale, gdy się oddaje sportowi; a i przykazania skautowskie dla duszy są doniosłe. Na pewno lepiej byłoby Alinie w towarzystwie Hanki i jej czeredy, aniżeli przesiadywać całymi wieczorami z Pietrkiem Oknińskich w ich ogrodzie.

Słupska spojrzała zdziwiona.

— Z Pietrkiem Oknińskim?... Co ci w głowie?

— Obserwuję ich od jakiegoś czasu, pomimo że Alina bardzo się z tem ukrywa.

Słupska upuściła kapelusz na kolana, głowę wsparła na rękach i przez chwilę pozostawała zamyślona; ale wnet twarz jej się rozjaśniła, machnęła ręką i rzekła lekko:

— Ah, cóż tam Alinka!... to przecież takie dziecko jeszcze!

— Nie rozumiem ciebie, Olu. Więc Zosi, gdy jest pan Józef, nie odstępujesz na krok...

— A, to co innego... to jest konkurent... Coby świat powiedział na to, że ja moją córkę pozostawiam sam na sam z konkurentem?...

— No, a pozostawianie Aliny z Pietrkiem uważasz za właściwe i bezpieczne?

— To całkiem co innego: Alinka jest niedorośła, świat się nią nie interesuje... z Pietrusiem znają się od dzieci... Przecież, gdy była jeszcze małą dziewczynką, lubiła najbardziej z nim się bawić.

— Tak, ale wtedy nie ukrywała się z tem. Z chwilą zaś, gdy panienka robi sekret ze spotykania się z młodym, czujność jej wychowawców powinna się wzmacniać.

— Moja Maryniu, widzisz źdźbło w oku bliźniego, a belki w swoim nie dostrzegasz. Pilnuj ty lepiej Hani, bo z tego włączenia się jej z chłopakami nic dobrego nie wyjdzie. Nałazą się, nawycieczkują, ale żaden się z nią nie ożeni.

— To jest najmniejsze nieszczęście.

W tej chwili nadbiegła zdyszana Jadzia, najmłodsza córka Słupskich.

— Mamusiu, Antoś chory, takie ma bóleści, aż krzyczy wniebogłosy.

Pani Olga porwała się z miejsca.

— Rany Boskie! to pewno z tych głąbów od kapusty!

— Ano, tatuś nie pozwolił mu jeść, a mamusia sama dała w sekrecie przed tatusiem—ze spokojną filozofją odezwiała się Jadzia.

— Kiedy on tak prosił...—w formie uniewinniania się szepnęła Słupska.

.

Niemale zdziwienie było w rodzinie Słupskich, gdy pewnego wieczora wbiegła Hanka, promienna a zaambarasowana, i pochylając się do ręki pani Olgi, rzekła prędko:

— Przyszłam oznajmić cioci, że jestem zaręczona.

— Ty? Z kim?

— Ze Zbigniewem Darostem... oświadczył mi się dziś po południu, Romek pierwszy nas pobłogosławił, a teraz

tatuś i mamusia zezwolili, a że Zbigniew już odjechał, więc przybiegłam tutaj powiedzieć wszystkim o mojem szczęściu.

Słupska była dość niemile zaskoczona tą wiadomością.

— A czyż to takie szczęście?— rzekła cierpko i szybko dodała: — Zosieńka też lada dzień zostanie narzeczoną. Jej przyszły jest ze znakomitej rodziny... matka jego baronówna von Vollbauch... I on jest człowiekiem z pozycją, majątkiem.

W tej chwili Zosia, wpadając w ton matki, rzekła, od niechcienia oglądając różowe paznokietki:

— Czem właściwie jest pan Darost?

— Malarzem..

— Pokojowym?

— O, nie, artystą malarzem.

— To szkoda,— odezwała się znowu Olga — bo malarz pokojowy, gdy jest odpowiednio wykwalifikowany, ma zawsze pewny kawałek chleba, a artysta malarz jest zawsze zależny od czyjejs łaski, czy kto kupi jego obraz, czy nie kupi.

Hanka trochę niecierpliwie rzuciła głową.

— Zbigniew nie będzie potrzebował oglądać się na niczyją łaskę, bo jego rodzice mają duży majątek i dają mu 4000 koron rocznie, a to z tem, co zarabia pędzlem i ołówkiem, pozwoli mu stworzyć sobie i żonie byt dostatni, tem więcej że ja, dzięki zakładowi w Kuźnicach, jestem dość praktyczna, znam się na gospodarstwie...

Pani Olga podniosła się z miejsca z przytwartemi ustami i błędnym wzrokiem.

— On dostaje 4000 koron od rodziców? Oni mają majątek? I ja nie wiedziałam o tem!

Tu pani Olga rzuciła Zosi spojrzenie brzemiennie rozżaleniem, wymówką i goryczą; mówiło ono wyraźnie:

— Nieopatrna, czemuś wcześniej nie wywiedziała się o tem i nie zdobyła go dla siebie?... ty ładniejsza... ty, z rubinowemi paznokietkami...

* * *

— Moja mamó,—mówiła Zosia po wyjściu Hanki— moje położenie staje się zupełnie głupie. Co sobie Józek myśli, że się dotąd nie oświadczył, choć tyle się z nim wynudziłyśmy w ciągu tych trzech miesięcy?

— Od dwóch tygodni coraz rzadziej przyjeżdża.

— Może on się rozmyślił?

— Cukierków już nie przynosi—wtrąciła Jadzia, podnosząc główkę z nad kolebki lalki.

— Ja powiadam mamie, ja przeczuwam coś złego... on już nie chce się żenić!

— Bój się Boga, dziewczyno!... Jak można przypuścić coś podobnego?... Kolację jadał u nas codziennie...

— Gorąco.

— Nie pozwalałam Małgosi używać niczego gorszego do smażenia kotletów, wszystko robiło się na świeżem maśle, bo myślę sobie: niemłody jest, przyzwyczajony do dobrego... rozstroi sobie żołądek i będziesz miała kłopot z nim od samego początku.

— Ojciec trzy razy podał wino na stół.

— Tobie dlatego sprawiło się nową sukienkę, żebyś mu się nie opatrzyła w jednej... Ja rzucałam wszystkie zajęcia, tyle czasu namarnowałam sobie, siedząc przy was... I za to wszystko on miałby cię teraz rzucić?

— To taty wina! — wybuchnęła Zosia, — dawno już powinien był przyprowadzić go do porządku.

— Cóż chcesz? Czego ty możesz spodziewać się od ojca? Jego każdy za nos wodzi... Gamajda!

— A jednak musi nareszcie wtrącić się do tego. Musi rozmówić się z Józkiem — wołała Zosia, uderzając pięścią w stół.

— Jeżeli Józek przyjedzie.

— Przecież tak, ni z tego ni z owego, nie przestanie bywać: jest na to za dobrze wychowany.

Jakoż przyjechał tego wieczora, dość miękko tłumacząc się z kilkudniowej niebytności. Wprowadzono go do salonu, gdzie ku swojemu zdziwieniu zastał tylko samego Słupskiego, i to tak zmieszanego, jakby go się schwytało na przestępstwie. Chodził po pokuju, zacierał ręce, odchrząkiwał, splotał, mrugał oczami, nie słysząc zupełnie, co mówił do niego Józef; wreszcie przystanął i wyrzucił z siebie:

— Pan przez pięć dni nie był u nas!

— Niestety, zajęcia gospodarcze... młocka...

— No, i co?

— Ano nic.

— No, tak, to nie.

I nagle szczerwieniał się, dorzucił: przepraszam pana! i wybiegł z pokoju.

— Słuchajcie!—zawołał do żony i córki—nic z tego, pożegnajcie się i finis!

— I cóż mówi na swoje wytłumaczenie?

— Nic.

— Bezwstydnym!

Pani Słupska weszła do salonu nadęta, jak pawica, Zosia zadąsana. Pan Józef po kilku chwilach zorjentował się, o co idzie, i zmieszany, odchrząknawszy kilka razy, rzekł trochę drżącym głosem:

— Obawiam się, że szanowni państwo zachowają o mnie złe wspomnienie, pomawiając mnie o lekkomyślność i niesumiennność. A jednakże Bóg świadkiem, że wstępując do tego domu i przez pierwsze tygodnie naszej znajomości miałem zupełnie poważne względem panny Zofji zamiary, ale przy bliższym poznaniu...

— Co? co?... — nie wytrzymała pani Olga. — Jakie to impertynencje zamierza pan mówić mojej córce?

— Doszedłem do przekonania, że panna Zofja nie dla mnie. Ja jestem człowiekiem do pracy i żonie mojej przypadnie ciężkie zadanie prowadzenia domu wiejskiego w skromnych warunkach, przez podtrzymywanie go owocami własnego gospodarstwa. Tymczasem panna Zofja nietylko że zupełnie nie zna się na gospodarstwie...

— Trudno, mój panie,—przerwała znowu Słupska—ja mojej córki do sadzenia kur nie wychowałam!

— Nietylko że się pani nie zna, — ciągnął, nie zważając na przerwę, Józef—ale nie ma najmniejszego do tego zamiłowania, a co najgorsze, zamiłowana jest jedynie w strojach i w bezczynności. Kobieta, która jest skłonna zrobić czasem coś złego, zazwyczaj przytem i na dobry uczynek się zdobędzie; od kobiety, która nic nie robi, niczego spodziewać się nie można.

Słupska porwała się z miejsca czerwona, jak piwonia.

— Pan jest impertynent! Za takie nieproszone wykłady może się ten i ów za drzwiami znaleźć.

— Takiej rzeczy nie słucha się dwa razy — rzekł smutno Józef. — Ha, tem lepiej! Nie umiałem opanować uczucia, które mnie tu raz w raz przywodziło, teraz przynajmniej potrafię nakazać mu posłuszeństwo. Żegnam panią—dodał, kłaniając się Zosi—i życzę, żeby znalazła pani męża dość bogatego na to, aby mógł sobie pozwolić na tak kosztowne cacko, jak pani.

Wzruszony bardzo wyszedł z salonu. Zosia z płaczem rzuciła się w ramiona matki, ale ta nie posiadała się z gniewu na Józefa, który, naraziwszy ją na tyle ambarasu, teraz odchodził, zostawiając na pastwę złośliwości ludzkiej. Wykrzyczawszy się, nakławszy i napłakawszy, uspokoiła się wreszcie.

— Teraz przynajmniej wszystko wróci do porządku — rzekła — zajmę się gospodarstwem... Alinką...

I nagle coś ją tknęło.

— Jadziu! Jadziuniu!

— Co, mamusiu?

— Zawołaj do mnie Alinkę!

Jadzia wróciła po chwili.

— Niema Alinki ani w jej pokoju, ani nigdzie.

— Nieszczęsna godzina z tą dziewczyną! — wykrzyknęła Słupska. — Pewnie znowu z tym drabem!... Marcinie, Marcinie, skocz pod ogród Oknińskich i zobacz, czy niema tam Alinki.

— A toć mur nie przezroczysty, żebym mógł tam zobaczyć — flegmatycznie odparł Słupski.

— Wespnij się na mur, to zobaczysz.

— Ja ani kot, ani ulicznik... Antoś, skocz, zawołaj Alinkę!

Antoś wołał, hukał, biegał na prawo i lewo, Alinka się nie pokazała i nie odezwała.

Wieczór zapadł — Alinka nie wracała. Niepokój ścisnął serce Słupskiej; kilkakrotnie wychodziła przed dom, za ogród, na drogę i wracała coraz bardziej strwożona. Około dziesiątej zadecydowano, że Słupski, Nowak i obaj starsi chłopcy rozejdą się w różne strony szukać dziewczęcia. Zanim się jednak wybrali, ujadanie psa zdradziło zjawienie się przy bramie kogoś obcego.

Kazio Słupski skoczył i za chwilę wrócił, niosąc liścik. Była to zwykła kartka, wydarła z notesu, złożona i zaklejona żywicą, zdjętą z drzewa. Pani Słupska porwała ją, przebiegła oczyma i padła na krzesło, szlochając spazmatycznie. W kartce ołówkiem pisała Alina:

„Kochani Rodzice! Proszę się na mnie nie gniewać, ale wyjeżdżam z człowiekiem, którego kocham nad życie. Nie mogłam wytrzymać, tak się nudziłam w domu. Jak się urządzimy tam, dokąd jadę, napiszę do Was i poproszę o pieniądze, bo wyjeżdżam

jak stoję, a jakaś wyprawa mi się należy. Całuję rączki Mamusi i Tatusia, Zosię, Kazia, Antosia i Jądziałkę ściskam serdecznie.

Kochająca córka

Alina.

Za wiele było na Słupską takie dwa wstrząśnienia w jednym dniu; rozchorowała się ze zmartwienia i postanowiła, że nie pozostanie w Wieliczce za żadne skarby, lecz wyprowadzi się z dziećmi do Krakowa. Że jednak wyjazd taki pociągał wielkie koszty i konieczność zabrania mebli, wymogła na mężu decyzję sprzedaży domku. Właśnie nadarzył się kupiec, wlot wyzyskano okazję.

Kazio Słupski, dziewiętnastoletni młodzieniec, wrócił do domu z urzędowania, gdy matka przyjęła go tak wesoło, jak to już dawno nie bywało, i oznajmiła mu, że kontrakt z nabywcą domu został podpisany. Młodzieniec pobladł jak ściana.

— Mama mówi to serjo?

— No, naturalnie.

— Sprzedaliście dom, nie porozumiawszy się ze mną, najstarszym synem?

— No, mój drogi, przecież i ty powinieneś się cieszyć, że pozbywamy się kłopotu, zyskujemy gotówkę, będziemy mogli ładnie urządzić się w Krakowie.

Kazimierz ścisnął skronie, chodząc gorączkowo po pokoju.

— Tak, gotówka, urządzenie w Krakowie... Mamie tylko to w głowie... I dlatego sprzedaliście, nie... mama sprzedała, bo wiadomo, że ojciec nie ma głosu... sprzedała mama nasz rodzinny kąt, nasz kochany domek, pełen wspomnień, wypełniony memi marzeniami i projektami na przyszłość...

— No, mój Kazieczku, mnie jest bardzo przykro, że

sprawiłam ci boleść; ale skąd ja mogłam przeczuć, że ty tak lubisz tę chałupę?

— A właśnie! mama nie mogła przewidzieć, bo mama nie zna mnie wcale, — bo nigdy nie interesowała mamę moja dusza, moje zamiłowania, — bo mama nie była nigdy żadnemu ze swych dzieci przyjaciółką.

Pani Słupska załamała rękę.

— I ty jeszcze skarżysz się na mnie! na mnie, com się tyle poświęcała, była taką idealną matką!

— To złudzenie, mamol... W dzieciach swoich kochałaś przedewszystkiem siebie, swoją próżność, ambicję.. Dlatego nas kosztownie stroiłaś, a niedostatecznie odżywiałaś... przez co wszyscy jesteśmy anemiczni... Dawalaś nam takie rozrywki, takie urozmaïcenia, które przychodziły ci najłatwiej... Pozwalałaś nam na stosunki tylko z tymi ludźmi, którzy schlebiali twojej miłości własnej, o przyszłości naszej decydowałaś także tylko z tego punktu widzenia.

— Rozstap się, ziemiol! Niech się zapadnę, a nie słyszę takiej niesprawiedliwości rodzzonego syna!

— A miałaś przez całe swoje życie wzór tak przykładnej matki, jaką jest pani Nowakowa, co zawsze współżyła ze swemi dziećmi jak najbliższa przyjaciółka, zna ich myśli, ich pragnienia, rozumie młodość i nigdy nie podporządkowuje potrzeb ich ducha własnej próżności.

.

Na niskim taburecie, przygarnięta do kolan Nowakowej, Słupska siedzi i płacze, płacze gorąco, szczerze.

— Takiej niewdzięczności doczekać się od własnych dzieci!... Kazio nagadał mi dzisiaj takich bolesnych rzeczy... Zosia, od czasu jak Józef przestał bywać, robi mi ciągle wymówki, że ją na lalkę wychowałam... Alina okryła dom rodzicielski hańbą... Wszystko na moją nieszczęśliwą głó-

wę spadał... Ty masz szczęście do dzieci... masz z nich pociechę!

— Albo one mają pociechę ze mnie—uśmiechnęła się Nowakowa. Interesowały mnie, obserwowałam ich usposobienia, wyrabiałam charaktery, nie gorszyłam się ich dziecinnymi pomysłami; dorastającym nie narzucałam bezwzględnie swej woli, ale starałam się wyrozumieć ich racje i zyskać zaufanie. No, i stało się, że się rozumiemy, kochamy i bardzo nam z sobą dobrze.

Przykład z góry.

Zaroilo się przed pięknym kościołem św. Anny w Krakowie od chłopców, ubranych w obciste kurtki i proste czapki z daszkiem — nabożeństwo dla młodzieży szkolnej było skończone

Ražno, gwarnie, gromadnie szli uczniowie w cieniu wspaniałych Plantów; przy każdej przecznicy ubywało po kilku, aż pod bramą Florjańską zostało tylko dwóch młodzieńców z ósmej klasy: Zygmunt Cichorski i Witold Zaranek. Obaj wysocy, wyglądający prawie na dorosłych, różnili się wybitnie. Zygmunt, blondyn o prawdziwie słowiańskich rysach, miał tyle energii, pogody i wesołości w twarzy, że zdawało się, iż mógłby rozproszyć przygnębienie najbardziej strapionego człowieka; Witold, przeciwnie, był blady, o melancholijnym wyrazie twarzy i nerwowych ruchach. Znać jednak było, że ci dwaj młodzieńcy, może prawem przeciwności, lubią się szczerze.

Właśnie Zygmunt położył rękę na ramieniu Witolda i patrząc mu w oczy, prosił serdecznie:

— No, Witku, mój Witku, jedź z nami do Czernichowa! Nadokazujemy się, użyjemy świeżego powietrza, będziemy jeździć łódką... A żebyś wiedział, jakie ciocia Felcia placuszki z serem pieczel... No... powiadam ci, można lizać sobie palce aż do łokcia.

— Dziękuję ci, Zygmuncie, ale nie mogę, doprawdy nie mogę dziś jechać... Zaprosiłem Felka i Marjana do siebie na wieczór.

— Ot, zawracanie głowy! toć oni się nie obrażą, jeżeli cię nie zastaną w domu. Przecież między kolegami...

— Tak, to pewno, że się nie obrażą...

— Co najwyżej, wytargają cię jutro za czuprynę.

— A ja ich...

— A zatem?

— Widzisz, idzie mi o ojca... tak rzadko udaje mu się spędzić niedzielę w domu. Mało jesteśmy razem... wiecznie ten człowiek w drodze... a najszczęśliwszy, gdy jest ze mną.

— To rozumiem, bo i mój tatek najbardziej rad, gdy jesteśmy razem, i wiesz, gdy się znajdujemy na wsi, dokazuje z nami jak rówieśnik: goni się, bawi w piłkę nożną, mocuje się z nami. Nietylko ze mną, ale z moimi małymi braćmi bawi się jak dzieciak. Na dziś, ponieważ dzień niezbyt gorący, projektuje się wyścigi z przeszkodami... Wiesz co, Witek, jedź z nami!... Zobaczysz, że się znakomicie zabawisz.

— Gdzie myśleć o wyjeździe dzisiaj? jutro egzamin z geometrii wykresłnej.

— Już tylko nie blaguj! Przedmiot znasz doskonale; ręczę, że nie zajrzysz do książki... Ja, o tyle mniej zdolny od ciebie, kropnę się na cały dzień bez strachu, a ty, pierwszy matematyk w klasie!... Mój ojciec powiada, że jeden z pierwszych warunków, aby dobrze zdać egzamin z nauk ścisłych, jest spędzić dzień poprzedzający na świeżem powietrzu... No, Witek, no!... Już nie masz wykrętu!

— Owszem, mam najważniejszy. Pomyśl, przecież ojciec tyle dni i nocy każdego miesiąca jest „na linji“, a gdy dzień wolny wypadł w niedzielę, ja, który w jego wdowieńskim życiu jestem mu jedyną osłoda, mam odjechać na cały dzień?

— Więc jeszcze jeden projekt... Niech i twój ojciec jedzie z nami!

— Ha, gdyby się zgodził...

— Idę z tobą, będę go prosił, będę zaklinał, aż uproszę.

— Jeśli ci się to uda, z całą chęcią zabiorę się z wami.

— Pan Zaranek, nadkonduktor kolei państwowych, przed paru laty ledwie został przeniesiony ze Lwowa do Krakowa, zachował przeto śpiewny akcent i sporo prowincjonalizmów. Zygmunta przyjął z właściwą sobie serdecznością.

— *Ta* ja zawsze tyle o tobie słyszę od mego Witka, *ta* on przy tobie serce *da* duszę zostawił. Mówi, że jak mnie doma niema, to ty jemu i przyjaciel i ojciec i matka... Siadaj, kochany! Może papierosika?

— Dziękuję panu, nie palę.

— Witek, bierz, pal!... „Hercegowina“. Jak jestem doma, *ta* o jednego papierosa nie wypalę więcej, jak Witek... Mnie bez niego nie smakuje... My jak dwaj bracia.

— Zazdrościłbym takiego ojca Witoldowi, gdybym sam nie miał idealnie dobrego.

— *Ta* on może być dobry, ale nie taki, jak ja... pewnie smakuje mu papieros, choć nie ma drugiego dla ciebie.

— Rzeczywiście... nawet nie pozwala palić swoim synom; sam zresztą wypala tylko dwa cygara dziennie, ale zwykle na osobności, żebyśmy, jak powiada, nie zasmakowali w dymie.

— Widzisz go!.. stary egoista!..—zaśmiał się pan Zaranek.

— Ojciec przestrzega tego ze względu na nasze zdrowie.

— Dobrze! dobrze! inaczej się to mówi, a inaczej pisze... Zresztą twój ojciec pewnie nie ciebie jednego ma na świecie?

— O, nie; jest nas pięcioro dzieci, a i matka żyje.

— Ta widzisz... w tem cała różnica... A ja nie mam nikogo poza Witkiem. Ta też, jak podstarzała panna o zamążpójściu, ja marzę o tem, żeby Witek zdał maturę...

— Już tylko parę tygodni do końca.

— Bo na powakacjach mam solennie obiecaną dla niego posadę w biurze kolejowem w Bierzanowie, gdzie potrzeba młodzieńca z maturą. Ja wówczas *spensjonuję się**), ta zamieszkamy na wsi i będzie mi jak u Pana Boga za piecem.

— Pan lubi wieś?

— Et, niebardzo... nuda... Ale że wszędzie da się złożyć partyjka, ta wielkiego strachu przed wsią nie mam. Dobrze, że Witold tak doskonale wyuczył się w karty; on winta gra lepiej ode mnie... Bo on zdolny bestja... matematyk... wszystko sobie obliczy, wykombinuje. Dziś też, że zaprosiłem dwóch kolegów, którzy nietęgo wintują, to będziemy grali „z dziadkiem“, bo ten gałgan pobiłby nas z kretesem.

— Szkoda, że pan ma dziś gości, bo chciałem namówić panów na wybranie się z nami na wycieczkę do Czernichowa.

— A, dajże mi święty spokój! Ta] to żadna przyjemność dla mnie. Mało ja się natłukę kolejami na służbie, żebym jeszcze dla niby przyjemności się woził?

— Na wsi teraz tak ładnie... bzy kwitną.

— Na targu przed Sukiennicami też bzów nie brak i na Plantach ich dość. A na wsi co jest? W górach duszno, w lasach ciemno, a na drogach kurz. Tu przynajmniej po południu pójdzie się do kawiarni. Grają walca: „Kelner, kawa biała... dwie!“ Boć to niemiecki napój. Grają mazura: prosimy o staropolski miodek. Grają uwerturę z „Fausta“, to się o piwo prosi... Wokoło gwar, ścisk, ludzie się potracają, dobijają o miejsce, wymyślają sobie... A tyś rad,

*) wezmę emeryturę.

żeś wcześniej przyszedł, masz wygodne miejsce, robisz w kiszkać przekładańca: kawa, piwo, miodek i znowu: ciastko, buterszyn, owoce. Najczęściej od tego zaboli człowieka żołądek, ale przynajmniej wie, że ma przyjaciół, boć nie sam człowiek do lustra czy do syna pije... ale kolejką... kolejką... kolejeczką... Tak, smyku, to się nazywa wesołe popołudnie! A wieczorem wy się będziecie wlec jeszcze przez pola i lasy; my cichutko, spokojniutko, zacisznie będziemy siedzieli przy zielonym stoliku, przy kochanym winciku.

— Tak, to bardzo pięknie; — przerwał Zygmunt, nie mogąc opanować zniecierpliwienia w głosie — ale ponieważ dzisiejszy wincik ma być „z dziadkiem“, to Witek panu niepotrzebny. Możeby choć on pojechał z nami?

— Mówiłem ci, że zaprosiłem Felka i Marjana.

Zygmunt spojrział na niego z wyrzutem.

— Ej, Witek, Witek!... Tobie lepiej podoba się partyjka winta, niż najpiękniejsza wycieczka.

Pan Zaranek zaśmiał się głośno i objął w pół syna.

— Ma mój gust!... mój gust!—zawołał.

.

Zygmunt z przykrością rozstał się z kolegą. Niebawem jednak zapomniał o przykrości, na przystanku tramwajowym bowiem czekali na niego rodzice i rodzeństwo. Pan Cichorski i chłopcy ubrani byli sportowo, żona jego i córka w skromnych szarych i krótkich sukniach, by nie utrudniały im swobody ruchów. Był i koszyk z prowiantami i aparat fotograficzny i olbrzymia skórzana piłka; były przede wszystkim doskonałe humory, które sprawiły, że towarzystwo to, tak starsi, jak młodzi, rozbrzmiewało ciągłymi wybuchami śmiechu.

Powrócono ostatnim pociągiem. Cała rodzina wiozła olbrzymie bukiety bzu i polnych kwiatów; skonsumowany

prowjant z koszyka zastąpiły jajka i masło, tanio kupione przez praktyczną panią Cichorską. Wesole humory nie odstępowały ich ani na chwilę, nawet w pociągu, gdzie tłok był nieopisany i różnorodność typów, które właśnie wywoływały dowciple uwagi głowy rodziny.

Dusznem i przykrem wydało im się miejskie powietrze, a spotkanie w pobliżu dworca kilku młodzieńców pijanych, którzy taczali się od ściany do ściany, ochryplemi głosami wyśpiewując sprośne piosenki, skierowały myśli na poważniejsze tory. Pan Cichorski jał opowiadać ciekawe i zadziwiające dane ze statystyki alkoholizmu, oparte na wiadomościach szpitalnych, jak ilość idjotów, obłąkanych i zwyrodniałych wzrasta w stosunku do wypotrzebowanego alkoholu.

Przechodzono koło domu, w którym dwa pokoje na parterze zajmowali Zarankowie; okna były oświetlone.

— Witek nie śpi jeszcze—zawołał Zygmunt.—Pójdę do okna, nastraszę go, a potem wynagrodzę piękną wią-zanka bzu.

Skoczył ku oknu.

— Uważaj tylko, warjacie,—wołał za nim ojciec—że-byś w cudze okna nie zapukał!

Zygmunt wspiał się na palce i zajrzał do pierwszego pokoju. Na środku, przy zielonym stoliku, na którym paliły się dwie świece, siedział pan Zaranek i dwóch poważnych jegomościów i grali, widocznie w zupełności zaabsorbowani kartami. Między nimi na stole stała butelka, a przed każdym kieliszek mniej lub więcej zapełniony.

Zygmunt przesunął się do następnego okna, należą-cedo do sypialni Zaranków. Przy stole pod oknem siedziało trzech młodzieńców: Witold, Feliks Adler i Marjan Boro-wiński, również zajęci graniem w karty. I przed nimi stała butelka... butelka ordynarnej wódki. W braku kieliszków pito ją szklaneczkami od piwa. Gęsty dym papierosów

ołaczał te trzy młode głowy, o twarzach nacechowanych wysiłkiem umysłowym, zdenerwowaniem i gorączką. Od czasu do czasu pisano coś kredą na stole, a wtedy jedna twarz się rozpromieniała, na innych malowały się gniew i niezadowolenie.

Zygmunt doznał wrażenia wielkiej przykrości i niesmaku; nie zapukał do okna, jak to było jego zamiarem, nie oddał wiązanki bzu i... stracił humor.

Wysworował się naprzód, jakby uciekając od gwarnej i wesołej rozmowy, którą pozostawiał za sobą wraz z rodziną. Biegł pod murami kamienic ze spuszczoną głową, z zapartym oddechem, jakby uciekał przed widmem duchowej zagłady, z którego ramion nie mógł wyrwać drogiego przyjaciela. Nagle drgnął; z pod nóg, wyraźnie z pod nóg, z pod ziemi popłynęły słowa: „Błogosławieni żeglarze okrętów wielkich“.

Przetarł oczy—spojrzał pod nogi swoje.

Stał przy jasno oświetlonym oknie sutereny. Wnętrze pokoju, który miał przed sobą, nęciło czystością i wdziękiem. W białym zasłanym łóżku leżała staruszka siwa jak gołąbek, przygasły, ale pełen pogody wzrok utkwivszy w twarzy młodego dziewczęcia, które, siedząc przy niej, czytało dalej:

„Ale nie widzieli ludzie z brzegu, iż na okrętach wielkich popili się majtkowie i zbuntowali się i potłukli narzędzia, przez które sternik uważa gwiazdy, i skruszyli iglicę żeglarską magnesową. A nie mogąc widzieć gwiazdy na niebie i nie mając iglicy magnesowej, zbłądziły i potonęły okręty wielkie. A statek rybacki, patrząc na niebo i na iglicę, nie zbłądził i doszedł brzegu...*)

Jak ukojenie, jak balsam brał Zygmunt do duszy swej słowa wielkiego poety i cały ten obraz słodki, nastroju pełen. W głębi pokoju suterenowego siedział młodzian osiemnastoletni, zabawiając się snycerstwem. Wprost niego

*) „Księgi Pielgrzymstwa Polskiego“ A. Mickiewicza.

dwaj mali chłopcy wycinali żołnierzy. Dobrze, słodko znać snuła się tu pieśń życia przy melodji poezji. Zygmunt, pchnięty jakimś instynktownem pragnieniem złożenia hołdu tym, co umieli ubogą suterenę wypełnić pięknem i poezją, pomimowoli prawie upuścił wiązkę bzu, trzymaną w rękę; zsunęła się po ścianie i rozsypała wonne, wdzięczne kwiecie po łóżku białej staruszki i kolanach dziewczątka.

Zygmunt odrzekł śpiesznie, by go nie spostrzeżono. Uszedł kilkadziesiąt kroków, gdy znów z okna suteren buchnęła ku niemu światłość, a z nią krzykliwa, raźna piosenka:

„Książd mi zakazował,
Abym nie całował
Tak wiele, tak wiele.
A ja przecie muszę
Uradować duszę
W niedzielę, w niedzielę!...“

I znowu dym papierosów, kłęby gęstych wyziewów i woń napojów. Ojciec, dwóch synów, ledwie podrastające córki, kilku przyjaciół... Dwóch śpiewa hulaszczą piosenkę. Trzech porwało się ku sobie z krzykiem i klątwami, rozległy się razy, jęki... bryznęła krew.

A odbiegającemu od przykrej sceny Zygmuntowi dzwoniły w uszach dalsze słowa „Książ Pielgrzymstwa“:

„Naród polski nie jest bóstwem, jak Chrystus, więc dusza jego, pielgrzymując po otchłani, zbłądzić może, przeto odwleczony powrót jej do ciała i zmartwychwstania.“

Do obszernej sali, w której miał się odbyć egzamin abiturjentów z geometrii wykreslnej, wchodzili pojedynczo lub po kilku chłopcy w obcisłych mundurkach szkolnych. Witold przyszedł ostatni; był mizerny i okropnie zdenerwowany. Ledwie wszedł do klasy, oczyma poszukał Zy-

gmunta. Siedział na parapecie okna, „nogami dzwonił“ i z werwą opowiadał otaczającym go kolegom przygody dnia poprzedniego. I on widocznie wyglądał Witolda, gdyż skoro tylko ten wszedł, zeskoczył z okna, podbiegł do niego i bez ceremonii złapał go za brodę na przywitanie.

— Jak ty wyglądasz, idjoto, jak ty wyglądasz! — wołał.

— Jakto, jak wyglądam?... Zwyczajnie.

— Gadaj zdrów!... zwyczajnie wyglądasz na człowieka.

— A dziś?

— Na śledzia z beczi.

— Głowa mnie strasznie boli.

— O której poszedłeś spać?

— Późno... ojciec odchodził na kolej o pierwszej.

— A ty grałeś jeszcze dłużej?

— Chwilkę.

— Nie łżyj!... Wiem od Felka, że graliście do białego dnia.

— Takeśmy się jakoś rozgrali wczoraj.

— Oj, Witek, Witek! czy tobie nie żal zdrowia i życia na takie marne spędzanie czasu? Żebyś był lepiej z nami pojechał, byłbyś się wybawił, wydokazywał, użył świeżego powietrza, a dziś byłbyś czerstwy i wesoły, jak ja się czuję.

Wejście profesora przerwało rozmowę. Witold siadł w ławce, głowę wsparł na rękach i ścisnął skronie rozpalonemi palcami. Zdawało mu się, że rozhukany potok zalewa mu mózg, wymywając zeń wszystkie myśli i przytomność.

Zeszło się ciało pedagogiczne, rozpoczęło egzaminowanie z suchego, trudnego przedmiotu. Chłopcy odpowiadali z lękiem, jedni lepiej, drudzy gorzej; zresztą, jak i co odpowiadali, mało obchodziło Witolda; usiłował natężyć uwagę, tylko gdy odpowiadał Zygmunt, ale także odnosił

jedynie powierzchowne wrażenie śmiałych, zdecydowanych odpowiedzi kolegi i aprobujących min profesorów. Zrozumiał wreszcie, że egzamin wypadł pomyślnie, bo chłopak wracał na miejsce promienny, a nie mogąc opanować potrzeby wyładowania energii, siadając w ławce, wytargał za czuprynę swego sąsiada, potem pocałował go w ucho.

Wreszcie dźwięk rzuconego od katedry jego nazwiska zatargał zdenerwowanem sercem Witolda. Zbliżył się do stołu egzaminatorów. Zamęt w głowie nie ustawał, wódka, w zbytnej ilości wypita w nocy, sprawiała zgagę i mdłości. Profesor chciał widocznie popisać się doskonałym uczniem, zadał mu bowiem najtrudniejsze pytanie. Witold usiłował skupić się, ale myśli rozpryskiwały się jak stado zestraszonych ptaków, bakał, płatał—właściwej odpowiedzi nie znalazł. Zadano mu drugie, trzecie, łatwiejsze już pytania: rezultat był równie niewystarczający.

Ku ogólnemu zdumieniu, najlepszy matematyk klasy, zdolny i lotny Witold Zaranek, został uznany wraz z najmniej zdolnymi za niedość przygotowanego do matury.

A w chwili, gdy z rozpaczą w duszy uciekał za miasto na łąki i pola, by unieść jak najdalej ból i upokorzenie, pociąg wiózł w stronę Lwowa nadkonduktora Zaranka, który, puszczając dym z papierosa, cieszył się myślą, że za dwa miesiące zostanie już emerytem i będzie pędzić spokojny, zadowolony żywot przy boku syna, zarabiającego na siebie jako urzędnik kolei. Nie wiedział, że jedna noc, spędzona przez młodzieńca niewłaściwie, za jego, niestety, przykładem, oddała go od ziszczenia pragnień o rok, a może i dłużej; bo kto wie, czy w roku następnym znajdzie się gotowa odpowiednia posada?

IV.

T e ś c i o w a.

Poszłam zamąż za studenta...

Mama nie bez racji przeplakała ostatnie tygodnie przed moim ślubem. Czesiek był idealny chłopiec, gorącego serca, szerokich horyzontów i kochał mnie bez pamięci, miał tylko dwie ujemne strony: brzydkie nazwisko i brak majątku. Ojciec jego Igietko był rządcą na wsi, obarczony pięciorgiem dzieci, z którym mój narzeczony był najstarszym. Przyrzekł jednak przysyłać synowi piętnaście rubli miesięcznie, co przy ówczesnym kursie stanowiło trzydzieści siedem koron z halerzami. Rodzice moi przeznaczyli dla nas po pięćdziesiąt koron, mieliśmy przeto zapewnione 87 koron bez żadnego trudu; poza tem Czesiek miał z lekcyj także przeszło 50 kor.; tak że mogliśmy być pewni 140 kor. miesięcznie. Ułożyliśmy swój budżet: pokój umeblowany 40 kor., obiady „u świętej Zyty“ 60 kor.; pozostawało 40 na śniadania i kolacje; uwzględniwszy więc to, że rodzice Czesia mieli nam dosyłać prowiantów, miało nam nie tylko wystarczać, ale nawet pozwalać na jakąś przyjemność od czasu do czasu: na teatr, koncert lub wycieczkę.

Mój narzeczony wcześniej wynajął pokój i zachwycał się nim, jako słonecznym i wychodzącym na ogród właściciela domu.

Jakże często przenosiłam się myślą do tego „naszego mieszkania“, wyobrażając je sobie to jak sypialnię pani Handke, całą z jasnego dębu, to jak pokój córki aptekarza, o jednym niklowem łóżku i dywanowej otomanie, to białym lakierowanym, podobnym do wystawionego w oknie magazynu Związku stolarzy. Puszczając wodze marzeniom, rozmieszczałam już swoje obrazki, fotografie i cacka po ścianach i meblach, a nasze mieszkanie w wyobraźni mojej stawało się z każdym dniem piękniejszym.

A potem marzyłam o naszych spacerach po ślicznym Krakowie, który widziałam raz jeden jako nieduża dziewczynka, o wycieczkach do Tęczyna, Tyńca, Mogiły, o przechadzkach pod Wawelem i na Plantach w księżycowe noce. Nie ustraszały mnie i zimowe wieczory: Czesław będzie czytywał głośno, a ja haftować będę obrusy i serwety, należne mi jeszcze do wyprawy...

Moja wyprawa? Zmieściła się w jednym dużym koszu, bo mama była tego zdania, że w naszych warunkach lepiej nie mieć za wiele rzeczy. Ale wszystko było ładne i gustowne, a nawet kilka szczegółów zbyt kownych, przechowanych przez mamę z dawnych, lepszych czasów. Przyszła moja teściowa wzięła na siebie dostarczenie pościeli „z własnego pierza i płótna“, utkanego przez miejscowego majstra.

No, i przywiozła ten swój dar, przyjechawszy na wesele... Ile mnie on łez kosztował!... Poduszki cztery, bardzo porządne: lekkie, choć nabite; ale poszewki do nich!... Boże mój! nie dość, że płótno grube, ordynarne, ale co gorsza, przyozdobione wszywkami albo rogami szydełkowymi. Od dziecka niecierpiałam szydełka i jego produktów, tu zaś, wchodząc na nową drogę życia, wprowadzając się po raz pierwszy pod swój własny dach, a przynajmniej sufit (boć mieliśmy jeden pokój), przychodziło mi takie brzydactwo położyć na łóżkach! Jak przy tych

wstawkach z grubą „miniardizą“ wyglądać będą moje negliżyki z batystu, z „walansienami“ przewlekanemi wstążkami?

W chwili, gdy pani Igiełkowa z dumą rozkładała owoce pracy swojej i córek, mama moja mówiła tak wiele, jak nigdy jeszcze, byle mnie nie dopuścić do słowa; widziała bowiem z mej miny, że gdy otworzę usta, nie powstrzymam się od krytyki. Zachwyciała się przeto praktycznością pani „Igiełki“ i pracowitością pańien „Igliczek“ i zapraszała usilnie do salonu, a skoro tylko zamknęła drzwi za niemi, wróciła do mnie, ujęła płaczącą w ramiona i wyprzedzając moje życzenie, zapewniała, że kupi mi nadetatowo sześć poszewek batystowych z angielskimi haftami, że wie, iż Blechstein ma takie gotowe i sprzedaje na kredyt. Błagała mnie tylko, żebym się rozchmurzyła i nie robiła przykrości przyszłej teściowej.

Ah, ta teściowa!... Typek z komedji Bałuckiego!

Ojciec mego przyszłego był, jak się to mówi, „coś lepszego“, skończył gimnazjum i szkołę agronomiczną; ale matka była prostą dziewczyną wiejską, nawet analfabetką aż do czasu ślubu. Przy ojcu nauczyła się czytać, pisać i osłuchiwała się niejednej rzeczy, naogół jednak była to kobieta mało okrzesała. Co prawda, miała i dużo przymiotów: nie brakowało jej prostoty, skromności, była pracowita, oszczędna, poświęcała się dla dzieci, serce miała gorące; ale maniery i sposób wyrażania się — niech Bóg zachowa!...

Moja mama ubrała się na nasze wesele w śliczną perłowego koloru suknię z długim trenem i wyglądała młodo i dystygnowanie, a choć w kościele blada była i usta jej drżały, panowała nad sobą i ani jednej łezki nie uрониła. Natomiast teściowa ryczała za memi plecami, jak ciele tępym nożem zarzynane. A ubrała się!... no!... Czarna jedwabna spódnica, strasznie szeroka, gdy wszyscy

wówczas nosili obciste, i kaczorowego koloru bluzka, spięta ogromną broszą bursztynową.

— Radziła mi krawczyni, — mówiła po przyjściu z kościoła — żebym dała sobie uszyć wąską spódnicę, wyszłoby o sześć łokci mniej; ale ja nie warjatka, żeby się tak ubrać.

Tu powiodła oczyma po paniach, przybranych co do jednej w obciste suknie, zmieszała się cokolwiek i ciągnęła, jakby na swe usprawiedliwienie:

— Te panie, co mają po dziesięć jedwabnych kiecek, co sobie sprawiają na jeden rok, to mogą dać sobie uszyć choćby jak męską nogawicę, ale moje sukieneczko musi mi starczyć nietylko na wesele najstarszego syna, ale także obu dziewczyn i młodszego chłopaka. Ja tam nie mam fiu-bziu w głowie, żebym co rok nową suknię sprawiała.

„Fiu-bziu“ w głowie nie miała moja teściowa, ale za to na głowie coś, co należało ochrzcić tym niezdecydowanym terminem, a co ona z pompatyczną miną mianowała stroikiem.

Jest to coś godnego wzmianki w powieściach! Na tłustych, sztywno wyszczotkowanych i wypomadowanych włosach jakieś ptasie gniazdko ze zmarszczonej koronki, liljowej wstążki i aksamitnych bratków. Stroik zakończony był z tyłu koronką, zszytą w kształcie języka, która wiewała lekko, gdy pani chodziła, jako przeciwstawienie ruchów właścicielki, która miała tak ciężki chód, że podłoga trzęsła się, a porcelana brzęczała na kredensie, gdy szła przez pokój. A jak ten język koronkowy sterował, gdy tańczyła!... Bo mama Igielko puściła się w tańiec z radcą Berczyńskim...

Ale Bóg z nią! nie ja wychowałam sobie teściową, nie potrzebuję przeto rumienić się z powodu jej śmieszności. Gorzej jest, gdy miesza się do moich spraw i daje mi nieproszone rady.

Tak więc zaraz po przyjeździe oddała mi koszyk, mówiąc, że są tam prowjanty na moje gospodarstwo: sok, konfitury, słodka bułka, chleb wiejski, garnuszek masła — bardzo ładnie; ale dodaje, że jest tam woreczek mąki, dwójka kasza i słonina.

— A poco mi to? — powiadam — przecież nie będę robiła obiadów w domu, gdy sługi trzymać nie będziemy.

— Wiem o tem — odpowiada matka — ale przyda ci się na kolację; możesz nastawić mleka na kwaśno, dać do tego tatarską kaszę, albo zrobić kładzione kluski, albo i łazanki.

— Gdzieżbym ja to gotowała? kuchni nie będziemy mieli.

— Czesiek ma doskonały prymus.

— Niemożliwe takie gospodarowanie w jednym pokoju! Ja będę robiła herbatę i podawała do niej chleb, masło i wędlinę.

— Takie kolacje za drogo wam wyniosą.

— Ja tam nie będę marnować sobie rąk gniecieniem klusek i obieraniem kartofli.

Matka spojrzała na mnie niemile zdziwiona.

— Wychodzisz za studenta, nie za pana ze stanowiskiem, musisz wiedzieć, że czeka cię praca.

Zdenerwował mnie moralizatorski ton matki, rzekłam więc lekko:

— Nie poto wychodzę za mąż, żeby pracować.

— Tylko poco?

— Żeby się kochać z Cześkiem.

Pociągnęłam Czesława za czuprynę, wykręciłam się na pięcie i wybiegłam z pokoju. Za drzwiami już usłyszałam ciężkie westchnienie matki i jej stłumiony wykrzyk:

— O, źle!

— Niech mama nie bierze tego na serjo! Wacia mówi tak przez przekorę, naprawdę myśli co innego.

— Nie, ona rzeczywiście teraz tak myśli. Ale się zmieni.

— Ja ją wyrobię.

— Jeśli nie ty, to wyrobi ją życie swoją ciężką ręką.

Jakże grobowo zabrzmiały mi te słowa matki! Uczułam żal do niej za psucie mi szczęśliwych dni, i żal ten pozostał we mnie na długo... Twarda ręka życia!... Z pewnością bywa ona twarda dla niejednego, ale nie będzie nią dla mnie, bo mnie czeka współżycie z ukochanym, dobrym Cześkiem w naszym miłym gniazdku nad krakowskiemi plantacjami.

Chciałam się zemścić za doznaną przykrość i znalazłam okazję w wigilię ślubu przy herbacie, na którą przybyło kilka osób z miasta prócz rodziny Cześka.

Moja przyszła teściowa jęła podziwiać talerzyki deserowe, malowane w kwiaty.

— To córka moja wykonała—nie bez dumy odezwał się ojciec.

— O jej! jak ona to potrafi!—dobrodusznie zachwyciła się teściowa—to jak żywe, człek nieledwie nie spróbuje powąchać... Nie wiedziałam, że Wacia taki majster.

— Uczyliśmy wszystkiego naszą córkę: grać na fortepianie, śpiewać, rysować, malować na porcelanie.

— Ale nie nauczyli jej państwo gotować—dorzuciła teściowa.

— Ma czas nauczyć się tego: jeszcze młoda.

— Czesiek doskonale zna się na kuchni — odezwała się siostra jego Andzia—wyuczy ją.

— Żle, gdy żona musi od męża uczyć się praktyczności—dowodziła dalej matka Czesława.

— Gorzej, gdy się która dopiero od męża uczy czytać i pisać—ucięłam.

Obie siostry Czesława, Andzia i Bronia, zaczerwieniły się po uszy i spojrzały po sobie, dotknięte do żywego;

mama zgromiła mnie spojrzeniem i z zaambarasowaniem szukała, w jaki sposób naprawić mają niegrzeczność; gdy teściowa odezwała się z prostotą:

— Mój mąż uczył mnie czytać i pisać, i wcale nam to nie zaciężyło, bo robił to wieczorami w wolnych chwilach od swojej pracy i gdy ja już wszystko, co należy do kobiecego gospodarstwa, spełniałam najdokładniej.

Przykro mi było, że tak niegrzecznie odezwała się we własnym domu, tem więcej, że matki złośliwość ta nie dotknęła; natomiast widziałam, że zrobiłam przykrość Czesławowi i jego bardzo miłym i dobrze wychowanym siostrom. Wydało mi się przeto, że matka jest niesłychanie gruboskórna; a już do rozpacz doprowadzało mnie jej konserwatywne przestrzeganie zwyczajów weselnych. Wymogła i postawiła na swoim, że matki prowadziły Czesia do ołtarza, a ojcowie moją osobę, jakby był strach, że ucieknemy przed spełnieniem sakramentu, jeśli nas z dwóch stron starsi trzymać nie będą. Wymogła dalej, że „oblubieńcy“ trzymali palące świece w ręku, a po ślubie ksiądz odmawiał nade mną jakieś modlitwy i udzielał błogostawieństwa, co nazwała „wywodem“ Wreszcie w domu dopominała się o oczepiny i ofiarowała mi na ten cel jakiś ohydny czepek; a przy kolacji podochociła sobie i wykrzykiwała, uderzając kieliszkiem o stół: „kwaśne wino, kwaśne wino“, póki mnie Czesiek nie musnął w policzek, wiedząc, że inaczej matka nie ustąpi.

Wobec tego wszystkiego szczęśliwa byłam, wyjeżdżając z domu nazajutrz rano. Odprowadzono nas na kolej, przy czem teściowa przybrała spódnicę w kratę czerwoną z czarnem i brązowy kaftan, obszyty czarną frendzlą. Wstyd mi było całować ją w rękę, a musiałam to uczynić, gdyż i tak wszyscy na peronie zgadywali, że to matka, ryczała bowiem znowu bardziej jeszcze, niż w kościele.

Szczęściem, w wagonie prędko zapomniałam doznanych ujemnych wrażeń. Ale czekały mnie nowe w Krakowie.

Nasze mieszkanko! nasze pierwsze mieszkanko, gniazdko poślubne!... Jakże dalekiem było od tego, com wymarzyła!

Pokój obszerny, czysty i widny, to prawda, ale umebłowanieli... Dwa żelazne, tak zwane studenckie łóżka z siennikami, w których, z powodu rozporków na środku, można było przypatrzeć się brudnej i pokruszonej słomie; stół pochłapany atramentem i ponacinany scyzorykiem; szafa o ozdobnym gzymisie, obrzydliwie tandetna; umywalka druciana z maleńkim tylko blacikiem na mydło. W dodatku na ścianie wisiały znane oleodruki „W jasyrze“ i „Powrót z jasyru“, szerniały i upstrzone przez muchy w straszny sposób

Czesiek zauważył, że doznałam przykrego wrażenia, jął dowodzić, że my to mieszkanie zupełnie przeistoczmy. Jakoż znikły sienniki pod pościelą, okrytą ładnymi koronkowymi kapami na atlasie, przy których niestety rażąco odbijały firanki w oknach, także dar teściowej obrzydliwe płachty, zrobione szydełkiem z grubej bawełny, a niepodobna było ich nie powiesić z powodu przewidywanej wizyty rodziców męża. Stół okryliśmy serwetą białą, haftowaną w fiołki, którą w trzy dni potem Cześ pochłapał atramentem, a ja niebawem oblałam czarną kawą. Ładny przybór kryształowy, w braku tualety, rozstawiliśmy na oknie, a flaszki z płókaną do ust, benzoessem i gliceryną musiały zająć miejsce pod umywalnią. Ze ścian jedynie byliśmy zadowoleni, bo po zdjęciu oleodruków obwiesiliśmy je obrazkami, kartami i półeczkami, pełnymi cacek. Było to jednak znowu w dysharmonji z meblami trącącymi „Szpitalką,“*) i raziło mój smak estetyczny.

*) Ulica Szpitalna w Krakowie ma całe szeregi sklepów ze starymi lub tandetnymi meblami.

A jednak w mieszkaniu tem przyszło mi spędzać prawie całe dnie samej; Czesiek bowiem zajęty był bardzo wykładami i lekcjami, które dawał na mieście. To też miałam dosyć czasu, aby przemyśliwać nad sposobem pozbycia się choć „maminych“ firanek, które, mojem zdaniem, psuły mi kontrakt z niebem, błękitniejącem za oknami.

I wpadłam na pomysł.

Pewnego dnia przyszedł do nas kolega Czesia, Przyborowski, który miał mnie zaprowadzić na most Podgórski, gdzie mieliśmy spotkać się z moim mężem, wracającym z lekcji, aby pójść razem do parku na Krzemionkach. Poleciałam koledze, aby czytał głośno gazetę, podczas gdy ja ufryzuję grzywkę. Zapaliłam maszynkę spirytusową i postawiłam ją na oknie tuż przy samej firance. Nagle usłyszałam wrzask Przyborowskiego: „Pali się!“ Choć wiedziałam, o co idzie, i powinnam była być przygotowaną na to, co się stanie, krzyknęłam, odpowiadając na wrzask kolegi, a rozkrzyczałam się na dobre, widząc, jak gwałtownie płomienie obejmowały firanki i lizały płomykami tapety pokoju. Przyborowski przyskoczył do okna, zdarł firanki, cisnął je na podłogę i przycisnął rajzbretem, stojącym obok. Ja chlusnęłam na to wszystko dzbanek wody i rzekłam wesoło:

— Nie szkoda firanek: były ohydne.

— Ale głowy i rąk moich szkoda,—rzekł Przyborowski—bo te były całkiem przyzwoite.

Pokazało się, że biedny kolega poparzył sobie obie dłonie, a kij od firanek spadając nabił mu guza na głowie. Opatrzyłam go, i choć młodzieniec stękał i wyrzekał, poszliśmy na miejsce umówione.

Czesiek już czekał na nas. Zaniepokoił się bardzo wypadkiem i jął się dopytywać, jak się czujemy oboje, czy obrażenia Wicka i przestרח mój nie odbijają się szkodliwie na naszym zdrowiu. Zapewniliśmy go oboje, że nic nam

się nie stało, natomiast odezwałam się do Czesława, że trzeba będzie kupić nowe firanki do okien.

— A trzeba będzie—przywórtzył bez zapalu.

— Widziałam na Grodzkiej bardzo ładne firanki, po 15 koron para; może kupimy, wracając ze spaceru?

— A wzięłaś pieniądze?

— Wzięłam.

Firanki uczyniły niemałą wyrwę w naszym budżecie; że zaś przyszło nam jeszcze kupić niejeden drobiazg gospodarski, po dwóch tygodniach rozmieniłam ostatnią dziesięciokoronówkę z pieniędzy zabranych z domu. Czesiek się martwił.

— Co my zrobiony przez drugie pół miesiąca? — zakłopotał się.

— Możebyś poprosił o zaliczkę tam, gdzie dajesz lekcje?

— W pierwszym miesiącu?... Nie wypada: nie znamnie, mogłoby się to wydać podejrzanem.

Zacęłam chodzić wzdłuż i wszerz pokoju, szukając sposobu, gdy nadbiegła koleżanka Czeška, Ola Włodkiewiczówna. Wtajemniczona w nasz kłopot, nie przejęła się nim wcale.

— Wielkie rzeczy! Pani Wacia ma złoty zegarek, brylantowy pierścionek — zastawi, a na przyszły miesiąc nie będziecie mieli nadetatowych wydatków, to wykupicie.

Ale w następnym miesiącu nie wykupiliśmy zegarka, przeciwnie, na tydzień przed pierwszym byliśmy już bez grosza i Czesiek zaniósł pierścionek do lombardu. W trzecim miesiącu nie było już co zastawić, pożyczaliśmy więc po parę koron od kolegów; a w czwartym nie zastawiliśmy i nie pożyczaliśmy, ale przez dziewięć dni żyliśmy chlebem, herbatą i trochę kaszy

I stało się to właściwością ostatnich dni każdego miesiąca.

Po Nowym Roku Czesiek dostał drugą lekcję, i to bardzo dobrą, bo za 60 koron miesięcznie. Byliśmy uszczęśliwieni; zdawało nam się, że widmo niedostatku zostało już zupełnie z pod naszego dachu wygnane. Ale stało się inaczej. Z podniesieniem dochodów podnieśliśmy też skalę wydatków; zmęczona gotowaniem kaszy i kartofli na maszynie przez ostatnie dni miesiąca, w pierwszych następnego ze wstrętem na to patrzyłam, kupowaliśmy więc ciągle wędlinę i braliśmy gotowaną wodę na herbatę od sąsiadów. Przytem wdaliśmy się w stosunki z kółkiem studentów, żyjących nad stan, którzy wyciągali nas do kawiarni i na koncerty; wreszcie był to karnawał, skusiliśmy się na kilka wieczorków, które sporo pieniędzy wypłoszyły nam z kieszeni. Dochód, choć większy tego miesiąca, wyczerpał się znacznie wcześniej, niż miesiący poprzednich.

Czesiek, zajęty cały dzień wykładami, lekcjami lub dostrzymywaniem mi placu w łożyszkach światowych, uczył się tylko nocami, gdy ja spałam w najlepsze; to też mizerniał i chudł tak, że wszyscy zwracali na to uwagę.

W lutym otrzymaliśmy list od teściowej:

„Kochany Synu! Pisze mi Mania Wolska, że wyglądasz mizernie i kaszlesz, i że Wacka także mizernie wygląda. Pewnie wam jest za ciężko w mieście i że to Wacka nic się na gospodarstwie nie zna. Za trzy tygodnie sprzedam świnię, to wtedy przywiozę pieniędzy i zabawię kilka tygodni. Będę Wam gotować jak się należy, a i Wackę przyuczę, jak należy gospodarować, żeby zawsze koniec się z końcem wiązał i jeszcze coś na przypuszczenie zostało. Całuję Was oboje i Boskiej opiece oddaję.

Wasza

Matka.“

Perspektywa przyjazdu teściowej przeraziła mnie, to też uprosiłam Czesia, żeby wyperswadował to matce, niby ze względu na niemożliwość pomieszczenia u nas trzeciej osoby.

A jednak w dwa miesiące potem ja sama zatelegrafowałam do matki, prosząc ją o przyjazd. Czesław ciężko zachorował; lekarz orzekł, że choruje z wycieńczenia i że stan jego mało zostawia nadziei uratowania.

On sam zażądał przyjazdu matki.

I przybyło pocziwe matczysko. Wtedy dopiero nauczyłam się, jak się chodzi koło chorego z zupełnem zaparciem. A że matka znalazła i mnie bardzo wymizierowaną, wszystek ciężar pielęgnacji i dbania o dom wzięła na siebie. Sypiała na sienniku między naszymi łózkami, podawała choremu lekarstwa, przygotowywała nam jedzenie i potrafiła niejako rozszerzyć ściany naszego pokoju, że i sama nie zawadzała i nam przybyło miejsca. Z rajs Bretu położonego na koszu urządziła kuchnię i umieściła na nim statki, zaśłoniwszy to odpowiednio ustawioną szafą; podłogę umyła, całe mieszkanko doprowadziła do takiego porządku, że miło było rozejrzeć się po niem.

I nie dość, że zabiegami swemi uratowała Czesia, ale jeszcze, ponieważ rok szkolny miał się ku końcowi, zabrała nas do siebie na wieś i odpasała nas mlekiem, jajami, drobiem i owocami.

— Mamusiu, — rzekłam do teściowej w kilka dni po przyjeździe—od dziś zacznę się uczyć u mamy gotowania i różnych praktycznych rzeczy.

Pogłaskała mnie szorstką ręką po twarzy.

— Aha, zmiarkowałaś, że matka miała rację, że to w życiu potrzebne.

— Zrozumiałam, mamo, że to niezbędne.

Co więcej, przekonałam się, że nauka taka nie jest

ani przykrą ani uciążliwą, gdy do niej zachęca pragnienie ułatwienia życia drogiemu człowiekowi.

Koniec wakacyj jednak został zakłócony wielce niepokojącym odkryciem. Matka spostrzegła, że chodzę zafrasowana i strapiona, przyparła mnie więc do muru pytaniami. Zamiast odpowiedzieć wprost, uderzyłam w płacz, wołając:

— No, niech mama powie, jak to w studenckiem życiu chować dziecko?!

— O, pewno, że bieda.

— Ani mieszkanie po temu, ani służącej...

— Ani gdzie wykąpać, ani to gdzie oprąć...

— Właśnie. Jak to mama nas rozumie!

— Zupełnie rozumiem, zupełnie...

— Więc co zrobić? Pozbyć się tego?...

— A niech ręka Boska broni i zachowa!... Grzech!

— Więc cóż będzie, mamgo?

— Ha, co ma być? Ty przyjedziesz na ten czas do nas, a potem zostawisz maleństwo u mnie... ja ci je podchowam. A za kilka lat, jak Czesiek będzie miał już praktykę, zabierzesz sobie z powrotem.

— Mamo, mama w swoim wieku wzięłaby jeszcze na siebie trud wychowania niemowlęcia?

— Ot, zawracanie głowy! to wcale nie męczące. I ono będzie zdrowe jak orzeszek, zobaczysz, byle krowa była zdrowa i flaszka zawsze czysta.

— O mamo, jaka mama jest dobra!

— Takie wielkie rzeczy robisz z tego, a to jest nic... Bogu chwała, że wam pobłogosławił... Ale może ty potem nie będziesz rada, że ja, prosta, ordynarna kobieta... a ty-byś chciała, żeby twoje dziecko było cacane paniątko...

— Zostawię je mamie, zostawię i niech mama w nie-wszczepi swoje cnoty i zasady.

— Co zawracasz głowę zasadami! Byle dziecko było w miarę nakarmione, a czysto utrzymane, niezaziębione, to będzie zdrowe; a jak będzie zdrowe, to będzie i dobre... Zresztą ty je potem wygłaskasz.

Rzuciłyśmy się sobie w objęcia; ze łzami całowałam ręce teściowej.

V.

Salony w ObrzydłóWKu.

Wszystkie „panie“ miasta powiatowego ObrzydłóWka ogarnęła manja salonów. Wprowadziła ją pani Wapnińska, zjechawszy ze stolicy po swym ślubie ze Stanisławem Wapnińskim, właścicielem rzeźni i masarni. Z początku inne panie patrzyły krytycznie i zawistnie na jej fantazyjne meble wyściełane, na które składały się: żółty wytłaczany plusz i dywanowe kwadraty tureckie, i szafirowy atlas przymarzczany, i chwasty z kolorowych sznurów. Mówiono, że to wszystko przyszło jej łatwo, jako córce tapicera, który z pozostających mu resztek materiałów niewielkim kosztem mógł wykonać oryginalne meble dla jedynaczki. Kiedy jednak młodzi państwo Wapnińscy poczęli składać wizyty, rozpoczynając od pani inspektorowej Poręckiej, to tej ostatniej ponsy uderzyły na twarz, gdy jej przyszło strojną panią Olgę wprowadzić do pokoju, w którym była wprawdzie kanapa i sześć wyściełanych krzeseł — główna cecha salonu, ale także dwa łóżeczka dziecinne, jak u jakiej robotnicy.

Tegoż dnia jeszcze łóżeczka zostały wyrzucone z salonu, a że niepodobna było ich wcisnąć do sypialni, gdzie stały już wielkie łóżka państwa Poręckich, dwie sofy starszych chłopców, łóżeczko Maniusi i wózek Pękusia, postanowiono, że Czesiowi będzie się słało siennik na podło-

dze, a Zosi łóżeczko ustawi się w kuchni między piecem a drzwiami.

Pan Poręcki oburzył się z początku na te zmiany, ale żona zasypała go gradem wymówek, że on, piastujący wysoką godność w policji, mieszkał dotąd jak zwykły wachmistrz, aż zmilkł i wyniósł się do kawiarni na czas sprzątania mieszkanka.

Salon państwa Poręckich, jedyny obszerny pokój w ich domu, wyfroterowała wata i kaszłająca Witka z taką starannością, że aż biedna dostała kłucia w boku i zmizerniała w ciągu godziny, jak po kilkudniowej chorobie. Następnie zabrano z łóżek kapy dywanowe i nakryto nimi stary podarty szezlong, przyniesiony ze strychu; zabrano chłopcom etażerkę, na której mieli książki szkolne, i ustawiono na niej wszystkie figurki, pudełka i cacka, stanowiące dotychczas osobistą własność młodszego pokolenia Poręckich.

Wiadomość o tem, że inspektorstwo urządził sobie salon, lotem błyskawicy rozeszła się po Obrzydłównu. Komentowano ją rozmaicie, mówiono, że Wapnińscy zastali w mieszkaniu Poręckich „rozgrzebane“ i brudno zasłane łóżka; że pani Olga musiała czekać w ciemnym przedpokoju, zanim „wyprzątnięto“ dzieci. Że w nowourządzonym salonie znajduje się dywan perski, antyk wielkiej ceny, pokrywający starą, kulawą sofę; wreszcie że pan domu śpi na podłodze w salonie, gdyż jego łóżko zajęły młodsze dzieci, i że musi je opuszczać przed ósmą, aby można było sprzątnąć salon na czas, od wszelkiego wypadku.

Wślad za inspektorową inne mieszkanki Obrzydłówna poczęły myśleć o salonie. Najgorzej było z temi, które miały tylko po dwa pokoje z kuchnią; wówczas bowiem jeden pokój stawał się zbyt przestronnym, a niedostatecznie umeblowanym i najczęściej zamkniętym, drugi zapchanym meblami, przeto trudnym do sprzątania i utrzymywania porządku.

U państwa Poręckich było wieczne piekło z chłopcami. Od czasu, jak zabrano im etażerkę, a książki spoczywały w kącie na podłodze, mieli pretekst do opuszczania się w lekcjach. To książka się zapodziała, to Manusia wydarła kilka stron z geografji i podarłszy na drobne kawałki, rozdała je lalkom na obiad zamiast kaszy. Wreszcie Pėkuś, zasiadłszy raz na stosie kajetów, spowodował katastrofę, skutkiem której strony pokryte starannem piśmem zamieniły się w mapy o niewyraźnych barwach i fantastycznych konturach. I stało się, że po raz pierwszy tak Staś jak Władek nie dostali promocji do wyższej klasy; a pani Poręcka, gorzko wymawiając synom ich zaniedbanie, nie pomyślała, ile winy w tym wypadku spadało na nią samą za urządzenie salonu jedynie przez próżność. I nie przyszło jej na myśl policzyć, ile kosztował ją ten salon, gdyby uwzględniła drugi rok opłaty szkolnej, sprawienie nowych książek i paru tuzinów kajetów. Nadto Wikta rozchorowała się, doktor zadecydował, że to z przemęczenia, stanowczo zabronił froterowania; przyszło przeto nie tylko opłacić jej kurację, ale nadto umówić człowieka, który raz na tydzień przychodził froterować salon i kazał sobie za to słono płacić.

Nadobitek musiała pani Poręcka przeboleć upokorzenie, że zaproszona na imieniny do żony komornika, pana Nikły, zastała tam salon daleko dostatniej umeblowany od jej salonu. Czego tam nie było! I garnitur kryty zielonym ałłasem, i fotel na biegunach, i konsola o wielkiem lustrze, i słup rzeźbiony ze sztuczną palmą. Pani inspektorowa, aptekarzowa, wszystkie żony monterów z fabryki i pierwszych kupców zzieleniały z zazdrości jak pokrycie mebli i jęły szeptać między sobą, że musiał Nikło chyba okraść kogo, żeby się tak umeblować. A tymczasem on poszwindlował tylko o tyle z kolegą i woźnymi, że raz do licytacji stawiło się zaledwo kilka podstawionych osób, które nie pod-

bijały ceny, skutkiem czego Nikło za niesłychanie niską cenę kupił tyle mebli, ile wymagało urządzenie jego salonu.

Na podwieczorek zasapana Nastka, służąca, i wzruszona godnością kelnerki piętnastoletnia córeczka Nikłów Pola wniosły tace z herbatą, ciastem i owocami, bo nie można było poprosić gości, tak jak dawniej, do drugiego pokoju, zastawionego obecnie po brzegi.

I stało się nieszczęście. Pola, nieprzyzwyczajona do obsługi, niezręcznie przesunęła się między sekretarzem komisarza a inżynierową (tak nazywano żonę montera z gazowni), przechyliła tacę i nagle sześć szklanek z herbatą, koszyk z ciastem i klosz z jabłkami runęły z brzękiem na ziemię, oblewając jedwabną suknię inżynierowej kaczorowego kploru.

— Cóżś zrobiła, cholero! — wyrwało się z ust pana Nikły.

— Boże, moje szklanki, wczoraj kupione! mój klosz kryształowy! Ah, ty kukło niezgrabna! — zawodziła matka.

— Czy pani inżynierowa bardzo się oparzyła? — zapytał krzyczącą wniebogłosy pan aptekarz. — Zaraz pobiegnę po środek.

Szczęściem, środek okazał się zbytęcznym, gdy bowiem herbatę w kuchni już nalano, pani Nikłowa spostrzegła, że na każdej szklance odcisnięte były tłuste palce Nastki, przelano przeto herbatę na salaterkę, potem czerpaczką napełniano znowu wytarte szklanki. Dalej, ilość ciasta na koszykach wydała się niedość inponującą, dokrajano przeto podwójną porcję; a to wszystko pozwoliło przestygnąć herbacie. Dzięki temu pulchne ciało pani inżynierowej ledwie że żywszą zarumieniło się barwą, i tylko suknia miejscami mocno przybladła.

Pani Nikłowa długo nie mogła zapomnieć nieszczęśliwego debiutu swego salonu, stłuczonych sześciu szklanek, klosza do owoców i odtrąconego ucha od porcelanowego

koszyka na ciasto. Nadomiar nieszczęścia, coś się poczęło psuć w postępowaniu pana Nikły. On, który dotychczas tak sumiennie wysiadywał całe popołudnia i wieczory w domu, zaczął coraz dłużej przebywać poza domem i coraz częściej powracał w podnieconym humorze, a z wypróżnioną portmonetką. Żona kilkakrotnie zwracała uwagę męża na niewłaściwość takiego postępowania, aż raz, gdy wrócił po północy w stanie zupełnie niepoczytalnym, nie ograniczyła się zwymyślaniem go narazie takim, jakiego nie powstydziałaby się tradycyjna przekupka, ale ułożyła sobie długą i wzruszającą przemowę, którą miała mieć do męża, gdy nazajutrz oprzytomniał.

Warunki składały się pomyślnie: była to niedziela, Pola zabrała młodsze siostry do kościoła, Nastka poszła do miasta, a przestępca leżał w łóżku, z napół przymkniętymi oczyma, utyskując zcicha na ciężki ból głowy i mdłości. Pani Nikłowa stanęła nad nim i wytoczyła cały zapas swego krasomówstwa. Dziwiła się sama sobie, skąd wzięła tyle mądrych argumentów. Prawiła, jak pijaństwo obniża wartość człowieka, jak psuje zdrowie, rujnuje byt rodziny, demoralizuje otoczenie, jakim strasznym odziedziczeniem chorób i zwyrodnienia może zaciężyć na potomstwie. Naprzemiany podnosiła głos gniewnie lub zniżała go żałośnie, zwilżała łzami lub syczała uragliwie. Szczególniej wzmianka o potomstwie do łez ją rozczuliła.

— Moje biedne dzieci! co to nad nimi może zaciężyć! gruźlica, niedołęstwo! mogą stać się kretynami i zbrodniarzami!

Wzgląd na dzieci zaniepokoił też pana Nikłę.

— Ależ, mój aniołku,—rzekł pokornie—przecież, zanim nasze dziewczątka na świat przyszyły, ba, zanim dobrze podrosły, ja nie brałem wódki w usta, a piwa, nie wiem, czy kilkadziesiąt kufli przez całe życie wypilem.

— Tak, o te dzieci możemy być, Bogu Najwyższemu

chwała, spokojni, ale co się stanie z temi, które Bóg może dać nam jeszcze?

Pan Nikło jeszcze bardziej się zaniepokoił.

— Może przecież Opatrzność uchroni nas od tego nieszczęścia. Toć Marylka ma już siedem lat; chyba pozostanie benjaminską? I te trzy trudno wychować.

— Naturalnie, jak się połowę pensji zostawia w knajpie... Ah, Izydorze, Izydorze! jak ty nie masz sumienia tak lekkomyślne prowadzić życie! Jeszcze jedenaście dni do miesiąca, a wiesz, ile ja mam w kasie? Cztery i pół korony, dwie szóstki, sześć centów i dwa halerze. Głód zajrzy pod naszą strzechę. Moje biedne dziecińy będą wołać: chleba, matko! a ja im krwi nie utoczę, sercem swem nie nakarmię. Przecież do niedawna zawsze siadywałeś w domu, pomagałeś córkom w lekcjach, sporządzałeś wszystko, co się zepsuło, takie piękne rzeczy wyrzynałeś z drzewa... Co cię ciągnie do tej przeklętej knajpy? co ciągnie?...

Pan Nikło uniósł zmęczoną głowę i wsparł się na rękę.

— Co mnie ciągnie, nie wiem — rzekł smutno — bo przyznaję, że zadymiona kawiarnia nieponętnie się przedstawia; ale wiem, co mnie wypędza z domu. Wypędza mnie brak własnego kąta. Dawniej w pokoju miałem warsztatik do snycerstwa i tokarski, miałem swoją otomanę na drzemkę, swój skórzany fotel w zagłębieniu okna, w którym w spokoju czytałem książki i robiłem ulubione obliczenia statystyczne. Teraz nie mamy już drugiego pokoju, tylko salon, z którego wyrzuciłaś mój warsztat i fotel...

— Jakżeż miałam zostawić taki grat w salonie!...

— Nie mam już prawa przespać się na otomanie...

— Na rany, Boskie! Jakżebyś miał się kłaść na otomanie, kiedy za obicie zapłaciłam 34 korony?

— Właśnie... Urządziłaś wspaniały salon, a pozbawiłaś męża cichego kąta. Nie zastanowiłaś się nad tem, jak męczącym jest moje życie. Ty nie wiesz, że dla człowieka,

który ma serce na swoim miejscu, stanowisko komornika to ciągle szarpanie nerwów, — że gdy wraca z czynności, często idzie za nim płacz i lament ludzi, którym robiło się zajęcie, które uciszyć może spokojne pograżenie się w umiłowaniem zajęciu.

— Toć możesz pograżać się w swoim umiłowaniem zajęciu po dziurki w nosie w naszym pokoju.

— Wśród gwaru dzieci, przy twoich kłótniach ze sługą, przy wrzasku kanarków i ujadaniu Rekse?... Nie zawsze i nie na długo. Więc uciekam do kawiarni, aby tam w spokoju przeczytać gazetę, porozmawiać z kolegami o rzeczach, które nas zajmują... A że, gdy kolega postawi piwo, odwzajemniam mu się butelką wina, i że to dużo kosztuje, to zwykły wynik rzeczy i cena twej głupiej zachcianki salonu.

— Mój drogi, jakże ja nie mam chcieć salonu, kiedy mają go wszystkie inne panie, nawet Inlenderowa, żona prostego majstra fabrycznego.

Inlenderowa od czasu zamążpójścia zajmowała to samo mieszkanie w domu fabrycznym, złożone z kuchni i dwóch pokoi. Jeden z nich miał ścianę zawsze wilgotną, obrócono go przeto na stołowy, w którym bywano tylko w czasie krótkich posiedzeń jadalnych; prawdziwie zaś zamieszkanym był pokój sypialny, słoneczny, ciepły i wesoły, w którym też spędzano wieczory, a przewietrzany dobrze, podczas gdy mieszkańcy przy kolacji byli w drugim pokoju, pozwalał im zdrowo przesypiać do rana. Gdy jednak panie z Obrzydlówka zaczęły jedna za drugą urządzać sobie salony, Inlenderowa zapragnęła mieć również taki, jak inne, tembardziej że posiadała pianino, a rodzice jej od dawna przyrzekli garniturek salonowy, który miała według swego gustu wybrać u stolarza. Inlenderowi także nie zbywało na próżności; po krótkiej naradzie postanowiono jeden z pokoi przeznaczyć na salon, spierano się tylko, który.

On przeznaczał na to jadalny, ona zgodzić się nie chciała, twierdząc, że nie wypada prowadzić gości przez sypialnię i bawić ich obok kuchni, z której dochodzą zapachy i hałas.

— Wieczorkowa ma taki węch, — mówiła do męża — iż zaraz wywacha, że ja czasem używam nie masła, i puści to w kurs.

— Ale widzisz, duszko, powiadają, że sypianie w wilgotnym pokoju bardzo szkodzi zdrowiu.

— Co to za wilgoć! ta jedna zapleśniała ściana! Toć nie postawię przy niej łóżek, a zato od kuchni ciągnie ciepło aż miło.

— Jak chcesz, duszko; ale ja się boję, żeby to nie zaszkodziło Kasiuni.

— Nie zawracaj głowy! dziewczyna jak smok, nigdy nam nie chorowała. Zresztą, dużo ona usiedzi w sypialni? Jak ciepło i pogoda, cały dzień na dworze; przyjdzie śłota, to ciągle przy mnie; a ja przecież także w sypialni prze-siadywać nie będę, tylko jeżeli nie mam zajęcia w kuchni, to będę siedzieć w salonie. Ja nie głupia, jak inne panie, mieć salon otwierany tylko dla gości. Przeciwnie, tam wszystko troje będziemy siadywać z książkami, robotami. Przecież ani ty, ani ja, ani Kasiunia nieporządku nie zrobimy.

Ostatni argument przeważył. W wilgotnym, ciasnym pokoju sypiano i pożywiano się; piękny, słoneczny pokój frontowy został obrócony na salon. Inlanderowa tryumfowała: nawet żona dyrektora, co zadzierała nosa i nie przyjmowała żadnej z żon urzędników i majstrów fabrycznych, nie miała większego salonu.

Po jakimś czasie jednak odkryła w sobie nieznany dotychczas rys — imaginację, skutkiem której zaczęło jej się wydawać, że Kasiunia zapadła na zdrowiu. Uspokajała się, jak mogła: chudnie, bo rośnie; blednie, bo jesień co-

raz bardziej ogranicza przebywanie na dworze; miewa trochę gorączki, bo jest łakoma i za dużo jada. Odetchnęła wreszcie zupełnie, gdy ją żona malarza Niedzińskiego zapewniła, że to nic innego, jak anemja. I jej córki są anemiczne i także gorączkują; doktor powiedział, że u starszej anemja wytworzyła stan gruźliczy, i kazał leczyć, doradzał wyjazd do Zakopanego; ale gdzie myśleć o tak wielkim wydatku, gdy rozchody wzrastają niesłychanie, a dochody się nie mnożą; przeciwnie, wskutek ogólnego zastoju coraz mniej domów się buduje i odnawia. A tu jeszcze kilkaset koron wydali na pianino i wzięli na siebie ciężar spłacania mebli salonowych, kupionych na raty. Żyd cisnął każdego pierwszego, groził zabranie mebli, procesem; trzeba było pilnować się terminów, odnawiać weksle, co powodowało, że pod koniec miesiąca musiała Niedzińska biegać po znajomych i błagać o pożyczkę kilku koron, żeby było za co kupić obiad. I gdzie w takich warunkach myśleć o wywiezieniu dziecka do Zakopanego? Chyba sprzedać pianino, a meble salonowe zwrócić właścicielowi? Ale toż byłaby kompromitacja! toż tryumfowałyby przyjaciółki!

.....

„Do Pań Mieszkanek Obrzydłówka. Mam zaszczyt upraszać WPanie o łaskawe przybycie w dniu 3 b. m. o godzinie 5 pp. na zebranie, celem omówienia konieczności założenia komitetu, dla przedsięwzięcia akcji niesienia pomocy mieszkańcom Zawodzia, dotkniętym klęską powodzi. Uprasza się Szanowne Panie o wcześniejsze obmyślenie tej sprawy.

Z poważaniem

Eugenja Czekierska.“

Taki okólnik rozniósł pewnego poranku wyliberjowany woźny magistratu w imieniu pani starościny Czekierskiej

po strasznej powodzi, która niemal doszczętnie zniszczyła dolną część Obrzydłówka, pozostawiając bez dachu setki ludzi. Woźny miał bardzo długą listę pań, których podpisy zbierał, i to nie tylko doktorowych, adwokatowych i radczyń, ale także żon kupców, zamożnych rzemieślników i majstrów fabrycznych. Sprawilo to nielada sensację. Pani starościna, osoba młoda i uchodząca za bardzo wykształconą, nie udzielała się prawie wcale, oddana w zupełności wychowaniu dzieci. Mieszkanie ich było prawie niedostępne, z wyjątkiem gabinetu pana starosty, który od czasu do czasu przyjmował poza kancelarją interesantów, przychodzących w charakterze prywatnym. Wszystkie mieszkanki Obrzydłówka, szczególnie od czasu zapanowania manji salonów, ciekawe były, jak wyglądają apartamenta państwa Czekierskich; ale jednemu tylko doktorowi wypadło wstępować tam kilkakrotnie, i to wyłącznie do pokoi dziecinnych, o których mówił, że są wspaniałe. To też niezmiernie ciekawe spojrzenia zwracały się na trzy okna narożne i dalsze dwa wewnętrzne z balkonem, o których wiadano, że należały do salonów poprzednich właścicieli; ale drzewa rosnące przed domem niewiele pozwalały zobaczyć z wnętrza pierwszego piętra.

Obecnie panie z Obrzydłówki miały się znaleźć osobście w salonach państwa Czekierskich i obejrzeć je we wszystkich szczegółach. Cieszyły się na to niezmiernie, niektóre tylko, mniej uświadomione w stosunkach towarzyskich, niepokoily się tem, jak się staroście wydadzą ich saloniki, gdy przybędzie z rewizytą, i czy nie warto byłoby pomyśleć o nabyciu jeszcze jakich zbytkownych sprzętów. To była jedna część myślenia o sprawie, związanej z akcją ratunkową. Drugą był kłopot, jak się ubrać na to zebranie: nie wypadało brać strojnej sukni, przeznaczonej na wieczorne proszone przyjęcia; codzienne zaś suknie

wydawały im się zbyt skromnemi. W rezultacie zarobili żydkowie, właściciele bławatnych sklepów w ObrzydłóWKu, sprzedając nieomal każdej z pań materiał na bluzkę lub dodatki do przerabianej sukni.

Pani Poręcka, Nikłowa, Niedzierska i Inlenderowa przybyły pierwsze na zebranie. Pani starościna przyjęła je w małym saloniku, wyglądającym jak różowa bombonierka, pełnym pięknych obrazów i etażerek, obciążonych artystycznemi cackami.

— Gdy nas będzie więcej, przejdziemy do pokoju moich córek—rzekła—które udziela nam gościny na dzisiejsze zebranie. Dlatego wybrałam porę, w której wszystka moja działwa jest na spacerze.

To mówiąc, wskazała na drzwi przyległego pokoju. Był to ogromny salon balkonowy, nie wyglądający bynajmniej salonowo. Ściany, pociągnięte białą farbą olejną, przyozdobione były pstremi wycinkami i obrazkami ze światła dziecięcego, okna nie miały firanek, a za całe umeblowanie starczyły dwa dziecinne łóżeczka, jedno łóżko osoby dorosłej, zapewne bony, szafa, niska umywalnia i etażera, zastawiona zabawkami, wszystko lakierowane na biało, oraz miękkie, puszysty dywan, nakrywający trzecią część posadzki. Pani Czekierska rzuciła okiem na pokój, zmarszczyła brwi i nacisnęła dzwonek. Niebawem ukazała się pokojówka.

— Helenko, — rzekła — czemu dywan nie sprzątnięty i nie wietrzy się na dworze? Dzieci nie wrócą jak za trzy godziny. Powiedz też Leonowi, żeby wniósł ze stróżem duży stół i ze trzydzieści krzeseł.

— Pani starościna urządziła tylko jeden salon? — nie wytrzymała w swej ciekawości pani Poręcka.

— Właściwie to nie salon, — odrzekła z prostotą zapytana, rozglądając się z lubością po ślicznym buduaru — to mój kącik, w którym zebrałam wszystkie sprząciki, zdo-

bywane od czasu, gdy wyrobiło się we mnie zamięszanie do rzeczy artystycznych.

— Tak, ale poza tem jest jeszcze wielki narożny salon?

— Ten oddałam moim synkom.

— Jakto?—zdumiała się pani Poręcka—więc właściwie salonu pani starościna nie ma wcale!

— Nie czuję jego potrzeby, — uśmiechnęła się pani Czekierska—a największe pokoje oddałam dzieciom, żeby miały dość powietrza i słońca; są to bowiem jedyne południowe, a jak panie wiedzą, o wilgotne ściany nie trudno w naszym Obrzydłównku.

— A czy rzeczywiście jedna ściana wilgotna w sypialni może zaszkodzić na zdrowie dziecka?—zapytała nieśmiało Inlenderowa.

— Niestety, mamy przykłady i w naszym mieście, w którym przyszło mi zająć się kilkorgiem dzieci, dotkniętych ciężką malarją jedynie z przyczyny wilgotnych mieszkań.

— Jak się objawia malarja?—badła dalej Inlenderowa.

— Mizernienie, tracenie sił, chroniczne lekkie gorączki...

— Czy to niebezpieczne?

— Najczęściej przechodzi w gruźlicę, a ta zwykle bywa zabójczą.

— Tak pani myśli?—rzekła Inlenderowa, odpłacając Niedzińskiej niedyskretnem a wymownem spojrzeniem za jej złośliwy uśmiech, który się pojawił na jej ustach, gdy była mowa o malarycznych dzieciach.

— Podobno jedynym ratunkiem na gruźlicę jest wyjazd do Zakopanego?—ciągnęła po chwili.

— Wogóle w czyste, górskie powietrze. Ja jestem zdania, że największy skarb, jaki możemy pozostawić dzieciom, to zdrowie, i dlatego moim oddaję najlepsze pokoje, najodpowiedniejsze pożywienie, nawet urządzam tak życie, aby dzieci jak najmniej były wytrącane z właściwego im

trybu. Wiem, że uważają to za dziwactwo z mej strony, niektórzy przepisują to odsunięcie się od stosunków towarzyskich głupiej dumie. Ale, Bogu dzięki, nie brak mi i przyjaciół, którym jest to obojętne, że nie mam salonów. Znajdowałam już życzliwych, którzy doradzali, żebym donajęła pokój z mieszkania burmistrza, który, jako kawaler, chętnie ograniczyłby swoje mieszkanie. Ale trzeba byłoby umeblować, a poco taki zbyteczny wydatek? Wogóle uważam, że jesteśmy zbyt ubogiem społeczeństwem na salony, tem bardziej że często miewa się je z krzywdą męża, dzieci i służby.

.

— Wikcia, pójdziesz do Franciszka powiedzieć mu, żeby nie przychodził jutro do froterki, wogóle nie będzie się już froterować salonu—mówiła nazajutrz pani Poręcka. Zawołasz tylko stróża i zniesiesz z nim łóżeczka Czesia i Zosi. Cześ kaszle od tego spania na podłodze, a Zosi też w kuchni niebardzo...

— Pewno, proszę pani, gorąc taki i muchy... Ja ta z dziecka przyzwyczajona spać w gorącu, ale Zosiunia tak się rzuca, tak skopuje kołdrę, a nieraz budzi się z płaczem, że i parę godzin utulić nie mogę. A potem to i mnie głowa boli z niewyspania.

— Tak, nie ma sensu ten salon. Że żona tego świniarza urządziła sobie pański apartament, to jeszcze nie racja: mają cztery pokoje, a bezdziećni. Nawet starościna, choć z domu hrabianka Olbrochcicka, nie ma salonu. Przecież właściwiej mi wzorować się na hrabiance, aniżeli na córce rzemieślnika... Przyniesiecie też tu stół okrągły do nauki dla chłopców i etażerkę... ja sama książki i kajety poukładałam. Będę po obiedzie na klucz zamykać chłopaków do odrabiania lekcji, ale zażądam porachunku!... Oberwą za każdą dwójkę, bo już nie będzie racji do wykrętów.

.

— Rany Boskie! a to co? — wykrzyknął pewnego dnia Nikto, wszedłszy do salonu i spostrzegłszy w zagłębieniu jednego z okien swój warsztat tokarski, w drugim stary skórzany, a tak wygodny fotel. — Malwinko, czy to ma tak pozostać?

— Nie inaczej, Izydorku. Żal mi ciebie, że tak się tułasz poza domem; przecież teraz zaczyna się czas słotny i zimny. Zawsze lepiej pod własnym dachem.

— Oj, pewno, pewno, Malwinko!

— I drzemkę będziesz mógł tu odbywać; tylko musisz dać pieniędzy na pokrowiec na otomanę.

— Jak najchętniej, moja droga; taniej to wyniesie, niż kilka posiedzeń w kawiarni.

Na zebraniu pań u starościny postanowiono urządzić wielką loterję fantową; wśród fantów miał być jeden, stanowiący wielką przynętę. Po krótkich debatach zdecydowano się na pianino. Pani Niedzierska zaofiarowała swoje, które też chętnie nabyto. Nie trudno zgadnąć, że suma osiągnięta ze sprzedaży została przeznaczona na wywiezienie gruzliczej Jadzi do Zakopanego. Opuszczając Obrzydłówek na całą zimę, żona malarza pokojowego mogła pofolgować swej próżności, opowiadając znajomym, że zwija salon jedynie z powodu swego wyjazdu do stacji klimatycznej.

Najkrótszy proces uczyniła Inlenderowa ze swym salonem. Przyszedłszy z zebrania, stanęła we drzwiach natłoczonej meblami sypialni, a spojrzawszy po wilgotnych ścianach, zakląła jak huzar, gwałtownym ruchem zrzuciła suknię wizytową, oraz uciskający ją gorset i zaczęła, nie oglądając się za niczyją pomocą, przesuwać meble. Mąż, wróciwszy z fabryki, zastał ją napół żywą, a mieszkanie w nieładzie.

— Psiakrew słoniowa! to ta głupia Niedzierska namówiła mnie na salon! Że sama ma cherlawe dzieci, to chciała, żeby Kasiunia nabawiła się gruźlicy, a ja żebym sobie pozrywała wnętrzności przy tem przesuwaniu.

— To też czemu, duszko, wzięłaś się do tego sama? Trzeba było czekać na mnie, przecie nie pilnego.

— Nic pilnego! tobie zawsze nie pilnego! Czy ty nie widzisz, jak Kachna zmizerniała?

— O, ja to dawno zauważyłem i aż cierpłem na myśl, że dziecko choruje skutkiem naszej próżności z powodu salonu. Ale bałem ci się sprzeciwiać.

— Bałem się sprzeciwiać!... Ty mazgaju zwyrodniały! Na taką matkę, jak ja, to rzemienia wziąć a sprać jak należy! Ale czy ty to potrafisz? Ty się wszystkiego boisz!

Inlenderowa zawsze wymawiała mężowi jego wielką łagodność, przywykł do tego i zazwyczaj nie zwracał na to uwagi; ale tym razem roześmiał się serdecznie.

— To już chyba pralibyśmy się wzajemnie, bo i mnie się pański salon uśmiechał.

— Niech las trzaśnie wszystkie salony! Zobacysz: jak nagle, za przykładem świniarzowej, wszystkim paniom zachciało się salonów, tak równie nagle, za przykładem starościny, odechce im się wszystkim. Zobacysz!

I tak się stało...

Ojcowie i dzieci błogosławili rozumną starośćcinę.

Godność osobista.

Pan Onufry Grot-Fajkowski miał wrodzone poczucie godności osobistej rozwinięte w najwyższym stopniu, a tymczasem stale spotykał się z ludźmi, którzy pięknej tej cechy charakteru nie cenili wcale.

Jako dwunastoletni chłopiec, został raz obity przez sadowego i pomocnika w skandaliczny sposób (bo z zaoszczędzeniem kortu i perkalu, w sposób poniżający, mianowicie w klęczącej pozie, z głową wciśniętą między nogawicami ordynarnych, wytartych chłopskich spodni) za to tylko, że zakradł się na brzoskwinie i wypchał sobie pięknym owocem obie kieszenie.

Matka, której przez poczucie godności osobistej nie chciał Nufcio pokazać miejsc poturbowanych rzemieniem, musiała na słowo wierzyć, że to „straszenie bolało“ i że ma „pstremple“ jak palec; niebardzo go jednak pożałowała, bo powiedziała, że trzeba się całkiem nie szanować, aby, jak zwyczajny złodziej, zakradać się na owoce do cudzego ogrodu.

Także prowincjonalne zapatrywanie! Zręcznie zakraść się to sztuka, a oberwać rzemieniem po wyżynach, skąd nogi wyrosły, to byle oberwus potrafi.

W szkołach nie lepiej mu się działo. Profesorowie byli to ludzie ordynarni i nie liczący się z godnością oso-

bistą młodzieży: matematyk wymyślał mu od osłów, historyk od próżniaków i hujtajów, Francuz odzywał się o nim „grrruba. leniusza“, a ksiądz katecheta przepowiadał mu koniec w kryminale. Takie lekceważenie wyprowadziło Onufrego z cierpliwości, postanowił przeto rzucić gimnazjum. Ponieważ jednak nie mógł skutecznie tego bez porozumienia się z ojcem, udał się do „starego.“

— Tato, ja muszę rzucić szkołę.

— Co nowego? Wylali cię?

— Co to, to nie, ale na każdym kroku obrażają moją godność osobistą.

— Niby jak?

— Ublizają mi.

— W jaki sposób?

— Wymyślają mi, odzywają się ordynarnie.

— Wtedy, gdy nie przygotujesz lekcji, gdy handle uprawiasz z kolegami, gdy się widują włóczącego się po nocach w nieodpowiednim towarzystwie...

— Przyczyna jest w tym wypadku podrzędną rzeczą; dość, że odzywają się do mnie w sposób uwłaczający memu honorowi.

— Et, głupi jesteś!

— Ojczel!

— Twoja obrażona mina mnie nie przestrasza. Powiesz pewnie, że i ja urażam twoją godność osobistą?

— Bez kwestji!

— Widzisz: jabym ci nie powiedział, żeś głupi, gdybyś nie gadał bez sensu; profesorowie nie wymyślaliby ci od nygusów i nicponiów, gdybyś się uczył i sprawował jak przystoi. Szymek jest wzorowym uczniem, a choć młodszy od ciebie, nigdy nie słyszy wymówki, obrażającej jego godność osobistą.

Nie było możliwości dogadać się „ze starym“, tak zawzięcie bronił zasady, że przedewszystkiem trzeba nie da-

wać słusznej racji do lekceważącego traktowania. I musiał biedny Onufry znosić poniewierkę w szkole aż do jej skończenia, co trwało długo, z powodu że siedział co najmniej po dwa lata w każdej klasie.

Gdy się nareszcie wygrzebał z gimnazjum, ojciec posłał go na wieś na praktykę do bogatego krewnego, znanego w kraju agronoma. Onufry miał mieć własny majątek, zależało więc na tem, aby się nauczył umiejętnie gospodarować.

Jechał z wielkiem zadowoleniem: miał w walizach dwie pary butów ze sztylpami, jedne czarne lakierowane, drugie żółte giemzowe, półtora tuzina koszul kolorowych z najpiękniejszego szertyngu, pół tuzina koszul z kanwowego płótna z kołnierzami à la Słowacki, kilka par sportowych spodni, piękne pasy, krawaty, kapelusze słomkowe, filcowe i panama, kostjum do polowania, wreszcie wspa-
niałą szpicrutę z agatową galką i złotym monogramem, oraz uzdę na wierzchowca z białej skóry z mosiądzem. Słowem, troskliwa, hojna, kochająca matka wyekwipowała go we wszystkie szczegóły garderoby, jaką mieć powinien szanujący się syn obywatelski.

Bolesł Werczyński, kuzyn jego, choć bogatszy od niego, miał nawet mniej koszul, daleko skromniejszą szpicrutę, a uzdę zupełnie ordynarną.

Wyobrażał sobie Nufcio, jak to okoliczne panny będą z zachwytem patrzeć na niego, gdy na pięknym wierzchowcu, ubrany „na ostatni guzik“, będzie hasał po polach, podcinając konia kosztowną szpicrutą i bodąc srebrnymi ostrogami. Obiecywał sobie, po spostrzeżeniu „sasiadeczki“ uchylić kapelusza ostrożnie, tak, aby nie zepsuć fryzury, ułożonej zapomocą wonnego fiksatuaru, podejść i długo wachlować się chusteczką, napojoną perfumami z pierwszorzędnej firmy.

Ale są ludzie, co nie mają szczęścia, których marzenia

zawsze wniwecz bywają obracane. Wuj Werczyński oświadczył na wstępie, że nie trzyma wierzchowca dla praktykanta, uważając to za zbytek, — że praktykant może na dalsze folwarki jeździć bryczuszką zaprzęgniętą w kuce, które służą również dzieciom na spacery i kucharzowi, gdy jeździ po mięso do miasta, przyjeżdżają nią też felczer i akuszerka w razie potrzeby. Onufry uważał za wielką obrazę swej godności osobistej mieć jednakowe prawa z dziećmi, kucharzem, felczerem i akuszerką, ale powiedział sobie, że staremu, zdziwaczemu wujowi trzeba w czemś ustąpić.

Gorzej było z tytułem,

Werczyńskiego wszyscy tytułowali dziedzicem, Bolka młodszym dziedzicem, a jego, Onufrego Grot-Fajkowskiego, poprostu panem. Tytuł ten był mu przykry, gdy wychodził z ust włóдаря, przychodzącego po rozporządzenia, i z ust lokaja, gdy prosił na obiad, albo gdy praczka żądała bieleziny do prania, a nawet gdy pokojówka, ładna Józia, miała do niego jakiś interes; stawał się zaś poprostu odrażającym, wstrętnym, poniżającym, gdy podwórzowy wołał o świcie, bębniąc w okna:

— Panie, panie, czas do doju!

Z początku próbował Onufry przypominać ludziom tytuł, jaki mu się należał ze względu, że i on był szczęśliwym posiadaczem kilkunastu włók ziemi; ale włóдарz nie dbałe machnął ręką, splunął przez zęby i rzekł z flegmą:

— To ta będzie pan dziedzicem u siebie, a tu dwóch i tak starczy.

Drażniony nieustannem wyróżnianiem „młodego dziedzica“ nad „praktykanta“, postanowił Onufry przyjąć miejsce gdzieindziej, gdzie nie będzie współzawodnictwa.

Posada znalazła się z łatwością i w warunkach, które dawały wszelką rękojmię, że godność osobista Onufrego Grot-Fajkowskiego nie będzie na szwank wystawioną.

Pan Kalita, dorobkiewicz, sparaliżowany od lat kilkunastu, nie chodził już wcale, rad tedy powierzył gospodarstwo człowiekowi zamożnemu, który „nie będzie miał potrzeby okradać“. Dowiedziawszy się od Onufrego o powodach, które go skłoniły do opuszczenia Werczyńskich, uśmiechnął się pod wąsem i zapewnił, że w jego domu będzie miał kasztanka do swego rozporządzenia w każdej chwili, a i należyty wyraz szacunku otrzymywać z ust wszystkich ludzi jego dobra zamieszkujących. Na dowód kazał przywołać ekonoma i odezwał się doń z wielkiem namaszczeniem:

— Jakóbie! od dziś dziedzic z Łanówka będzie tu gospodarzyć; słuchajcie we wszystkim dziedzica, pomagajcie dziedzicowi, idźcie ręką w rękę z dziedzicem, a nie zawiedziecie się na dziedzicu; że zaś przez młodego dziedzica zasługujecie się starszemu dziedzicowi, dziedzic za dziedzica nagrodzić was potrafi.

Z tej strony przeto Onufry osiągnął pełne zadowolenie. Ale wynikło coś innego, obrażającego jego godność osobistą. Pan Kalita, ze względu na swoje zdrowie, jadał tylko rzeczy strawne i lekkie, dla praktykanta zaś zastawiano obiad prosty, z nieodzownem mlekiem kwaśnem i kartoflami na każdą wieczerzę. Onufry lubił je nadewszystko, a i barszcz, groch z kapustą, kluski ze słoniną smakowały mu bardziej od kurcząt i szparagów; ale ambicja jego burzyła się na myśl, że jadał to samo, co lokaj, suwający wózek Kality, i gospodyni. To też, choć mu było dobrze na niezależnem stanowisku, choć chlebowadca podniósł mu pensję, a służba przy każdym zdaniu odmieniała wyraz „dziedzic“ przez wszystkie przypadki, wymówił się interesami rodzinnymi i wyjechał do domu.

Ojciec, widząc, że praca u obcych nie idzie Onufremu, postanowił, że obaj synowie społem gospodarować będą w rodzinnym majątku. Ale i to nie poszło. Szymek był

młodszy od Onufrego o trzy lata, ale że skończył agronomję, nieraz usiłował doradzać w tem lub owem starszemu bratu, którego znowu doprowadzało to do wściekłości.

— Obraża to moją godność osobistą, żeby mi taki smarkacz dawał rady i robił uwagi.

Po roku przeto nieporozumień i gorących kłótni rzucił Onufry brata i poszukał pracy u obcych. Tym razem przyjął posadę w domu arystokratycznym. Zewnętrznie schlebiało wszystko jego miłości własnej: miał elegancki pokój, wytworny stół, lokaj w rękawiczkach podawał półmiski, a młodzi hrabieze z zawiścią patrzyli na jego ciemutki, jak z błony, płaszcz gumowy i parasol jedwabny w futerale, tworzącym laskę. Ale niebawem wyszły i tam strasznie ujemne strony. Panowie, przybywający z wizytami, nie przedstawiali mu się, a hrabia nie kwapił się z przedstawianiem administratora. Hrabina nieraz zwracała się do niego z pytaniami według formuły: „czy on wie?“, „czy on może?“... a lokajczyk, złośliwiec, wydał, że najstarsza córka państwa domu nigdy nie mówi o nim „Grot-Fajkowski“, tylko „Faja-Grotowski“.

Jeśli Onufry nie cisnął posady po kwartale, to dlatego tylko, że zatrzymał go na miejscu miły stosunek z krewnym pani domu, margrabią Rogierem de Bolive-Irvieux.

Pan Rogier miał już około pięćdziesiątki, w Polsce zamieszkał od lat przeszło dwudziestu, ale źle mówił po polsku. Zachował akcent cudzoziemski, paryskie maniery i republikańskie poglądy, które pozwoliły mu zaprzyjaźnić się z panem Grot-Fajkowskim do tego stopnia, że mówił do niego „szerciu“, chodził z nim pod rękę w powiatowym miasteczku i nie tylko pozwalał mu załatwiać za siebie rachunki w restauracji i cukierni, ale nawet, jak od rodzonego brata, pożyczał od niego raz po raz czegoś z garderoby. Zrobił mu raz nawet zaszczyt, że, prosząc o pożyczenie

zółtych butów do konnej jazdy, powiedział, klepiąc go po ramieniu:

— Bo pan masz całkiem *aystokaatyczny* fason nogi; *on powiedziałby*, że jest pan *uodzony* co najmniej z *jednej haabianki*.

W kilka dni później, siedząc w pokoju Onufrego i paląc jego papierosy, niby przez roztargnienie, otworzył jego szafę z ubraniami.

— *Tiens!* (patrzcie) *oyginalna szaa angleza!* To pańska?

— Tak, panie margrabio.

— Bardzo elegancka, *tout à fait chic* (całkiem szykowna); *on powiedziałby* — ostatni „krzyk mody“; ale jak na pana — za poważna... Nie miał pan jej jeszcze na *siebie* w naszym domu?

— Nie miałem sposobności.

— Tak... to dla *ktos* dużo *staaszy, très, très chic* (bardzo szykowna). *Une idée...* (mam pomysł). Ja odkupię od pana *ta angleza*... Ile pan za nią życzy?

— Ależ, panie margrabio, to surdut używany.

— I spodnie do tego są?

— A jakże.

— Stanowczo, kupuję od pana.

— Ja nie sprzedaję ubrań.

— A ja nie mogę przyjąć od kogoś *daamo*. No, *poo-szę*, powiedz pan cena, *pourtant* (przecież) nie spadł panu z nieba... Kosztował pana...

— No, tak, robiony był u pierwszorzędnego krawca... Ale ja jestem bardzo dumny, że panu margrabiemu podoba się to, co ja specjalnie obmyśliłem i zamówiłem, wbrew nawet zdaniu krawca.

— *Oh, vous avez du goût...* (masz pan gust) i pan ma ten, jak się to u was mówi?... *szeoki* gest... Ja widzę już, że pan masz *ochota* powiedzieć: weź, *maagabio*, ten *haillon* (łachman), gdy ci się podoba.

— Bez kwestji; będę szczęśliwy, jeśli margrabia... nie śmiem jednak...

— Oh, między przyjaciółmi!... I ja się panu *zeewanzuję*... Patrz pan, ta spinka od mankieta to imitacja, ale pełna wdzięku... *goût français* (gust francuski)... żeby ktoś tak z *koloowych* szkielek potrafił coś tak *ładne* złożyć... Jedną mam tylko, *duugą* otrzymał przyjaciel mój, księżę *Wiktoo Boubon*, gdyśmy dzielili się pamiątkami po ks. Orleanu, *haabi Payża*. Weź ją, przyjacielu, niech to ci będzie pamiątką od przyjaciela, *który* kocha cię jak *baata*.

Rogier zachlipał wewnętrznem łkaniem.

Tegoż wieczora wystąpił na obiedzie w nowem, wykwintnem ubraniu, ku wielkiemu zdziwieniu domowników.

Pewnego popołudnia do pokoju Onufrego wpadł zdyszany lokaj...

— Pan Ogier zachorzał, ryczy, wije się, przyzywa Jezusa i pana.

Onufry pobiegł do lewego skrzydła pałacu, gdzie w pokoju zdobnym barokowemi sztukaterjami leżał na kanapie pan de Bolive-Irvieux, jęcząc głucho.

— Co panu jest, panie margrabio?

— Ah, mój *Goot-Fajkowski*, spotkało mnie *staasze* nieszczęście! *Odebaalem* list od mojej siostrzenicy, księżnej *Maai Magdaleny Teesy Józefiny de Boogaave Atlanta Amélian*, w *którym* pisze mi... Masz, czytaj...

Wcisnął mu w rękę arkusik welinowy wonny, zapisany wielkiem, eleganckiem pismem. Pan Onufry nie umiał po francusku (o czem margrabia wiedział), ale udał, że czyta wszystkie cztery strony.

— No, i co ty na to?... czy twoje czule *seece* nie *wzdyga* się *zgozq*? Tak od jednego zamachu jednej nocy w Monte-Caalo cały majątek!... Oh, ja byłem przeciwnym, aby moja *dooga Mayńcia* Magdaleńcia *Teenicia Jözefińcia* poślubiła księcia de Boogaave Atlanta Amélian. Ale ona

kochała... Co ty chcesz?... *Une tête romanesque* (głowa romansowa). A dziś pisze, jeśli nie przyszlę jej choć piętnaście tysięcy *faanków*, to *zoobi* sobie *wyskoczyć mózg*. O, nieszczęśliwa, nieszczęśliwa! ona jest zdolna *zoobić* to *uderzenie głowa*. Muszę ją *aalować* za wszystką cenę! Do tych *maanych* tysięcy *baak* mi chwilowo sześciu. Od kuzyna mego pożyczyć nie chcę, bo może ośmieliłbym go do *zapooponowania* mi *dacwizny*. Dlatego błagam cię, przyjacielu, pożycz mi tych kilka *faanków*... W *jednym tydzień* *odbię* moja *renta*, to *zwócę* ci z podziękowaniem. O, mój *doogi*, jakie życie bywa ciężkie dla ludzi z poczuciem *honou!* Co za szansa, jak mają oni zacnych i bogatych przyjaciół!

— Nie wiem nigdy w domu większych pieniędzy... teraz takie niepewne czasy... ale na wieczór będzie pan miał, panie margrabio, żadaną sumę.

— O, ja wiedziałem, gdzie się *zaadeesować*... mój *dobyy* przyjacielu!

Onufry łamał sobie głowę, jadąc konno do miasteczka, do którego żyda zwrócić się o pieniądze; gdyż odkąd wstąpił do arystokratycznego domu i chciał we wszystkiem dorównać bogatym panom, zadłużył się niemal u każdego z lichwiarzy. Wiedział, że żaden z nich nie da mu chętnie; musiałby prosić, a jego godność osobista burzyła się na możliwość takiego upokorzenia. Postanowił przeto spróbować innej drogi. Znał w mieście pannę Pelagję Romaszko, starszą już kobietę, o której mówiono, że ma znaczne pieniądze i pożycza na duży procent, ale tylko w pewne ręce. Panna Pelagja była przyjaciółką jego zmarłej matki, znała go od niemowlęcia, i nie lędził się, że miała go za równie złego dłużnika, jak ojca jego za pewnego; podejrzewał przeto, że na jego osobisty podpis odmówi pożyczki. Kupił jednak weksel, udał się do cukierni, a zasiadłszy w najciemniejszym kącie, kazał sobie podać: kawę, pióro i atrament. Ktoby obserwował go uważnie, przekonałby się, że

człowiek ten przechodzi mękę: to przebiegał niespokojnie oczyma po sali, to zatrzymywał je na złożonym liście, na którym wyróżniał się większemi literami zrobiony podpis: „Władysław Fajkowski.“ Pot występował mu na czoło, usta zagryzał nerwowo. Wyrwał kartkę z notesu i zasłaniając się ręką, powtórzył ten podpis kilkanaście razy; wreszcie położył go na wekslu, a przetarłszy kilkakrotnie oczy i czoło, schował go do kieszeni. Zadzwoił na kelnera i uregulawszy rachunek, udał się do mieszkania panny Pelagji.

Przyjęła go w swym pokoju, przedzielonym szafami na sypialnię i salon, nie bez zdziwienia.

— Co to pana Nufcia przywiodło w moje niskie progi? — spytała.

— Pragnąłem dowiedzieć się, jak zdrowie pani.

— Nie gadaj, nie gadaj, kochanieńki! Tak się o moje zdrowie raptem zatroszczył, a przez trzy lata ani zapytał!

— Czasu mam bardzo mało... w obcym domu... obowiązki, praca... Zapewne i dziś nie wybrałbym się jeszcze, ale ojciec mnie przynaglił.

— A czemu sam do mnie nie przyjechał?

— Chory,

— Chory?

— Tak jest.

— Obłożnie?

— Tak, obłożnie.

— Oddawna?

— Od dwóch tygodni.

— A ja trzy dni temu widziała go w mieście; siedł pod memi oknami...

— Musiał to być ktoś inny.

— Musiał to być ktoś inny!... Choć mówiła z nim, ale może się pomyliwszy... było ciemno... No, i czego on chce ode mnie?

— To drażliwa sprawa; ojciec nawet nie wie, że ja

z tem do pani się zwróć... chciał, żebym traktował z jakim żydkiem...

— Cóż to za sprawa? ha?

— Ojciec ma wierzyciela, który męczy go strasznie... pragnąłby go zastąpić osobą tak zacną i wyrozumiałą, jak pani.

— I dlatego posyłał cię do żyda?

Onufry się zmieszał.

— Tak, posłał mnie do żydów, ale pragnął od pani ...on nie wie, że ja się ośmieliłem panią w jego imieniu prosić... ale przysłał weksel...

Blady był, drżący, płatał się i bełkotał, ale położył weksel na stole, choć niepewnym ruchem. Panna Pelagja weksel podniosła do oczu, spojrzała na podpis, potem na Onufrego, pokiwała głową i zasiadając się głębiej w fotelu, rzekła surowo:

— Wiesz ty, kochanieńki, że to kryminałem pachnie?

Onufry pobladł jak ściana.

— Czemu ty o tę pożyczkę do żyda nie poszedł? Żyd dałby i na twój podpis.

— Musiałbym go prosić...

— A ty prosić nie lubisz?... Masz za dużo na to ambicji?

— Przecież moja godność osobista...

— Twoja godność osobista nie pozwala ci prosić, ale pozwala fałszować weksle? A żeby tak wzięli za to do kryminału? Żeby policjant prowadził przez ulicę? ha? nie byłoby wstyd?

Onufry nie mógł dłużej zapanować nad sobą i wybuchnął łkaniem.

— Płaczesz, kochanieńki?... To ty jeszcze nie najgorszy. I na co ci potrzeba pieniędzy? Na konika? na karty? na faramuszkę?

— Na przyjaciela, który potrzebuje ratować rodzinę z tragicznego położenia.

— Tak, to ładny cel; ale to może takie prawdziwe, jak ten wymiar?

— Daję pani słowo honoru... klnę się na prochy mej matki.

— W poręś wspomniał ś. p. twoją matkę, naszą Anulkę kochaną!

Panna Pelagja wzięła w rękę wymiar i dała go wolno na malutkie, malutkie kawałeczki. Potem wyszła za szafy. Onufry słyszał wysuwanie szuflady, szelest papierów... Bawiła tam długą chwilę, wreszcie wróciła, trzymając w ręku paczkę banknotów.

— Słuchaj, Nufciu, ja pożyczę tobie pieniędzy bez wymiaru, bez stempla, na twój własny podpis...

— O, pani droga!...

Chciał całować jej rękę. Usunęła się.

— Niema za co dziękować. Choćbyś ty nie mógł oddać, odda twój ojciec... stary przyjaciel. Ja tobie daję, bo się boję, żebyś jakiego głupstwa nie zmalował... O, serce boli, że ty tak mało masz poczucia godności osobistej.

— Proszę pani!...

Gestem wyniosłym odsunął gwałtownie paczkę banknotów, ale w tej chwili przesunęła się przed oczyma jego wyobraźni szydercza twarz Rogiera; siadł szybko i gorączkowo począł pisać: „Rubli 2000, wyraźnie dwa tysiące...”

.....

Za powrotem do domu dowiedział się Onufry, że kilka osób miało być na obiedzie; ledwie zdążył się przebrać i wsunawszy pieniądze w kieszeń surduta, pobiegł do jadalni. Panowie stali przy bocznym stole z wódką i przekąskami. Rogier podbiegł ku wchodzącemu.

— *Pan nam brakował*, drogi przyjacielu... Pańskie zdrowiel

Wychylił do dna kieliszek koniaku. Onufry poszedł jego śladem, a stawiając kieliszek na stole, szepnął w ucho markizowi:

— Załatwiłem.

— Pan jesteś anioł!... Uważasz, kuzynie, — dodał zaraz, zwracając się do barona Oppenheima—jaką ten *kanaj* (kanalja, łotr) Grot-Fajkowski ma elegancką *turniurę* (ruchy)? jak się obróci, *onby powiedział*, że na sprężynie. Bodaj to młodość i dobry ród!

Jak zwykle, zajął miejsce, które obrał sobie od dwóch miesięcy między Angielką a Onufrym.

— Pan ma te *pae ubli* przy sobie?

— Tak jest.

Onufry wyjął z kieszeni paczkę banknotów i złożył je pod serwetą na kolanach sąsiada.

— Co za słodki *ciężaar!*... Jak to biedne dziecko będzie szczęśliwe!... Pan jest *paawdziwy* dżentelmen. Pokwitowanie przyniosę panu jutro osobiście.

— Oh, nic pilnego!

— *Natualnie*; przecie nie z lichwiarzem mam do czynienia, tylko z człowiekiem naszej *sfej*.

Nazajutrz rano lokaj Ignacy szedł do pobliskiego miasteczka, niosąc depeszę i dziesięciorubłówkę, upoważniony przez margrabiego do zatrzymania reszty, jaką wydadzą mu w telegrafii. Depesza francuska prócz adresu zawierała dziesięć wyrazów: „Przybywam, moja kukuleczko, znalazłszy idjotę, który dostarczył mi pieniędzy. Rogier.”

Onufry nie przypuszczał, że aż tak grubo będzie naciągnięty; zły był, że to uczynił; to też wstał nazajutrz wściekły, kląć w duchu wszystko.

Żeby się więc nie narazić nikomu w pałacu, siadł na konia i pojechał na najdalszy folwark.

Wrócił dopiero wieczorem. Ignacy, który przybiegł odebrać od niego konia, rzekł z flegmą:

— Już chyba pan dziś nie pojedzie?

— Jakto?

— Bo spóźni się pan na pociąg.

— Na jaki pociąg?

— No, bo pan Ogier pojechał tym o 11-ej i rzeczy pana zabrał, kufer i walizę; powiedział, że czekać na pana będzie na tej stacji, co się panowie umówili; a jakby pan nie zdążył na pociąg wieczorny, to będzie pojutrze czekał na pana w Paryżu w tym hotelu, co pan wie.

Onufry nic się nie orjentował; wydało mu się, że Ignacy jest pijany i mówi od rzeczy lub wziął go pociemku za kogo innego.

Wszedł do swego pokoju. Uderzył go przedewszystkiem brak pięknej sławuckiej dery, okrywającej dziurawą otomanę. Tknięty przecuciem, otworzył szafę: była pusta, jeden tylko podniszczony garnitur i flanelowa bluza poranna, którą mu przed niedawnym czasem pies rozerwał, wisiały na dwóch przeciwległych kołkach.

— Jestem okradziony! — westchnął z determinacją, otwierając komodę, z której wybrano wszystką lepszą bieliznę, kamizelki i kosztowne drobiazgi. Z kolei stwierdził brak futra na wieszadle, pięknej teki, papieru listowego i cygarnicy w szufladzie stołu, na którym pod przyciskiem leżała kartka z kilku słowami i zamaszystym podpisem markiza.

— Ciekawy jestem, czy i z odbioru garderoby mnie kwituje — pomyślał sobie, usiłując zrozumieć dwa zdania francuskie.

W tej chwili pod oknem przebiegła z piosenką na ustach najmłodsza, dziesięcioletnia córeczka państwa domu.

— Przepraszam pannę Anielkę, proszę mi przetłumaczyć, co tu napisano.

Dziecko wzięło kartkę do ręki, przeczytało po francusku i podnosząc śliczne szafirowe oczy, rzekło słodkim głosem:

— Głupi daje, mądry bierze.

VII.

Z e m s t a.

Antoni Jaglarz, właściciel szynku w Krzeszowicach, był zacnym człowiekiem; sam o sobie mawiał, że jest dobry, nawet za dobry; rzeczywiście na trudnem swem stanowisku szynkarza nie skrzywdził nigdy nikogo ani na szeląg. Szynk jego, który nosił szumne miano: „Restauracji Grunwaldzkiej“, był utrzymywany czysto, piwnicę miał zasobną; pani Jaglarzowa była kobietą pracowitą, pilnowała starannie mycia kufli i kieliszków; a panna Bronia Jaglarzówna, ładna osiemnastoletnia blondyneczka, nigdy nie pokazywała się w sali jadalnej i szynku, pomimo iż ojciec jej zapewniał, że klienci jego zachowują się jak w kościele.

Rzeczywiście Jaglarz był człowiekiem energicznym i skoro tylko który z mężczyzn, przebrawszy miarkę, zaczął hałasować lub wszczął kłótnię, a bardziej jeszcze, gdy doszło do bójki, chwycił przeciwników za kołnierze i bez długich ceremonij wyrzucał za drzwi: „Mordujcie się na ulicy!“ wołał za nimi i wracał częstować umiarkowańszych gości.

Tak prowadząc szynkarskie przedsiębiorstwo, Jaglarz był pewien, że spełnia zadanie umoralniające.

A jednak musiał mieć jakiegoś ukrytego nieprzyjaciela, gdyż w ciągu kilku tygodni otrzymał sporą liczbę kart pocztowych, które sprawiły mu wielką przykrość.

Pocztą poranna przynosiła Jaglarzowi trzy gazety, dostarczał on bowiem swej klienteli obfitej strawy duchowej. Za punktualne zaś odnoszenie poczty listonosz znajdował zawsze na brzegu kontuaru kieliszeczek najlepszej starki. Działo się to akuratnie jak w zegarze, akuratniej jeszcze, bo jedyny wieżowy zegar w Krzeszowicach psuł się bardzo często. Codziennie pięć lub najdalej dziesięć minut po jedenastej listonosz rozkoszował się wódką, a Jaglarz przeglądał listy, faktury, cyrkularze, które zwykle znajdowały się także w mniejszej lub większej ilości.

W dniu, w którym zaczyna się nasze opowiadanie, karta pocztowa, zapisana wielkiem, kaligraficznem pismem czerwonym atramentem, zwróciła przedewszystkiem uwagę Jaglarza. Wziął ją w palce, przyjrzał się, zaczął czytać i na twarzy jego odbiło się zdziwienie, niepokój, gniew, oburzenie, a listonosz widocznie obserwował je z zaciekawieniem. Na karcie wypisane było, co następuje:

„Szanowny Paniel! Pragnąłbym wiedzieć, jak człowiek taki uczciwy, jak Pan, zapatruje się na to, gdy wieczorem po zamknięciu szynku jakaś kobieta przychodzi dopominać się o męża, który nadużył kieliszka, a wypróżnił kieszeń. Czy Pan uważasz, że ta kobieta ma słuszość, i czy powiadasz mężowi: „Człowiek żonaty i ojciec dzieciom powinien być w domu o tej godzinie“? To tylko proste pytanie, które ośmiela się postawić

Szczery Przyjaciół.”

— Czy jest co wstrętniejszego od anonimu? — pomyślał Jaglarz oburzony. Wzrok jego spotkał się ze spojrzeniem listonosza, który zmrużył oczy z uśmiechem i pochylił nos nad kieliszkiem.

— Uśmiechnął się... uśmiechnął złośliwie—pomyślał Jaglarz—musiał przeczytać kartę. Ale ja ci sprawię, jeśli się przekonam, że zdradzasz sekret korespondencji.

Wsunął kartę do kieszeni i odczytał ją kilkakrotnie

w ciągu dnia, nie wspominając o niej żonie i nie mogąc odgadnąć, kto ją pisał. Wreszcie zdecydował, że była to zemsta osobista.

Każdego wieczora, gdy powietrze sali, przepelnionej dymem tytoniu i wonią trunków, oraz wyziewami zgrzanych, stawało się tak gęstem, że siekierę możnaby w niem zawiesić, znalazł się zawsze ktoś, co powiedział: „Ah, jak tu dobrze! szkoda się rozchodzić.“ Wówczas Jaglarz, uśmiechnięty, uprzejmy, otwierał drzwi bocznego pokoju, który nazywał swoim biurem, towarzystwo przechodziło tam z sali, a szynk zamykano, stosownie do przepisów policyjnych. Okna gabinetu szczelnie zasłaniano; a że małe drzwiczki wychodziły na podwórze, goście czuli się tu zaciszenie, można było kpić sobie z władzy i jej zastrzeżeń; za uprzejmość zaś wynagradzano właściciela, dając mu zarobić odpowiednio na trunkach i przekąskach.

Pani Jaglarzowa szła spokojnie spać, wiedząc, że może polegać na mężu, który, dzięki swemu umiarkowaniu, zachowa przytomność umysłu, aby zamknąć dom za ostatnim gościem, obliczyć kasę, unieść do mieszkania metalową szkatułkę, ciężką od pieniędzy, i pogasić światła.

Ale tego wieczora Jaglarz nie był dobrze usposobiony; otrzymana karta anonimowa nie wychodziła mu z pamięci; to też pobał jak ściana, gdy nagle zapukano nieśmiało do okna i jednocześnie rozległ się za nim jakiś głos żałosny. Spojrzał na listonosza: czyżby to było umówione?

Listonosz, mały człowieczek, krępy, czerwony, dychawiczny, spędzał wszystkie wieczory w restauracji Grunwaldzkiej; należał do tych, co to im najciężej było nazwać który z kieliszków ostatnim. Za nim to zawsze zamykał bramę Jaglarz, zniecierpliwiony w gruncie i klnący. Mawiał też nieraz do żony: „Nie wiem, skąd listonosz bierze pieniądze, które u nas wydaje.“

Kilkakrotnie już otrzymał listonosz napomnienie swojej

władzy, gdyż po długiem siedzeniu w szynku spóźniał się do zajęcia i mylił się przy wypłacaniu przekazów. To też żona jego powtarzała mu często ze łzami:

— Stracisz miejsce, zobaczysz! Nie masz litości nad dziećmi; szyję po całych dniach, a i tak nie mogę wystarczyć na odpowiednie wyżywienie ich, bo wszystko, co zarobisz, przepijasz.

Była zreumatyzmowana, a jednak niemal codziennie około jedenastej opuszczała ciepły i jasny pokój i wlokła się kulejąc ku temu oknu, ku tej szparze w okiennicy, powtarzając wiecznie te same zaklęcia:

— Wicek, chodź! Już po jedenastej. Jak ty się prowadzisz! Policja powinna by zabraniać czegoś podobnego. Ah, ci mężczyźni! nie mają za grosz sumienia!

Po raz pierwszy dzisiaj Jaglarz wstał na ten głos, zbliżył się do okna i uchylił je.

— Niechże pani wejdzie i nie stoi na tem zimnie — zwrócił się ku ciemnej, zgarbionej postaci, która się zarysowała w smudze światła, padającego z okna.

— Cóż pan kpi sobie! — wykrzyknął listonosz. — Chce pan, żeby moja żona tu weszła? Dziękuję... to ja wolę odejść.

— Bo co prawda, o tej porze restauracja powinna być już zamknięta — odezwał się Jaglarz dość nieśmiało. — Przecież wasza stara ma rację... Wy macie rację także... — dorzucił pośpiesznie na widok oburzonej miny klienta, Ale przecież to zrozumiałe, że gdy żona tak długo czeka na męża...

Listonosz wyprostował się z miną wściekłą.

— Przypatrz mi się dobrze, panie Jaglarz, bo już mnie tu więcej nie zobaczysz.

I pochwywszy czapkę, wybiegł z klątwą na ustach. Jaglarz wzruszył ramionami, westchnął, a wsunawszy rękę do kieszeni, uczuł pod palcami niewielką karteczkę.

— Przekłeta karta!—mruknął.

Nazajutrz listonosz przyniósł pocztę, ale odpowiedział wyniosłym ruchem na podsunięty sobie kieliszek.

— Będę pił gdzieindziej — rzekł dobitnie i odszedł.

— Niema sensu mieć takie drażliwe sumienie — pomyślał sobie szynkarz.

W tydzień potem otrzymał znowu kartę, pokrytą tem samem pismem, tak samo pisaną czerwonym atramentem, tak samo opatrzoną marką, naklejoną ukośnie, i pod pierwszem wrażeniem chciał ją podrzeć. Wstrzymała go jednak jakaś obawa, niemal przesadna, więc przeczytał:

„Szanowny Paniel! Czy Pan, człowiek tak sumienny, który nie ukrzywdził nikogo na szeląg, zwrócił kiedy uwagę swoich klientów na to, jaką krzywdę czynią swoim najbliższym, gdy w sobotni wieczór wydają większą część zarobionych pieniędzy, potrzebnych na wyżywienie żony i dzieci? Jestem przekonany, że Pan to czynisz, gdyż jesteś uczciwym człowiekiem, pozostając przeto z głębokiem szacunkiem.

Szczery Przyjaciel.“

— Co zanadto, to niezdrowo!—wykrzyknął Jaglarz.— Ten łotr chce mi obrzydzić życie! Jak sobie dobrze obrać chował, wysyłając list! dziś właśnie sobota.

Każdej soboty pani Jaglarzowa przygotowywała podwójną ilość kanapek, wyborną kiełbasę z kapustą, kiszki i boczek na gorąco. Wynoszono z piwnic podwójną ilość antałów i butelek, a pieniądze piętrzyły się w szufladzie kontuaru. Tego wieczora bufet był zaprowjantowany jak zwykle, ale Jaglarz nie pogwizdywał, krając soczystą różową szynkę, był przygnębiony. Jego jedynaczka, jego ładna Bronia, zapadła na zdrowiu,—doktór mówił, że to anemja, przepisał środki, stosowano je, niemniej wszakże dziewczę zanikało widocznie. A tu jeszcze ta przekłeta karta piekła go w kieszeni! A cóż on temu winien, że głupi robotnicy

przepijają pieniądze? Przecież on ich do tego nie zmusza. On nie postępuje, jak inni szynkarze, którzy umyślnie pieprzą i paprykują przekąski, aby wzbudzać pragnienie.

A jednak, gdy kompanja była w komplecie, gdy kiełbasa z kapustą znikła do kruszyny, a z szynki pozostała kość tylko, przeznaczona do barszczu, i gdy Cichon, zwan „Przepyszny”, wykrzyknął: „Funduję węgrzyna dla wszystkich!” Jaglarz uczuł dreszcz w krzyżu. Cichon miał siedmioro dzieci, posiadających trzy pary dziurawego obuwia, które wkładały naprzemiany.

— Panie gospodarzu! węgrzyna nam starego! omszałego!—wołał fundator, pobrzękując srebrem w kieszeni.

— Węgrzyna po kiełbasie z kapustą?—zawołał gospodarz.—To nie idzie; postaw lepiej piwa.

— Do diabła! nie ty dysponujesz! ja płacę, ja każę, ty dawaj i schowaj swoje rady za pazuchę!

Jaglarz pomyślał o swojej córce, którą od czasu choroby otaczano nieledwie zbytkiem, i pomimowoli porównał ją z najstarszą córką Cichonia, także anemiczną, ułomną, która zabijała się troską, zmuszona do gospodarowania na osiem osób ze śmiesznie małej sumki, jaką udawało jej się wyżebrać u ojca.

— Kto widział fundować węgrzyna, gdy się ma siedmioro dzieci!—mruknął mimowoli.

Czy ta karta była zaczarowana? czy miała dar budzenia sumienia?

— O, widzę, że Jaglarz jest w złych interesach — wykrzyknął Cichon.—Idę o zakład, że Węgry odmówiły mu kredytu. Niedługo usłyszymy o bankructwie.

Jaglarz wołał już, by z niego nawet kpiono, aniżeli sprzedać kilka butelek drogiego wina temu rozpustnikowi, w którego domu nędza powoli wysysała krew z dzieci. A gdy tego dnia wrócił na górę i dowiedział się, że Bro-

nia miała „dobry wieczór“, podziękował Bogu, że tak na poczekaniu nagroził jego uczciwy postępek.

Pomimo to przysiągł sobie, że jeśli odbierze jeszcze jedną kartę, podrze ją nie czytając. I rzeczywiście podarł, ale tylko na trzy kawałki, co mu nie przeszkodziło złożyć znowu i przeczytać, co następuje:

„Szanowny Panie! Jesteś Pan człowiekiem zacnym i dobrego serca. Czy gdy jeden z Pańskich klientów opuszcza szynk w stanie zupełnego upicia, odprowadzasz go do domu, aby nie uległ nieszczęściu, nie wpadł do kanału albo pod pociąg? Nie sama ciekawość dyktuje to pytanie Szczeremu Przyjacielowi“.

Jaglarzowi życie zaczynało obmierać. Zbytnią odpowiedzialność przynębiała go nadmiernie. Czyż nie dość temu prześladowcy, że stracił jednego z najlepszych klientów, że odmówił węgryzna Cichoniowi i naraził się na śmieszność? Czyż ma sobie wziąć za obowiązek odprowadzanie pijanych gości do domu? Czy wszystkich? W takim razie nieraz nocby mu minęła na ciąganiu pijaków. Pocóż doprowadzają się do takiego stanu, przecież to nie dzieci?... Ah, gdyby mógł złapać autora tych kart, doprowadzających go do desperacji! A może to był jeden z jego gości? może spisek kilku? Może bawią się doskonale jego kosztem, gdy nie umie zapanować nad swem zdenerwowaniem?

Jaglarz stracił dawny spokój i pewność siebie; ciągle nadśluchiwał, dopatrywał się przytyków w odezvaniach i złośliwości w spojrzeniach. A tu jak na złość tego dnia wyczytał o dwóch ciężkich wypadkach, które zdarzyły się ludziom wracającym w stanie nietrzeźwym. Rzecz naturalna, że rozmowa toczyła się na ten temat i że jeden z gości, który uchodził za uczonego, dowodził, że w państwach skandynawskich prawo nakazuje restauratorom odprowadzać klientów, którzy pozostawili w knajpie równowagę wraz z pieniędzmi.

— Słuchaj, Jaglarz, — wołał Cichon — musisz sobie zafundować ekwipaż. Ja pierwszy kwalifikuję się na kurs jazdy, bo nie mogę się utrzymać na kulasach.

I przechadzał się po sali, pękając ze śmiechu, zataczając kręgi chwiejnym krokiem. Wszyscy się śmiali z wyjątkiem Klimka, który patrzył przed siebie wzrokiem tępyim i ogłupiałym. Przed kilku dniami został wydalony z posady woźnego za opilstwo, otrzymał miesięczną pensję zgóry, czując przeto pieniądze w kieszeni, puszczał je w szynku, bez względu na niedaleki dzień, w którym będzie ona pusta. Chciał wyjść i zatoczył się dziwnym zygzakiem, a to wywołało wybuch śmiechu wśród podpitego otoczenia.

— Jaglarz, radzę prędko zaprzęgać! — wołał Cichon.

— Albo przygotować automobil, żeby odstawić pana Seweryna Klimka.

— Wystarczy wózek dziecinny!... Taczki!... Najlepiej karawan!... — krzyczano ze wszystkich stron.

Jaglarz się zachmurzył; przyszło mu na myśl, że Klimek miał jedyną drogę do siebie groblą nad głębokim stawem.

— Ty idziesz w tę samą stronę, co Klimek... — zaczął nieśmiało, zwracając się do Cichonia. Ale wybuch śmiechu i lichych żartów nie dał mu dokończyć; a że goście wyczuwali zły humor gospodarza, rozeszli się wcześniej tego wieczora, pozostawiając go sam na sam z Klimkiem, który, napół śpiący, niezdarnie zbierał się do wyjścia.

— Co płacę? — wybąkał wreszcie wśród czkawki, wydobywając sztuka po sztuce pieniądze z kamizelki.

— Schowaj pieniądze i zmykaj do domu!

A widząc, jak pijak z trudnością szuka drzwi, pomyślał:

— Szkoda, że mu nie odmówiłem tych ostatnich dwóch kieliszków. Prawdopodobnie wywróci się opodal domu i prześpi całą noc. Dobrze przynamniej, że teraz ciepło.

Długą chwilę stał we drzwiach, śledząc oddalającą się chwiejnym krokiem postać. Nagle wzięła go nieprzemyślana chęć pośpieszenia za pijanym choć kilkaset kroków. Spuścił żaluzje, zamknął drzwi na klucz i podążył w stronę grobli. Wiecznie zamknięty w szynkowni dusznej i cuchnącej, odetchnął z prawdziwą przyjemnością wonnem powietrzem majowej nocy. Nie potrzebował bardzo pośpieszać, aby się znaleźć obok Klimka, który szedł to trzy kroki na prawo, to dwa na lewo. Ujął go za ramię.

— Dalej! jazda!... Ruszaj prędzej kulasami!

Gdy się zbliżyli do stawu, dreszcz przeszedł Jaglarza: ścieżka była obślizgła, brzeg pochyły. Klimek zatoczył się w tę stronę... „Podziwiać trzeba, że dotychczas nie wpadł tu jeszcze”—pomyślał Jaglarz. Szarpnął mocno pijanego i włókł go nieledwie w stronę małego domku, w którym oświetlone było jedno okno, zastawione doniczkami. Do drzwi prowadziły trzy stopnie. Klimek, potrąciwszy się o pierwszy, nie podtrzymywany już przez szynkarza, zatoczył się i padł w trawę.

— Tu możesz leżeć!—pomyślał Jaglarz, ale bądź co bądź trzeba zawiadomić żonę, że już jej bydłę u proga.

Zbliżył się do okna, wsunął głowę między doniczki. Przy łóżku, plecami odwrócona od okna, klęczała kobieta, twarz i splecione ręce wzniosła ku obrazowi Najświętszej Panny, a łkania wstrząsały jej postacią. Jaglarz zapukał w okno, zamodlona porwała się z kolan i odwróciła. Była ta młoda istota, blada i wysmukła; oczy jej szeroko otwarte starały się rozpoznać ciemną sylwetkę.

— Seweryn! jesteś nareszcie!—zawołała ochrypłym od płaczu głosem.—Pewnie wracasz bez grosza! Ah, co ja cierpię przy tobie! Wszystko tonie w kieszeni tego przekłętogo szynkarza. Niech go Bóg skarże, jego i żonę i córkę za to, ile wycierpią rodziny pijaków, na których on robi majątek!

— Zwolna! zwolna! pani Klimkowa!—zawołał Jaglarz—

to ja właśnie nie pożałowałem trudu i odprowadzam męża pani do domu.

— Ah, to pan!—westchnęła kobieta przez ściśnięte zęby.—Tak, pan się dobrze trzymasz na nogach, a mój chłop leży jak pies pod progiem. Pan umiesz zachować trzeźwość, a nie pomyślisz nigdy, ile nędzy, chorób i zbrodni kielkuje pod twojem dachem, dla pieniędzy, które zbierasz. O, niech cię Pan Bóg skarże na twojem dziecku, tak jak moje jedyne zmarło w konwulsjach! Kiedym pytała doktora, co za przyczyna choroby, powiedział: „Dziecko pijaka“.

Jaglarz trząsł się ze wzruszenia; nie takiego podziękowania spodziewał się za trud, który sobie zadał.

— Pomiarkuj się pani!—zawołał.—Tu klątwy nie mają sensu. A cóż to ja zmuszam kogo, żeby pił u mnie? Dziś nawet nie przyjąłem zapłaty za to, co wysuszył u mnie mąż pani. Proszę zabrać pieniądze z kieszeni, bo inaczej przepije je jutro. A to mi się podoba, żeby za wszystko, co robię dobrego, spotykały mnie takie obelgi! Ja jestem uczciwy człowiek; należę do rady miejskiej.

Ale młoda kobieta nie słuchała wywodów szynkarza; wyszła przed dom i stękając i popłakując wciągała pijanego mężczyznę po schodach.

Jaglarz wracał zdenerwowany, zawiedziony, rozczarowany do domu, ciesząc się na myśl o ciszy swej sypialni, o wygodnem łóżku, które go tam czekało. Ale nie miał szczęścia tego wieczora: ledwo drzwi otworzył, spadło nań wymyślanie żony.

— Gdzie ty się włóczysz u licha? Niesłychana rzecz, żebyś ty łąził po północy! Tu Bronia miała atak duszności, nie wiedziałam, co robić, czy posłać po doktora!... Bóg wie jakie myśli przychodzą mi do głowy wobec tych fantazyj włóczenia się po nocy!

Jaglarz nic nie odpowiedział, zajrzał do Broni, która spała już spokojnie, położył się, a choć czuł wielkie zmę-

czenie, usnąć nie mógł, poprostu przerażony zmianą, jaką zaszła w jego dotychczas spokojnem i wygodnem życiu. Wszystko, czem się tak cieszył w głębi duszy: oszczędności, zasobna piwnica, pięknie ugarniowany bufet, nawet kosztowne umeblowanie własnego mieszkania, nikłowa zastawa kuchenna i srebro stołowe, wszystko to, kupione za pieniądze gorzkiemi oblewane łzami, nappełniało go teraz niesmakiem i wstrętem. Całe dnie przechodziły mu na cichych targach i układach z sumieniem.

A gdy w najbliższy piątek kartę, pisaną tym samym charakterem, tym samym atramentem, z tak samo naklejoną marką, położył przed nim sarkastycznie uśmiechający się listonosz, Jaglarz omal nie rozplakał się ze zdenerwowania.

Wziął się jednak pokornie do czytania, jak człowiek pozbawiony samowiedzy.

„Drogi Paniel Jesteś Pan rzeczywiście uczciwy i sumienny; to też ośmielałam się raz jeszcze, raz ostatni zwrócić się do Pana z zapytaniem: Cobyś Pan zrobił, gdybyś się dowiedział, że żona jednego z Twoich klientów, który przez dłuższy szereg lat pozostawiał wszystko, co zarabiał, w restauracji Grunwaldzkiej, została w nędzy z liczną rodziną? Cobyś Pan wtedy zrobił, zacny i sumienny Panie Restauratorze?

Pański życzliwy zczery

Przyjacieli.*

Jaglarz spuścił głowę; był już przygotowany na wszystko. I nie był zdziwiony, gdy właśnie tegoż dnia jego własna żona opowiedziała mu ze wzruszeniem, że jeden z najstarszych jego klientów, introligator Mokrzycki wpadł w pomieszczenie zmysłów i został zabrany do szpitala warjatów.

— Strasznie był nieumiarkowany—dorzuciła flegmatycznie.—Ja sama nalewalam mu nieraz po 12, 15, a nawet 16 kieliszków najmocniejszej wódki przez jeden wieczór. A w ciągu dnia także wpadał jeszcze na kieliszek lub dwa.

Zawsze był zdumiony, że tak dużo przychodzi mu płacić, gdy podawała rachunek. Niełatwo się znajdzie drugiego takiego klienta.

— Zostawił pięcioro dzieci—cicho odezwał się Jaglarz.

— Tak,—lekko dodała szynkarka—ale to najmłodsze z pewnością nie będzie żyło; przyszło na świat z gruzlicą kości; łaska Boska będzie, gdy zejdzie biedactwo ze świata.

— Co teraz robi ta biedna kobieta? — westchnął Jaglarz.

— A tak... ciężko jej będzie. Nie zna żadnego rzemiosła... słabowita... wyczerpana... Chyba będzie chodzić do prania.

— Trzebaby jej jakoś pomóc... przecież temu nie-szczęściu... jesteśmy nieco winni.

— Zwarjowałeś!... Z jakiej racji my mamy odpowiadać?

— Do pewnego stopnia... Tyle pieniędzy pozostawił u nas...

Pani Jaglarzowa była oburzona tem zapatrywaniem męża, ale ponieważ miała dobre serce, postanowiła posłać Mokrzyckiej trochę prowiantów.

— Zresztą niech się gmina nią zajmie—dodała z zadowolaniem, że znalazła barki do złożenia na nie ciężaru.

A jednak ten argument, nawet koszyk ziemniaków, woreczek mąki i kawałek słoniny nie uspiły głosu sumienia szynkarza. Z głębi zapomnienia, jak blade widma, poczęły wynurzać się postacie innych stałych klientów, zmarłych w szpitalu, w przytułkach dla nędzarzy, w domach obłąkanych i w więzieniach... Potem snuły się przed oczyma jego duszy żałobne korowody wdów, sierot, idjotów, chorowitych, a wszystko w całunie nędzy. A że w zdrowiu Broni nastąpiło pogorszenie, przy każdym omdleniu, przy każdym ataku bicia serca Jaglarz powtarzał sobie: „kara Boża... przekleństwo na nas spadło“.

Lękając się co wprawda przyjęcia podobnego, jak u Klimkowej, przemógł się jednak i poszedł odwiedzić Mokrzycką. Ale tu przeciwnie, niż u Klimkowej, spotkał się z gorącymi podziękowaniami za zapomogę i z błogosławieństwami, które napełniły go niesmakiem.

— Kawalka chleba nie miałam w domu! Nie było co dzieciom dać na ząb położyć, a tu dostajemy cały koszyk ziemniaków, mąki, nawet okrasę. Tak mi się dzieciśka pożywiły!...

Jaglarz w tej chwili położył na stole stumarkówkę.

— To na mleko i kawę.

Mokrzycka przypadła do jego ręki.

— Pan jesteś najlepszym człowiekiem pod słońcem! Ah, gdyby więcej takich! Gdyby nasz gospodarz był podobny do pana!... Ale gdzie tam!... Jutro wyrzuci nas z domu... pozostaniemy bez dachu...

Zapłakała.

— Ja mam domek w Czernej...

— Letnisko, znam, śliczny domek, obrośnięty winem.

— Pusty obecnie, moglibyście zająć pokój z kuchnią od tyłu. W ogrodzie są jarzyny, nikt tego nie pilnuje, moglibyście korzystać z tego, zamiast żeby przechodnie rozkradli. Za parę tygodni zaczną zjeżdżać letnicy, łatwo zarobić ładny grosz, posługując w bliższych mieszkaniach.

— Ale to mieszkanie będzie za drogie na nas — westchnęła Mokrzycka.

— Tem niech się pani nie kłopotuje!

Wracając do domu, Jaglarz usiłował stanąć wobec jakiegoś choć przybliżonego rachunku. Obliczał kieliszki, mnożył je przez dnie, tygodnie i doszedł do rezultatów przerażających.

— Mógłby mieć dzisiaj do trzech tysięcy koron, nie licząc tego, co wydał na przekąski, i nie byłby w domu obłąkanych, a żona jego nie całowałaby za stumarkówkę

ręki człowieka, który zgarnął do kieszeni setki, co przy niej pozostaćby powinny.

Upłynęło kilka tygodni. Jaglarz zmienił się do niepoznania; nie zapraszał do picia, nie przygotowywał przekąsek, ciągle rozprawiał o konieczności oszczędzania i kapitalizowania, a nawet o szkodliwości alkoholu. Kpiono z niego, a gdy coraz bardziej zapalał się na ten temat, klientela zaczęła się zmniejszać—poszukano gościnniejszego gospodarza. Skutkiem tego myśl zlikwidowania interesu coraz częściej powracała do głowy Jaglarza. Zaczął oswajać z nią żonę, przedstawiając jej, jak zdrowiej byłoby im, a przede wszystkim Broni, gdyby zamieszkali w Czernej,—o ile miłszem zajęciem byłoby uprawianie na wielką skalę jarzyn i owoców, oraz hodowanie drobiu, niż pozostawanie w dusznym szynku.

— A czyś upatrzył dobrego nabywcę? — zapytała praktyczna pani Jaglarzowa.

— Nie upatrzyłem i sprzedać nie chcę. Rozumiesz mnie? Chcę zlikwidować, a koncesję zwrócić. Chcę, aby dzięki zbudzeniu się mego sumienia było w kraju mniej o jeden szynk. To tak, jakby było o jedną kaplicę więcej.

Jaglarz nigdy nie odkrył autora czterech kart pocztowych, które tak do gruntu zmieniły jego poglądy; ale nieraz pomodlił się za niego, gdy otoczony żoną, zdrową, szczęśliwą córką i wnukami, pomyślny wiódł żywot w białym domku w Czernej, starannie utrzymywanym przez wdzięczną Mokrzycką.

VIII.

Dwa kwiaty.

Pan Leon Anczewski zbudził się z kilkugodzinnego snu z uczuciem znużenia, niesmaku w ustach i zdenerwowania; przeciągnął się, ziewnął głośno i nie otwierając oczu, nacisnął guzik dzwonka nad łóżkiem.

Upłynęło kilka minut; pan Leon zaklął raz i drugi, wreszcie, położywszy znów palec na dzwonku, nie zdejmował go, póki we drzwiach nie stanęła służąca bosa i rozczochrana.

— Cóż to, ogłuchłaś, że nie przychodzisz tak długo? — zapytał niecierpliwie.

— Podłogę myję w kuchni — odparła tonem jeszcze bardziej podniesionym — przecież musiałam wytrzeć ręce i nogi, żeby nie zadeptać posadzki.

— A co robi pani? — łagodniej już zapytał Leon.

— Prasuje panu koszulę do fraka.

— Poco?

— Bo wszystkie były brudne, więc dziś po obiedzie przeprałam jedną, wysuszyłam w ogrodzie, a pani teraz prasuje.

— Poco taki gwałt?

— No, żeby pan miał co wziąć na dzisiejszy bal.

— Psiakrew!... Zapomniałem o tem... Która godzina?

— Siódma.

— Wieczór?

— Przecie, że nie rano.

— Powściekali się z balami latem! Gdy raz kogo w tańcu szlag trafi, dadzą sobie spokój... No, Bąlbisiał gdzie uciekasz?

— Do roboty.

— Podnieś wpierw rolety i przynieś mi herbaty z cytryną!

— Ognia nie mam w domu.

— To zrób na maszynce!

— Prymus zepsuty.

— A cóż mnie to obchodzi, do licha ciężkiego! Mam zgagę w gardle... muszę się napić herbaty. Jeżeli nie można mieć w domu, przynieś z cukierni!

Służąca odeszła, mruczając pod nosem. Leon uniósł się, wsparł na łokciu i popatrzał w okno. Mrok zapadał blady, otulając w perłowy tuman ogród, złółka złotem jesieni przetrząśnięty. Do niedomagań fizycznych przylączyło się uczucie dziwnego smutku i niepokoju. Wstał, ubierał się zwolna, klęczając każdą część ubrania, jak gdyby darować jej nie mógł, że sama na niego nie wchodzi.

Odebrawszy szklankę herbaty od służącej, postawił ją na oknie i zbliżał się raz po raz, by łyk lub dwa pociągnąć.

Ciemno już było zupełnie, gdy znowu drzwi się otworzyły i do pokoju weszła pani Anczewska, niosąc z namaszczeniem śnieżnej białości koszulę z gorsem z piki w zakładki.

— *Psynosę* synkowi *kosulkę* — mówiła ze zmianą niektórych dźwięków, jak przemawia większość do małych dzieci, — niech ci pod nią serduszko ochotnie w tańcu bije.

— Tak mi pilno do tego tańca, jak pinczerkowi na mróz.

— Przecież bale u państwa Polkowskich bywają takie świetne... Wiem, że kupiła indyka i łososa na kolację;

maszynki do lodów pożyczyci od naczelnikowej, podobno mają robić bomby z zamrożonemi owocami... tak mówiła Balbisia.

— No, to niech mamą zawczasu zaparzy rumianku!

— Oh, ty figlarzu!

— Mamo?...

— Co, synu najmilszy?

— Nie wie mama, czy Julek Iżycki w domu?

— Pewnie; niedawno widziałam, jak siedział w oknie nad książką,

— Obkuwał się biedaczysko!

— Tak, on bardzo pracuje.

— Poszlę go zamiast siebie do Połkowskich.

— Zlitujże się! Ja się tyle nad koszulą namęczyłam, każdą fałdkę osobno zaprasowałam!

— Przyda się Julkowi; ile wiem, ma same tylko kolorowe... bo się mniej brudzą.

— Pewnie.

— Mama jest też tego zdania?

— No, to każdy wie.

— To źle!

— Jakto?

— No, to źle, że ludzie tak głupio wiedzą... Bielizna kolorowa nie mniej się brudzi, ale brud na niej jest mniej widoczny.

— Et, ty zawsze na swój sposób wyfilozofujesz!

— Tania filozofja! to tak, jakbym ja...

— O której pójdziesz na ten bal?—zagadnęła umyślnie matka, chcąc położyć kres sarkastycznym uwagom syna.

— Mówię mamie, że poszlę Julka na swoje miejsce.

— Et, nie zwracałbyś głowy! Julek nawet nie potrafiłby się znaleźć w takim wielkim domu.

— Przecież tam będą różni; wszak na balach zależy

gospodarzom tylko na każdej parze nóg, naturalnie w lakierach; a że moje pewno będą pasowały na niego...

— Ma większą od ciebie nogę; rozdepcze ci.

Leon uśmiechnął się pod wąsem: bawiło go, że matka daje się „naciągać”; mówił więc dalej:

— Frak także nada się na niego... co najwyżej rękawy będą za długie, ale to krawiec skróci na poczekaniu.

— Obetnie?

— Przecie, że nie odpiłuje.

— No, ale jak ty nosić będziesz potem frak z zανάdto krótkimi rękawami?

— Już go nigdy nie włożę... Mam już fraka i wszystkiego, co jest z nim związane, powyżej czuba.

Pani Anczewska załamała ręce.

— Jakto? Przestaniesz bywać? przestaniesz się bawić?

— Bywać przestanę... bawić się już dawno przestałem.

— Ah, Leonku, Leonku, jak mnie boli to, co mówisz! Przecież młodzież powinna bawić się, używać.

— Aż do znudzenia? aż do obrzydliwości?

— Et, Leon, ty tylko tak gadasz, żeby mnie drażnić, a jak się znajdziesz na balu, to bawisz się z pewnością.

— Jak tresowany lew w cyrku.

— Doprawdy to nie ma sensu... Oddasz frak, oddasz lakierki, przytną ci rękawy, rozdepczą buty, a za parę tygodni minie cię ten obłęd, zechcesz pójść na jaką zabawę i trzeba będzie wszystko sprzątać na nowo. Zastanów się synku, przecież to grubo kosztuje.

— Trudno, niech się mama pogodzi z tą myślą; moja karjera wodzireja skończona.

— Ah, Leosiu, jak mnie boli to, co mówisz! Mnie inne matki wprost zazdrościły, że cię tak wychowała, że tańczysz jak baletnik, rozmowę towarzyską prowadzisz, jak jaki pan z powieści; a teraz wszystkie te talenta zagrzebiesz?

Leon podszedł do matki, ujął jej drobne, chude ręce

w swoje dłonie i patrząc jej przenikliwie w oczy, rzekł grobowym tonem:

— Zostanę karmelitą bosym.

Pani Anczewska wyszarpnęła ręce i przysłoniła niemi twarz, która ściągała się spazmatycznie.

— Słuchać nawet nie mogę takich rzeczy!

Leona rozbroiliły łzy matki.

— No, nie *bekać*, nie *bekać*, matuś! nie zostanę karmelitą.

— Ani żadnym księdzem?

— Nawet nie jezuitą, choć oni noszą lakiery.

— I nie poszlesz Julka zamiast siebie do Polkowskich?

— Co to, to tak.

— Zlituj się, szkoda fraka!

Twarz jej znowu skrzywiła się brzydkim skurczem i nagle znowu się rozpromieniła.

— Łzycka nie puści Julka na ball — zawołała, uderzając w dłonie.

Leon skrzywił się z niesmakiem.

— O, tak, Łzycka nie puści Julka, bo ona jest przeciwnieństwem mamy; o ile mama pcha człowieka całą siłą pary w życie światowe, o tyle tamta odciąga od niego, również ze wszystkich sił.

— Czy wolałbyś być synem Łzyckiej, niż moim?

Leon powstał chwilę zamyślony; twarz jego przybrała wyraz smutnej zadumy, potem ruszył ramionami i rzucił przez zęby:

— Z pewnością, że nie.

— A widzisz!

— A niech mama zapyta Julka, czy chciałby być na mojem miejscu.

— Na pewno tak. Ile to razy on mówił do mnie: „Szczęśliwy Leon“!

— Być może, bo nie wie, co się dzieje we mnie, jaka harpja nudy, przesyty ssie mnie dzień i noc.

Pani Anczewska była płakliwa, więc znowu ją pochlipywać:

— Innyby ręce i nogi całował matce za to, że nie tylko dbała o jego zdrowie, o naukę, ale też o przyjemności, o to, żeby miał szumną, huczną młodość. Co rok płaciłam ci komplety tańca, choć tańczyłeś jak bożek grecki, byleś miał zabawę. A co mnie kosztował każdy karnawał! Obie moje siostry odłożyły po kilkadziesiąt tysięcy, a ja co!... straciłam całą gotówkę i dom zadłużyłam.

— Czy i za to mam być mamie wdzięczny?

— Pewnie, bo przecie nie dla siebie się zadłużyłam, ale dla ciebie, żebyś użył młodości w całej pełni.

— Zatańczył się na śmierć, jak Romana...

Pani Anczewska wybuchnęła płaczem.

— Niegodziwie jest mówić coś podobnego!... Roma zmarła, bo miała słabe płuca, byle coby jej zaszkodziło.

Leon odczuł, że w tej formie wywołane wspomnienie zmarłej córki było brutalne; przykląkł przeto przy matce, ucałował jej ręce, potem wstrząsnął się zdenerwowany i rzekł gorączkowo:

— Przepraszam cię, mateczko, głupstwu powiedział, bo jestem dzisiaj niepoczytalny. Całą noc przemęczyłem się na tych nudnych imieninach, całe przedpołudnie zmagalem się z sennością w biurze, po obiedzie niewielem się odespał, a czeka mnie nowa pańszczyzna... No, no, niech mama nie płacze... ja bardzo mamę przepraszam.

— Oj, ty, ty... brzydaku! nieraz powiesz coś tak bolesnego, a w gruncie jesteś mi wdzięczny za to, że młodość twoja...

Leon, wiedząc, że usłyszy zwykłą piosenkę, zerwał się niecierpliwie.

— Pójdę orzeźwić się w ogrodzie — rzekł, kierując się ku drzwiom.

— Tak, synusiu, idź, idź, żebyś był wypoczęty i wesół na dzisiejszym balu!

Zmrok perłowo-szary omotał srebrną przędzą drzewa ogródka, ładnie utrzymanego, ale w brzydkich ramach czterech oficyn przyległych kamienic. Leon ręce założył w tył i wciągając w piersi upajającą woń kwitnących tytoni, począł chodzić wzdłuż wąskiej alejki, nad którą zwieszały się jabłonie, obsypane rumianym owocem, z drugiej zaś strony padał cień od niskiej, parterowej oficynki, o wysokim, ceglana dachówką krytym dachu, jednego z tych zabytków XVIII w., jakie się tu i ówdzie na krańcach miast i miasteczek przechowują.

Żarty jakimś dotkliwym, gnębiącym smutkiem, czując, jak apatja pęta mu nogi, zasiadł na ławeczce wśród krzewów bzu, starając się wyrozumieć przyczynę swego stanu. Nagle do uszu jego doszedł głos kobiecy, miękki i melodyjny, deklamujący z odcieniem egzaltacji:

„Zbladłeś, kwiatku mój młody,

Jakby żyć ci nie miło,

Na twe blade jagody

Słońce nie zaświeciło.

— O, i wspomnieć boleśnie,

Jak mi słońce świeciło:

Bo świeciło za wcześniej

I za wcześniej spaliło“... *).

— To coś dla mnie — szepnął Leon i wyteńczył wzrok przed siebie.

W otwartem oknie oficynki jaśniała biała bluzka, ponad nią twarz w blasku zorzy, twarz dziewczęca o re-

*) K. Ujejski.

gularnych rysach i melancholijnym wyrazie. Wsparta była na rękę, którą kołysała głowę w rytm deklamacji.

Nie wstając z ławki, Leon rzucił półgłosem:

— Jeszcze raz, panno Janino, jeszcze raz!

Drgnęła, zwróciła głowę w stronę ławki i blednąc zlekka, szepnęła:

— Ah, to pan!

— Tak, to ja.

Podniósł się i zbliżył do okna; było tak niskie, że swobodnie oparł się o nie, ramieniem dotykając prawie jej ramienia. Usunęła się zawstydzona.

— Niech pani zadeklamuje jeszcze raz o tym kwiatku, bo to zupełnie dla mnie.

— Pan słyszał tę zwrotkę, która kończy się słowami: „Bo świeciło za wcześnie i za wcześnie spaliło“?

— Tak.

— Druga strofka jest dla mnie.

— Która?

— „Zbladłeś, kwiatku mój młody,

Jakby żyć ci nie miło;

Twe różowe jagody

Pewnie słońce spaliło?

— O nie, bladą mam wiosnę,

Choć gdzieś lato gorące,

Bo w zacieniu tu rosne,

Dotąd nie wiem, co słońce.“

— Tak, to dla pani... Dlatego pani tak to ładnie deklamuje. Ja codzień przychodzić będę tu pod okno, a pani będzie mi deklamować.

Uśmiechnęła się smutno.

— Łatwo to powiedzieć!

— A trudno wykonać?

— Pewnie.

— Przecież deklamowanie w takim cichym zakątku dla księżycy, kwiatków i... dla mnie to łatwe do ziszczenia... nic nie kosztuje.

— A czas?

— Ah, panno Janino! pani jest taka wyrachowana, że żałuje sobie nawet czasu na chwilę marzenia, poezji?

— Ja, nie.

— Ale matka pani?

— Tak, mama jest bardzo praktyczna; ma amerykańską zasadę, że czas to pieniądz.

— W imię tej zasady dzieci jej muszą pozbawiać się nawet rozrywki, wycieczki, sportu...

— Nawet gawędki z kimś... sympatycznym, nawet monologowania przez usta poety... W tej chwili mamy niema w domu.

— I co matka pani osiągnęła tą swoją bezwzględną, krańcową oszczędnością?

— Osiągnęła to, że nas troje, dzieci urzędnika kolejowego, będzie miało po 20,000 reńskich.

— Okupionych wszystkim, co stanowi piękno i poezję życia...

— Wszystkiem, co stanowi jego wartość...

— Pani jest młoda, chciałaby bawić się, tańczyć, flirtować...

— O, nie!

— Tylko?

Zamyśliła się chwilę.

— Chciałabym kilka razy na dzień mieć takie chwile, jak teraz—wyszeptała cicho.

— I co jeszcze?

— Et, nie!

— Proszę powiedzieć... powiedzieć przyjacielowi, który tak rozumie panią... Czegoby pani jeszcze chciała?

— Chciałabym, żeby kochać nie było zbytkiem.

— Więc kochanie to także marnowanie czasu?

— Naturalnie!

Zapanowało długie milczenie.

— Jak pani przedstawia sobie swą przyszłość?

Twarz jej ściągnęła się, na czoło wystąpiła fałda zadumy.

— Namysła się pani?... Więc proszę mi nie odpowiadać już na to pytanie; pani albo nie chce być szczerą, albo nie sformowała sobie dotychczas ideału przyszłości, a zatem marzenia pani to mgła... a mgła to rzecz nieciekawa.

— Nie, panie Leonie, to nie jest trafne; raczej pierwsze było prawdziwem postawieniem kwestji: przez chwilę nie chciałam być szczerą; ale zresztą... Zna pan radcę Jełkiewicza?

— Znam.

— To mój przyszły.

Leon odskoczył od okna.

— Pani żartuje?

— Niestety, nie.... Mówi się o nim: stateczny człowiek, ma stanowisko, majątek.

— A więc zwyczajna transakcja, na którą godzi się pani!

— Cóż mam robić? Głową muru nie przebiję. A przechodzić ciągle sceny, wymówił... Potem... niech mnie pan zrozumie... mnie tak duszno, ja pragnę wyrwać się z domu, pragnę swobody...

— I szuka jej pani w małżeństwie z radcą Jełkiewiczem?

— Przecież radca dużo godzin będzie poza domem. U siebie nie będę słyszała ciągłego: „zajmij się! nie trać czasu! nie przypatruj się paznokciom, nie porosły trawą! znowu powieści! w ręku!” W czasie nieobecności męża będę czytywała powieści, będę chodziła do publicznych

ogrodów przyglądać się klombom, będę łabędziom bułeczkę rzucać, będę sobie sprawiać ładne suknie, choćby niepraktyczne; będę należeć do wszystkich stowarzyszeń, tak jak inne panie w naszym mieście, będę bywać na posiedzeniach, może nawet odezwę się czasem, poproszę o głos.

Ożywiała się w miarę słów, przy ostatnich uśmiechnęła się nawet. A on zbliżył twarz tuż do jej twarzy i zapytał:

— To wszystko wtedy, gdy męża nie będzie w domu?

— Tak.

— A jeśli podczas nieobecności męża przyjdzie młody, przystojny, ot jaki zdobywca serc i powie: kocham cię?

— To mu drzwi pokażę — zawołała z przekonaniem.

— Każdemu?

— Tak.

— Choćby go pani kochała?

— Tak; bo ten, którego kocham, nie postąpiłby w ten sposób.

— Ten, którego pani kocha?

Janina wyprostowała się i cofnęła od okna.

— Późno już... mama zaraz przyjdzie.

— Jeszcze słówko, panno Jaśko... No, panno Janiu, proszę się zbliżyć... jeszcze słówko!

Z widocznym wahaniem wróciła, lecz już nie pochyliła się ku niemu.

— A gdyby ten, którego pani kocha, chciał z panią czytywać poezję i podziwiać kwiaty, i łabędziom rzucać bułeczkę, i bywać na zebraniach społecznych? Wolałaby pani... tak, we dwoje?...

— O!...

Twarcz jej przybrała wyraz słodkiego rozmarzenia.

— A lubiłaby pani z człowiekiem kochanym, tak jak ze mną teraz, rozmawiać w późną noc, gdy mama przekonana jest, że pani śpi, zbierając siły na jutrzejszą pracę?

gdy wszyscy w otaczających nas kamienicach pogrążeni są we śnie? Lubiłaby pani tak z nim we dwoje... gdy tytonie pachną upajająco, gdy cisza pozwala nieledwie słyszeć bicie serca kochającego... Lubiłaby pani?

— Tak.

— Nie żał byłoby pani stracić kilka godzin ożywczego snu przed pożyteczną pracą?

— Nie... Mama idzie!...

— Dziś około północy będę tu... proszę otworzyć okno...

.

Ogródek osypany był jesiennymi liśćmi, wino na murze przybrało wszystkie tony purpury i fioletu.

Była godzina siódma rano.

Pani Iżycka ubrała się w płaszcz, sprawiony przed kilkunastu laty, w kapelusz, skombinowany z męskiego fasonu i balowej szarfy, i wydawała ostatnie rozporządzenia.

— Niech tu Frania nie próżnuje! nie wrócę jak na południe, masz czas wyfroterować wszystkie pokoje.

— Gdzie ty, duszyczko, będziesz do południa? — zapytał pan Iżycki.

— Jadę do Belna po śliwki.

— Aż do Belna?

— Tak, Iwińska płaciła trzy reńskie za taką wielką solówkę.

— I opłaci to się brać furmankę?

— Mam okazję.

— A, to co innego.

— Zrobię dużo powideł, bo tej zimy będzie strasznie drogie masło, to też u nas od grudnia nie pokaże się na stole. Zobaczysz, że niejedna z naszych znajomych poprosi mnie o odstąpienie kilkunastu funtów.

— Za dwa razy wyższą cenę?

— Przecież muszę zwrócić sobie za cukier, ogień i fatygę.

— No... i czas.

— No, i czas przedewszystkiem... Janka niech policzy bieliznę do prania i poceruje prześcieradła, bo Julek znowu podarł swoje. Nie wiem, jakie ten chłopiec ma sposoby na darcie!

— Ba, prześcieradła jeszcze z twojej wyprawy.

— My także śpimy na moich wyprawnych, a przecież tak nie łachamy... Moja Janko, coś ty taka zamyślona? Ręczę, że nie wiesz, co ci kazałam zrobić... A co? jakby spadła z obłoków! Mówiłam ci, żebyś wybrała podarte prześcieradła i wzięła się do cerowania; tylko nie reparuj w pokojach frontowych, przynajmniej nie przy oknie, bo niepotrzebnie spoglądasz raz po raz na ulicę. No, bądź zdrowa, koteczko! Spodziewam się, że zastanę wszystkie prześcieradła naprawione za powrotem; większe łaty możesz wszywać na maszynie. Do widzenia, stary!

Okręciła się szalem, portmonetkę wsunęła za stanik i wyszła.

Janina po odjeździe matki długo przeglądała swą skromną bieliznę, wybierając z niej najładniejszy garnitur, oblekła się, włożyła elegancki kostjum, sprawiony przed kilku tygodniami, kapelusz, rękawiczki; poczem zmieszana i wzruszona weszła do stołowego pokoju, w którym paulezki kończył śniadanie.

— Cóż się tak pięknie ubrała od rana, moja córuchno?

Zbliżyła się do niego, przysiadła u kolan i usta przycisnęła do jego ręki.

— Tatusiu!

— Co ci to, złotko moje?

— Ja chcę tatuchnę prosić, żeby pojechał ze mną dziś o dziewiątej do Krzeszowic.

— Do Krzeszowic? o dziewiątej? Przecież ja mam biuro!

— To tatuś raz opuści urzędowanie.

— Ależ musiałbym się opowiedzieć, a przed dziewiątą nie będzie naczelnika.

— Naczelnik wytłumaczy nieobecność tatusia, choć się dowie po fakcie.

— Tak ci się zdaje: to służbista aż do dziwactwa, nie lubi nieakuratności.

— Ale gdy się dowie, dla jakiej ważnej przyczyny nie stawiał się tatuś dzisiaj...

— To jest ważna przyczyna, że tobie zachciało się jechać na spacer!

— Nie, tatusiu, ja nie dla spaceru wyjeżdżam.

— Nie dla spaceru? więc poco?

— Na mój ślub.

— Na ślub? jaki ślub?... Czyj ślub?

— Na mój ślub z Leonem Anczewskim.

— Co ty wygadujesz?

— Mówię prawdę rzeczywiście. Z Leonem kochamy się oddawna, choć wyznaliśmy to sobie dopiero przed sześciu tygodniami. Jemu obrzydło życie ptaka bujającego z gałęzi na gałąź, mnie życie żółwia w skorupie. Połączymy się, aby wieść życie pożyteczne i w miarę urozmaicone.

— A czy wy będziecie mieli dosyć na odpowiednie utrzymanie?

— Leon ma dobrą posadę, zarabia 4000 koron rocznie; niebardzo to wystarczało na szumne życie, jakie prowadził za kawalerskich czasów, ale na skromne małżeńskie...

— No, i ty będziesz miała procent od posagu.

— Ah, tego się nawet nie spodziewam... skoro popełniam taki „skandal“...

— Co za skandal?... małżeństwo za głosem serca, z chłopcem porządnym... Prawda!... ale ten sekret!... Po-
coście wy to takim sekretem otoczyli?

— Baliśmy się ostrych walk z matkami. Pani Anczewska pragnęła dla Leona bardzo posażnej panny; matka moja uważa małżeństwo z miłości za stratę czasu, a że jest arbitralna i znalazłaby poparcie w Jełkiewicz...

— Rany Boskie!... Jełkiewicz!... przecież myśmy przyrzekli mu ciebie!

— Ale ja siebie nie przyrzekałam. Widzisz, tatusiu, dlatego właśnie, żebyście wy wyszli z honorem, woleliśmy utrzymać sekret do ostatka.

— A to urwipocieli!... Ale mów, co chcesz, to jeszcze nie żaden skandal... Na ślubie będzie ojciec...

— Julek.

— Julek... matka Leona.

— Jeżeli się nie obrazi i nie zechce mnie ignorować.

— Chyba nie będzie taka głupia!... Ale twojej matki nie będzie.

Janina westchnęła.

— Będzie jej bardzo przykro.

— Cóż robić, tatusiu? przynajmniej będzie rada, że nie straciła czasu.

Iżycki parsknął śmiechem.

— Będzie miała tanie śliwki.

— A wie tatuś, że te śliwki w Belnie z furmanką na dziś rano, to także nasz spiszek? Iwińska była w to wciągnięta.

Staruszek aż trząsł się ze śmiechu.

— Ah, wy łobuzy, łobuzy... warci w skórę... No, ale i moja stara ma karę aby raz!

— Czy można?—odezwał się męski głos za drzwiami.

— Prosimy.

Weszli Leon i Julek.

— Widzę już z twarzy ojca, że tu poszło dobrze — zawołał rozpromieniony Leon, przypadając do rąk Iżyckiego.

— O, ja nie wątpiłam: tatuś zawsze był pobłażliwy, aż za pobłażliwy.

— Masz rację, duszyczko; dlatego taki pantofel ze mnie.

— No, a twoja matka?

— Nie obeszło się bez łez i spazmów, ale gdym ją z całym przekonaniem zapewnił, że będę się wybornie bawił, ożeniwszy się z tobą, pogodziła się z losem. Stoi się teraz i wybiera klejnoty dla synowej, bo łudzi się, że przecież będziemy bywać na balach.

.....
Dwa zbladłe z różnych przyczyn kwiaty w dniu tym rozblysły świeżemi barwami.

IX.

D z i ę k u j ę .

Władysław Winiarz uchodził za tęgą głowę, filozofa i socjalistę, przytem człowieka z silnym charakterem. Jako taki, miewał swoje zasady, od których na włos nie odstępował. Odnosiło się to często nawet do drobiazgów, a to już wyrobiło mu opinię oryginała. Tak naprzykład wykreślił raz na zawsze ze swego słownika wyraz: „dziękuję“.

— Ohydne słowo,—mawiał—niewolnicze, równoważne z wyrazami „łaska“, „miłosierdzie“. Nikt nie ma potrzeby dziękować bliźniemu, gdyż ludzie mają względem siebie obowiązki; cokolwiek przeto wyświadczamy bliźniemu, spełniamy tylko obowiązek i nie mamy prawa żądać wdzięczności.

Dziwactwo to posuwał tak daleko, że wymyślał ludziom, którzy za jakąkolwiek przysługę rzucili maleńkie słówko: dziękuję. On sam zastępował ten wyraz rozmaicie. Gdy mu wypłacono jakie pieniądze, powiedział: „W porządku“. Gdy mu praczka przyniosła bieliznę, płacił rachunek, dodając: „Dobrze, żeś pani przyniosła“. Nawet gdy oddano mu przysługę, obywatel się bez podziękowania, zastępując je zwykłym: „Wywzajemnię się przy sposobności“. Zaznaczyć jednak trzeba, że mimo najlepszych chęci spo-

sobność odwzajemnienia się właśnie tej samej osobie rzadko się trafiała.

Ożenił się. Pojął sierotę, poniewieraną i zahukaną przez krewnych, u których się chowała; z uwielbieniem przeto zachowywała się ona względem męża, człowieka uczciwego, statecznego, który wyrwał ją z przykrego położenia i otoczył względnym dobrobytem. To też podlegała mężowi z całą biernością, a każde jego życzenie było dla niej rozkazem, który wypełniała jak najskrupulatniej. Jedno tylko przychodziło jej bardzo trudno — wyzbyć się uzewnętrzniania wdzięczności przez wyrzeczenie się wyrazu: dziękuję. Chciała je zastąpić staropolskiem: „Bóg zapłać“, ale to jeszcze bardziej oburzało męża:

— Fałsz, obłudą! — wołał. Zrzucanie naszego obowiązku na Boskie barki!

Ciągnął nawet na ten temat inne wywody, które wprost gorszyły żonę.

I śliczny wyraz „dia“, który podsunęła swemu pierwszemu dziecięciu, gdy raz zostało obdarzone przez kogoś nieobowiązanego, został skazany na banicję. Dzieci przybywało, rosły, otaczane pieczołowitą troskliwością rodziców, lecz nie wolno im było nie tylko powiedzieć: „dziękuję“, ale nawet czuć wdzięczności za wszelkie objawy dobroci rodzicielskiej. Przeciwnie, Winiarz miał wprost upodobanie do wygłaszania przy dzieciach teoryj, że gdy matka czuwa nad chorem dzieckiem po nocach, to spełnia tylko swój obowiązek, — że gdy urządzają dzieciom niespodzianki i dają podarki, to że im to samym sprawia przyjemność.

Dzieci chętnie przyswajały sobie teorię ojca. Wszak wygodnie jest powiedzieć sobie: „Nauczyciel ma obowiązek mieć z nami lekcję — poco mu za nią dziękować? Listonosz jest obowiązany oddać mi list. Sługa dostaje zapłatę za posługę, którą wykonywa.“ Gdy przeto zaszła konieczność podziękowania za co ze względu na wyma-

gania światowe, przemawiały tak cicho, tak przez zęby, iż ledwo z ruchu warg poznać było można, że zwyczajowi czyniły zadość.

Pani Winiarzowa nie mogła się z tem oswoić i starała się pouczać dzieci, ile ludzie dobrzy wyświadczają nadobowiązkowo bliźnim przysług, za które im nikt nie płaci, gdy ci „wykonywający obowiązek za pieniądze“ spełniają go mile, uprzejmie i bezinteresownie. Dzięki temu, nie wszystkie dzieci uległy bezwzględnie wpływowi ojca.

Najgorzej było z najstarszym synem, Antosiem: ten w zupełności wdał się w ojca. Był to rezoner chłodny i oschły, z drugiej zaś strony sumienny, liczący się ze swemi obowiązkami i pojmujący je szeroko. Od dzieciństwa miał wiele względów na matkę, oszczędzał jej trudów, otaczał troskliwością; ale gdy matka, wzruszona jaką pomocą w zajęciu, albo przyniesieniem stołeczka pod nogi lub jaśka, całując chłopca, mówiła: dziękuję, poprawiał ją zaraz:

— Nie mów, mamu, „dziękuję“! Powiedz: „dobrze“, tak, jak tata mówi. Przecież ja mam obowiązki względem matki i tylko je spełniam.

Drugi syn, Jędrzek, ślamazarny i trochę bezmyślny, przyjmował wszystko i nie troszczył się o pobudki. Trzeci, Władek, był oschłym egoistą. Jedna tylko córka Emilka wdała się zupełnie w matkę: miała kochające serduszko, ubóstwiała rodziców, uwielbiała braci i oddawała wszystkim usługi, nie troszcząc się bynajmniej o to, czy jej się kto wywzajemni.

I stało się, zrządzeniem Boskiem, że w tej rodzinie, w której nie dziękowano nikomu, ani Bogu, ani ludziom, w której opierano wszelkie czyny na podstawie jedynie sprawiedliwości, gdzie uczucie wdzięczności mianowano niewolniczem, gdzie jedynym obowiązkiem było spełnianie samego obowiązku, stało się, że głowa domu znalazła się

w warunkach, w jakich musiała wiele więcej przyjąć, niż mogła kiedykolwiek oddać.

Władysław Winiarz zachorował na zapalenie ślepej kiszki; zdecydowano konieczność operacji, stan był groźny, wynikła potrzeba dłuższego przebywania w szpitalu. Chory, dzięki swym oszczędnościom, mógł pozwolić sobie na osobny pokój, ale oparł się namowom żony.

— Każdy robociarz leży na ogólnej sali, i dla mnie ona dobra.

Operacja udała się doskonale, ale w kilka dni po niej wywiązało się jakieś zakażenie ogólne, gorączka. Chorego dręczyła bezsenność, trwoga, wizje chorobliwe. Siostra miłosierdzia, widząc ten jego stan rozdrażnienia, otoczyła go opieką, idącą o wiele dalej, niż nakazywał jej obowiązek; przesiadywała przy nim, uspokajała słodkim głosem, trzymała za rękę, a to miało wielce kojący wpływ na niego. Ile razy otworzył oczy, aby wygnać z pod powiek widma straszące, widywał pochyloną nad sobą słodką, bladą twarz w obramowaniu kornetu, jak skrzydeł anielskich.

— Niech siostra idzie się położyć! — mawiał do niej czasami — zmęczeni jesteście; przecież na sali jest posługaczka.

— Ją raz wraz wzywa ktoś, a pana drażni samotność,

— Bo widzi siostra, ja martwię się tem...

— Wiem, wiem... ale to niepotrzebnie. Doktor zapewnia, że niebezpieczeństwo minęło... Nie osieroci pan żony i dzieci z pewnością.

— Doprawdy?

— Na pewno.

— Ale... potem... czy...?

— Czy nie nastąpi recydywa?..

— Tak.

— A gdzieżbyśmy na to pozwolili! Przecież w tym wypadku zależna jest ona w zupełności od nas i od pana.

Jeśli pan będzie jadał tylko to, co panu dajemy, jeśli nie będzie się denerwował i dopuszczał Bóg wie jakich myśli...

— Ale bo, widzi siostra, ja...

— Myśli pan, że ta choroba sprowadzi raka?...

Winiarz aż zdębiał: skąd siostra tak czyta jego najskrytsze myśli i podejrzenia?

— Siostra to chyba z djabłem trzyma—rzekł z uśmiechem.

— O nie, na pewno z Bogiem i Najświętszą Panną. Mam przytem trochę praktyki, a tylu chorych miewa takie same obawy.

Tak to uspokajać go umiała dobra siostra Aniela.

Z nastaniem rekonwalescencji chory wstydził się swych dziecinnych przewidzeń i tłumaczył się z tego przed siostrą, a ta go zapewniała, że z każdym cięższym chorym przechodzi to samo.

— Jest jeszcze jedna rzecz, o którą chciałem siostrę zapytać... Wszak siostry nie pobierają żadnej opłaty za swą pracę w szpitalu?

— Naturalnie, że żadnej.

— A czy siostronom nakazują, żeby spełniały tak dokładnie obowiązki? żeby dla cięższych chorych pozbawiały się snu nawet, gdy godziny ich miną? żeby wnikały w ich troski duchowe i niepokoje?

Siostra Aniela zawahała się chwilę.

— Mamy jeden tylko obowiązek, którego nas Chrystus nauczył: kochaj bliźniego jak siebie samego. A ponieważ mnie byłoby miło, żeby mnie kto troskliwością otaczał w chorobie, więc tak postępuję z każdym pacjentem.

— Tak, bez żadnej nagrody... Ale siostry wiedzą, że kapitalizują na hipotekę niebieską.

Siostra Aniela rozśmiała się serdecznie.

— Rachunków nie robimy, choć bez wątpienia staramy się zapracować na żywot wieczny.

— To stanowczo nie godzi się z moim systemem.

— Jakim systemem?

— Zasadą sprawiedliwości i wzajemności, że ludzie powinni oddawać każdemu to, co od niego otrzymują, żeby nie było łaski. Ja, na przykład, od dwudziestu lat nie wymówiłem wyrazu: „dziękuję“.

— Zauważyłam to—rzekła siostra z prostotą.

— I myślała sobie siostra, że jestem cham; a tymczasem to wypływa z zasady. Dotąd mówiłem sobie: „oddam każdemu tą samą miarą, jaką od niego biorę“, a widzę, że względem siostry pozostanę dłużny i że winien jej jestem coś... i nie wiem, co... Prezentu siostra nie przyjmie, a samo „dziękuję“... to za mało.

— Zapewne, a jednak jest coś, co mi pan może ofiarować, coś, co bardzo będę cenić.

Chory aż uniósł się na łóżku.

— Co takiego? proszę powiedzieć!.. Jak najchętniej...

— Niech pan uzna, że teoria jego była fałszywą; że ponieważ ludzie muszą wspomagać się wzajemnie, bez wyrachowania, czy odbiorą tą samą miarą i czy odbiorą wogóle, winni jesteśmy wdzięczność tym wszystkim, którzy czynią coś więcej ponad obowiązek. A wyzbywanie się tego uczucia to nie godność: to pycha.

Odbiegła wezwana do chorego, a Winiarz ciągle wracał myślą do tego zagadnienia.

— Moja siostró,—mówił na odjezdnem—siostra była bardzo dla mnie dobra, ale mnie zbiła strasznie z tropu. Tylko jeszcze się nie zdecydowałem, czy moja teoria jest uzasadniona, czy teoria siostry. Może moja jest dobra, tylko nie daje się zastosować w wypadkach choroby.

— Sprawiedliwość jest piękną rzeczą, ale nie wystarczającą—odparła.

Sprawiedliwość nie wystarcza! Oto zdanie, które wyniósł ze sobą po dwumiesięcznym pobycie w szpitalu. Jak

może nie wystarczać to, co jest dokładne jak waga aptekarska, proste jak pion mularza?

— Et, siostra jest mistyczka—zadecydował—nie umie ściśle myśleć. A jednak chciałbym jej jakoś zadośćuczynić.

Wszystko, co się składało na jego „dom“ — rodzina i mieszkanie wydało mu się zmienionem po tak długiej, a pierwszej w życiu nieobecności. A najsilniejszym wrażeniem było, że waga sprawiedliwości nie była dokładna w jego domu. Osądził, że żona pracuje więcej od niego, bardziej wszystko ześrodkowuje koło siebie, chociaż on uważał się zawsze za główną sprężynę. Córka jego oddawała więcej przysług braciom, niż bracia siostrze. Po raz pierwszy uderzyło to domowego filozofa.

Po uroczystym obiedzie, jakim uczczono powrót ojca wszyscy zgromadzili się około stołu w świetle wiszącej lampy. Pani Winiarzowa, której oczy mocno szwankowały, zabrała się do roboty szydełkowej spódnicy z grubej włóczki, Emilka do cerowania skarpetek, Antek rysował projekt jakiegoś narzędzia, Jędrrek kręcił się po pokoju, tłumiąc ziewanie. Zły, że nie wypada wybiec na ulicę, skąd dochodziły odgłosy gwarnej zabawy kolegów, Władek zaś czytał Robinsona, zatkawszy sobie uszy.

— Jak wy się wywzajemniacie siostrze za te wszystkie skarpety, które wam po całych dniach ceruje? — zapytał nagle ojciec.—Emilka mogłaby teraz pomyśleć także o jakiej rozrywce. Wasz dzień pracy ma dziesięć godzin, jej trzynaście albo czternaście; to niesprawiedliwie.

Antoni, czuły na „sprawiedliwość“, podniósł głowę.

— No, przecież ktoś musi cerować moje pończochy; trudno, żebym chodził w dziurawych, albo kupował nowe co tydzień. Ale odtąd gotów jestem płacić Emilce za naprawianie.

— Tatko przecież żartuje: — zawołała dziewczynka —

wie dobrze, że ja chętnie ceruję wasze pończochy. Przecież to mój obowiązek.

— Hm, hm!—odezwał się znowu Władysław Winiarz, zastanowiwszy się nad słowami córki—pewną jednak jest rzeczą, że wasza siostra daje wam więcej, niż od was odbiera. Bo przecież nie ma większych obowiązków względem was, niż wy względem niej... Władek, odłóż raz tę książkę i porozmawiaj z nami, samolubie!

W tej chwili Jędrak ziewnął na cały głos, ale wnet pożałował tego, ściągnął bowiem na siebie surowe spojrzenie ojca.

— A ty co mówisz Emilce, gdy ci przynosi wycierane skarpetki i połatane odzienie?

— Ja... ano, mówię: „dobrze, schowaj to do mojej szuflady.“

— O, ja już nieraz myślałam o tem, — odezwała się nieśmiało matka—że chłopcy powinni Emilce jakoś... no... choć podziękować.

— Nie; poszukajmy innego sposobu, opartego na prawie zadośćuczynienia — odrzekł Winiarz, podrażniony, że znów stara formuła podziękowania i odwieczna zasada wdzięczności wypłynęła na wierzch.

Kłopotliwe milczenie, jakie zapanowało po tych słowach, przerwał na szczęście dla niego odgłos dzwonka w przedpokoju. Żaden z chłopców nie myślał się ruszyć, tylko cicha Emilka zerwała się natychmiast i pobięła otworzyć.

Po chwili do pokoju wszedł właściciel domu, bo chciał powinszować swemu dawnemu i porządnemu lokatorowi szczęśliwego powrotu do zdrowia. Był to człowiek uczciwy, oszczędny, który, dzięki wielkiej pracy i odmawianiu sobie wszystkiego, doszedł do majątku, surowy dla siebie i dla drugich. Gdy mężczyźni rozmawiali o przebytej chorobie i warunkach szpitala, pani Winiarzowa kilkakrotnie otwie-

rała usta, widocznie chcąc zacząć jakąś delikatną kwestję, która ją onieśmiewała. Wreszcie wybąkała:

— Mówiłam dzisiaj z Czamińską... bardzo zgnębiona, że musi opuścić mieszkanie.

— Ha, cóż robić?—krótco zbył ją gospodarz.

— Ona jest pewna, że niedługo nadejdą pieniądze od męża.

— Już czekam trzy miesiące.

— Pisał, że dopiero niedawno zaczął więcej zarabiać.

— Będę znowu czekał miesiąc, dwa... a im dłużej, tem mniejsza szansa odbicia sobie na zastawie.

— Tak,—rzekła, zbierając się na odwagę Winiarzowa —ona bardzo płakała, że pan zatrzymuje jako zastaw jej zegarek, broszkę i dwanaście łyżeczek...

— A wartość tego czterdzieści koron może, — wykrzyknął gospodarz—przy sprzedaży danoby mi może połowę. Ale ponieważ dowodzi, że to są drogie pamiątki, do których przywiązuje wielką wagę, mam przynajmniej pewne widoki, że się zgłosi po to, gdy będzie miała pieniądze, i w ten sposób odbiorę swoje... Więc ona skarżyła się pani?... Tem bardziej rad jestem, że zdecydowałem się ją wyrzucić.

— Dla niej przeprowadzka to okropna rzecz: ma drobne dzieci, przytem jakie to zniszczenie mebli... i wstyd przed ludźmi!... Lecz przede wszystkim, gdzie się wprowadzi, gdy nie może zapłacić pierwszego miesiąca zgóry, a wiadomo, że była wyrzucona, uprzedzi ją wszędzie?...

— Powinna była wcześniej rozważyć wszystkie te ujemne strony i naciskać bardziej męża; prędzejby się postarał. W Ameryce wystarczy się schylić, aby zbierać pieniądze.

— Pan byłby bardzo dobry, gdyby...

— Pani ma za miękkie serce—przerwał gospodarz.—Ja mam prawo zrobić nawet zajęcie, ale mam wzgląd na

nią i nie czynię tego. Żałuję, że jej nie wyrzucił w polowie drugiego miesiąca.

— Niech się pan nie denerwuje—wtrącił Winiarz.

— Ah, gdyby każdy właściciel domu rządził się sentymentem, toby co trzeci zbankrutował.

— Wyszedłby z torbami—dorzucił Jędrak.

— Masz rację, chłopcze, — rzekł gospodarz, z zadowoleniem zwracając się do młodego sprzymierzeńca.

— Lepiejbyś siedział cicho, Jędrak!—zgrómił go ojciec.

— Gdybym się tak liczył z ludźmi, to z czegobym płacił podatki, remont, stróża? Przedewszystkiem oddajmy każdemu, co mu się należy. Przecież to pańska zasada, panie Władysławie.

— Zapewne... Jednakże w tym wypadku...

— Sprawiedliwość nie zna wypadków. Jest bezwzględna. Dom należy do mnie; aby w nim mieszkać, trzeba płacić czynsz... Kto nie płaci...

— No, tak, tak—przerwał Winiarz zirytowanym tonem. — Pan masz rację, a jednak możeby się znalazł jaki sposób, żeby ta kobieta pozostała w mieszkaniu... I znajdzie się...—zakończył nagle z wielką stanowczością.

— Jak pan chce — odparł gospodarz, wstając. — Jeśli pan masz ochotę zaręczyć za nią, albo pożyczyć jej potrzebnej sumy, to, mojem zdaniem, źle pan zrobisz. To nie będzie sprawiedliwie. Pan masz przedewszystkiem obowiązki względem swoich dzieci. A po ogromnych wydatkach, jakie pan miał z powodu choroby...

Zaczęto mówić o czem innem.

Nazajutrz po południu młoda kobieta, drobna, o ładnych rysach i czarnych oczach, zalanych łzami, wbiegła do mieszkania państwa Winiarzów, którzy właśnie kończyli obiad. I oto Władysław Winiarz w obecności żony, córki

i synów musiał wysłuchać całej litanji podziękowań, błogosławieństw, zapewnień wdzięczności i zwrotu długu. Biedna kobieta była jak nieprzytomna z radości.

— Nie chciałam wierzyć gospodarzowi, gdy wstąpił do mnie, aby mi oznajmić, że czynsz jest zapłacony i że mam pozostać. Myślałam, że jedno z nas zwarjowało. Ja byłabym umarła ze wstydu, że mnie jak psa wypędzono z domu. I gdziebym się obróciła? A tu mój mąż zapewnia mnie, że teraz regularnie co miesiąc przysyłać będzie sto złotych. O, ja prędko panu dług mój zwrócę. Ah, jak ja mam panu dziękować!

Dzieci z zainteresowaniem patrzyły na ojca, Antosia mocno bawiła jego zakłopotana mina.

— Mdli ojca?—zapytał cicho ze śmiechem.

— Tak, to mi sprawia mdłości... Niechże pani da pokój tym dziękczynieniom! Ja tak tego nie lubię!

— Ale przecież narazie cóż mi pozostaje, jak nie dziękczynienia?

— Zapewne... ale...

Pożegnał ją szybko i wyszedł.

I znowu tygodniami całemi rozmyślał nad szczególnem zagadnieniem wzajemnego do siebie stosunku obowiązku i wdzięczności.

A ponieważ był to do szpiku kości sumienny człowiek, uważał sobie za obowiązek zakomunikować wynik dociekań, gdy raz doszedł do zdecydowanego wniosku.

Pewnego wieczora, upewniwszy się, że Antek nie ma obowiązkowego wyjścia, i nakazawszy pozostać w domu młodszemu chłopcom, zebrał wszystkich przy okrągłym stole i rzekł tonem wzruszonego kaznodziei:

— Uważam sobie za obowiązek powiadomić was, moi drodzy, że doszedłem do wniosku, iż przez całe życie bez-

wiednie wprowadzałem was w błąd w kwestji sprawiedliwości. Ona niezawsze wystarcza, bo umysł ludzki nie potrafi jej dostatecznie równoważyć. I tak, opieka, jakiej doznałem w szpitalu, nie opiera się na prawie równowagi. A ciągła praca i zabiegi dla rodziców i braci Emilki? Czy to niewolniczość, czy szlachetność duszy, ofiarowana darmo, bez wyrachowania? A wreszcie... wybaczenie, że i to powiem dla przykładu, ale wszak jesteśmy w gronie rodzinnem... Gdybyśmy ograniczali się ściśle obowiązkami, nie byłbym przyszedł Czamińskiej z pomocą, nie byłbym jej oddał tej przysługi. Przeto, jeśli dla możliwej egzystencji na tym świecie trzeba z jednej strony, prócz sprawiedliwości, także dobroci, miłosierdzia, darów bezinteresownych, z drugiej musi być coś równoważącego. Długom szukał, jak wynagradzać tych wszystkich, którzy poświęcają się dla nas, którzy czynią więcej, niż im obowiązkiem nakazuje. I doszedłem do przekonania, że nie znajdę wyjścia, jeśli nie uznaję potrzeby istnienia wdzięczności. Gdy odbieramy naddatek, za który się nie płaci, musimy uznać konieczność naddatku w mowie, a tym jest prosty wyraz: „dziękuję“.

— Albo „Bóg zapłać“—cicho wtrąciła Winiarzowa.

— Albo: Bóg zapłać; — zgodnie powtórzył mąż — bo jest to tylko uznanie naszej bezsilności i hołd sprawiedliwości wyższej. Świat byłby bardzo smutny, zimny i oschły, gdyby sama literatura nim rządziła... Zatem, gdy znajdziecie się w położeniu, że wam kto ofiaruje co szlachetnem sercem,—nie krępujcie się i mówcie: dziękuję... I ja zacznę przypominać sobie to piękne słowo. Nie mogę sobie spokoju znaleźć, odkąd opuściłem szpital, nie podziękowawszy dobrej siostrze Anieli za jej opiekę.

— No, to łatwo naprawić—wtrąciła żona.

— Ja też pójdę jej podziękować w najbliższą niedzielę.

— O, tatusiu! weź mnie z sobą! ja tak kocham siostrę Aniele!

— Wezmę cię, córeczko.

— Dziękuję tatusiowi! — zawołała Emilka, rzucając się ojcu na szyję.

A on przygarnął ją do siebie i całował, wzruszony tem pierwszym podziękowaniem dziecka.

Jak gdyby już nie żyli.

Pani Janina Kowalska chętnie się tem, że jest kobietą wyższą i żyje ciągle przeszłością. Zasługa to jednak była głównie jej pamięci, w której pozostawały z łatwością nazwiska i daty. Miała przytem za zasadę nigdy nie mówić o ujemnych stronach osób zmarłych; a że mąż jej, zacny i sympatyczny pan Stanisław, nie zachowywał tej zasady, wywiązywały się między nimi częste z tego powodu sprzeczki.

— Jutro rocznica śmierci ciotki Eugenjuszowej — mówiła pewnego popołudnia pani. — Niezwykła to była kobieta; mało kto ją rozumiał, ale każdy musi przyznać, że miała wielkie serce. Zapisałam jej imię, nazwisko i głównejsze daty z jej życia na jej fotografii, aby nie została zupełnie zapomnianą przez krewnych, choć ja odejdę.

To mówiąc, zatrzymała wzrok na spłowiałej fotografii, wiszącej nad komodą w staroświeckiej ramce z czarnego kartonu, wygniatanego w kształcie bluszczowego wieńca.

Mieszkanko pani Kowalskiej nosiło rzeczywiście cechę takiego, którego właścicielka szanuje przeszłość: meble jesionowe, obite czarną włósienną materją—spadek po ciotce Eugenjuszowej; dwa barokowe fotele, kryte kretonem w blade róże; na komodzie zegar w stylu Cesarstwa pod kloszem;

lichtarze porcelanowe w kształcie figurek; szkatułka czeczotkowa, pełna zasuszonych bukiecików, splotów włosów, kokardek, zaopatrzonych każde w karteczkę z objaśnieniem, po kim i z jakiej daty stanowią pamiątkę. Na ścianach, prócz trzech portretów, nie artystycznych, lecz posiadających wartość muzealną, cała kolleksja fotografii, poczynawszy od dagerotypów na blasze i ceracie do przeróżnych wizerunków w strojach niemodnych i dziwacznych.

— Pamiętasz—ciągnęła dalej pani Janina—ten wspomniały obiad, na który nas zaprosili w tydzień po naszym ślubie? Szesnastego maja będzie osiemnaście lat.

— Czy to było w maju, czy grudniu, nie pamiętam; — odparł mąż — przypominam sobie tylko, że mi było strasznie głupio, bo wuj z ciotką kłócili się przez cały obiad. A po obiedzie ty byłaś strasznie zła, bo zamiast nas przewieźć łódką po jeziorze, na co miałaś wielką ochotę, wuj oprowadzał nas po swych polach i gospodarstwie.

— No, tak, były to dwa oryginały; ale nie wspominałbyś lepiej ich ułomności... dziś, gdy już nie żyją.

Stanisław Kowalski, z zawodu zegarmistrz, zbliżył się do swego warsztaciku w zagłębieniu okna, szukając czegoś między narzędziami.

— Ty jesteś zawsze wyrozumiała dla zmarłych -- odezwał się — bardziej...

— Cóż to? myślisz coś kleić w niedzielę?—zawołała nagle pani Janina, widząc, że mąż stawia rondelek z klejem na maszynie.

— Czemuby nie?... Przecież to nie grzech, nie praca zarobkowa: chcę ci nareszcie przytwierdzić klamrę do albumu, bo mi o to suszysz głowę od tyłu tygodni. Może masz jeszcze co do klejenia? Będę naprawiał ryczałtem. Deszcz pada, nudzi mi się...

— Dajże temu pokój! Pobrudzisz ubranie, masz prze-

cie nowy garnitur. Ładnie będzie wyglądać, jak go pokapiesz klejem!

— Włożę fartuch, jeśli ci to sprawi przyjemność.

— Fartuch!... A jakby kto przyszedł z wizytą?

— To go zdejmę — odparł flegmatycznie pan Stanisław, mieszając klej w garnuszku.—No, daj mi tę kłamrę! Wiesz, że niecierpię próżnować. Możesz ty w niedzielę haftować, mogę ja kleić.

— Mój haft nie zapowietrza domu, jak twój klej — odparła pani Janina.

— No, duśko, dawaj mi kłamrę! — ciągnął niełatwo do zniecierpliwienia pan Stanisław.

I nagle dorzucił ze śmiechem:

— Bądź raz wyrozumiałą dla mnie za życia!

Pani Janina nie lubiła żartów na ten temat, rzuciła przeto surowe spojrzenie; potem wydobyła z komody czerwony pluszowy album z oderwaną kłamrą i podała mężowi:

— Wątpię, żeby ci się udało to skleić—rzekła.

— Dziękuję; widzę, że zaczynasz mnie darzyć wyrozumiałością za życia.

— Być wyrozumiałą dla ciebie to znaczyłoby pozwolić ci zalać się klejem, to znaczyłoby... Słyszysz?... Nie miałam racji?... Ktoś dzwoni... Jest wizyta!... Jeśli nie będzie mieć kaloszy, to jej nie wprowadzę do saloniku na froterowaną podłogę, a wtedy to się tłumacz z odoru, któregoś narobił!

— Wy tłumaczę się bez zarumienienia z odoru, któregoś narobił—odparł jowialny pan Stanisław.

„Wizyta“ nie miała kaloszy.

— To podobne do niej!... Żadnego względu na ludzi, co mają froterowane posadzki! — myślała ze złością pani Janina, odbierając parasol od panny Karoliny, osoby lat około czterdziestu, wysokiej, ubranej w żałobę.

— Wybacz, że cię nie wprowadzam do salonu i że w naszym pokoju jest odór kleju; ale memu mężowi strzeliło do głowy, żeby się zabrać do sklejaniania różnych rzeczy.

— Ah, gdybym była wiedziała — zawołała panna Karolina, która to powiedzenie „gdybym była wiedziała“ stosowała często i zawsze takim tonem, jakby miała pretensję do kogoś, że nie była powiadomiona.—gdybym była wiedziała, byłabym przyniosła moją rzeźbioną szkatułkę, u której odkleiły się dwie nóżki. Póki żył Stefan, on naprawiał wszystko...

— A przecież skarżyłaś się zawsze, że nic nie naprawiał—wtrąciła pani Janina nie bez złośliwości.

— O, przeciwnie, robił wiele rzeczy... Zapewne... czasami... Ale cóż dziwnego?... Witam Stasia!

— Co słyszeć u Karolci?

— Nic dobrego... gdy się straciło to, co ja straciłam.

— Ah, moja biedna Karolciu! Proszę cię, siadaj i wybacz, że nie podaję ci ręki, ale boję się powalać ci rękawiczkę.

Karolina zasiadła na jednym z krzeseł, starannie przetrzucając welon przez poręcz.

— Czy masz tu fotografię Stefana?—zapytała, biorąc czerwony album.

— Nie, jeszcze; muszę go przełożyć z albumu niebieskiego, który jest na żyjących; w tym mam tylko osoby zmarłe — mówiła pani Janina, siadając obok kuzynki i przetrzucając z nią karty.—Poznajesz? to Julek Czerniak, pierwszy narzeczony twojej siostry Maryni. Schowałam tę fotografię, której Marynia nie chciała zatrzymać po zerwaniu. Jaki śliczny chłopiec! i co to była za dusza!

— Mówiono, że był bardzo głupi.

— Głupi nie był, tylko trochę oryginał. Pewna jestem, że Marynia oceniła go należycie, dopiero gdy zmarł.

— Być może—odrzekła Karolina obojętnie.—Ah, co za śmieszna głowa!—zawołała naraz, wskazując fotografię kobiety w olbrzymim koku, opasanym aksamitką.

— Tak się czesano wówczas. Ah, to była przemiła osoba, pełna wdzięku, córka pocztmistrza Grzeszkiewicza. Umarła młodo skutkiem przetańczenia. To wzruszające... prawda? Całe miasto ją opłakiwało.

— Byłam smarkatą, kiedy ona umarła; ale pamiętam, że mówiono o niej, iż była wielką kokietką.

— Ah, to już takie dawne dzieje!... Zresztą, skoro już nie żyje, nie mówmy o tej słabostce... A to jest Filip Nęcki, serdeczny przyjaciel mego ojca. Moja matka go nie lubiła, zarzucała mu, że wiecznie włóczył się po polach i lasach i innych wyciągał ze sobą. Ogólnie go potępiano. Żona go tylko broniła, ona jedna była wyrozumiała dla niego...

— Nawet za życia? szczególna rzecz... — bąknął z uśmiechem Stanisław.

— Po śmierci zbiory jego oddano do muzeum, sławiono go jako nadzwyczajnego przyrodnika... Ah, jak to przemawia do nas taki album zmarłych! jak przypomina, ilu się znało dzielnych, zacnych ludzi, lepszych, niż dzisiejsi! aż żal ściska serce, że się ich lepiej nie znało i nie oceniało! Zbliska widziało się więcej ich drobne usterki... Ot, taki Marjan Leśniewski. Co ja się z nim nakłóciłam! jak on mnie drażnił swymi wiecznymi żartami! Miałam go za lekkoducha i egoistę, a tymczarem on w cichości duchałożył na wychowanie dwóch sierot. Pisałam przedwczoraj do jego żony.

— Ah, gdybym była wiedziała, że pisesz, byłabym cię prosiła, żebyś się upomniała o moją książkę, której pożyczyłam jej przed rokiem.

— Gdybyś była wiedziała! — powtórzyła pani Ja-

nina tonem podrażnionym. — Przecież trudno. żebym cię zawiadamiała o każdym liście, który mam pisać.

— Przecież nie mam pretensji — odparła panna Karolina nie bez urazy.

W albumie żyjących fotografia nieboszczyka Stefana znajdowała się obok fotografii Karoliny. Pani Janina, wyciągając ją, omyliła się i wydobyła fotografię kuzynki; spostrzegła się, zanim ją wsunęła do albumu zmarłych; ale ta chwila wystarczyła jej, aby sobie zadać pytanie, co by powiedziała o tej Karoli, gdyby ona należała już do zmarłych?

— „Była to kobieta stateczna, pracowita, cicha. Nie miała prawie żadnej wady, prócz drobnych usterek, o których nie wspomina się już... po śmierci“.

I nagle przeszło jej przez myśl, czy nie należałoby może zamknąć oczu na te drobne usterki i za życia jeszcze. Czemu nie zastosować do żyjącej takiej wspaniałomyślnej wyrozumiałości, jaką darzy się zmarłych?

— Deszcz przestał padać — rzekła Karolina, spoglądając w okno. — Gdybym była wiedziała, że przestanie padać tak prędko, byłabym poszła na cmentarz, jak to było moją myślą, kiedy wychodziła z domu.

— Pójdziemy z tobą — zawołała pośpiesznie pani Janina. — Mniej smutno na cmentarzu, gdy się idzie gromadką.

Czy to dzięki wyobrażeniu sobie Karoliny w albumie zmarłych, pani Janina odezwała się tonem tak miłym i przyjaznym, ofiarując jej swe towarzystwo dla zmniejszenia smutnego wrażenia cmentarza?

Pan Stanisław także rad był przejść się, aby odetchnąć wonnem powietrzem, odświeżonem wiosenną ulewą. Składał przedmioty posklejane i niesklejone, podczas gdy żona gderwała, że nie warto było zapowietrzać mieszkania na taki krótki czas.

— Ale ty mnie nigdy nie słuchasz! — zakończyła.

— Skaranie Boże z takim mężem, jak ja -- żartował pan Stanisław. — A jednak, jeśli wyciągnę nogi wcześniej, niż ona, usłyszysz, Karolciu, jakie hymny będzie śpiewała o mej doskonałości. Wtedy nie będzie mówiła, że zapowietrzałem powietrze klejem w niedzielę, tylko, że byłem taki dobry, iż nawet w niedzielę pracowałem, aby skleić jaki ulubiony przez nią gracik.

— Tak to jest:—odparła Karolina—póki się żyje ze swoimi najbliższymi, to jak gdyby się miało pień wielkiego drzewa przed nosem, widzi się popękaną korę, najeżone sęki, brzydkie pająki i liszki, włóczące się po niem; nie widzi się piękności całego drzewa, potęgi konarów, pięknych grup liści, nie myśli się o owocach, które wyda. Trzeba odstąpić, aby objąć całość i zdać sobie sprawę z jej piękności. Przychodzi mi to na myśl, gdy wspominam nasze pożycie ze Stefanem. Gdyśmy byli razem, raziły mnie ciągle jego drobne wady, bo patrzałam na nie zbyt blisko. Teraz dopiero zdaję sobie sprawę, jakie piękne było życie, życie człowieka uczciwego i obowiązkowego.

Państwo Kowalscy spojrzeli po sobie ze zdziwieniem: nigdy jeszcze Karolina, chłodna, sztywna, zamknięta w sobie, nie odzywała się z takim zapalem i poezją.

Słońce rozpraszało resztę chmur i roziskrzało brylanty rosy na liściach i trawie, uwypuklając bukiety bzów liljowe i białe i różowiejące jeszcze tu i ówdzie, spóźnione w kwitnieniu jabłonie. Ze wszech stron wysuwały się większe i mniejsze grupy ludzi, rade, że niedzielne popołudnie niezupełnie będzie zepsute.

Na cmentarzu marmury grobowców nabrały blasku, a kwiaty zdawały się śmiać do słońca. I tu grupy ludzi zaczęły napływać, jedne w żałobie, inne w jasnych tualach wiosennych, wielu bowiem dążyło obejrzeć wspaniały pomnik jednego ze zmarłych dygnitarzy miejskich, odsłonięty w tym tygodniu. Ci szli więcej zwartym szeregiem,

gdy tymczasem grupy żałobne rozpierzchały się i zatrzymywały przy grobach.

— Patrzenie — mówiła pani Kowalska — jak ślicznie utrzymuje grób ciotki Róża Dylińska. I w tej chwili jakie piękne bratki przyniosła. A jednak ostatnie lata były z sobą poróżnione, nie mogła jej darować, że się sprzeciwiała małżeństwu jej z Dylińskim. Podobno nieboszczka panna Gustawa była niesprawiedliwą i niemiłą dla narzeczonego siostrzenicy. Ale zawsze to nieładnie, że siostrzenica wychowana przez nią tak się zacięła w gniewie i pozwoliła, żeby staruszka zmarła w przytułku, wprowadzie w osobnym eleganckim pokoju, boć jej fundusze pozwalały na to, ale w każdym razie nie pod swoim dachem.

— A teraz taką starannością otacza jej grobowiec.

Przechodząc mimo grobu, przy którym pochyłona młoda, ładna pani Róża ustawiała doniczki, pani Kowalska nie mogła się powstrzymać od zagadania:

— Takich pięknych bratków, jak te, nie ma nikt na całym cmentarzu.

Pani Róża podniosła głowę lekko zarumieniona.

— Tak, ładne się trafiły—odrzekła.

Podniosła się, strzepnęła suknię i mówiła cichym głosem:

— Biedna ciotka! Ona zawsze najbardziej lubiła bratki. W dzień śmierci prosiła, żeby jej kupić doniczkę bratków, ale posługaczka zrazu zapomniała, a gdy wreszcie przyniosła, już biedaczka nie żyła. Boleśnie mi, że ostatnie lata nie przeszły nam lepiej, ale cóż było robić? Przecież nie mogłam dla niej wyrzec się Romana. Oh, zatrula ona nam niejedną godzinę. Ale jej przebaczyłam... przebaczyłam z całego serca.

— Czy za życia?—pomimowoli zapytała panna Karolina.

— Nie..., dopiero po śmierci—odrzekła cichutko, spuszczać głowę na piersi.

.

— Ah, gdyby to można było odrobić!—mówił opodał wysoki, tęgi mężczyzna głosem bardziej podniesionym, niż się mówi zazwyczaj na cmentarzu. — Gdybyż to można było odrobić, miałby nasz chłopak fortepian. Od chwili, jak zaczął zarabiać, miał tylko jedno pragnienie — kupić fortepian; chciał go wziąć na raty. Ale my jesteśmy oszczędni, kamieniczka nasza jeszcze nie całkiem z długów oczyszczona, nie dajemy się łatwo skusić większym wydatkom. Szczególniej moja żona... o, ta umie ciuć groszel... Żywi nas byle czem; ja to tam poprawiam sobie w kasynie i w kawiarni, ale skąd ona i dzieciaki siły czerpią — Bóg raczy wiedzieć. Żona przeto lamentowała: „Sześćsek marek! przecież to lepiej spłacić Szulca. Nie może to się chłopak obyć bez klawicymbału?” No, a chłopak taki miał pociąg do tego instrumentu, że zaczął chodzić wygrywać w kawiarni, gdzie mu pozwalano brzdąkać, ile chciał... Przesia dywał tam całymi wieczorami, zarywał nocy... A że nie miał zdrowia... wąły...

Szerokim gestem wskazał na wysoki pomnik, ordynarny i pretensjonalny, przedstawiający złamaną kolumnę, otoczoną girlandą bluszczu.

— Powiedziałem mojej żonie: „Nie doprosił się fortepianu, niech ma choć piękny grób bez proszenia; weźmiemy go także na raty, tak jakby się spłacało fortepian...” A jednak szkoda, że się nie zadowoliło tego pragnienia biedaka. Co mu z tej parady po śmierci?

Zapadło milczenie przy obu sąsiednich grobach. Młoda kobieta pochyliła się znowu ku bratkom, a postać jej zachwiała się jakby łkaniem. Karolina odwróciła się, otarła oczy i poszła wolnym krokiem w stronę grobu brata. Państwo Kowalscy umyślnie szli wolniej za nią.

— Dziwne to, — mówiła pani Janina rozmarzona — jak dziś ciągle wszystko nas zwraca do tego samego tematu. Na tyle osób, ile jest w tej chwili na cmentarzu,

z pewnością niema jednej, żeby źle mówiła o tych, których straciła. Każdy z tych, co odeszli, posiadał jakieś przymioty nieuznane za ich życia. A względem ilu wyrzucają sobie pozostali zbytnią surowość, niezrozumienie! Gdyby za życia zachowywano się tak, jak po śmierci, o ileż byłoby to życie dla nich lepsze i wzajemnie miłsze! Weźmy choćby Karolkę. Ile się ona nagderała, ile nagnębiła Stefana z powodu jego drobnych manij! On lubił np. zajmować się stolarstwem i snycerstwem, a ona posuwała się aż do chowania mu narzędzi całemi tygodniami... Ah, z jaką przyjemnością zamiatałyby dzisiaj wióry i trociny, byle był jeszcze przy niej!

— Czy wiesz, Janko? ja oddawna rozmyślam już nad tem. Doszedłem do przekonania, że gdybyśmy kochali swoich za życia tak, jak kochamy po śmierci, gdybyśmy traktowali ich słabostki z tą piękną miarą wyrozumiałości; życie byłoby wzajemnie lżejszem do dźwignia.

Złączyli się z Karoliną, która rozmawiała z młodą, przystojną panienką.

— Musi pani bardzo brakować przyjaciółki? od tylu lat byliście prawie nierozłączne.

— Ah, okropnie! Takeśmy się zżyły z sobą, że byłyśmy jak jedna dusza w dwóch ciałach. I tak mi boleśnie, że ja nie byłam dla niej taką, jaką być powinnam. Miała jedną wadę, że zawsze się spóźniała, a ja wtedy, gdy ona najbardziej się śpieszyła, zamiast jej pomóc, stawałam przed nią w kapeluszu, rękawiczkach i nie spuszczałam z niej ironicznych oczu. Ją to tembardziej denerwowało, i to bywało częstem źródłem sprzeczek między nami. Ah, gdyby można było cofnąć się o kilka lat, jakże inaczejbym z nią postępowała! Taka dobra, słodka przyjaciółka!

— Pani tak idealnie pielęgnowała ją w chorobie — odezwiała się Karolina w formie pociechy.

— W dzień śmierci powiedziała mi: „Pierwszy raz nie spóźnię się z odejściem“... Dwadzieścia sześć lat...

Głos jej złamał się.

Pani Kowalska ujęła ramię męża, ogarnęła ją niemal zabobonna obawa. Czy ma przed sobą dość długie życie, aby wynagrodzić drobne krzywdy, które wyrządzała najbliższym? Czy przyjdzie jej tyle razy powitać serdecznie biedną, osamotnioną Karolkę, ile razy dawała jej uczuć, że przychodzi nie w porę? Ile dane jej będzie odbyć wolnych przechadzek z mężem, w zadośćuczynieniu za te wszystkie, w których odmówiła mu swego towarzystwa? Czy uda jej się nawiązać korespondencję z kuzynką Celiną, z którą zerwała stosunki i którą oskarżyła przed ludźmi, jak się później dowiedziała, zupełnie niesłusznie? Czy przedtem nie otrzyma koperty z czarną obwódką na znak, że wszystko skończone? Czy przebaczy wszystkim żyjącym znajomym ich uchybienia, tak jak im przebaczy po śmierci?

— Trzeba drzewo obejmować w całości—powtarzała sobie za Karoliną;—sądzić ludzi za życia, jak się ich sądzi po śmierci.

— Słuchaj, Stachu!—rzekła tego wieczora do męża—postanówmy sobie od dziś zachowywać się względem naszych bliźnich i sądzić ich tak, jakby już nie żyli.

— Wspaniała myśl!—zawołał pan Stanisław szczerze uradowany — i oby twój bliźni tak samo traktował ciebie!

Pani Janina umilkła i przymknęła oczy... Nigdy jeszcze dotąd nie spojrzała na tę kwestję z tej strony.

Spis rzeczy.

	Str.
I. Szczęście rodzinne	3
II. Dwie matki	15
III. Przykład z góry	32
IV. Teściowa	42
V. Salony w Obrzydłówku	56
VI. Godność osobista	71
VII. Zemsta	86
VIII. Dwa kwiaty	100
IX. Dziękuję	116
X. Jak gdyby już nie żyli	129



WYDAWNICTWO IMIENIA M. BRZEZINSKIEGO.

M. BOGUSŁAWSKA.

—•••—

OFIARA WIKTOSI

POWIEŚĆ.


WYDANIE TRZECIE.


WARSZAWA

„Księgarnia Polska” Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej.

1921

To, o czem opowiadać będę, działo się przed laty osiemdziesięciu.

Ile to zmian na świecie przez ten czas zaszło! Ludzie powymierali, nowe pokolenia przyszły na świat i młodość przeżyły. Ile to lasów znikło, ile rzeczulek wyschło, ile wiosek zgorzało, a pobudowało się nowych! Przed osiemdziesięciu laty ludzi było mniej, niż teraz, fabryk było niedużo, maszyn parowych jeszcze u nas prawie nie znanō, dróg żelaznych ani telegrafów nie było. Jeśli komu wypadło jechać o mil trzydzieści lub dalej, to podróżował dni kilka, a przez całą tę drogę nie słyszał takiego, jak dziś, zgrzytu i świstu maszyn, stuku młotów; do uszu dochodził tylko głos ludzi i zwierząt domowych lub ptactwa. Było ciszej, spokojniej i może piękniej, niż teraz. Ależ zato ileż trudu pomieść trzeba było w niejednem przedsięwzięciu, które dziś wydaje się drobnostką!

1.

Przy blasku zachodzącego słońca na początku wiosny wesola gromadka, złożona z kilkunastu chłopów, kobiet i dziewcząt pstro ubranych, szła ścieżką między sztachetami ogrodu a zieleniejącem polem, które oddzielało dwór od wioski.

Młodzież śmiała się i potraçała, a starsi gawędzili, idąc wolno i niedbale, znać zmęczeni całodzienną pracą. Nagle jedna z dziewcząt zaczęła śpiewać donośnym głosem:

„Powiedzieli matka, ojciec,
że nie umiem chleba upiec“...

I w tejże chwili cała ta gromadka spracowanych ludzi zawtórowała jej jednogłośnie. Darły się dziewczęta, hukaly chłopaki, śpiewały piskliwym, przekrzyczanym dyszkan-tem baby. Zdawało się, że wszyscy ci ludzie nie zaznali zmęczenia, że wracają z sutych chrzcin lub wesela; a oni! szli uznojeni potem, ze strudzonemi członkami, ale też z lekkim sercem, czując, że zrobili, co do nich należało, i że będą mieli teraz kilka godzin zupełnego spoczynku.

Wies ciągnęła się dwoma rzędami chat po obu stronach drogi, pełnej teraz kurzu, ptastwa i krzykliwych dzieci. Kilkoro z nich zerwało się biec ku rodzicom. Pośpieszały szczególnie dziewczuchy, podlotki z niemowlętami na rękach, rade, że żrząc z siebie nudny obowiązek niańczenia.

Przy każdym domu ubywało z gromadki po kilkoro ludzi, tak że do ostatniej chaty szły już tylko dwie kobiety. Młodsza, w brudnem i zniszczonem ubraniu, niosła na ramieniu łopatę, którą musiała cały dzień coś robić w polu; starsza, odświętnie ubrana, w trzewikach i w dużym białym czepku na głowie, wracała chyba z kościoła lub z gościnicy.

Chata, do której się zbliżały, była najlichsza w całej wsi, o ścianach pokrzywionych i popsutym dachu. Na progu chaty siedziała kobieta lat trzydziestu kilku, nędznie ubrana, skulona, z łokciami opartemi na kolanach, z brodą spoczywającą na splecionych rękach. Twarz jej wychudła, czerwone wypieki na policzkach, oddech ciężki a szybki i kaszel częsty świadczyły, że nie przez lenistwo siedziała beczynnie, gdy inne kobiety w pocie czoła pracowały.

Młodsza z nadchodzących niewiast przyśpieszyła kroku.

— Jak się macie, kumo? — rzekła, podchodząc ku siedzącej. — Mam pociechę przy robocie: idąc od roboty, spotkałam się z matką. Przyszli na starych nogach, żeby niedzielę świętą ze mną i z wnukami przesiedzieć.

— Niech będzie pochwalony! — rzekła nadchodząca teraz stara.

— Na wieki wieków. O ła Boga! Kumoszka mówi

o waszych starych latach, ady wy, Józwowo, trzymacie się jak młoda, a zdrowiem wam, na psa urok, z twarzy patrzy — mówiła urywanym głosem siedząca w progu.

— A zdrowam, zdrowam, chwała Panu Jezusowi; ale co wy, Pawłowo, to nie daj Boże jak wyglądacie! Suchociska, czy co?

— A dyć chyba suchociska. Kaszel dzień i noc mnie męczy, rano febra trzęsie, w nocy gorączka, a co sił, to ani tyle, żeby palcem ruszyć. Pluję też, a co splunę, to z krwią.

— To już wam niedługo żyć na tym świecie; ot, płuca wypływacie, a jak ostatni kawałek wypłujecie, to już wasza ostatnia godzina będzie.

Chora narażenie na to nie odpowiedziała, ale po chwili łzy ciche gradem poczęły spływać po jej zwiędłej twarzy.

— Nie strach mi umierać, ale tej sieroty mi żal, ciężko mi będzie Wiktosię zostawić.

Łkanie i kaszel przerwały słowa chorej.

— Ot, nie martwilibyście się po próżnicy, kumoszko! Co dziewczynie te wasze łzy pomogą? Chociaż Pan Bóg sieroctwo na nią dopuści, toć jej nie opuści. Niedarmo ksiądz proboszcz mówi: Bóg nad sierotami. A ona też ludziom pomoc potrafi, do wszelkiej roboty zda się, to ją każdy chętnie do siebie przygarnie.

— Nie będzie jej tak, jak u matki — vzdychała chora. — Żeby to choć ojca miała; ale Bóg wie, czy on żyje, a jeśli i żyje, to gdzie się obraca? Choćby kiedy Wiktosia go i spotkała, toby go nie poznała, ani on jej.

— Ba, o tem to i darmo mówić.

— Nie chodziliście do dziedziczki po lekarstwo? — zapytała stara.

— Chodziłam. Dziedziczka mnie dwa razy do doktora posłała, ale albo to doktor mi pomoże? Każe dobrze jeść, pić, żeby do sił przyjść, a mnie skąd na to?

— Słuchajcie, Pawłowo, — przerwała znów stara — pewno, że doktor niezawsze pomoże, niezawsze i potrafi;

ale tam, gdzie doktor nic nie robi, to czasem jeszcze Pan Bóg odrazu chorobę w samo zdrowie przemieni. Ot, żebyście się tak do Najświętszej Panienki udali, toby wam może i pomogła.

Chora, powątpiewając, machnęła ręką.

— Mnie tam już tylko grudka ziemi na oczy.

— Nie gadalibyście tak, kobieto! W naszej wsi, we Psiunie, syn wójtowej zaniemógł tak, że ani palcem. Chłopak dwudziestu lat, zdrow, tęgi, tylko kosę w rękę brać, aż tu jednej zimy jak się położył we wilję Matki Boskiej Gromnicznej, to jakby mu co nogi odjęło. Bolało go w krzyżu, darło w nogach, schudł jak ta szczapka. Ojciec go z parobkiem z łóżka dźwigać musieli, kaleka i tyle. Wójt doktorów zwoził, nic nie pomogli. Powieźli go do księdza, do Orłówka, co różne choroby leczył, to mu dał jakiś plaster na krzyż i na nogi, i to nic nie pomogło. Ale że to wójtowa była nabożna kobieta, więc powiada jednego razu: „No, synku, ludzie ci nie pomogli, pójdźmy teraz do Matki Boskiej o pomoc; jak Ona nie poradzi, to już ci całe życie kaleką być“. Jakoż pojechali do Częstochowy. Co mieli utrudzenia i kosztu z tym kaleką w takiej dalekiej drodze, to mieli. Ale jak go wciągnęli do tej kaplicy, jak padł na twarz przed Najświętszą Panną, tak trzy msze święte przeleżał krzyżem, a ryczał takim płaczem, że aż na cmentarzu słyszać było... Trzecia msza się skończyła, ojciec i matka chcą go podnieść, a on mówi: „dajcie mi pokój! Królowa Nieba sama mnie podniesie“. No i dźwignął się na kolana, i wielkim głosem „Witaj, Królowo Nieba“... odmówił. A potem wstał i o własnej sile wyszedł z kaplicy. Tak to ta nasza Matka Najświętsza można i łaskawa.

Józwowej głos zadrżał przy ostatnich wyrazach, a i dwóch drugich kobiet oczy łzami zasłzy.

— Tak, wszystko to może prawda, — odezwała się Pawłowa — ale gdzie mnie myśleć o tem! Jechać w taką drogę to kosztuje pieniędzy niemało, a ja skądbym ich wzięła?

A iść nie mogę; jak idę przez chałupę, to się ściany trzymam i zaraz sięść muszę.

— Pewno! ha, ciężko pomyśleć, że i tego nie można. Gorzka dola!

Obie kobiety pokiwały głowami.

— No, chodźcie matko,—odezwała się wreszcie młodsza.—Nie wiem, czy Franka wieczерzę narządziła, a i dzieciaki zawołać trzeba. Zostańcie z Bogiem, kumoszko! zrobię dziś zacierek z mlekiem, to i wam przyślę.

— Bóg zapłać, kumoszko! bywajcie zdrowi, Józwowo!

Dwie kobiety weszły do sieni. Przed niemi mignęła wysmukła dziewczyna i wpadła we drzwi na lewo, gdy kobiety wchodziły na prawo.

— To Wiktosia? — spytała stara.

— Tak, Wiktosia; ciekawska, podsłuchiwała historii o wójtowym synu.

— Galanta dziewucha! Ile ma lat?

— Pewno się jej na czternasty obróciło.

— Duża, większa od Kasi, a młodsza.

— Gdzie Kasi do niej! Ona do każdej roboty pierwsza: i obiad zgotuje, i upierze, i sprzątnie. A jak ona koło matki chodzi! A moja Kaśka to co! Do roboty pędzić, prosić trzeba.

Tak gderala Piaskowa.

Tymczasem Wiktosia wysunęła się znowu z izby i zbliżyła się do siedzącej wciąż w progu matki.

— Chodźcie do domu, matusiu; doktor nie kazał wam być na dworze, jak słońko zajdzie. Wieczera też zarutko będzie.

Pomogła matce wstać.

— Moja ty niebogo, — mówiła Pawłowa, idąc wsparta na córce — co tobie za dola ciągle chorą matkę dźwigać, biedactwo!

— Ot, nie mówilibyście tego, matusiu! Mnie jeszcze Panu Bogu dziękować, że przy was jestem; bo gdybyście

mnie gdzie w służbę oddali daleko, to nie wiedziałabym może nawet, że wy tu chorujecie.

— Gdzie jabym ciebie do służby dawała, córuchno! Ciebie mam jedną na świecie, bo ojciec, kto wie, czy żyje... Chyba go na wojnie zabili, bo tyle lat ani listu, ani żadnej o nim wiadomości niema... Ot co mi po nim zostało: ten krzyżyk, co go nieboszczyk jego ojciec w nagrodę dostał.

I wydobyła z za koszuli śliczny złoty krzyżyk z Panem Jezusem; ręce i nogi Zbawiciela były brylantowymi gwiazdkami przytwierdzone.

Pawłowa pamiątkę tę pobożnie do ust przycisnęła.

— Jak to było z tym krzyżem? opowiedzcie mi raz, matko — rzekła Wiktosia, u nóg jej na małej ławeczce przysiadając.

— Dobrze, córuchno, mogę powiedzieć, boś już w tym wieku, że z uwagą słuchać potrafisz.

— Ale może was to zmęczy, matusiu?

— Nie turbuj się o to, Wiktuchno; radam ja, że o tem pogadam. Dawno to było, bo twój ojciec małym był dzieckiem i chował się przy swym ojeu, co służył we dworze. Mieszkali w owe czasy we wsi Dłutowie wedle Kalisza, która do pana Garbowskiego należała. Dziedzic to był dobry, ludzki i sumienny, dziedziczka też była choć do rany przyłóż; ale szczęścia w życiu nie mieli, bo im dziatki okrutnie wymierały. Pozostał im tylko syn jedynak, ale chłopiec jak małowanie, co wszystko wziął dobre z ojca i matki. Rodzice go okrutnie miłowali. Skończył już lat osiemnaście, z nauk do domu powrócił i rodzice cieszyli się jedynakiem. Aż tu raz zimą poszedł się ślizgać na rzekę. Dziedziczka godziny bez syna zostać nie lubiła, więc zaraz za nim jakoś na brzeg przyszła. Przestrzegała syna, żeby nie upadł, nogi nie złamał, albo, broń Boże, nie wpadł w przerwębel. A panicz, jeżdżąc sobie na łyżwach, do niej się śmieje i pocałunek ręką od ust posyła. Twój dziadek wtedy trzcinę na brzegu wycinał z innymi chłopami i to wszystko widział i słyszał. A na drugim brzegu, co na słońce był wy-

stawiony, lód jakoś odmiękł. Panicz o tem nie wiedział i w tamtą stronę się skierował. Wtem pani krzyknęła, jakby ją kto nożem ugodził, bo spostrzegła, że syn załamał się na lodzie... Dziadek patrzy — panicz cały w wodzie, jeno rękami lodu się chwyta, a lód łamie się dalej... Nie-szczęśliwa matka na brzegu klęka i chłopów wielkim głosem zaklina, aby jej syna ratowali; onaby sama szła, nie-boga, ale sił nie ma. A ludzie jeno głowami kręcą; jak tam dojść, kiej lód łamie się, a każdemu życie miłe. Tylko twój dziadek nie myślał długo, wziął powróż, na lód się puścił i prosto w niebezpieczne miejsce bieży. Trzy kroki jeszcze niedostawało dziadkowi, a już się pod nim lód załamał. Ale że to chłop był silny, a pływał dobrze, więc mu się udało z wody na kawał lodu wydostać i sznur paniczowi rzucić. Ale biedak sił już nie miał i woda go zaczęła porywać. Wówczas dziadek, wymiarkowawszy, że z drugiej strony lód, pod który niesie panicza, jest mocny, skoczył wprost do wody, chłopca ręką złapał, na lód podniósł i położył. Jeno sam nie miał już sił na wierzch się wydostać i byłby poszedł na dno, gdyby nie to, że inni chłopci, widząc, jak twój dziadek życie narażał, nadbiegli z pomocą. Dziedziczka też zdołała przybiec do niego, i za to, że uratował jej ukochane dziecko, ten oto krzyżyk zaraz z szyi swej zdjęła i na pamiątkę mu oddała. Później krzyżyk ten z ojca na syna, na mego biednego Pawła przeszedł. Szanował bo szanował mój chłop tę pamiątkę, nie byłby jej oddał za żadne pieniądze. To też i ja, choć w ciężkiej bywałam i jestem biedzie, krzyża nie zmarnowałam. Jak ojciec twój szedł na wojnę, mnie ten krzyż dał do noszenia i w wielkiem staraniu mieć przykazał. I Bóg świadkiem, jak go szanowałam. Paweł z wojny nie wrócił, choć wszyscy, co z naszej okolicy poszli, popowracali. Parę lat czekałam, a gdy Pan Bóg mnie nie pocieszył, poszłam do służby i z państwem w te strony przyjechałam. Na co czekać dłużej; czyżby nie wrócił, gdyby był przy życiu?... Ale Pan Jezus chciał mnie zasmucić...

Zalała się łzami Pawłowa.

— Nie smućcie się, matusiu, ot gorączka was znowu bierze. Zagrzeję wam lipowego kwiatu.

W czasie tej rozmowy dziewczynka rozebrała matkę i położyła w łóżku czysto zasłanem. Do łóżka też przyniosła jej wieczерzę, a nakarmiwszy, ułożyła i okryła jak dziecko.

— Bóg ci zapłać, Wiktochno, Bóg zapłać! Do północks pośpię pewnie, ale co potem, to mi kaszel nie da.

Jakoż niebawem miarowy, ciężki oddech wskazywał, że usnęła.

Wiktosia zgasiła lampkę i na palcach wymknęła się z izby. Przed chatą słyhać było rozmowę: to stara Józkowa, jej córka, zięć i wnuki gawędzili, używając chłodu wieczornego. Wiktosia przysunęła się do nich nieśmiało.

— A to ty, Wiktosiu? — rzekła Pacholska. — Matka śpi?

— Śpi, nieboga. Do północks zawsze śpi dobrze, potem gorączka i kaszel nie dają.

— Kasiu, — odezwała się Pacholska do swej najstarszej córki — skocz do chałupy, zostawiłam na kominie miseczkę klusek z mlekiem; przynieś Wiktosi, duchem!

Kasia zniknęła we drzwiach chaty.

Wiktosia zbliżyła się do starej Józkowej i szepnęła:

— Ja z wami, matko, chciałam pomówić; możebyście poszli do chałupy?

Józkowa popatrzyła bacznie w poważną, smutną twarzą dziewczęcia.

— Poradzić się was chciałam — rzekła nieśmiało Wiktosia.

Kasia właśnie wróciła z miseczką w ręku.

— Ot, wiesz co, Wiktuchno — rzekła Józkowa głośno, tak, żeby wszyscy słyszeli, — tu ci na wietrze strawa wystygnie prędko, chodź lepiej zjeść do chałupy, potem tu wrócisz.

Wikcia wdzięcznie spojrzała na starą i weszła za nią do chaty. Józwowa obtarła fartuchem ławę i zasiadła.

— Jeżeli chcesz, żebym ci jakie lekarstwo dała dla matki, to darmo; twojej matce już nic nie pomoże.

Wikcia nagle do kolan starej przypadła.

— Pomoże, matko; samiście mówili, że pomoże. Najświętsza Pamienka pomoże, Najświętsza Częstochowska.

— Pewno, tam jest nadzieja; ale gdzie taką chorą wieść, a co to kosztuje! toć to świat drogi!

— Wy byliście w Częstochowie?

— Trzy razy, chwała Panu Jezusowi; da Bóg na przyszyły rok na Wniebowzięcie znów pójdę.

— Ile to mil?

— Ile mil? Poczekaj... Stąd do Nowego Miasta będzie akurat 15, z Nowego Miasta do Przedborza pewno 11, a z Przedborza do Częstochowy jeszcze z 10 pewnością. Będzie razem że 40.

— Jeszcze coś, matko: a dużoście na to wydali?

— Pewno, że dość: 24 złotych bez furmanek, bom na piechotę szła, alem piękny obraz i medalików kupiła.

— Z furmankami kosztowałyby ze 30 złotych?

— Co ty gadasz, dziewczyno? z furmankami tam i z powrotem i 60 złotych byłoby mało.

— O Jezu! 60 złotych!

— Skądżebyś ty tyle wzięła, dziewczę?

— Do odpustu na Zielone Świątki jeszcze daleko, siedem tygodni — odrzekła Wikcia.

— Ale i 60 złotych to wielki grosz.

Wikcia posmutniała i milczała chwilę.

— Jak tam jechać? — spytała po chwili.

— Ano, jak mówię: przez Nowe Miasto, Przedbórz i różne wsie i miasteczka. Drogę poznam, ale nazw nie pomnę. Ale co to o tem mówić, moja mała? skąd tobie na tę podróż! Ot, idź spać, niebogo, ofiaruj Pannie Najświętszej tę dobrą intencję, jak mnie proboszcz kazał,

kiedy po śmierci mego Józwa nie mogłam iść do Liche-
nia, bo małego Stacha karmiłam. Idź spać, idź, Wiktuchno!

— Zostańcie z Bogiem, matko, Bóg wam zapłaci!

Wiktosia objęła starą za kolana i pocichutku wsunę-
ła się do swej izdebki. Tu uklękła przed tapczanem, któ-
ry służył jej za łóżko, a nad którym czerniał zniszczony
obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, i modliła się długo
a gorąco.

2.

Nazajutrz Wikcia po sprzątnięciu izby i nastawieniu
obiadu ogarnęła się schludnie i poszła na koniec wsi do
pani wójtowej. Była to młoda jeszcze i przystojna kobieta
a pełna fantazji, bo albo dobra i zadowolona ze wszystkie-
go, albo zła jak osa, gdy na nią „humory napadły“.

Kiedy się Wikcia zbliżała do domostwa wójtów, do-
szły jej uszu krzyki i szamotania: to pani wójtowa rozpra-
wiała się z dziesięcioletnim synem, wielkim nicponiem.

— Żle! — szepnęła do siebie Wiktosia — wójtowa
gniewna.

Poczekwała chwilę, a słysząc, że krzyki nie ustają, po-
szła w inną stronę, ku małej kapliczce. Posiedziała tam
trochę, westchnęła pobożnie i znów zwróciła się ku do-
mostwu wójtów. Cicho już tam było, tylko wyczubiony
chłopak płakał pod płotem. Wikcia nieśmiało weszła do
sieni i uchyliła drzwi do obszernej izby, stanowiącej ku-
chnię. Wójtowa robiła tam właśnie porządki z pomocą
dziewki służebnej. Spostrzegłszy Wikcię, wzięła się pod
boki i zawołała, brwi namarszczywszy:

— Widzę, że nietylko moje dzieciśka nygusy i dar-
mozjady, co to się tylko pod rękami kręcić potrafią, ale
i inne, i to takie stare dziewuchy, włóczykije, co wtedy,
gdy największa robota, to się po wsi włóczą, po cudzych
kątach spacerują.

— Nie na spacer ja tu przyszłam, pani wójtowo, je-
no wedle tej tiulowej chustki.

— Jakiej chustki?

— Chcieliście zimą, żebym wam chustkę na tiulu wyszyła; ja wtedy mówiłam, że nie mogę, że czasu nie mam przy matce, — ale teraz widzę, że czas znajdę, i gdybyście chcieli...

— Gdybyście chcieli... — wybuchnęła wójtowa; — toć chciałam, ale ty nie chciałaś! Miałam czekać, aż tobie się zachce? Kupiłam gotową za dwa talary i to taką, że przy niej twoją chyba kominy wycierać, albo za okno wyrzucić. A i ty się wynoś, darmożjadzie! Przypomniało jej się! Musiała ci bieda dobrze doskwierzyć, kiedy ci się robić zachciało, próżniaczysko!

— Pani wójtowo, — przerwała Wikcia, — ja nie proszę was o grosz, ani o nic. Chciałam zarobić, to prawda, ale też to miało iść za moją pracę. Czemu mi więc wymyślacie? Ja na to nie zasłużyłam.

Wójtowa popatrzyła na Wikcie, i już nic nie mówiąc, odwróciła się do swojej roboty.

Wikcia ze spuszczoną głową wyszła z domu wójta. Przystanęła i rozejrzała się wokoło, jakby szukając, dokąd ma iść teraz. Po chwili skierowała się ku bielejącej wśród drzew plebanji. Przechodząc koło ogródka, spostrzegła pannę Agnieszkę, gospodynię proboszcza; więc przyśpieszyła kroku i, śmiało otworzywszy furtkę, stanęła przed pocziwą, dobrze sobie znaną starą panną. Ale tu jakaś bojaźń ją nagle ogarnęła; spuściła oczy i skubała fartuszek, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Czego chciałaś, Wikciu? — zapytała panna Agnieszka.

Wikcia jeszcze niżej spuściła głowę i jeszcze bardziej szarpała fartuszek.

— Czy matka słabsza?

Wikcia głową wstrząsnęła.

— Chciałaś jeszcze lipowego kwiatu?

Nowe wstrząśnienie głowy.

— Chcesz o co prosić księdza proboszcza? — Nie. —
Więc czego chcesz, u Pana Boga, mów! czyś oniemiała?

— Ja chciałam prosić... to jest ja chciałam się zapy-
tać... chciałam wiedzieć...

— Śmiało, dziewczę, o co chciałaś prosić?

— Ja chciałam roboty...

— Roboty chcesz? Możebyś się najęła do ogrodu?

— Nie, z domu odchodzić nie mogę, matka słaba, zo-
stawić nie sposób.

— To chciałybyś roboty do domu? Ale skąd ja ci we-
zmę taką robotę? Len już oprzędzony, szyć bielizny nie
umiesz.

— Na tiulu ładnie potrafię, — szepnęła nieśmiało
dziewczynka — panienka ze Szerbówki mnie uczyła.

To mówiąc, wydobyła z pod chustki starannie złożony
batystowy fartuszek, otoczony szeroką falbaną tiulową,
bardzo ładnie haftowaną. Panna Agnieszka wzięła fartu-
szek w chude palce i, podnosząc wysoko do oczu, bo wzrok
miała krótki, nie mogła powstrzymać wykrzyku zdziwienia.

— Toś ty sama wyszywała, Wikciu? — Ja. — Śliczna
robota, warta kilkanaście złotych. Ale mnie co po takich
pięknościach! Stroić się przestałam, na podarki także mnie
nie stać, chyba pod głowę do trumny. Idź z tem, dziewczę,
ze mnie nie zrobisz kupcowej na to. Idź z Bogiem!

W oczach Wikci łzy błysnęły.

Panna Agnieszka popatrzała na nią i, kładąc rękę na
jej ramieniu, odezwała się powolnym głosem:

— Widać ci bardzo pieniędzy potrzeba i chcesz zaro-
bić własną pracą. To dobrze, moje dziecko... Ja tego nie
potrzebuję, ale spróbujemy gdzieindziej. Młynarz wydaje
córkę zamaż, a to zamożny człowiek, może im do wypra-
wy będziesz mogła co zrobić.

To mówiąc, panna Agnieszka poprawiła na głowie żół-
tą perkalikową chusteczkę, zdjęła przybrudzony fartuch
i wolnym krokiem poszła w stronę osady młynarskiej,
a Wikcia za nią. Weszły do sieni domu i panna Agnieszka

skierowała się do izby na lewo. Porządek tam był wzorowy. Dwie Emslówny, Eliza i Klara, szyły pilnie bieliznę. Ujrawszy pannę Agnieszkę, Eliza wstała i odezwała się wesoło:

— Oho, panna Agnieszka rzadki gość, pewno za interesem.

— Jużci za interesem. Albo to mam czas na próżne chodzenie? albo to i wy czas macie? roboty mało?

— Oj, nie brak jej, nie brak — odrzekła Eliza.

— Wyprawę szyjecie?

— Przecie pora: wesele na Zielone Świątki.

— Fiu, co za eleganckie koszule! dziedziczka nie ma lepszych. Już to cała wieś mówi o tem, jaką paradną wyprawę szykuje panna Eliza.

Dziewczyna pokraśniała z dumy, a panna Agnieszka mówiła dalej:

— Przyszła dziś do mnie Wiktosia Dąbkówna, przyniosła pokazać robotę na tiulu. Dziewczyna wyszywa jak królowna, ale co mnie po tej elegancji? Myślę sobie, panna młynarzówna paradną wyprawę szykuje, jej może się coś takiego przydać. Pokaż, Wiktosiu, robotę!

Dziewczę nieśmiało rozwinęło.

Obie Emslówny pochwyciły zwawo jej robotę i, przyglądając się ciekawie, zaczęły widocznie podziwiać, szepcząc coś między sobą. A panna Agnieszka dalejże wychwalać:

— Takie na tiulu firanki, kapy na łóżka, serweta na komodę, czepki, fartuchy, chustki, wszystko ładne, kto tylko ma na to pieniędzy trochę.

W tej chwili weszła młynarzowa. Eliza rzuciła się ku niej, ściskając i krzycząc:

— Mama, mama! takie kapy na łóżka i poduszki różową gazą podszyte byłyby cudne!

Wszczęła się żywa rozmowa. Dziewczęta zachwalały, podtykały robotę pod oczy matce. Ta oburknęła się trochę, dowodząc, że siatkowe kapy taniej kosztować będą. Po dłu-

gich jednak prośbach Eliza dokazała tego, że namówiła matkę przynajmniej na kapy do poduszek. Rozpoczęły się targi o cenę. Wikcia milczała, ale panna Agnieszka dobrze broniła jej sprawy, i stanęło wreszcie na tem, że pani Em-słową dostarczy tiulu i bawełny, a za robotę po dwa talary od sztuki zapłaci. Jako zadatek dostała Wikcia pięciozłotkę i, zawijając ją starannie w rożek chusteczki, wyszła za panną Agnieszką, przeprowadzaną przez krzykliwe Em-słówny.

— No, moje dziecko, — rzekła księża gospodyni, gdy Niemki odeszły — wytargowałam, jak mogłam. Praca cię czeka duża, ale pamiętaj przynajmniej, żebyś, wzięwszy te pieniądze, nie zmarnowała ich na byle co.

— Nie zmarnuję, nie — zawołała Wikcia.

— No, wstąp jeszcze na plebanję, dam ci trochę kaszy i miodu dla matki; ksiądz proboszcz pytał się już o nią parę razy.

W kwadrans potem Wikcia, wracając ku chacie z worczkiem kaszy i garnuszkem miodu, myślała po drodze: „Zarobię cztery talary, ale skąd resztę wezmę? Ha, chyba Pan Bóg mi dopomoże“.

— Matusiu, — rzekła, wchodząc do chaty — takie teraz dnię długie, do roboty nie chodzę, więc umyśliłam, że warto sobie przypomnieć haftowanie na tiulu. Młynarzo-wa chce, żebym jej córce wyszyła kapy na poduszki, więc się zgodziłam. Cztery talary dostanę za to.

— Moje ty dziecko, znowu całe dnię nad robotą siedzieć będziesz.

— Kiedy ja to lubię, matusiu.

— No, to i dobrze, że sobie coś zarobisz. Z wszystkiegoś wyrosła, aż niemiło spojrzeć na cię: czysta gęś podskubana. Sprawisz sobie sukienkę na Zielone Świątki.

— Ani mi w głowie sukienka. Nie na to ja będę pracowała.

— Tylko na co? może mnie wystroisz? Oj, potrzeba,

17
potrzeba mi strojów! Do trumny w byle czem dobrze mi będzie.

— Już o trumnie nie gadajcie aby! Powiem wam, co zrobimy z temi pieniędzmi; nie zgadlibyście, matusiu! Oto pojedziemy do Częstochowy.

Dąbkowa zdumionemi oczyma popatrzała na córkę.

— Co ty mówisz, dziewczyno? W głowie ci się odmieniło, czy co? Ty ze mną do Częstochowy? Zamężylabyś się w drodze. A i pieniądze? Myślisz, że się zajedzie za 24 złote? Nie gadaj, nie myśl o tem, córuchno!

Wikcia u nóg matki na ziemi usiadła i głowę na jej kolanach położyła.

— Pojedziemy, matusiu, pojedziemy. Cztery talary nie starczą, ale ja mam jeszcze niebieski jedwabny fartuszek, dziesięć złotych dawała mi za niego Julka, i mam ten biały, wyszyty, też z pięć złotych dostanę, a może i jeszcze co zarobię. Grosz do grosza złożymy to wszystko, będziemy brały furmanki od wsi do wsi, matula mi się nie zmęczy z nadto, a przed Najświętszą Panią się pomodli i Matka Boska odmieni wszystko i zdrową matulę do domu dowiozę.

Pawłowa płakała cicho. — Moja ty pociecho, moja ty najlepsza! Bóg ci zapłaci, córuchno, ale naco to? Nie dla takiej grzesznicy, jak ja, Pan Bóg ma cud sprawić. A potem, ja się śmierci nie boję, bo wierzę, że choć trochę w czyśćcowym ogniu pocierpię, to jednak do królestwa niebieskiego wejdę. Tylko mi ciebie żal, sieroto! Gdybyś ty ojca miała, spokojniebym umierała. Ale ten strach, że do służby pójdziesz, między obcych, co cię może poniewierać będą, to mnie aż drze coś w sercu.

— Nie mówicie tak, matusiu! Pan Bóg nas nie opuści.

— Jak mi Pan Bóg dał ciebie, córuchno, twój ojciec był w wojsku. Myślałam sobie wtedy, jak on cieszyć się tobą będzie, gdy powróci; ale on nie wrócił, mnie wdową, ciebie sierotą zostawił...

— Bóg tak chciał, matusiu, a teraz chce, abyśmy trochę mitręgi w drodze do świętej Jasnej Góry użyły. Wyna-

18
grodzi nam to na twojem zdrowiu. Jak ja się cieszę, matu-
siu, jak ja się cieszę, że się przed tą cudowną Panienką
pomodłę!

3.

Wikcia pracowała zawzięcie. Wstawiała przed słońcem, uprzątała izbę, przygotowywała śniadanie i siadała do ha-
ftu; to też miesiąc nie minął, a kapy zostały pięknie wy-
kończone. Wdzięczna panna Eliza, prócz należnych czterech
talarów, podarowała Wikci fartuszek różowy płócienny,
nieco rozdarty przed paru dniami.

Wracając z młyna i ściskając w dłoni pieniądze, Wi-
ktosia przemyśliwała, skąd teraz wziąć więcej. Za fartusz-
ki jedwabny i muślinowy spodziewała się dostać jeszcze
trochę pieniędzy, ale to wszystko za mało. Mogłaby coś za-
robić przez miesiące letnie, chodząc do żniwa; ale czy ona
może pozostawiać tak chorą matkę przez dzień cały? Zre-
szta, zarabiając po kilkanaście groszy dziennie, musiałyby
pracować kilka tygodni, a tu jeszcze do żniw daleko, a mat-
ka coraz słabsza. Wikcia tak pragnie jej powrotu do zdro-
wia! Nie, ona musi, musi zawieźć matkę na Zielone Świąt-
ki, choćby przez całą drogę sama nie jeść nie miała. Choć-
by przyszło jej od drzwi do drzwi chodzić, prosząc o robotę,
— będzie chodziła, będzie pracowała, będzie się morzyła
i zbierze tych kilkanaście złotych...

Skierowała się śmiało ku plebanji. Pannę Agnieszkę
zastała w kuchni zarabiającą ciasto na bułki; z wdzięcz-
nością objęła ją za kolana i ucałowała rękę.

— Jak się masz, Wikciu? cóż tam? robota idzie?

— Już odniosłam, proszę pani.

— A toś zuch, nie lenisz się, widzę.

Wikcia znowu do ręki jej się schyliła.

— Ja przyszedłam właśnie prosić, czyby pani gospodyni
nie znalazła jeszcze kogo, coby mi znów dał robotę.

Panna Agnieszka ze zdziwieniem spojrzała na Wikcię.

— Coś, widzę, chce ci się majątek zrobić! Niedobrze

jest być łakomą na pieniądze. Toć tych dwadzieścia cztery złotych na jakiś czas starczyć ci powinno. Kartofle w domu masz, groch masz. Chyba chcesz matkę do doktora do miasta wieść? Ale to próżno, dziecko: tu doktor nie pomoże.

Wikcia do kolan jej przypadła.

— Prawda, prawda; chcę matkę do miasta zawieść, ale nie do doktora, tylko do Najświętszej Panienki.

— Do Częstochowy chcesz wieść? — spytała panna Agnieszka.

— Tak — szepnęła dziewczyna.

Powieki panny Agnieszki zaczęły szybko mrugać i wargi drżeć; znać było, że za chwilę rozplacze się ze wzruszenia; ale nagle drgnęła, bo za plecami jej dał się słyszeć głos męski: — Chodźno, Wikciu!

Był to proboszcz. Chodząc po ogrodzie, usłyszał rozmowę w kuchni i stanął w oknie z twarzą poważną, pogodną.

Wikcia zmieszała się okropnie.

— Chodźże, mała, do ogrodu! — powtórzył proboszcz łagodnie.

— Idź, Wiktosiu, kiedy cię ksiądz proboszcz woła — rzekła panna Agnieszka.

Wikcia poszła nieśmiało. Proboszcz siedział pod rozłożystym kasztanem i ręką dał znak dziewczynie, by się zbliżyła:

— Słuchaj, dziecko, — rzekł łagodnie — słyszałem twoją rozmowę z panną Agnieszką... Chcesz matkę wieść do Częstochowy... ślicznie to, że tak gorąco wierzysz w pomoc Najświętszej Matki; lękam się jednak, czy w tym razie nie doznasz zawodu. Pan Bóg, skutkiem wielkich grzechów naszych, coraz rzadziej raczy łaskę cudu nam wyświadczać. Wie przytem lepiej od nas, co dla nas szczęściem być może, i często nie udzieli tego, o co Go najgoręcej prosimy. A ty skąd wiesz, że matka twoja byłaby szczęśliwa, wróciwszy do zdrowia?

Wikcia łyzy połykała, nie nie odpowiadając.

— A jeżeli powrócisz z Częstochowy z matką jeszcze bardziej chorą, niż teraz, czy nie uczujesz żalu, że Bóg tylu trudów i ofiar twoich nie nagrodił? Widzisz, do Częstochowy ciągną tysiące, prosząc Pana Boga o cud, a ledwie ktoś kiedyś cudu doświadczy. Czy jesteś pewna, że matka twoja będzie jedną z tych wybranych?

Wikcia głową wstrząsnęła.

— Moje dziecko, wiedz i pamiętaj, że Pan Bóg jest wszędzie i wszędzie jest jednakowy. A jeżeli wybrał pewne miejscowości, w których częściej cudu dokonywa, to dlatego, żeby ludzie mogli składać na ofiarę nie tylko coś ze swego mienia, ale też swe trudy. Pan Bóg widzi, że ty taką ofiarę już składasz, widzi też twoje szczere chęci i nie wymaga ofiary większej nad twoje siły i nad siły twej matki, która jest taka słaba.

Po chwili milczenia proboszcz zapytał:

— No, moje dziecko, co myślisz teraz o tem?

Wikcia załzawione oczy na kapłana podniosła, potem schyliła się do jego kolan.

— Powiozę, — szepnęła — może Pan Bóg pociechy nam udzieli. A jakby i nie, to zawsze przecie matka się pocieszy, że Najświętszą Panienkę Częstochowską zobaczy.

Proboszcz z rozczuleniem spojrział na mówiącą, potem kładąc rękę na jej ciemnych włosach, szepnął:

— Jedźże więc w imię Boże! A że nie chcesz prosić ludzi o zapomogę, tem lepiej. Bóg już ciebie samą wynagrodzi za to. W każdym razie jednak trzeba ci pomóc. Ot pojedziemy do dworu w Starej Wsi, może tam znajdzie się robota dla ciebie.

I zacny proboszcz wziął kapelusz i kij w rękę, bo we dworze był pies złośliwy, i poszedł drogą w stronę Starej Wsi, niemal o dwie wiorsty odległej. Wikcia nieśmiało szła za nim.

We dworze przyjęto ich bardzo uprzejmie. A gdy proboszcz przedstawił smutne położenie Wikci i jej szlachet-

my zamiar, pani chciała ofiarować kilkanaście złotych. Ale proboszcz sprzeciwił się temu, prosząc jedynie o pracę dla dziewczyny, która nie jest i nie chce być żebraczką. Po namyśle i naradzie z mężem pani zamówiła u Wikci obrus na ołtarz do kościoła, pięknie na tiulu wyszyty.

Więc znowu rozpoczęły się dla dziewczęcia dni gorączkowej pracy. Wstawiała ze świtem, kładła się spać ostatnia we wsi, a dziewczuchy nie mogły jej wywabić na chwilę zabawy wieczorem. Jadła, połykając łapczywie strawę, aby i na to czasu nie tracić. Pobladała, twarzyczka jej się ściągnęła, oczy podkrzały się sinemi obwódkami, ale błyszczały zadowoleniem wewnętrznem. W duszy jej bowiem stał niewyraźny jeszcze, ale wspaniały widok klasztoru jasnogórskiego i cudownego obrazu Bogarodzicy, najwięcej zaś myślała o radości swej matki.

— Będziesz jeszcze zdrowa, matusiu, będziesz szczęśliwa — myślała sobie.

A przy tej myśli igła jej migotała z podwójną szybkością.

Robotę odkładała skwapliwie tylko wtedy, gdy matce trzeba było w czem dopomóc: to poduszki poprawić, to z łóżka podnieść, lub przed chatę na świeże powietrze wyprowadzić.

Dwa tygodnie nie minęły jeszcze, a obrus był gotów. Wikcia starannie go wyprasowała, złożyła i poniosła do dworu w Starej Wsi.

Serce jej biło jak młotem. Dziś weźmie pieniądze, jutro upierze koszule dla siebie i matki, a za trzy dni wybierą się w drogę, bo już wielki czas na to — za dwa tygodnie Zielone Świątki. Oby tylko matka ciężiej nie zachorzała!

Rozmyślając o tem, weszła na dziedziniec dworski i zbliżała się do ganku, na czterech słupach wspartego. Nagle z zamyślenia zbudziło ją gwałtowne szczekanie psa. Skoczyła w bok, lecz już wielki brytan rzucił się na nią i w jednej chwili przewrócił. Jednocześnie dało się słyszeć wołanie: — Nelson, tu! Nelson!

Pies w tej chwili odwrócił się i w podskokach, kręcąc ogonem wesoło, jak gdyby coś dobrego zrobił, w stronę ganku popędził.

Wikcia tymczasem podniosła się z ziemi ze stłuczoną głową i startym do krwi łokciem. Nie mówiąc słowa, otrzepywała sukienkę z kurzu. Nagle krzyknęła z przerażenia: tiulowy obrus rozdarty był w samym środku, a wyszarpnięty kawałek u nóg jej leżał.

Wikcia zakryła twarz rękoma, zapłakała głośno i bezsilna siadła na kamieniu, jakby ją kto z nóg ściął.

Ale od ganku szła już pani z córką. Obie, posłyszawszy szczekanie psa i wyjrząwszy oknem, widziały, jak się brytan rzucił na dziewczynkę. One to psa odwołały i biegły dowiedzieć się, czy nie zrobił jej jakiej krzywdy.

— Co tobie, mała? — rzekła pani. — Czy cię pies skaleczył? — Nie. — Potłukłaś się, padając? — To nie, ale ot co! — odrzekła Wikcia, pokazując obrus poszarpany.

— Rozdarty! szkoda, a taka ładna robota! — mówiła pani.

Wikcia wybuchnęła głośnym płaczem.

— Myślałam, że już pieniądze dostanę i pojedziemy w niedzielę! Co ja teraz pocznę, co pocznę?

Sporo czasu upłynęło, zanim pani i panienka zdołały ją uspokoić.

— Nie masz czego rozpaczać, — mówiła pani — szkoda da się naprawić. Tiul doskonale można podkładać. Ja naprawię to tak, że nikt się naprawki nie dopatrzy, a ty to miejsce znowu zahaftujesz. Możesz to zrobić po powrocie z Częstochowy, a ja ci i tak za tę robotę teraz zapłacę. No, no, przestań już płakać! Pieniądze będziesz miała, boć to i tak nasza wina, że pies nie był uwiązany i na ciebie się rzucił. No, daj obrus, idź do garderoby, ja ci tam pieniądze przyślę. Zosiu, zaprowadź!

— A mogę dać jej podwieczorek? Już piąta.

— Daj, owszem.

Wikcia podażyła za panienką do pokoju. Zosia po

chwili przyniosła kubek mleka i doskonałą maślaną bułeczkę. Potem uklękła naprzeciw dziewczęcia na ławce i oparłszy się obu łokciami o stół, mówiła:

— Słuchaj, Wiktosiu, ty jesteś bardzo dobra dziewczynka, bo tak kochasz swoją matkę. Ja chciałabym być taką, ale ja jestem najczęściej zła bardzo, nieposłuszna, leniwa i hardo odpowiadam. I widzisz, tydzień temu — tylko nie mów o tem nikomu! — ja byłam taka niegrzeczna, że mama się rozplakała. A mnie od tego czasu ciągle tak smutno, tak się boję, że mnie Pan Bóg okropnie ukarać może, mógłby nawet, wiesz, nawet zabrać mi mamę, kiedy jej uszanować nie umiem. Więc ja cię chciałam prosić, Wikciu, żebyś w Częstochowie pomodliła się za mnie, a także żebyś wzięła te oto pieniądze i zakupiła ode mnie mszę świętą na Jasnej Górze na intencję, żeby mi Pan Bóg pomógł poprawić się i być zawsze lepszą. Bo ja okropnie zła jestem. Resztę pieniędzy weź sobie na lepszą strawę dla matki, jak będziesz wracała.

— Nie, ja odwiozę panience.

— Ale weź, Wikciu, weź! Widzisz, mnie ksiądz uczył, że za grzechy trzeba ofiarować Panu Bogu modlitwę, post, jałmużnę i ofiarę mszy świętej. Ja już się na tę intencję modliłam i pościłam i na mszę dałam, teraz pozwól mi jeszcze czwartego warunku dokonać. Masz pieniądze, a schowaj dobrze, nie zgub, broń Boże! Kup mi też w Częstochowie medalik poświęcony! Ale czemu nie jesz?

Wikcia jak rak sponsowiwała.

— Jedz, Wiktosiu, jedz!

— Kiedy ja... niech panienczka przeciwna nie będzie... ja to matce zaniosę, jej mleko na kaszel trochę pomaga, a dla mnie i kawałek chleba dobry.

— Mój Boże, mój Boże! jaka ty jesteś dobra, Wikciu, jak ty zawsze o swojej mamie myślisz! Ale zjedz to, ja cię proszę, a matce zaniesiesz ode mnie butelkę mleka i drugą bułeczkę.

W tej chwili weszła pani z pieniędzmi za obrus. Zosia żywo opowiedziała, jaka dobra jest Wikcia, kiedy nawet podwieczorku wyrzec się chciała dla matki.

Pani delikatną ręką ciemną jej główkę pogładziła.

— Właśnie chciałam ci mówić, żebyś w wigilję wyjazdu do mnie przyszła, to dam ci na drogę dla matki trochę wina i lekarstwo od kaszlu.

— Dziękuję, dziękuję pani dziedzicze! Już ja się w Częstochowie za dziedziczkę i za panienkę modlić będę!

Mówiąc to, panią za kolana objęła, a Zosię po rękach całowała. Potem starannie zawiązała pieniądze w róg chusteczki, wzięła mleko i bułkę, i uradowana, szczęśliwa, pobiegła do domu.

— Matusiu, w sobotę wyjedziemy! Pojedziemy, pojedziemy! Uproście sobie zdrowie u Najświętszej Paniarki!

Dąbkowa przygarnęła dziewczynkę do siebie.

— Ja tam będę tylko o szczęście dla ciebie się modliła, za ciebie moje cierpienia ofiaruję, żebyś ty niedoli sieroczej nie zaznała. Gdyby Pan Bóg dał, żebym o ciebie mogła być spokojna, to umrę szczęśliwa, Bogu dziękując.

4.

Śliczny, pogodny poranek był owej soboty, gdy Wikcia z matką do Częstochowy ruszyły.

Sąsiad, bogaty gospodarz, ofiarował swój wózek z parą koni aż do pierwszego miasteczka o dwie mile drogi. Wyległa też cała wieś pożegnać Dąbkową z córką, bo pocziwy postępek Wikci wszystkich zainteresował.

Kobiety ścisnęły odjeżdżające, wkładając im do wozu rozmaite dary — ta butelkę mleka, ta garnuszek masła, ta miodu słoiczek, inna chleba. Nie było też końca poleceniem: „Macie, zakupcie mi za to mszę świętą...“, „Weźcie dla mnie woskową nogę i złóżcie przed Przemienieniem Pańskim, żeby memu staremu to darcie w nogach przeszło...“, „Pamiętajcie, kupcie mi piękny obraz złocony; pie-

niądze dałam wam wczoraj...“, „Przywieźcie mi trzy meda-
liki“ i tak dalej. Ale Stach, syn sąsiada, siedzący na prze-
dzie wozu, napędzał do pośpiechu:

— Skończta raz te ceregiele! Jechać czas, bo ojciec
kazali przed południem być z powrotem, a trzeba będzie
konie napoić i dać im wytchnąć. Odstąpta, baby, bo cho-
rą więcej zmorduje wasze pożegnanie, niż cała droga do
Częstochowy.

Złożono chorą na wozie, na którym prócz wonnego
siana piętrzyły się dwie poduszki i pierzyna. Kobiety się
przeżegnały i żegnane życzeniami i okrzykami zebranej
gromady, ruszyły w drogę. A była ona na początek ślicz-
na, wąska, cienista, wśród zarośli pełnych świergocącego
ptastwa. Wikcia również była wesola i szczebiotała jak
ptaszek. Aż Stach, co ją zawsze poważną i smutną widy-
wał, po razy kilka na nią się obejrzał ze zdziwieniem,
wreszcie odezwał się:

— Wiktosi to jeno potrząść się wozem trzeba, żeby
cały frasunek z niej obleciał, jak te igły z suchej choiny.

W Kołbieli zatrzymano się przed karczmą. Stach ko-
nie wyprzągł, ale kobietom radził nie schodzić z wozu,
ofiarowując się z wyszukaniem i wytargowaniem koni do
Góry, gdzie już miały na nocleg się zatrzymać. Dąbko-
wa leżała, odmawiając pacierze. Wikcia z wozu zeskoczyła,
szczyptę owsa ze żłobu wzięła, aby kury i wróble nakarmić.

Po jakimś czasie wrócił Stach, prowadząc wózek za-
przęgnięty w jedną chudą szkapę, powożony przez Żyda.
Wózek był niezbyt wygodny, a konisko ledwie nogami
przebierało, ale zato właściciel zgodził się tanio i obiecy-
wał dowieźć aż do samej Góry Kalwarji promem przez
Wisłę za małą dopłatą.

Nastąpiła męcząca przeprowadzka chorej z jednego
wozu na drugi. A gdy po dokonaniu tego Wikcia zwróci-
ła się do Stacha z pożegnaniem, serce jej się boleśnie
ścisnęło. Był to ostatni znajomy, a życzliwy pomocnik
i ostatni mieszkaniiec ich wioski, którego pozostawić mu-

siała. Kto wie, czy ich już zobaczy? Łzy otarła końcem fartucha.

— Bóg ci zapłać, Stachu, ostań z Bogiem! A po-
kłoń się jeszcze ojcom i podziękuj za wózek!

— Niech Pan Bóg szczęśliwie was prowadzi! — od-
rzekł Stach. — Na, masz to, Wikciu — dodał nieśmiało,
rzucając jej na kolana kilka obwarzanków, gdy już na
wozie siedziała.

Czas było Dąbkowej spocząć w Górze Kalwarji. Go-
rączka ją ogarnęła, na twarz wystąpiły wypieki. Prawie
nieprzytomną zdjęli ją Wiktosia z żydem furmanem z wo-
zu i do izby wnieśli. Chora kobieta, złożona na wózku,
usypiała ciężkim snem gorączkowym, a ściskając Wikcię
za rękę, szeptała wpół przytomnie:

— Żebym ja ciebie szczęśliwą widziała, sieroto!

5.

Mijały dni i noce, dni spędzone na trzęsących i wol-
no wlokących się wózkach, a noce w karczmach. Wikcia
matkę pielęgnowała, otulała, chłodziła, muchy z nad śpią-
cej opędzała, karmiła, poila, a starała się przytem zawsze
pokazywać jej twarz wesołą. Zresztą nie było o to trudno
dziewczynce, bo ile razy smutek, lęk lub zbytne zmęcze-
nie ją ogarnęło, to szeptała w duchu: „do Częstochowy, do
Częstochowy!“ i zaraz odwaga, siły i wesołość jej wracały.

W Nowem Mieście po przenocowaniu zatrzymały się
dłużej, na dzień i na drugą noc, bo matka była bardzo
zmęczona. Wikcia, ułożywszy chorą, usiadła przed karcz-
mą i cerowała spódniczkę, rozdartą przy złażeniu z wozu.
Wtem widzi coś niezwykłego.

Stara kobieta, nędźnie ubrana, i wyrostek bosy i ob-
darty ciągną niski wózek, w którym wśród łachmanów
leży starzec o twarzy prawie brązowej od promieni słoń-
ca, a tak pomarszczonej, że wyglądała niby jakaś pope-
kana skorupa. Oczy jego, otwarte szeroko, ale nierucho-

21
me i bez blasku, świadczyły, że był ślepy. Leżał spokojnie, beżwładnie, zdawało się, że duch jego uleciał z tego ciała, co pewno blisko wiek na ziemi się tulało.

Gromadka stanęła przed karczmą.

— Słuchaj, mała, — pyta Wikcię stara kobieta — czy tam w izbie jest miejsce?

— Jest, matko.

— A przyjmą tam starego z wózkiem?

— Lepiej starego do szopy wtoczyć, — przerwał wyrostek — mordęga z temi progami.

— A to może i do szopy — odrzekła stara.

— Jakto do szopy? takiego staruszka i chorego! — żywo zawołała Wikcia; — tam zimno, wieje i furmani przy koniach ciągle się kręcą, spać staruszkowi nie dadzą. Lepiej go do izby wtoczyć.

— A to go tocz sobie sama! — zawołał ze złością chłopak. — Dość się nadźwigam dzień cały za tych marnych parę groszy. W krzyżach mnie boli, tylko patrzeć, jak zacznę chodzić na czworakach. Wtoz sama! zobaczysz, jak to lekko!

— Matko, — rzekła Wikcia do żebraczki — możebyśmy poradziły same?

— O, bogać! żebvś tylko z tyłu dźwignęła, to ja pociągnę. Z tym nicponiem i tak więcej ciągnę, niż on, choć to chłop zdrowy.

I stara kobiecina wózek przed sam próg pociągnęła. Wikcia z tyłu go uniosła i choć z wysiłkiem, przez próg przeprowadziła, a potem sama już dyszelek ujęła i przez szeroką sień do izby wtoczyła.

Chłopak wszedł także tam z pewną miną, z rękami w kieszeniach, i kazał sobie podać wódki i chleba z kiełbasą. Stara do ognia garnek przystawiła i kaszę gotowała.

Wikcia wymknęła się zobaczyć, czy matka śpi, a gdy wróciła po jakimś czasie, zastała żebraczkę nad starym z miseczką kaszy.

— Nie chcę! nie chcę! — bronił się starzec jakimś stłumionym, jakby już zagrobowym głosem;—daj polewki!

— Skąd ja ci tu polewki dam? — ofuknęła baba. — Dużośmy zarobili, żebym ci piwa na polewkę fundowała? Za te dwanaście groszy i parę kawałków chleba, cośmy uprosili?

— To ja nic w usta nie wezmę — wyszeptał starzec z dziecinnym uporem.

— A to nie, choćbyś i zmarniał z głodu! Kto z tobą do ładu dojdzie?

Wikcia wysłuchała rozmowy, i serce jej się ścisnęło. Podeszła do szynkarki, prosząc o kufelek piwa. Osłodziła własnym cukrem, zagrzała przy ogniu, wkrajała chleba i serca, potem z dymiącym garnuszkiem na brzegu wózka przysiadła.

— Macie, dziadku, polewkę; jeno wam ostudzę.

— A kto ty?

— Ja Wikcia Dąbkówna, do Częstochowy chorą matkę ofiarowałam i wiozę. A wam polewkę przyniosłam.

— Bóg zapłać! Niech ci Pan Jezus wynagrodzi za dobre serce! Niech ci da wszystko najlepsze!

— Pomódlcie się, dziadku, bo wyście już bliscy Pana Boga, to was prędzej wysłucha; pomódlcie się, żeby moja matka ozdrowiała.

— Poco, poco mam się modlić o to? — wyszeptał starzec, zając podany sobie posiłek. — Czy ja wiem, co tobie Pan Bóg na szczęście przeznaczył i czy matce trzeba ozdrowieć? Ja jedno tylko ci powiem: Pan Bóg wie najlepiej, co człowiekowi potrzebne, i nigdy też nie proszę: „Boże, daj to albo tamto“, ale mówię: „daj, Boże, wszystko najlepsze“. Pan Bóg sam rozsądzi.

Zjadł polewkę, począł szeptać pacierze i mimo hałasu w izbie, prędko w sen zapadł. Wikcia się wysunęła i zająrzała do matki, a znalazłszy ją śpiącą, usiadła na progu. Wkrótce przysiadł obok chłopak, wyrostek.

— No, co? trzaśło ci w krzyżu, jakieś wóz dźwignęła? — zapytał ze złośliwym uśmiechem.

— W krzyżu mi nie trzaśło, tylko w sercu zabolało, że są tacy źli ludzie, co nad kaleką starym i zgrzybiałą kobietą nie ulitują się i w biedzie ich zostawić gotowi.

— Phi! wielkie rzeczy! — zawołał chłopak, nakładając tytoń do fajki. — Wielka tam dla nich bieda! A kto im każe do Częstochowy się włóczyć?

— Idą na ofiarę Matce Boskiej, pewnie o zdrowie dla starego.

Chłopak wybuchnął głośnym śmiechem i począł tłuc się dłońmi po kolanach.

— Na ofiarę! na ofiarę! — wołał, — a toś głupia! Idą do Częstochowy żebrać. Już ze dwadzieścia lat tam się włóczą i pieniędzy sporo uzbierali, tylko ta stara kutwa w łachmany zaszywa, albo może gdzie zakopuje. Oj, podpatrzę ja ją kiedy, a wtedy tyle ich będzie widziała!

I zamaszystym ruchem figę pokazał. Wikcia aż wtył skoczyła.

— Jak tobie nie wstyd pomyśleć tak nawet! — zawołała — jak ty się kary Boskiej nie boisz!

— A mało się to dla nich napracuję? Mało starego naciągam się, nadźwigam? Dziesięć groszy na dzień mi dają. Wstyd powiedzieć! Żeby nie to, że człowiek zarobi na Jasnej Górze, to przyszyłoby kopyta z głodu wyciągnąć. Ale tak przynajmniej tam biorę najgorsze łachy, czarne okulary z takimi dookoła klapami, jak na konia, i udaję ślepego, a ludziska grosze sypią.

I roześmiał się szkaradnie.

Wikcia ręce złożyła.

— I tobie nie strach tak oszukiwać Pana Boga tam, w tem świętem miejscu? Jak możesz spojrzeć na tych ludzi, co czyste serca do Boga niosą i jałmużnę dają? Toć ty przy nich jak błoto przy śniegu! I nie pomyślisz sobie, że ciebie Pan Bóg za to urągowisko na starość takim kalectwem skarać może?

— Widzicie ją, jaka pani! a sama pewnie pod Jasną Górą rękę wyciągnie.

— Niema strachu; pieniędzy mam dość, com je sama zapracowała.

— Wyciągniesz rękę, wyciągniesz, jak zgubisz pieniądze.

— O, ja dobrze ich strzegę: za gorsetem noszę, a nawet...

Urwała, bo w tej chwili usłyszała ciężki kaszel matki, i pobiegła do izby. Pawłowej tego dnia było gorzej, trzeba było lekarstwo na kaszel gotować. Wikcia kilka razy nocą wstawiała, aby je grzać na kominie, bo według przepisu sąsiadki tylko gorące było skuteczne. Rzeczywiście nad ranem chora usnęła spokojnie. Skoro zaś słońko weszło, zakrzętała się Wikcia koło przygotowania do dalszej drogi.

Kiedy matkę z pomocą furmana na wóz wsadzała, żebracy ruszyli także.

— My wpierw staniemy w Częstochowie — zawołał chłopak. — Ty, jak pani, jedziesz szerokim gościńcem, my, jak dziady, ścieżkami, ale zobaczymy, czy ci długo na furmana starczy.

I roześmiał się złośliwie.

— Szczęśliwej drogi! — rzekła Wikcia, nie zwracając uwagi na przymówki.

— Szczęśliwej drogi! — odpowiedzieli.

I ruszył wózek szerokim gościńcem; a żebracy zaraz za wsią skręcili w wąską drożynę leśną.

Dojechano szczęśliwie do Wielkiej Woli, wsi z kościołem i klasztorem. Pawłowa czuła się dziś lepiej, zdawało się, że i ją nadzieja zobaczenia Częstochowy ożywia i wlewa otuchę w jej skołataną duszę.

Wikcia umieściła matkę w gospodzie, gdzie też matka bardzo spokojnie noc przespaa, nie zbudziwszy się ani razu. Wikcia uszczęśliwiona była tym objawem i serdecznie Bogu za polepszenie dziękowała. Rano znowu wynajęła

wózek i wyszła przed dom, aby stojącemu na przyzbie karczmarzowi zapłacić. Sięga za gorset do chustki, w której zawiązane miała pieniądze, i nagle zbladła jak ściana. Chustki nie było! Nogi zachwiały się pod nią, poczęła gorączkowo gorset zdejmować, lecz nic z pod niego nie wypadło. Pieniądze z chusteczką zginęły.

6.

Nie wszystko Wikci skradziono. Połowę, przeznaczoną na powrót, oraz pieniądze cudze na różne zlecenia, miała ona zaszyte w woreczku, na szyi zawieszonym wraz z medalikami. Czuła je i w tej chwili. Ale tych pieniędzy, które miały służyć na furmanki i życie w drodze do Częstochowy, nie było. Co się z nimi stać mogło? Wypaść nie mogły, bo Wikcia starannie zasuwiała skarb swój za gorsecik. Musiał je ktoś wyciągnąć.

Na tę myśl nagle stanęła jej w pamięci złośliwa, niegodziwa twarz wyrostka, żebraka spotkanego w Nowym Mieście, i jego słowa, że niedługo im starczy na konie. Okrutną kradzież mógł popełnić nie kto inny, jak on. I serce dziewczyny ścisnęło się bólem na myśl, że jej rówieśnik, jeszcze prawie dziecko, chłopak wiedzący dobrze, co niedola, mógł jej nieszcześliwej taką krzywdę wyrządzić, okradając z grosza tak ciężko i na taki cel zapracowanego. I cóż ona teraz czynić będzie? co czynić będzie?

Usiadła na ławie i gwałtowne szlochanie wstrząsnęło jej piersią. Karczmarz już długą chwilę rozpytywał osłupiałą dziewczynę, co jej się stało, ale żadnej nie otrzymał odpowiedzi. W tej chwili z izby dał się słyszeć kaszel Pawłowej; Wikcia odrazu oprzytomniała.

— Cicho, cicho, nie mówcie matce! — zawołała, zwracając się do karczmarza. — Powiedzcie, żem poszła po chleb... po masło... co chcecie... Ale o tem nie mówcie!

I pobiegła prosto przed siebie, aby wypłakać te łzy gorzkie, co paliły jej powieki, aby zebrać myśli rozpierz-

chle i zastanowić się, co czynić. Na furmanki do Częstochowy i na wyżywienie przyjdzie brać z odłożonych pieniędzy. Na powrót nie starczy, przyjdzie gdzie na pół drogi pozostać. Chyba o jałmużnę prosić? Boże, ona, zdrowa, silna, ona ma rękę wyciągnąć! Albo jej matka, co całe życie tak uczciwie pracowała! Co za wstyd, co za boleść dla niej! Co robić, co robić?

Ręce załamała nad głową i biegła napół przytomna wprost przed siebie, nie wiedząc, co czynić. Nagle z tego odrętwienia obudził ją śpiew żałobny. Stała jak wryta, spoglądając przed siebie. Znajdowała się u wrót cmentarza, o kilkadziesiąt kroków przed nią gromadka ludzi wносиła do małej kapliczki prostą, z desek zbitą trumnę. Wikcia przyklękła przy bramie, odmawiając pobożnie wieczny odpoczynek za tę duszę, co w tej chwili stoi przed sądem Boga.

Ludzie, zostawiwszy trumnę w kaplicy, zaczęli wychodzić z cmentarza. Wikcia też skierowała się napowrót ku karczmie i ze smutnie zwieszoną głową wracała do swych rozmyślań. Nagle ktoś ją woła po imieniu. Obejrzała się, a tu za nią biegnie owa żebraczka, spotkana w Nowem Mieście.

— Niech będzie pochwalony! — rzekła Wikcia.

— Na wieki wieków! — odpowiedziała baba. — Stare oczy, a poznały ciebie zdaleka, i twego imienia nie zapomniałam. A ot, widzisz, mojego starego już odprowadziłam na cmentarz.

— Jako? To tego staruszka tam postawili w trumnę? — zawołała Wikcia. — Wieczny mu odpoczynek!

— A, umarł, umarł mi gołąbeczek! — poczęła zawodzić stara, ocierając łzy fartuchem. — Taki był cierpliwy, cichutki; ano Pan Bóg mi go zabrał na swoją chwałę, na moje udreczenie!

— Taki stary był wasz mąż, — rzekła Wikcia — że już mu się należał odpoczynek; lepiej mu tam w chwale niebieskiej, niż tu na ziemi.

— A co ja, co ja teraz czynić będę nieszczęśliwa? — lamentowała kobiecina.—Takiemu kalece, co dziewięćdziesiąt osiem roków miał, każdy coś rzucił; a jak jeszcze ja powiedziałam, że on sto dziesięć lat ma, to każdy patrzył, dziwował się i pieniądze chętnie dawał. A mnie samej teraz za co dadzą? Po co ja teraz pójdę do Częstochowy? Tam tylko sparaliżowanym, ślepym i bez nogi się powodzi.

Na wzmiankę o ślepych Wikci stanął w pamięci chłopak wyrostek i całej jej nieszczęście.

— A gdzie ten chłopak, co chodził z wami? — zapytała, oglądając się wkoło siebie.

— Poszedł sobie, niepoń! Wczoraj w lesie na drodze powiedział mi, że ma za co dojść do Częstochowy, i poszedł. Ja musiałam dalej starego sama ciągnąć, a we wsi najęłam innego chłopaka do pomocy, ale musiałam dwadzieścia groszy na dzień mu dawać. I takem doszła do Wielkiej Woli, do klasztoru. Tu już miałam spać się ułożyć, ale zaglądam do starego, a on ma oczy wstúp, gębę rozdziawioną i ani tchnie. Niedługo ostygł, jak ten lodu kawałek. Zmarł mi, zmarł mój mąż, mój ojciec.

I stara poczęła gwałtownie oczy i nos fartuchem obcierać.

— A teraz co zrobicie? Czy pójdziecie do Częstochowy?

— A pójdę, tylko wprzód muszę nieboszczyka pochować i wózek sprzedać; toć pustego ciągnąć nie będę, a zawsze mi za niego parę groszy dadzą.

Wikci nagła myśl błysnęła.

— A gdzie macie ten wózek?

— Zostawiłam pod klasztorem.

— Może ja go kupię od was; ukradli mi pieniądze, nie będę miała na furmanki, to tak matkę ciągnąć będę.

— Zwarjowałeś, dziewczyno! Albo to poradzisz?

— Pan Bóg mi sił doda.

— Gadanie! Zerwiesz się i koniec. Ale słuchaj, Wik-

ta: ja i tak do Częstochowy idę, daj mi codzień piętnaście groszy, to ci ciągnąć pomogę.

— Nie, sama poradzę.

— Nie poradzisz, na drodze padniesz. Bóg wie kiedybyś do Częstochowy zaszła. No, już dla ciebie i za dwanaście groszy pójde.

— Poczekajcie, pomyślę, policzę... Ile jeszcze dni trzeba iść do Częstochowy?

— A będzie kilka dni na dobre nogi.

— No, to zgoda — mówi po chwili Wikcia. — Będę wam dawała po dwanaście groszy na dzień, a wy mi drogę będziecie pokazywali i dopomożecie wieźć matkę.

Tak rozmawiając, zbliżyły się już do karczmy.

— Będę ja miała biedę z matką, zanim mi na to pozwoli — rzekła Wikcia.

— No, to pogadaj z matką, a ja tu poczekam.

I powiedziawszy to, stara przysiadła na kamieniu wprost okien karczmy. Widziała, jak Wikcia matce coś opowiadała, jak Pawłowa płakała, jak ją córka błagała za kolana ścisłała i po rękach całowała. Wreszcie wyszła dziewczyna przed dom zapłakana, lecz spokojna, i po krótkim tangu wózek nabyła.

Dwa dni i dwie noce jeszcze musiały kobiety spędzić w Wielkiej Woli, bo nazajutrz po tej umowie, i to już po południu, pochowano ślepego dziadka, a wieczorem nie warto było ruszać w drogę. Wikcia tymczasem wymyśla i wyparzyła mózek, a na trzeci dzień rano wyłożyła go pościelą i przeprowadziła do niego matkę. I niebawem wózek z leżącą w nim Pawłową potoczył się drogą, ciągnięty przez starą żebraczkę i Wiktosię wpół zgiętą, ale idącą śmiało i ochoczo.

Ciężka jednak na początek była droga. Trzeba było to brnąć po piasku, to ciągnąć wózek pod górę, to wstrzymywać go z góry, aby nie wstrząsnąć mocno chorej. W jednym miejscu na długiej przestrzeni droga była zasłana ostremi żuźłami z hutę żelaznej, które boleśnie raniły bo-

se nogi Wiktosia. Szła z zaciśniętymi ustami, próbując stąpać to na palcach, to na piętach... Czasami syknęła po cichu z bólu. Ale gdy ją matka zapytała:

— Wiktuchno, ciężko ci?

— Lekko, matusiu — odpowiadała dziewczyna.

— W krzyżu cię nie boli? Nie zmęczyłaś się?

— Daleko mi do zmęczenia! Zaraz śpiewać zaczę.

Ale nie zaczynała śpiewać.

Gdy stanęły na nocleg, Wikcia, położywszy się, długo płakała, ot tak, wprost ze zmęczenia. Nieszczęśliwą się nie czuła, bo była zadowolona z siebie i spokojna. Czuła tylko wielkie znużenie, zdawało się jej, że już siły wyczerpały się zupełnie.

7.

Następnych dni jednak szła Wikcia raźniej. I droga była jakoś mniej uciążliwa, i ona sama przywykła do zgięcia w krzyżu i do wysiłku.

Stara żebraczka urozmaicała długą drogę opowiadaniem o tem, co widziała i czego się nasłuchiwała w czasie tylokrotnych pielgrzymek. Miały też różne przygody. Raz je noc zaskoczyła i pociemku, potykając się ciągle o kamienie, dowlokły się do wsi, a tam je psy tak opadły, że ledwie krzykiem dowołały się ludzi, choć i tak nie obyło się bez poszarpań. Innego razu ujrzali pędzącego drogą naprzeciwko siebie psa. Stara Marcinka krzyknęła, że to pies wściekły, i mimo lat sześćdziesięciu kilku, w jednej chwili, skoczywszy na bok z drogi, była już wysoko na drzewie. Przerażona Wiktosia rzuciła się ku matce i własnym ciałem ją przysłoniła. Szczęściem pies pobiegł prosto drogą mimo kobiet, jakby ich nie spostrzegł wcale. Gdy niebezpieczeństwo minęło, Wiktosia nie mogła wstrzymać się od głośnego śmiechu, przypominając sobie, jak stara Marcinka szybko na drzewo się wdrapała i jak po-

tem niezgrabnie złażyła, nie mogąc dać sobie rady ze spódnicy, co się o jakiś sęk okręciła.

Raz jeszcze dwóch pijaków, wracających z jarmarku, przyczepiło się do nich i byliby je może nawet poturbowali, gdyby, na szczęście, nie nadjechał wóz z ludźmi.

Wśród trudów i wzruszeń zbliżały się trzy kobiety do Częstochowy.

Pewnego wieczora doszły do wsi, która ślicznie bieliła się z pomiędzy zieleni modrzewi, ocieniających drogę.

— To Cielętniki, — rzekła Marcinowa — tu przenocujemy, a jutro rankiem dalej ruszymy. Za wsią jest sosnowy bór, będzie się chłodem dobrze szło do południa. Pod borem zjemy obiad i wypoczniemy. Potem Mstów, potem jeszcze jedna wieś, gdzie się zeszłego roku dzieścię chałup spaliło, dalej Przeprośna Górka, a potem i Jasna Góra. Tobie, Panie Boże, chwala!

Wikcia tej nocy spać nie mogła; po głowie ciągle jej się snuło, że jutro będzie w Częstochowie, a następnego dnia może matka za zarządzeniem Matki Boskiej ozdrowieje. Na tę myśl serce jej biło jak młotem, myśli się ćmiły, łązy radości stawały w oczach i bezładnie powtarzała tylko: Boże, zmiłuj się nade mną! Boże zmiłuj się! — Dzionek robił się na niebie, a ona jeszcze nie spała.

Gdy rozwidniało, poczęła oglądać swe nogi. Boże, jak one wyglądały! Pokrajane ostremi kamieniami i popuchnięte. Ręce też poodparzane. A gdyby Wikcia zobaczyła twarz swoją, przelekkaby się: niewywczasowanie, trudy nad siłę, przymieranie głodem, zmartwienie z powodu straty — wszystko to razem podkrażyło sinemi obwódkami czarne jej oczy, wychudziło jej policzki, a słońce powlekło całą twarz jakby miedzią. A jednak ludzie spotykani po drodze i na popasach nietylko z ciekawością, ale i z widoczną przyjemnością przyglądali się dziewczynce; bo też w jej twarzy znać było taką dobroć, takie zaparcie się, tak te ostatnie tygodnie, przeżyte tylko dla matki, okrasily ją szlachetnym wyrazem.

Po przebudzeniu się matki Wikcia pochyliła się nad jej łóżkiem. Matka popatrzała na nią i przytulając ją do siebie, szeptała:

— Moje ty kochanie!... jakieś ty się wymizerowała!

— Już dziś koniec, matulko.

— Gdzie tam koniec, dopiero połowa będzie.

— Może matusia wracać będzie zdrowa, to już kłopotu mieć nie będziemy — wyszeptała nieśmiało Wiktosia.

— Nie mów, nie mów tego, nie myśl o tem! — zawołała Pawłowa jakby z przerażeniem. — Jak Matka Boska nie wysłucha ciebie, co być może, bo skąd cud dla takiej, jak ja, grzesznicy; to ty się bardzo martwić, bardzo gryźć będziesz. A ja nie chcę, żebyś ty się więcej jeszcze martwiła. Ja nie chcę, żebyś ty się za dużo spodziewała, a potem szemrała przeciw Panu Bogu.

Wikcia głowę na ramieniu matki oparła i przymknąwszy oczy, mówiła jakby sama do siebie:

— Ksiądz proboszcz mówił i ten staruszek Marcin mówił, że nie trzeba Panu Bogu pokazywać dróg, jakimi ma ludzi prowadzić, trzeba tylko prosić, aby nadto ciężkie nie były. To też ja w Częstochowie prosić tylko będę: „Boże, daj mojej matuli, żeby szczęśliwa była“.

— A ja będę prosiła Najświętszą Panienkę — szeptała matka: — „daj, żeby moja córuś szczęśliwa była“, bo i ja tylko wtedy szczęśliwa będę, jak mnie o ciebie, sieroto moja, głowa nie zaboli.

8.

— Ostatni dzień drogi! ostatni dzień! — powtarzała sobie Wiktosia, ciągnąc zrana wózek.

A tak była przejęta radością, że nie słyszała nawet, co mówi do niej stara Marcinowa. A baba rozprawiała o tem, jak jej nogi postarzały, kiedy oto dawniej kawałek od Cieletnik do lasu w pół godziny przeszła, a teraz wlecze się, wlecze, i zdaje jej się, że bór się oddala.

I naprawdę spory kawał drogi był do boru. Słońce wznosiło się już wysoko, gdy nareszcie dobroczynny cień sosen padł na rozpalone głowy kobiet.

Pierwsza Marcinowa, zmęczona już dziś drogą, rzuciła się na murawę pod drzewami i dyszała długo, a potem chciwie dorwała się do jedzenia, jakie miały w wózku. Odpoczęły z godzinę i ruszyły w dalszą drogę. Las ciągnął się bez końca. Na drodze jakoś żywego ducha się nie spotykało. Zmęczone kobiety dwa razy odpoczywały. Słońce już tylko szczyty sosen rumieniło, a końca lasu nie było widać. Wikcia zaczęła się bać.

— Możeszmy zbłądziły? — zapytała Marcinową.

Stara żebraczka aż wtył skoczyła z oburzeniem.

— Dwadzieścia sześć roków chodzę do Częstochowy i miałabym zbłądzić?

Wikcia nie nie odpowiedziała, spuściła głowę i dalej ciągnęła wózek w milczeniu. Uszły znowu z wiorstę drogi, gdy na ścieżce zamajaczyła postać ludzka. Wikcia wzrok wyteżyła. To leśniczy jakiś że strzelbą na plecach naprzeciw nich idzie. Gdy się już prawie zrównał z nimi, Wikcia nagle zatrzymała się i patrząc na niego, nieśmiało, zapytała:

— Proszę jegomości, czy dobrze idziemy do Częstochowy?

— Do Częstochowy? — zawołał — a wyście poco się w las zaawanturowały? Cieniu się wam zachciało?

— A dyć zawdy do Cielętnik borem się chodziło — rzekła Marcinka.

— A tak, zawsze, dopóki boru nie wycięli — zaśmiał się leśniczy.

— Wycięli bór?! — zawołała przerażona żebraczka.

— A wycięli.

— Mnie się też widziało, że się tak jakby oddalił. O la Boga, la Boga!

— Ze dwie mile nadłożyć musicie.

— Żeby aby przed nocą do Częstochowy zdążyć!

— Gadanie! zajdziecie tam! Silny chłopby nie zaszedł.
A wy baby i to z chorą!

Ręką machnął.

— Cóż my zrobimy? — zawołały kobiety. — W boru nocować przyjdzie.

— Posłuchajcie, ja wam poradzę. Idźcie prosto tą drogą, aż będzie szeroka polana. Od polany idą dwie dróżki blisko siebie, ale potem się oddalają, weźcie tę, przy której jest złamana wierzba, i idźcie nią, idźcie, dopóki nie zobaczycie chaty podleśnego. Wejdźcie tam, powiedzcie, że idziecie do Częstochowy, żeście zabłądziły. To bardzo dobry i litościwy człowiek, on wam pozwoli przenocować jak należy. Zanim słońko zajdzie, jużbyście tam być powinny. Zostańcie z Bogiem! A pamiętajcie: prosto do polany, potem dróżka, gdzie złamana wierzba. Szczęśliwej drogi!

— Bóg zapłać! — odpowiedziały kobiety.

I podażyły dalej. Wikcia zacisnęła usta i postępowała w milczeniu, ale matka jej poczęła zawodzić:

— Tyle drogi naddane na wasze biedne nożyska! Cemuście się nie zapytały kogo, Marcinowo, miarkując, że jakoś nie tak było dawniej?

Marcinowa zaczerwieniła się jak kogut, oczy jej strzeliły iskrami, wzięła się pod boki i poczęła wrzeszczeć, aż echo rozlegało się w lesie.

— A to teraz na Marcinową! Co to, czy Marcinowa ma jak pies naprzód lecieć i drogę nosem wąchać? Czy to ja winna, że las wycięli? ja winna, że grunt zaorali? ja winna, że pole zrobili? Ale to tak z tymi podłymi ludźmi: pracuj, haruj, jak ten wół, i takie za to podziękowanie. że ja, jak ten koń, jak ten, Boże odpuść, osioł. tego zdechlaka ciągnę, to za to...

— Tylko, Marcinowo, cichojta! — żywo zawołała Wikcia — na matkę wara wymyślać! bo wy jej trzewików rozwiązać nie warci.

Marcinowa jeszcze bardziej się rozżłościła.

— I ty, gadzino, dogadywać będziesz? To ja za wasze marne dwanaście groszy mam grymasy i łajania wasze znosić? Niedoczekanie wasze! Nie głupiam! Ciągnij sama to wozisko i tę twoją czułą matulę! Ja sobie jak pani pójdę, jeszcze się gdzie na furmankę zabiorę...

Tu Pawłowa głos zabrała:

— A, na miłość Boską, nie zostawiajcież nas tak, Marcinowo! Czy sumienia nie macie, żeby tak tego dzieciaka zostawić? Onaż sama nie poradzi. A za co tu się gniewać, co ja takiego wielkiego wam powiedziałam?

Ale Marcinowa nie dała się ułagodzić i krzyczała swoje:

— Za moje dobre serce wyzywacie mnie. Wszystko na mnie zwalacie. A otóż zostawię was! żebyście zmarnieć miały, zostawię!

— Marcinowo! — jęknęła chora.

— Dajcież pokój, matulu! — zawołała Wiktoria — niech zostanie sobie, kiedy taka niedobra, jeszcze was, matko, znieważa. Niech zostanie; ja, da Pan Bóg, i bez niej sobie poradzę.

Marcinowa tymczasem wygłaszała całą litanję najobelżywszych wyrazów.

Wiktoria dyszelek chwyciła i, ciągnąc wózek, rzekła:

— Jedźmy, matko: obraża Boska słuchać tych rzeczy.

Długo jeszcze do uszu ich dochodziły krzyki Marcinowej, która klęła biedne kobiety, jak to mówią, na czem świat stoi.

Z godzinę już Wiktoria znużona, oblana potem, sama ciągnęła wózek. Dzień był duszny i upalny. Aż naraz od zachodu poczęły nadciągać chmury i zdala chwilami grzmiało.

— Matko, — rzekła Wiktoria — będzie burza; trza upatrzyć jakie rozłożyste drzewo i pod niem przeczekać.

— O nie, córuchno! wejdźmy lepiej w te krzaki leszczyny. Pod drzewem niebezpiecznie — piorun najłatwiej wysokie drzewa zapala.

Ciężkie krople deszczu poczęły z szumem spadać na

liście, grzmot huczał coraz bliżej. Wikcia wózek wsunęła w gęste leszczyny, że zaś deszcz z jednej strony zacinał, więc chustkę zdjęła z siebie i nad wózkiem na gałęziach niby dach rozpostarła, a sama na brzeżku wózka przysiadła.

— Wiktuchno, połącz się przy mnie pod chustką! — mówiła matka — nie moknij na tej ulewie!

— Nie, matusiu, mnie dobrze.

I pozostała na miejscu, przysłaniając sobą matkę.

9.

Wikcia, przemokła do nitki, szczykała zębami od zimna, wstrząsając się przytem i żegnając podczas każdego gromu.

Pawłową jakiś niezwykle smutek ogarnął. Spojrzała na córkę i rzekła:

— Choćby mnie Matka Boska obdarzyła zdrowiem, to co mi po tem, kiedyś ty, moja sieroto, w takiej niedoli? Będę miała zdrowie, to znowu trapić się będę tem, żeś ty taka biedna, że ja tobie doli nie zapewnię, że ci żyć w poniewierce przyjdzie. Żeby Matka Boska z sobą pomówić mi dała, tobym tak powiedziała: „Matuchno Najświętsza! nie mnie zdrowia, ale jej szczęścia udziel: niech się nie marnuje to moje jedyne, to moje dziecko takie dobre!“

A Wikcia odpowiedziała z przymileniem:

— Nie matusia pielgrzymkę ślubowała, jenó Wiktosia, to Wiktosię Pan Bóg wysłucha i zobaczycie, matulu...

Huk pioruna przerwał jej słowa. Przeżegnała się trwożnie i, patrząc z zamyśleniem w niebo, pokryte chmurami, rzekła z niepokojem:

— Mój Boże, gdzie się ta biedna Marcinowa na taką psotę przytuliła?

— Ot, niedobra kobieta — odrzekła matka. — Tak ciebie, biedniatko, zostawić! Żeby nie to, że ty się tak namor-

dujesz, tobym rada, że od nas odstała. Każdego na gościńcu o grosz prosiła, jakbyśmy wszystkie dziadówki były. Nieprzystojne rzeczy opowiadała. Nie takiego towarzystwa ja chcę dla ciebie.

— Ot, matuchno, burza już sobie poszła, trzeba jechać, żebyśmy przed nocą do borowego zdążyły.

Burza się oddalała. Jeszcze kilka razy zagrzmiało, ale już coraz dalej, deszcz ustał, a na zachodzie jakby się chmury rozdarły, tak nagle przez nie snop złotej jasności padł na ziemię, rumieniąc wierzchołki drzew w lesie; jednocześnie zaś od wschodu niebo opasało się wspaniałą tęczą.

— Już się deszcz z pogodą zaręczył — rzekła Pawłowa, patrząc w górę — zaręczyli się, aby sobie pomagać. Co deszcz przepoi, to pogoda wysuszy; a co pogoda zasuszy, to deszczyk odświeży. Słonko niedługo zajdzie; patrz, jak już nisko.

— No, to popędzajcie swojego konia, matulu, żebyście w lesie nie nocowali.

Chwyciła Wiktosia dyszelek, założyła sobie postronek na ramię i pociągnęła wózek rażno, choć ślizgała się po rozmięklej od deszczu drodze; pot występował jej na czoło, ale w duszy czuła taką radość, myśląc o niedalekiej już Ożestochowie, do której, da Bóg, jutro dojadą, że zaczęła śpiewać głośno pieśń „Zdrowaś, Marja“. Pawłowa schowanym, urywanym głosem wtórowała jej zcicha.

Śpieszyła się Wiktosia, ale już i słońce zaszło i ściemniało zupełnie, a domu leśnika nie było widać. Nareszcie zajaśniało światelko, widocznie z okna. Niezadługo Wiktosia stanęła z wózkiem przy zamkniętych wrotach. Ale w tejże chwili rozległo się grube szczekanie i dwa ogromne brytany rzuciły się z pod ściany ku wrotom. Wiktosia nie śmiała wrót otwierać, tylko płaczliwym głosem poczęła wzywać pomocy ludzkiej. Jakoż niebawem z głębi podwórza przybiegł chłopak kilkunastoletni, psy ułagodził

i wrota otworzył. Lecz gdy zobaczył wózek i leżącą w nim postać ludzką, zawołał nagle z uśmiechem:

— Czyżby to moje stare Marcinisko?

Na ten głos Wikcia drgnęła. Spojrzała uważnie na chłopaka i, choć było ciemno, zmiarkowała, że to nie kto inny, jeno ów żebrak, pomocnik Marcinowej, spotkany w Nowem Mieście. Już chciał usta otworzyć i coś mówić, gdy ze drzwi chaty dał się słyszeć głos kobiety:

— A kto tam, Antek?

— Dziady — krzyknął chłopak.

— No, to wprowadź do izby!

— Kiedy jeden ma cztery nogi, czy tam cztery koła i chodzić pewno nie umie — zaśmiał się chłopak.

Z progu chaty zstąpiła stara kobieta i zbliżyła się do wrót. Wikcia w rękę ją pocałowała.

— Pozwólcie — rzekła, chyląc się do kolan — przenocować matce i mnie. Do Częstochowy idziemy, zbłąkałyśmy się w boru, nocka zaskoczyła, niema gdzie głowy złożyć.

— Gospodarza niema, — odrzekła stara — ale wiem, żeby was przyjął. Przenocujecie się tutaj. Gdyby gospodarz był w chacie, to jutro możeby was podwiózł na Jasną Górę, bo taki jego zwyczaj. Ale niema go, pojechał do dworu na rachunki i konie zabrał. A matka twoja całkiem nie chodzi?

— Chodzi, chodzi, ale się wnet męczy, słaba.

— No, to chodźcie do izby! Z wieczery na głodny żab jeszcze się co znajdzie.

Wikcia pociągnęła wózek do drzwi, pomogła matce wyjść i wprowadziła ją do chaty.

Izba była czysta i jasna, przystrojona obrazami świętych z powtykanemi za ramy tatarakiem i ziołami. Pstrzyły się też wokoło kokardy i różne ozdoby z kolorowego papieru i strzępków rozmaitych tkanin. Stało jedno tylko łóżko, wysoko białą pościelą zasłane, nad niem dwie strzelby, obraz Matki Boskiej, wizerunek jakiegoś wojownika.

a pod nim mały krzyżyk drewniany i dwie kule uwiązane na sznurku.

Pawłowa, wchodząc do izby, pochwaliła Jezusa Chrystusa, na co idąca za nią stara kobieta odrzekła zwykłym: „na wieki wieków“, a potem, obcierając ławę fartuchem, dodała:

— Siadajcie, zaraz przyniosę posiłek.

Ale rzuciwszy okiem na Wikcię, zawołała:

— Bój się Boga, dziewczyno! zmokłaś, biedactwo, jak ta czapla na deszczu! Stań przed ogniem, osusz się! I ty, matko, pewnie zmoknięta jesteś?

— Nie — odrzekła Pawłowa, spoglądając po sobie — to pocziwe dziecko okryło mnie, od deszczu osłoniło, a sama zmokła do nitki.

— Pocziwa! Matka Boska jej to wynagrodzi — rzekła staruszka, gładząc główkę Wiktosi.

A Pawłowa zmęczona, osłabiona, rozplakała się głośno z rozrzewnienia.

— Anioł, nie dziecko! Od Wielkiej Woli już mnie tak w wózku ciągnie. Sama się dziwuję, jak temu chłabaszczowi sił starczy. Ani to dośpi, ani się nie pożywi jak należy, dziesięć razy w nocy do mnie wstaje, od gęby sobie odejmuje, wszystko dla matki.

— No, no, nie płaczcie! — rzekła staruszka — dobra wasza córka, to i dla niej dobrze, bo taką Pan Bóg błogosławi i dopomaga takiej. A wy płaczem się nie męczcie, ale Panu Bogu dziękujcie, że wam dał takie dziecko.

To mówiąc, krzątała się staruszka po izbie. Wkrótce na stole stała już miska dymiącej polewki i duży bochenek chleba. Staruszka zachęcała podróżne do jedzenia.

— Wy tu gospodyni? — spytała Pawłowa staruszki.

— Z synem gospodaruję. On tu podleśnym i ziemi kawał ma podarowanej od dziedzica.

— Syn wasz nieżonaty?

— Nie, wdowiec bezdzietny, sam ze mną mieszka. Trzymamy dziewczkę i chłopaka do koni.

— Chłopak dawno u was na służbie? — zapytała Wikcia.

— O, już cztery lata. Cóż cię to tak zdziwiło?

— Bo widzicie, matko, mnie się zdawało, że ja go tydzień temu widziałam w Nowem Mieście.

— To może mówisz o Antku?

— Tak, o tym, co nam wrota otworzył.

— E, to przybłęda. Ze trzy dni będzie, syn go znalazł w boru omdlałego i pobitego. Mówi, że go złodzieje napadli, ale pewno kłamie. Ktoby taką biedotę napadał? Prędeż sam co ściagnął, no, i za to oberwał.

— A poco wy go trzymacie?

— Toć trudno było na gościńcu zostawić, żeby go wilki zjadły. Jeszcze niezdrów, to tu siedzi. Łyżki strawy mu nie żałuję, a jak się wykuruje, to w świat pójdzie. Syn go do roboty namawiał, do obsługi boru chciał wziąć, ale om słuchać o tem nie chce, — ot, widać z rodu włóczykiów.

— A nie okradnie was?

Staruszka ze zdziwieniem na dziewczynę spojrzała.

— Co ma kraść? Domu nie wyniesie, koni nie wyprowadzi, bo do mego syna nawykłe, innemu tknąć się nie dadzą, zatłukłyby.

10.

Ubolewała stara, poczciwa gospodyni, że syna ani koni niema w domu i że niewiadomo, o której porze jutro powróci. A byłby niezawodnie zrana własnymi końmi podróżne kobiety do Częstochowy dowiozł. Wypytywała też je ciekawie, skąd idą, i jak to się stało, że taka dziewczyna sama, bez konia, bez niczyjej pomocy, wiezie na wózku chorą matkę z tak daleka aż do Częstochowy.

Wtem wejście służącej przerwało rozmowę.

— Czy teraz dacie na kluski na śniadanie, czy aż jutro? — spytała.

— Zawsze wieczorem daję, to czego się pytasz? Zaraz przyjdę. A ty, mała, możesz teraz matkę do tego al-kierza zaprowadzić i spać położyć.

— Bóg wam zapłać za wieczerzę! — rzekła Pawłowa.

Staruszką wyszła, a Wikcia zaprowadziła matkę do al-kierza i spać ułożyła. Sen prędko ogarnął zmęczoną Pawłową. A Wikcia, korzystając z tego, że matka już śpi, wyszła do kuchni, bo, jak to każdy podłotek, trochę ciekawską była. Zastała tam także czystość, ład, porządek. Ale przed kominem stał, wygrzewając się, Antek. Uśmiechnął się bezczelnie, zobaczywszy Wiktosię.

— No, co? uchodziłaś się trochę? — zapytał.

— Ach, ty bez sumienia! — rzekła dziewczyna — jakżeś ty mógł taką krzywdę mi zrobić! Jużbym od tygodnia w Częstochowie była, jużbym wracała i może ze zdrową matką.

— Albo ze zdrową, albo z nieboszczką — mruknął chłopak.

— Oj, ty, niegodziwy! Kary Boskiej się nie boisz!

— Pan Bóg z kijem nie chodzi. A tobie co za taka krzywda? Ja ciebie nie skrzywdziłem. Dowieziesz matkę do Częstochowy, a na powrotną drogę możesz w Częstochowie uprosić. Tam naród hojny. Ho, aleś ty harda, wielka pani.

— Już ja się od ciebie żebraniny uczyć nie będę — odrzekła Wikcia; — kto bez gwałtownej potrzeby żebrze, ten wychodzi na złodzieja takiego, jak ty.

Antek bryzgnął jej kilkoma grubijańskimi słowy i rękę na nią podniósł, ale wnet spuścił, bo w tejże chwili weszła do kuchni stara gospodyni, a za nią dziewczka z kópanką pełną maki.

— Teraz żapał, Jagusiu, latarkę, pójdziemy do chlewów, zobaczę, jak tam z prosiaczkami. Chodź i ty, mała, ze mną; zobaczysz, jaki u nas porządek.

Wyszły obie, poprzedzane przez dziewczynę z latarką. Gdy w kwadrans potem wróciły, Wikcia zatrzymała go-

spodynię w kuchni, w której nikogo więcej nie było, i rzekła nieśmiało:

— Ja chcę was o coś prosić, matko.

Stara ciekawie i trochę podejrzliwie na dziewczynę spojrzała.

— Widzicie — po chwili wahania rzekła trochę zakłopotana Wikcia — ja wam mówiłam już, że mi połowę pieniędzy ukradli. To też teraz strach mnie bierze o tę drugą połowę, co mi pozostała, żebym miała za co matkę napowrót zawieźć. Nocami boję się spać mocno, żeby mię kto znowu nie okraść. A w Częstochowie tyle ludu, tam jeszcze prędzej może się co stać złego z pieniędzmi, niż w drodze. Wolałabym ich nie nosić przy sobie i już od kilku dni o tem myślę, gdzie je schować. To też chcę was prosić (tu Wiktosia pocałowała rękę staruszki), żebyście mi te pieniądze schowali. Będę z matką wracała, to was o oddanie poproszę, a teraz sobie tylko tyle wezmę, ile nam w mieście będzie potrzeba.

— Ależ to wam nie po drodze będzie — zauważyła gospodyni, — boście do lasu tylko zbłądziły, a macie drogę prostszą do powrotu z Częstochowy.

— Ej, już ja wolę drogi nadłożyć, a być o pieniądze spokojną — rzekła Wikcia.

— Roztropnie, dziewczuszko, roztropnie — pochwaliła staruszka, gładząc jej twarz ręką. — A nie boisz się ty, że się zaprę, żem od ciebie te pieniądze wzięła?

Wikcia roześmiała się.

— Żebym i brylantowy pieniądz miała, tobym się też nie bała wam zostawić, bo wyście mi tak do serca trafili, jakbyście mi rodzeniuteńka byli.

— I tyś mi miła, i ty — rzekła staruszka, przytulając Wiktosię do serca.

Potem Wikcia pobiegła do alkierza, gniewając się na siebie, że tak długo matkę zostawiła samą.

Aż we drzwiach spotkała Antka.

— A ty pociąg tam chodził? Niema tam nic do ściągnięcia, a matkę mi mogłeś obudzić.

— Co mi tam twoja matka! — odburknął.

— Pewność już obudził łażąc — rzekła i weszła do alkierza.

Ale matka spała spokojnie i tak twardo, że ani tej rozmowy, ani krzątania się Wikci nie słyszała wcale.

11.

Gdy się Wikcia zbudziła nazajutrz, ze zdziwieniem zobaczyła przez okno słońce już wysoko, a przez otwarte drzwi matkę, siedzącą na ławie i gawędzącą z gospodynią. Porwała się, jakby ją kto wodą oblał.

— To wy, matusiu, już wstaliście! A czemuście mnie nie obudzili?

— Nie miałam serca budzić ciebie, ty kruszyno moja. Chciałam, żebyś się na siłach wzmogła. Ostatni dzień — dodała, a oczy jej błysnęły radością.

— Mój Boże, trza się śpieszyć. Już chyba z godzinę, jak słonko wzeszło.

— Oj, szkoda, że niema syna — rzekła gospodyni: — pojechałybyście wozem i za jakie dwie godziny jużbyście na Jasnej Górze były.

— No, trudno! nie można być w dwie godziny, to będziemy może choć około południa — rzekła wesoło Wikcia.

I tak się zakrzętała, że w pół godziny potem stanęły już przed chatą, gotowe do drogi, nakarmione i zaopatrzone przez pocziwą matkę leśnika.

Już miały ruszać, gdy na drodze, którą przyszły wczoraj, ukazał się wózek, zaprzężony w jednego konia, a obok niego szło dwóch ludzi.

Jeden już zdaleka zdjął kapelusz i zawołał gośno, ale smutno:

— Jakiego wam gościa wieziemy, pani Janowo, to ani się spodziewacie.

Wózek się zatoczył i wszystkie kobiety naraz krzyknęły z przerażenia. Na wózku leżało martwe ciało jakiejś staruszki, sztywne, zsiniałe, z szeroko otwartymi, zbieletemi oczyma.

— Jezus, Marja! co to za kobieta? — zawołała gospodyni.

— Ot, piorun musiał wczoraj zabić — odrzekł chłop, litościwie patrząc na tę twarz przerażającą. — Wracając teraz do domu znalazłem pod strzaskaną osiką. Co robić? jakoś nie godziło się tak pozostawiać w lesie na drodze nieboszczki, żeby jej lisy nie objadły, albo ptaki nie podziobały. Wzięliśmy na wóz i przywozimy do was.

— I głupstwoście zrobili, Wojciechu — odezwał się Michał, parobek z Leśniczówki, stary bywalec. — Czyście jeszcze nie słyszeli, że jak kogo gdzie nagła śmierć zaškoczy, to powinien zostać na miejscu, dopóki policja nie zejdzie i całej historii nie opíše?

— Ot, nie zawracałbyś głowy, Michale! — zawołała gospodyni — co nam do policji? Trzeba tylko dowiedzieć się, skąd ta nieszczęśliwa kobieta. Może dzieci zostawiła, może męża; trzeba dać znać, żeby jak się należy, po chrześcijańsku pochowali nieboszczkę.

Wiktosia już przez dłuższą chwilę dziwnie jakoś i ze szczególnym smutkiem przyglądała się nieboszczce i coś mówiła półgłosem do matki, która też poczęła wzdychać żałośnie. Oto nie tyle po twarzy zmienionej, co po ubraniu, poznała Wiktosia, że to ciało Marcinowej, która wczoraj tak lżyła chorą jej matkę i nielitościwie porzuciła ją w lesie. Teraz więc po ostatnich słowach gospodyni powiedziała Wiktosia:

— Ależ to żebraczka Marcinowa. W Wielkiej Woli umarł jej stary mąż, którego tam przy nas pochowała, i potem szła aż do wczorajszego dnia razem z nami. A skąd ona jest, to najlepiej wie Antek. On był jej pomocnikiem, z jednych z nią stron.

Antek też długą już chwilę stał przy trupie, a Wikcia pierwszy raz ujrzała na jego twarzy wyraz trwogi. Gdy posłyszał, co ona mówi, otrząsł się z osłupienia i ze zwykłą sobie bezczelnością zawołał:

— Nie macie co wielkich rzeczy z nią robić! Całe życie wałęsała się po drogach, to i na drodze padła. Kiedy jej stary pomarł, to już ani brata, ani swata nie została, nikt płakać po niej nie będzie.

— To widzi mi się, że przyjdzie nam za własny grosz ją pochować—rzekła gospodyni.—Jak syn wróci, każe zaraz trumnę zbić i może jeszcze dziś zdołamy na cmentarz parafjalny zawieźć niebogę.

— To już lepiej, pani gospodyni, zaczekajcie do jutra — odezwał się nagle Antek; — dziś już będzie za późno, póki gospodarz wróci, a póki trumnę zrobią. A jutro rano to można i księdza poprosić, żeby nieboszczkę przyjął i na cmentarz odprowadził uczciwie, po chrześcijańsku.

— Kto tam będzie jeszcze za to wszystko płacił? — mruknął parobek Michał.

— A choćby ja sam — odparł chłopak.

Wiktosia spojrzała na niego zdumiona, że w tej niegodziwej duszy obudziło się szlachetne uczucie. Może, widząc taki straszny koniec, nawrócił się i chce być lepszym. Ale jeśli ma taką chęć, to dziwne, że twarz jego zachowała niegodziwy, bezczelny wyraz. Szczególne! ale nie jej o tem sądzić.

— No, matko,—rzekła Wikcia—my ta nieboszczce nie pomożemy, zmówmy „wieczny odpoczynek“ i dalej w drogę!

Po modlitwie za zmarłą Wikcia ułożyła starannie matkę, ucałowała ręce starej gospodyni, ujęła dyszelek, założyła postronek na ramię i poszła wskazaną sobie drogą, ciągnąc wózek. Ranek był dość chłodny, przesiąknięty wilgocią. Las woniał rozkosznie zapachem igliwia, pełen ptactwa śpiewającego. Po pewnym czasie Wikcia, ochłoniwszy trochę z wrażenia, wywołanego śmiercią żebraczki, po-

schylona i ciągnąc wózek z wysiłkiem, jednak rażno. Serce miała przejęte radością, że już dziś będą u celu podróży.

Las zaczął rzednąć. Wikcia zatrzymała się, aby wypocząć trochę w chłodzie, zanim wyjdą na otwartą drogę. Po kwadransie zbierała się do dalszej jazdy, gdy ujrzała wychodzącą z zarośli dziesięcioletnią dziewczynkę z dzbanuszkami poziomek w ręku. Pozdrowiła ją imieniem Chrystusa i zapytała, dokąd idzie.

— Do Częstochowy, — odpowiedziała — jagody niosę na rynek.

— Daleko to jeszcze do Częstochowy?

— Wnet, jak wyjedzieta z lasu, kościół zobaczyta: taka wielkolachna wieża.

Wikci serce poczęło tłuc w piersi na myśl, że jest tuż, tuż pod miastem.

— Matulko, matulko! Częstochowa wnet, zaraz za borem wielka wieża!

Lży czuć było w jej głosie. Drżącemi rękoma mocniej ujęła dyszelek i szła szybko, jakby się bała, że ta wieża, którą oczyma duszy już widzi, zniknąć może. Po kwadransie drogi zarośla leśne urwały się nagle i przed naszymi patniczkami otworzył się szeroki widok na wielki szmat dojrzewających pól i łąk zielonych, przez które płynęła środkiem Warta, a tuż za łąkami i rzeką miasto w dolinie, bijące białością domów i czerwienią dachów, za któremi na rozległym wzgórzu wznoszą się wielkie mury klasztoru i kościoła, nad niemi zaś wspaniała wieża strzela w niebiosy.

Nagle wśród ciszy poranku rozległ się uroczysty głos dzwonu, a Wikcia, która przeż chwilę stała zapatrzona, zdumiała, na głos ten wybuchła takim płaczem, jakby się w duszy jej coś zerwało. Padła na ziemię i płakała głośno, nie mogąc się zdobyć na inną modlitwę nad powtarzanie słów:

— O Panno Najświętsza, o Marjo!

Dawony były a Wikcia płakała. Zamilkły wkońcu.

ale długo jeszcze powietrze drgało ich dźwiękiem, odbijającym się o ścianę lasu. Wreszcie odgłos ten rozpiął się w powietrzu, pozostał tylko śpiew skowronka, który, zawieszony gdzieś nad ich głowami, wydzwaniał piosenkę Królowej nieba i ziemi.

Wikcia podniosła się i spojrzała na matkę. Pawłowa leżała nawznak z rękami złożonemi na piersiach, jak do modlitwy, a taka blada i nieruchoma, że Wikcie nagle przejęła śmiertelna trwoga, i przez myśl jej przebiegło jedno słowo: „zmarła!“ Drżąc pochyliła się nad matką i ujrzała nagle z pod powiek wypływające dwie łzy perliste.

A ona rękę córki schwyciła i do swych ust przycisnęła.

— Co robicie, matusiu!

— To za tę pociechę, za to szczęście, córuchno. Mnie tak w duszy, jakbym Przenajświętszy Sakrament przyjęła.

12.

W klaszotrze Jasnogórskim przy kaplicy Matki Boskiej cudownej tłok był nielada. Widząc jednak, jak młodziutka dziewczynka podtrzymuje całą siłą i prowadzi schorowaną, słabą, ze śmiertelnym wyrazem na twarzy kobietę, ludzie rozstępowali się, o ile mogli, i czynili wolne przejście.

Pawłowa z córką wchodziły do kaplicy, właśnie gdy na chórze rozległ się hymn: „Witaj, Królowo“.

Wikcia stanęła we drzwiach i wzrok zapuściła wgląd świątyni. Kaplica wyglądała wspaniale, lśniąca mnóstwem świec i tysiącem barw pięknie dobranych, a wypełniona tłumem różnobarwnego ludu, zamodlonego, skupionego, zwracającego spojrzenia w stronę złożonych krat, oddzielających główny ołtarz. Tam, za kratami ten obraz cudowny, o którym marzyła tak dawno! Ona chce się tam dostać, popatrzeć nań, zbliżyć. Ujęła silniej matkę i poczęła się przeciskać. Tu jednak było trudniej, niż na korytarzu: każdy stał w miejscu, każdy dbał o nie, boć ono

było już w świętej kaplicy. Wikcia, oblana potem, dysząc od zmęczenia, przeciskała się jednak, robiąc miejsce dla matki. Cóż, kiedy bez skutku: ludzie stali, nie ustępując. Wtem z jednego konfesjonatu wyszedł ksiądz Paulin. Włosy jego były równie białe, jak szaty, twarz pełna słodyczy i łagodności. Tłum skwapliwie czynił mu drogę. — Ksiądz przeor! — szeptało tu i ówdzie. Zakonnik, mijając Pawłową i jej córkę, spojrzął na nie uważnie i skinął, by szły za nim. Takim sposobem bez trudu przeszły kaplicę. Gdy się przeor znalazł przed kratą, poza którą mało kogo wpuszczano, szepnął coś stojącemu szwajcarowi, a następnie kobietom rzucił słowo: „idźcie“. I znalazły się przed ołtarzem. Kosztowna złota lampa rzucała światło na obraz Najświętszej Panny, której twarz, nosząca na sobie dwa cięcia, miała w oczach głęboki wyraz miłosierdzia. Szata Jej i Dzieciątka połyskiwały drogiemi kamieniami, a na wspaniałej ramie wokoło świeciły się tysiączne dary, składane tutaj jako wota: ze złota i srebra ulane nogi, ręce, oczy, serca, przedewszystkiem serca. O! bo iluż do przybytku tego wchodziło z sercem złamanem, rozdartem, a wychodziło pocieszonych! iluż wchodziło z sercem przepełnionem trucizną, żądzą zemsty, a wychodziło ze słowami przebaczenia w ustach!

Pawłowa i Wikcia, na widok tych dowodów wdzięczności za cuda doznane, ręce rozkrzyżowały i legły krzyżem na zimnym marmurze posadzki.

Właśnie wychodziła msza święta. W kaplicy cisza zapadła, przerywana tylko drżącym głosem staruszka kapłana, dziecinnym posługujących mu chłopców i wspaniałym śpiewem organów.

Zaśpiewano „Ite, missa est“, ksiądz zeszedł ze stopni ołtarza i zaczął odmawiać głośno Zdrowaś Marja. Wikcia podniosła się i niespokojny wzrok zwróciła ku matce. Nie śmiała tego powiedzieć sobie, a jednak nie mogła opędzić się myśli, że może za chwilę matka podniesie się

A Pawłowa modliła się ciągle. Dopiero gdy ksiądz odszedł od ołtarza, dzwignęła się raz i drugi. Wreszcie półgłosem zawołała na Wikcie, by jej się podnieść pomogła.

Wikcia nachyliła się nad nią, podnosząc ją z wysiłkiem, a serce jej ścisnęło się pierwszym wielkim zawodem.

Ale w tej chwili myśl jedna ją pocieszyła. Jeszcze nie, bo jeszcze za mało są czyste, za mało przygotowane, trzeba wypowiadać się, przyjmując Sakrament św. i wtedy dopiero cudu się spodziewać. W ten też sposób pocieszała matkę, choć ta się nie żaliła, a na dowodzenie córki trzęsła głową i powtarzała:

— Nie spodziewam się, nie spodziewam, alem rada, żem przed śmiercią w tem świętem miejscu była. Żeby nie myśl, że ty, biedoto, znowu tyle trudu z powrotem ze mną mieć będziesz...

— Już nie tyle, matusiu, bo będziemy jechały furmankami.

— I gdyby nie to, że ciebie sierotką zostawię.

— Pan Bóg nad nami — odrzekła Wikcia, rękę matki całując.

Za radą właścicielki gospody wypowiadały się jeszcze dnia tego przed wieczorem, aby nazajutrz Pawłowa jak najkrócej naczczo była. Chcąc odpowiednio przysposobić i matkę, wyjęła Wikcia czystą bieliznę, spódnice i gorsety z kolorowej wełny i wzięła się do ubrania matki. Ledwie jednak zdjęła kaftanik, Pawłowa nagle zbladła i poczęła gorączkowo szarpać na sobie tasiemkę, na której kilka medalików i szkaplerz zawieszzone były.

— Co to wam, matko?

— Krzyż, krzyż! — szeptała Pawłowa zbielełymi usty.

Wikcia zrozumiała w tej chwili. Wśród świętości tak starannie przechowywanych przez Pawłową brakło pamiątkowego złotego krzyża. Załamała ręce.

— O Jezu, Jezuniu! zgubiliście złoty krzyżyk!

— Nie zgubiłam, córuchno, jak Pan Bóg na niebie, nie zgubiłam, jakżebyś zgubić mogła? Chybaby się ta-

siemka rozwiązała, a wtedy to i medaliki byłyby spadły. Ukraść musieli, przeciąć uszko, nic innego. O Jezuu, Jezuu! Ale kto? Chyba to Marcinowa; na Boskim sądzie, ale chyba ona.

— Nie posądzajcie, matko, umarłych! — rzekła ponuro Wikcia. — Nie Marcinowa to zrobiła, ale kto inny.

— Kto taki?

— Ja wiem, kto, matko: ten sam, co i pieniądze nam ukradł.

— Nie, córuchno, bo nocą przed tym dniem, kiedy nas burza zaskoczyła, miałam krzyżyk w ręku. A może ta kobieta wzięła i dlatego nas porzuciła, żeby sobie gdzieś indziej z tem się obrócić i sprzedać? Sprzedać ten krzyżyk, co go mój Paweł tak szanował, co go jego ojciec własnem poświęceniem się nabył i dla wnuków na pamiątkę przekazał! Opuściła mnie ta święta pamiątka, opuściła! Widać mi już do grobu sądzono. O Jezuniu, Jezuniu!

Napróżno Wikcia uspokajała i pocieszała. Matka była prawdziwie złamana tą stratą. Mówiła jej Wikcia o owym chłopcu w Leśniczówce, jak go wychodzącego z alkierza spotkała. Ale bojąc się wtedy o swe pieniądze, zapomniiała, że mają jeszcze coś drogocennego, na co się złodziej połakomić może.

Pocieszała Wikcia matkę, że jutro zaraz po nabożeństwie do domu leśniczego powrócą, to może ten dobry człowiek chłopaka przytrzyma i krzyżyk u niego znajdzie.

Pawłowa jednak milczała nieprzekonana, niepocieszona. Wieczorem krew jej się rzuciła ustami, a w nocy miała silną gorączkę. Pomimo to wstała rano, ubrała się z pomocą córki i drżąc, blada jak ściana, udała się na Jasną Górę.

Po wysłuchaniu mszy św. przystąpiły do Najświętszego Sakramentu, potem znowu mszy w kaplicy przed cudowną Matką Boską wysłuchały, leżąc krzyżem obie.

I znowu Wikcia z niepokojem śledziła matkę; znowu

jej serce biło jak młotem na myśl, że może za chwilę matka podniesie się o własnych siłach.

Ludzie już z kaplicy wychodzili, mało osób w niej pozostało. Pawłowa kilka razy zrobiła ruch, jakby dźwignąć się chciała. Wreszcie szarpnęła się, lecz w tejże chwili bezsilnie opadła znowu, uderzając czołem o posadzkę. Jednocześnie jęk wydobył się z jej piersi:

— To Tobie, Panienko Najświętsza, na ofiarę za moje dziecko.

Wikcia płakała serdecznie.

— Podnieś! — szepnęła wreszcie Pawłowa po długiej modlitwie.

Dziewczyna dźwignęła ją i poprowadziła przez kaplicę, z której szyb kolorowych wesołych światełka padały na ich szaty i zmęczone twarze.

Wikcia szła i płakała; łzy wielkie, gorące spływały po jej twarzy, a ona nawet nie myślała o ich ocieraniu. Taką złamaną, taką zbolaną czuła się w duszy!

Po przyjściu do gospody położyła matkę, a sama pobiegła do kościołka świętej Barbary, aby według obietnicy przynieść staremu Gadale wody ze źródła słynącego cudownością. Kościół ten jednak był znacznie dalej, niż jej się zdawało. Minęła chyba godzina czasu, zanim Wikcia była z powrotem.

Wbiegła do izby i stanęła jak wryta. Pawłowa, blada jak ściana, siedziała na skraju łóżka, a na misce stojącej przy niej widać było ślady silnego krwotoku... Spostrzegłszy córkę, przywołała ją skinieniem głowy i wskazała miejsce obok siebie.

Wikcia, tłumiąc łzy, usiadła przy matce. Ta przygarnęła się do niej i mówiła gorączkowo:

— Patrz, patrz, Wikta, kto tam stoi przy szafie! stoi i kiwa. Czy to mój Paweł? Nie, to nie Paweł... poszedł sobie... Ale patrz, tam przy kominie... jakiś stary... to mój ojciec... Przyszliście po mnie... Idźcie sobie... Ja nie pójdę..., nie zostawię Wiktosii...

— Matusiu, co wy mówicie? — wołała z płaczem dziewczyna. — Tu niema nikogo. O, Panienko Najświętsza! Matusiu, wy nie umierajcie... pójdę po doktora. O Jezu, Jezu!

I wybiegła z izby przerażona, nawpół przytomna.

— Gdzie doktor, gdzie? — zawołała ze łzami w głosie, zatrzymując pierwszą spotkaną na ulicy kobietę.

— Kto ci zachorował?

— Matka umiera, o Jezuniu!

— A gdzie twoja matka?

— Tu, w oberży.

— To wracaj do niej, ja doktora przyprowadzę.

I dobra pani szybko podażyła w boczną ulicę.

Wikcia wbiegła do izby. Matka leżała na łóżku, pierś jej podnosiła się ciężkim, szybkim oddechem. Córką pochyliła się nad nią. Matka nie otwierała oczu, jednak ją odgađła, mówiła bowiem cichutko proszącym głosem:

— Zabierz mnie stąd, córuchno, zabierz! Niech ja nie umrę w karczmie, ani na rozstajnej drodze, ale we własnej pościeli, we własnej chałupie. Chałupa tam nie moja, ale graty moje i ludzie swoi, pójdzie kto za trumną...

A Wikcie rozpacz ogarnęła, w duszy jej zawrzało. Więc na toż tyle ofiar, tyle trudu poniosła, aby widzieć matkę na cudzym barłogu umierającą i nieledwie czyniącą jej wyrzuty z tego powodu!

W tej chwili wszedł doktor. Wikcia, która już trzy wstrzymywała, rzuciła mu się do nóg i ujmując kolana, ryknęła wielkim płaczem:

— Ratujcie, panie! Niech nie umrze tutaj, niech ją dowiozę do wsi! Niech nie umiera jak przybłęda w karczmie u cudzych, tak daleko od naszej wioski!

Doktor, sam wzruszony, podniósł dziewczynę i uspokajał ją łagodnie:

— No, zobaczmy, zobaczmy, podtrzymamy matkę... Nie rozpaczaj, dziecko!

Zbliżył się do łóżka, ale nie badał długo. Stan chorej zanadto był widoczny.

— Słuchaj, dziewczę, — rzekł do Wikci — zakrzątnij się prędko, najmij furmankę, a ja ci tu za chwilę przyślę lekarstwo, które będziesz matce dawała co dwie godziny, to ją podtrzyma. Nie trzeba, nie trzeba — dorzucił, widząc, że Wikcia rozwiązuje węzełek w chusteczce. — A nie rozpaczaj, dziecko! Pan Bóg nad nami.

13.

W parę godzin potem Pawłowa z córką wyjeżdżały z Częstochowy.

Wikcia, siedząc obok furmana, lecz tyłem do koni, aby i nie zawadzać matce, i mieć ją na oku, zwróconą miała twarz na oddalające się miasto i klasztor Jasnogórski. Przed dwoma dniami ujrzała jego wieżę z taką nadzieją i otuchą. Teraz, widząc, jak ona oddala się, nie czuła w sercu ani żalu, ani goryczy, tylko uczucie jakby doznanej krzywdy, a obok tego wielką skrucę, że śmiała domagać się zuchwale cudu, gdy nie jest godną.

Słońce chyliło się ku zachodowi, złocąc ciemne szczyty sosen, gdy wózek wjechał na drózkę, prowadzącą do chaty leśniczego, gdzie musiały wstąpić dla zabrania pieniędzy, zostawionych przez Wiktośię.

Na tle ciemnego lasu biała, obszerna chata wyglądała bardzo ładnie, a kilka otaczających ją zabudowań gospodarskich świadczyło o zamożności gospodarza.

Gdy wóz zaskrzypiał na żwirze, na ganeczek wybiegł dosyć wysoki, barczysty mężczyzna, w zielonej kurtce, z wielkim, jasnym wąsem i szramą na czole.

Za nim wysunęła się znowu znana nam staruszka, wołając na widok zajeżdżających:

— Tak, to one!

Leśniczy przyskoczył do wózka i schyliwszy się szybko, pochwycił leżącą kobietę w silne ramiona jak piórko. Drżące jego wargi szeptały niewyraźnie:

— Moja Marysia, moja Marysia!

Pawłowa zdumionemi, przerażonemi oczyma spojrzała na mężczyznę... i nagle z ust jej wyrwał się krótki, ale pełen szczęścia okrzyk:

— Paweł!

Zemdloną ze wzruszenia kobietę położył leśniczy na łóżku. Podążyła też za nim staruszka i pochyliła się nad chorą.

— Ja ją ocucę, — rzekła — ty idź do dziecka.

— Do dziecka? — powtórzył Paweł, jakby sam temu uwierzyć nie mógł.

Chwiejnym krokiem wyszedł przed ganek.

Wikcia stała onieśmielona, zaniepokojona, nie wiedząc, co ma z sobą czynić.

A on wyciągnął do niej ramiona z okrzykiem:

— Córuchno moja!

Dziewczyna odgadła wszystko. Padła w objęcia ojca i długo płakali oboje jak dzieci, tuląc się do siebie.

W godzinę potem w obszernej, jasnej świetlicy leśniczówki, w białej, czystej pościeli spoczywała Pawłowa z twarzą promieniejącą szczęściem, z ręką w dłoni Pawła, który trzymał na kolanach córkę, jakby małym dzieckiem była.

Naprzeciwko nich siedząca stara matka, wsparłszy łokieć na kolanach, a brodę na dłoni, łzawym wzrokiem spoglądała kolejno na te trzy osoby. Z największą jednak lubością przyglądała się Wikci. Ach, ona tyle razy biedowała, że syn, nie wiedząc jeszcze na pewno, czy jest wdowcem, nie wstępuje w powtórne związki małżeńskie, i ona nie może doczekać się pociechy piastowania wnucząt. Aż oto los jej daje teraz wnuczkę odchowaną, wyrosłą, i to tak! zaczął, taką dzielną!

Pawłowa po pewnym czasie oprzytomniała z nadzwyczajnych wrażeń i zaczęła wierzyć, że to nie sen, że to szczęście prawdziwe na jawie. Zapytała też odzyskanego po tylu latach i jakby zmartwychwstałego męża, jakim spe-

sobem tak odrazu poznał ją — schorowaną, zbiedzoną. Paweł więc musiał opowiedzieć, jak się to stało.

— Przyjeżdżam od dziedzica i powiadają mi o tej kobiecie, co ją piorun zabił. Pokazują trupa, a że trumny jeszcze nie zrobili, więc kazałem nieboszczkę złożyć w szopie na sianie, na derce i krzyżyk dałem jej w ręce, żeby po chrześcijańsku wyglądała. Wspomniała też matka, żeście tu nocowały, alem o tem niewiele myślał, bo nieraz tu wstępują pielgrzymi, prosząc o nocleg. Wieczorem wziąłem latarkę, żeby zajrzeć, czy wszystko zamknięte i czy gdzie ognia nie zaprószyli. Patrzę, widzę przez szpary, że świeci się w szopie. Strach mnie zdjął, boć zawsze trup trupem; ale się przeżegnałem i idę pode drzwi. A tu drzwi odemknięte. Więcem głowę wścibił i patrzę. Nieboszczka leży, jak leżała, na sianie, a przy niej Antek, przybłąda jakiś, któregośmy przytulili, klęczy, łachmany pruje i złote dukaty wyciąga. A! toś ty taki ptaszek! — pomyślałem — toś ty tak pieniądze zwąchał nawet na trupie! To tobie nie pierwszyna cudze zabierać! Przetrząsnę ja ci łachy, nim się ciebie z domu pozbędę. Chciałem na niego krzyknąć, ale myślę sobie: nóż ma w ręku, kto wie, co taka bestja zrobić może. — a ja nawet kija nie miałem. Poczekałem więc, aż skończył swoje i pieniądze zaczął liczyć. Pocichu z tyłu go zaszedłem i chwytam za ramiona. Chłopek jak nie wrzaśnie! Myślał, że go złe za kark łapie. Padł jak długi na ziemię i drze się: la Boga, rety! Ja tymczasem pieniądze rozsypane zgarnąłem, nóż zabrałem i krzyknąłem na parobka. Wzięliśmy chłopaka pod ręce i do komory prowadzimy. Tam miał swoje manatki. Biorę ja się do przetrząsania, a tu pełno chustek i woreczków, widać kradzionych. Patrzę na spodzie i oczom nie wierzę... krzyżyk! krzyżyk! krzyż mojego ojca, który mi dał stygnącą ręką, a ja, jadąc na wojnę, zostawiłem go mojej Marysi, bo myślałem: może mnie zabiją, a może jej Pan Bóg da syna, to dla syna zachowa. Na wstańce też kazałem wypisać pisarzowi od wójta: „Bartłomiej, Paweł, Wiktor Dąb-

kwie“, to jest imię ojca, moje i syna, gdyby mi Pan Bóg dał..

— Musi wam być markotno, ojczę, że macie córkę? — szepnęła Wiktosia, spuszczaając głowę.

— Panu Bogu dziękuję — odrzekł Paweł, dziewczę do siebie tuląc. — Taka córka trzech synów warta.

— Nie przerywaj, Wiktosiu — odezwała się matka; — cóż dalej było?

— No, dalej było, żem chłopakowi skoczył do gardła i krzyczę: „Mów, komu to wzięłeś, bo cię zabiję!“

— Kobiecie — odpowiada.

— Jakiej kobiecie? — pytam, a on na to:

— Czy ja wiem. Moja stara mówiła jej: „Pawłowo“. A jej córce było: „Wiktosia“.

— Kiedy i gdzie widziałeś tę dziewczynę? — pytam.

— Wczoraj tu obie nocowały.

— A Paweł wtedy — przerwała z uśmiechem stara matka — wprost głowę stracił. Wpada do mnie i drze się: „Kto tu nocował?“ Do słowa mi przyjść nie dał. Ledwie mu wytłumaczyć mogła, skądście wy przyszły i że w Częstochowie jesteście. On wtedy wyleciał do stajni konie zaprzęgać; mówi, że poleci was szukać. Ja mu przekładam, że tam, gdzie tyle narodu, o was się nie dopyta; mówię, że wróćcie, że pieniądze u mnie dziewczucha zostawiła. Co tu gadać warjatowi! Pojechał po nocy. Na południe powrócił ze wstydem, że jak głupi po próżnicy latał, i powiada: — „Panu Bogu na ofiarę to moje czekanie, nie trza się niecierpliwić“. — Ale widziałam, że o mało ze skóry nie wyłaził, kąta sobie znaleźć nie mógł; ciągle na drogę wychodził patrzeć, czy nie jedziecie. Na obiad mu kaszy dobrej ze słoniną dałam, to do ust nie wziął. A w nocy to ciągiem z boku na bok się przewracał, a sapał, wzdychał. Tak mu pilno do was było.

— Wiadomo; — odparł leśniczy — siedemnaście lat temu wzięłam Marynkę. Taka była jak jagoda, ot, czysta Wiktosia teraz, a taka dobra, robotna, takie kochanie! A tu

nastąpiła wojna. Trzydziesty pierwszy rok — marzyło się Polskę z niewoli dźwignąć. Szli inni, poszedłem i ja. Zdrow byłem, silny, młody, krew gorąca... Uścisnąłem żonkę, krzyżyk jej dałem, aby go dobrze strzegła, parę dukatów wcisnąłem w rękę, Najświętszej Paniencie poleciłem i poszedłem.

— Czegom się tam na wojnie napatrzył i nasłuchał, — mówił znów Paweł po chwilowej przerwie — to wam nieraz opowiadać będę. Widziałem, jak ludzie padali, jak się krew wielkimi strumieniami lała, jak się wioski paliły, jak matki latały jak szalone i wyły za dziećmi; widziałem, jak mój pan zginął...

Na to wspomnienie Pawłowi słowa się urwały, ale po chwili znowu zaczął:

— Silny był jucha, co go zabił. Głowę mu napół szablą rozplatał, a ja wtenczas nie mogłem go obronić, bo z czterema w tańcu byłem. Ale mi Pan Bóg w innej bitwie dopomógł, że młodego panicza sobą zastawiłem, i wtedy tę szarfę dostałem.

Ręką wskazał Paweł szramę na swem czole.

— Od tego czasu mój panicz był moim prawdziwym przyjacielem i zawsze o mnie pamiętał. Wojna się skończyła, a mnie przyszło jeszcze daleką podróż odbyć: na Sybir mnie pognali... Posyłałem listy do ciebie, moja Maryś...

— Żadnego listu nie odebrałam — rzekła Pawłowa.

— Widać gdzieś w drodze ginęły. Nie miałem żadnej wiadomości z domu. W siedem lat wracam z dalekiego świata, przychodzę do naszej wioski, i oto się dowiaduję, że przeszła w obce ręce, a dawniejsi ludzie gdzieś się porozchodzili. Szukałem ciebie po wszystkich wioskach w okolicy. Ilem się nachodził, najeździł!.. Tyłem się tylko dowiedział, żeś w dwa lata po wojnie wyjechała z panią z sąsiedniej wsi gdzieś daleko. Wójt z książki wypisał nazwę miasteczka, do któregoście wyjechały, i list do tamtejszego burmistrza pięknie napisał. Czekałem cały miesiąc na odpowiedź w srogim niepokoju... Napróżno! Więc napisa-

łem o swojej biedzie do swego pānicza, bo wiedziałem, że mieszka pod Częstochową. Prosiłem go o radę. A on wezwał mnie do siebie, chatę i ziemi kawał dał mi jako czynszownikowi i leśniczemu mię uczynił. Co zaś do żony, to wiedząc nazwisko pani, z którą wyjechała, i miasteczka, do którego się udała, napisał do kogoś znajomego z tamtych stron, aby się o nie wywiedziało. Przyszła na to odpowiedź, że pani owa mieszkała jakiś czas w tem miasteczku, ale już trzy lata, jak umarła, a co się stało ze sługą, niewiadomo. Potem był pan raz w Warszawie i przyszło mu do głowy tam ciebie szukać. Aż mu w jakimś biurze, poszukawszy w księgach, powiedzieli, że była w Warszawie Marjanna Dąbkowa i umarła. Pewnie jakaś inna kobieta tak się nazywała, ale od tego czasu mój dziedzic miał mię już za wdowca. Ja nie chciałem temu uwierzyć, myśląc sobie, że niejedna mogła być Dąbkowa na świecie i niejedna przecież jest Marjanna. Nie wiedziałem, czym wdowiec, czym żonaty. Nie traciłem nadziei, że może jeszcze kiedy o tobie się dowiem. Oj, kobieto, kobieto, czemuś ty na miejscu nie siedziała?

— Nie mogłam, nie mogłam. Jak się ludzie pozmieniali, trudno było we wsi wyżyć i dziecko wyżywić. Zgodziłam się do służby. Pani była dobra i pojechałam z nią. Po jej śmierci tęsknica gnała mnie z miejsca na miejsce, włóczyłam się po służbach w różnych okolicach, myśląc, że tak może prędzej gdzieś od kogo o tobie się dowiem. Dopiero gdy Wiktosia dziesięć lat skończyła, powiedziałam sobie: „niech się nie uczy niestatkowi“ — i zostałam w jednej wsi. Z początku przez kilka lat posyłałam do proboszcza naszej dawnej parafji zawiadomienie, gdzie jestem, aby tobie powiedzieli, jak wrócisz. Czekałam ciągle listu od ciebie, albo że ty może do mnie przyjedziesz. Ale żadnej wiadomości nie było, a o tylu ludziach słyszałam, że na wojnie poginęli, więc już wątpiłam, czy żyjesz, i modliłam się za twoją duszę. Oj, ciężko mi było!

— I mnie nie lekko. Dostatek miałem, poszanowanie miałem, ale spokoju ani krzyny. Nieraz bywało łyżkę strawy do ust niosę, aż tu raptem jakby mi ją coś odtrąciło, i gardło jakby sznurem kto ściągnął, gdym pomyślał, że tam gdzieś żona mi się poniewiera i z dzieckiem może głód cierpi. Raili mi nieraz kobiety i dziewczuchy, nieraz mnie ochota brała, żeby swoją babę w chacie mieć; ale jak się to żenić, kiedy ja nie wiedziałem, czym ja wdowiec, czy żonaty?

— Pan Bóg ustrzegł — westchnęła stara.

— I dał Pan Bóg, że oto mam żonę i córkę w chacie.

A Pawłowa ręce do twarzy uniosła i nagle wybuchnęła głośnym płaczem. Wikcia się porwała.

— Co wam, matusiu?

— Takam szczęśliwa, że w własnej chacie, że w ojcem twoim, z moim Pawłem! Jaki Pan Bóg dobry! Nie umrę jak przybłęda i ciebie sierotą nie zostawię. Wiedziała Najświętsza Panienka, jaką łaskę mi wyświadczyć. Niech Jej za to chwała na wieki wieków będzie! To przez ciebie. Wiktuchno! Pan Bóg ci pobłogosławił, wynagrodził za pocziwą duszę, za twą krwawą pracę i troski i pobożność. Pawła przed śmiercią zobaczyłam, we własnej chacie umrę, córkę przy ojcu zostawię. Już się ona o nic nie zakłopotuje, po obcych tułać się nie będzie, własną chatę będzie sprzątała, własny zagon uprawiać. O Boże! jakam ja szczęśliwa! Pan Bóg nie mógł mi większej łaski wyświadczyć. Umrę spokojna...

I naprawdę spokojna we dwa tygodnie potem o wschodzie słońca umierała Pawłowa. Zasypiała lekko, mając przy sobie męża, córkę i starą świekrę.

Wikcia płakała, ale cichutko, z poddaniem się woli Bożej. Nie było w jej sercu tej rozpacz, jaka ogarniała ją w Częstochowie. Czuła, że matka odchodzi w krainę szczęśliwszą i odchodzi spokojna, dzięki jej poświęceniu.

TOMASZ PTAK Z WIELEBNA.

Powieść historyczna z czasów Kościuszki

przez

MARJĘ BOGUSŁAWSKĄ.

WYDANIE DRUGIE.

WARSZAWA. — 1921.

„KSIĘGARNIA POLSKA” POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ,
WARECKA 15.

Postać Tomasza Ptaka naogół mało jest znaną u nas, a jednak zasługuje on na miejsce między najlepszymi synami Ojczyzny dla swej wielkiej miłości Polski i dzielnej dla niej służby, jak to z niniejszego zupełnie prawdziwego opowiadania sami osądzicie.

ROZDZIAŁ 1.

Pełne najlepszej otuchy wojska polskie wyczekiwały 6 czerwca 1794 r. pod Szczekocinami rozpoczęcia bitwy. Większość ich walczyła już pod Racławicami, przekonała się, co może męstwo żołnierza przy znakomitym wodzu. Wiara tą przejęte było całe wojsko; ubóstwiała Kościuszkę, a patrząc teraz na niego, jak w swej białej sukmanie, wszędzie widoczny, rozstawiał pułki, nie szczędząc słów zachęty i pochwały, czuło, że serca biją radością, pragnęło popisać się i zasłużyć na pochwałę jak najrzetelniej. Szedł przytem posłuch, że stojący naprzeciwko wódz rosyjski Denisow liczy zaledwie 10,000 żołnierzy, wojsko polskie przeto przewyższało nieprzyjacielskie o 4,500 ludzi; była to rzecz niesłychana od wielu lat, we wszystkich bowiem poprzednich bitwach Polacy zwyciężali mimo mniejszości. Nieledwie przeto z niecierpliwością wyglądano rozpoczęcia walki.

Regimentowi grenadierów krakowskich najpilniej do skoczenia w ogień, żeby pokazać, że tak jak pod Racławicami, potrafi kosą brać armaty. Bielią się świty, śmieją się w słońcu czerwone czapki i naszywki, błyszczą mosiężne kółka u pasa. Wszyscy wyglądają odświętnie, ba, nie odeszli jeszcze ze swych stron, każdy ma niezbyt daleko do swej wioski, zdążyły przeto kobiety odwiedzić ich nieraz i wziąć sukmany do przeprania, by zmyć z nich ślady krwi, błota i kurzu z poprzednich walk. I oto przywdziali je dzisiaj czyste jak na wesele.

Choraży Wojciech Głowacki stoi ze swym plutonem w pobliżu kapliczki pod wsią Chebdzią, pali lulkę i rozmawia z Tomaszem Ptakiem z Wielebna.

— Sześćdziesiąt armat mają pono Mochy — mówił, pykając pod wąsem.

— Ano, będzie co brać — odparł Ptak.

— Wedle tego mówię to... Jakby Naczelnik kazał nam brać armaty, to nic, jeno przeżegnać się, schylić prawie do ziemi i wciąć.

— Albo to jak nie wiem? Pierwszyczna mi to, czy co? — obruszył się Ptak.

— Nie dla was to mówię, kumotrze, jeno dla tych mleczaków. Słyszeliście, chłopaki?... w pół prawie twarzą przy ziemi, kule nad wami śmigać będą.

— Słyszemy, panie chorąży.

— Ty, Wojtek Słomiarz, byłeś dziś u spowiedzi świętej?

— Byłem, panie chorąży.

— To dobrze.. Znaczy wszyscy przyjęliśmy Sakramenty święte, nie dzisiaj, to wczoraj... wszyscyśmy gotowi. Westchnienie podniosło pierś każdego.

— Który zginie, to syn jego już dziedzicem na ziemi, co ją ojciec uprawiał.

— Et, kto tego dopilnuje?.. wedle tego trzaby chodzić—mruknął Bartłomiej Ćmucha,—a jak mnie nie stanie...

— Głupiś! słowo Naczelnika i rozporządzenie Rzeczypospolitej to nie kupka gnoju w polu, co w ziemię wsiąknie.

— Nasz dziedzic już nam ziemię zapewnił, wszystkim, cośmy do powstania poszli — rzekł Ptak.

— Pan Dobiecki?

— Ino.

— Godny pan... taki, jak nasz dziedzic z Rzędowic. Wy, Tomaszu, macie dwóch braci, to w razie waszej śmierci byłoby komu pomóc kobiecie przy roli; ale co moja Magda, to sama jak palec ostałaby z dzieckiem... Jużbyśta, kumotrze, dojrżeli do niej od niekiedy.

Tomasz wyprostował swą ogromną postać.

— Ano, choć aby na Jędrusia pojrzeć... toć mój chrześniak... Ale co o tem gadać... będziecie żyć sto lat.

— Albo jeden dzień.

— Albo jeden dzień — powtórzył lekko.

W stronie Rawki, kędy stał sztab główny, rozległ się dźwięk trąbki, grającej pobudkę. Podchwyciły ją i powtórzyły echowo trąbki pod Chebdią, Wywłą i Przybyszowem.

Dreszcz przebiegł każdego żołnierza, każdy przeżegnał się, stojąc w pozycji.

Do grenadierów krakowskich przyskoczył kapitan Usielski.

— Pierwszy i drugi bataljon grenadierów do osłonięcia baterji na Łysej wzniesieniu

— Formuj się! na prawo zwrot! Marsz!

Pod komendą Głowackiego ruszyła kolumna ku piaszczystemu wzgórz, na którem błyszczały w słońcu lawety armat.

Tomasz Ptak znalazł się tuż przy krańcowej. Pięknie utrzymana, świeciła się jak ze złota, ozdobiona płaskorzeźbą prz nasadzie i na obręczach.

— Piękny sprzęt! — rzekł Tomasz. — Nowy?

— O nie—odrzekł kanonier, podoficer Cichocki.—To stare działo, ponoć więcej niż dwieście lat liczy, jeno dobrze utrzymane. Kasztelan Warszucki darował je z kilkunastu innymi do obrony Jasnej Góry od Szweda.

— Do obrony Jasnej Góry? — powtórzył Ptak.—Tej Częstochowskiej?

— A jakże.

— To była wojna na Jasnej Górze?

— Na samej Jasnej Górze nie, boć to jeno klasztor, otoczony murem jak forteca. Ale będzie temu ze sto pięćdziesiąt lat, Szwedzi najechali na Polskę i zniszczyli ją, paląc wsie i miasta, a ludność mordując i rabując. Nie przepuszczano też kościołom, których tysiące zrabowano po barbarzyńsku. Naród stracił głowę, hetmani co niektórzy poddawali się wrogowi, uciekł król... Już prawie cały kraj był w ręku wroga i zdawało się, że zginie marnie ta nasza Rzeczpospolita, kiedy Jasna Góra, za sprawą księdza Augustyna Kordeckiego, no i przedewszystkiem N. Marji Panny, oparła się dzielnie, mimo że Szwed z wielką zawziętością przez kilka tygodni szturmował. Musiał ze wstydem odejść,

a cały kraj, widząc tak wyraźną opiekę Boską, nabrał śmiałości, no, i wypędził wroga. To widzicie, ta armatka jest z tych, co tego świętego miejsca broniły, dlatego my ją Jasnogórką nazywamy.

— To ona taka?

Mimowolnym ruchem ściągnął Ptak z głowy konfederatkę i przypadłszy na jedno kolano, pocałował zimną lufę armaty.

— Dobrze, że mi ciebie strzec kazano, nie dam cię, choćby stu diabłów zawzięło się na cię.

W tej chwili przeciągły, potężny ryk armat wstrząsnął powietrzem.

— Moskal zaczyna muzykę—szepnął zbieletemi wargami Słomiarz.

Była to pierwsza jego bitwa, z niepokojem przeto, ale i ciekawością wielką patrzył, jak w jasnym słońcu wysuwały się naprzód rotty wojsk pieszych, wśród huku i dymu postępowały ku długo rozciągniętym linjom wojsk nieprzyjacielskich, które równo, miarowo rozbrzmiewały salwami, przysyłając się raz po raz kłębam dymu. Wir bitwy w różnych punktach stawał się coraz gwałtowniejszym, wypadała już konnica, w rozpędzie przebijając kolumny piechoty nieprzyjacielskiej, pozostawiając za sobą pole pokryte trupami lub wijącymi się z bólu rannymi.

Chór armat potężniał tak, że najstarsi wojacy byli nim zdumieni.

— Jako żywo, musi mieć Denisow więcej niż 60 armat; chyba myliły się wysłane wczoraj podjazdy wywiadowcze.

Około godziny dziewiątej rano, jak iskra elektryczna, przebiegła między wojskami polskimi przerażająca wiadomość, że wojska pruskie przybyły do Żarnowca na pomoc Moskalom, wiedzione przez samego króla Fryderyka Wilhelma. Z początku nie wierzono temu ze względu na przymerze, istniejące między Polską a Prusami, nie chciano wierzyć, rozumiano bowiem, że równa się to wyrokowi zguby. Niestety, wkrótce nie było już wątpliwości. Długie kolumny wojska, ubranego w obciste białe spodnie i wysokie, śpicza-

ste czapki, runęły na plac boju, szerząc niesłychane spustoszenie wśród ogłuszonych straszną niespodzianką Polaków. Niesłychana kanonada więcej niż 120 armat połączonych wojsk wrogich zapowiadała klęskę.

Artylerja nieprzyjacielska szerzyła straszliwe straty; padł generał Wodzicki, któremu kula armatnia w strzepy rozniosła głowę, legł generał Grochowski, padł ciężko ranny Poniński. Pod rannym Kościuszką ubito dwukrotnie konia, ale on nieustraszony rzucał się ciągle w największy wir niebezpieczeństw.

Przed baterją na Łysej Górcie, osłanianej przez kosynierów krakowskich, stanął na spienionym koniu adjutant Kościuszki Niemcewicz.

— Kosynierowie na odsiecz lewemu skrzydłu! przeciw piechocie nieprzyjacielskiej, którą prowadzi sam król pruski!

— Chłopczy, w imię Boże, naprzód! — krzyknął Głowacki i rozwinięszy sztandar, ruszył ku nadciągającej przy ciągle ostrzeliwaniu piechocie.

Biegli jak wiatr. Szumiał sztandar z wizerunkiem N. Panny, z wyobrażeniem snopa kłosów i napisem: „Żywią i bronią“. Głucho tętniły podkute buty, błyszczały się w słońcu nastawione na sztorc kosy. Nieprzyjaciel zrazu pogardliwie spoglądał ku tej chłopskiej kolumnie, plując regularnie z karabinów, ale kule, wyrzucane z obliczeniem na wyprostowanego żołnierza, przelatwały ponad zgiętymi w pół kosynierami. Dopiero gdy byli kilkanaście kroków przed wrogą kolumną, na komendę Głowackiego: „Prac, co siły w garści!“ zaczęło się straszne zniwo. Rozległy się wycia i jęki Prusaków, chlastanych w straszliwy sposób przez nacierających. Padł pierwszy szereg co do jednego; drugi cofnął się, robiąc zamieszanie w następnych. Kosynierzy, depcząc po jęczących i charczących nieprzyjaciółach, nacierali dalej. Ale wróg się opamiętał: na groźną komendę oficerów, wśród wymysłów i płazowań, Prusacy nastawiali bagnety, obskakując po kilku każdego z osobna kosyniera. Byli w tych pierwszych szeregach chłopcy co najokazalsze, niezrównanej siły i odwagi, choć każdy bro-

czył krwią, nie ustępowali kroku, kładąc wkoło siebie gęsto trupy nieprzyjaciół. Gdy i drugi szereg padł na obluzowanej krwią ziemi, gdy kilkunastu oficerów opłacało życiem surowy rozkaz, wydany przed chwilą, rozległa się komenda, nakazująca odwrót. Wykonano ją z niezmierną sprawnością, zdwojonym marszem ustępowano ku nadchodzącym rezerwom, które miały osłonić przerzedzone szeregi.

— Zagwoździć armaty! — rozległa się polska komenda, rzucona kosynierom.

Na wzgórzu pod brzożami ustawiony szereg rosyjskich armat szerzył spustoszenie wśród piechoty, walczącej pod Szczekocinami. Kosynierzy spadli na nie jak burza: przez kilka chwil słychać było jęki i krzyki kanonierów, zgrzyt i huk rozbijanego żelaza, a potem cisza zapanowała pod brzezunami. Regiment krakowskich grenadierów powracał na swoje miejsce pod Łysą Górkę. Zajęto ją, by pod osłoną baterji wypocząć chwilę po krwawem dziele. Ale nieprzyjaciele znać pozazdrościli chwały kosynierom. Ku baterji polskiej rzuciła się konnica pruska. Grenadierzy, wyciągnięci w linję, z bronią przy nodze, stali niewzruszeni, iście jak biały mur, znaczony czerwienią wyszyć i krwi, spływającej ze świeżych ran. Gdy jednak konnica znalazła się na długość kosy, padł rozkaz, a z nim furknęły kosy i jęły ciąć wierzchowce po nogach. Rozległ się bolesny kwik, a jeźdźcy poczęli spadać jeden za drugim, przygniatańi końmi. Ci, co nie zostali ranieni, mimo upadku zrywali się i z wściekłością jęli nacierać na kosynierów.

Bartosa Głowackiego obskoczyło czterech; jak psy, co dopadną jelenia, doskakiwali do olbrzymiego chłopca, tnąc szablami, zaskakując z tyłu, zadając ciosy w plecy, kark i głowę. Ciosy musiały być groźne, bo twarz Głowackiego powlekała się coraz większą bladeścią, usta zaciskały się boleśnie, a bródka między brwiami pogłębiała się rozpacznie. Spostrzegł to Tomasz Ptak i poskoczył mu z ratunkiem; położył trupem dwóch dragonów i zamierzał się na trzeciego, gdy Głowacki zadrżał, rzucił ku nadbiegającemu obłądne spojrzenie i wyciągając rękę ze sztandarem, zawołał:

— Weźl ja umieram!... Jezus Maryjot!

Tomasz pochwycił sztandar, a Głowacki rozwarł ramiona, wypuścił szablę i padł na ziemię, składając na niej ostatni pocałunek. Ptak, tuląc sztandar lewem ramieniem, prawą ręką pochwycił szablę, którą upuścił przed chwilą jeden z Prusaków, i począł nią rąbać straszliwie. Bił oskakujących go wrogów z rozpaczą, w obronie własnego życia i w zemście za śmierć zacnego kumotra, dzielnego Bartosa Głowacza.

A gdy stanął nagle nad kilkunastu trupami, rozejrzał się i nabrał tchu. Koledzy jego byli daleko, goniąc uchodzącego nieprzyjaciela, on stał jeden żywy u stóp Jasno górki. Przeciągnął się i uczuł ból z powodu wielu kontuzyj, potem skierował oczy na leżące u jego stóp trupy i spostrzegł jakby podesłaną pod nich sukmanę Głowackiego. Przez myśl jego przebiegło przypuszczenie, że może kum Bartosz żyje jeszcze. Dźwignął przeto ciała pruskich żołnierzy, uniósł z trudem Bartosa, przyczem z radością usłyszał, że Bartos jęknął; położył go więc nawznak, wydobył manierkę i próbował sączyć wódkę w zaciśnięte wargi przyjaciela. Ale on zwarł je silniej jeszcze, natomiast otworzył oczy i powiódł wzrokiem dokoła; zatrzymał go na twarzy Tomasza, na trupach wrogów, a potem wzniósł w górę. Nad nim rzuciła cień na jego głowę laweta Jasnogórki. Przyglądał jej się chwilę, a potem niespokojne spojrzenie rzucił Ptakowi.

— Co to? — wykrztusił z trudem.

— To nasza armata pōlska, nie daliśmy jej wrogom.

— Polska, nie oddaliśmy jej wrogom — zbieletemi wargami wyszeptał Głowacki. Potem głowę wtył odrzucił, przez chwilę zdawał się napawać blaskiem słońca, zamknął oczy, drgnął kilka razy i skonał.

Tomasz nie mógł powstrzymać łez na widok śmierci bohatera racławickiej bitwy, ale na roztkliwianie się nie było czasu. Kosynierzy już wracali biegiem, by znowu skupić się około baterji, ku której ściągaly silne rezerwy nieprzyjacielskie. I nastąpiły nowe walki, nowe straszliwe star-

cia, w których Polacy dziesięciokrotny brali odwet za śmierć każdego towarzysza. Ale przygniatająca przewaga liczebna nieprzyjaciela musiała sprowadzić klęskę po stronie polskiej.

Zachodzące słońce oświeciło pobojowisko pokryte trupami, cofające się w porządku wojska polskie pod osłoną straży tylnej mężnego Sanguszki, jadącego wolno wprost na oczach wroga zrozpaczonego Kościuszkę i nieprzeliczone zastępy wrogów, zbierające łupy i odprowadzające jeńców.

Kiedy Tomasz Ptak dostał się do niewoli, nie umiałby tego powiedzieć. Całe popołudnie walczył w jakimś piekielnym zamęcie, broniąc Jasnogórki, która stała mu się tem droższą od chwili, gdy odegrała rolę ostatniego promyka pociechy dla umierającego Bartosa Głowackiego. Ale przyszła chwila, gdy spracowane, omdlewające ramiona wypuściły kosę, a on, ogłuszony jakimś uderzeniem, padł bez przytomności na lawetę armaty.

Gdy przyszedł do siebie, był już rozbrojony, ze skrepowanemi rękami i stał w gromadzie kosynierów, przeważnie krwią broczących.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzucił ku nim. — Ano, stało się!... Niewola!...

— Niewola! — powtórzyło kilku z westchnieniem, i podając się woli Bożej, poszli bez szemrania w stronę Włoszczowy.

Tomasz Ptak szedł z innymi i teraz dopiero uczuł dotkliwy ból w boku. Pomacał się, obejrzał palce, które zakrwawiły się zaraz, potknął powtórnie, dokładniej, pomimo że syknął z bólu, i wyczuł coś twardego między żebrami.

— Musi to być kula — pomyślał... — Jak mi wyjmą, poproszę doktorów, żeby mi ją dali: będę miał pamiątkę dla mojego Jaśka.

ROZDZIAŁ 2.

Noc pogodna, księżycowa wzeszła nad wsią Seceminem. Wieś wyglądała całkiem inaczej, niż zazwyczaj, a to

z powodu rosyjskiego wojska, biwakującego i wypoczywającego po przebytych ciężkim dniu. Mieszkańcy wioski pokrywali się po kątach, poddaszach i pustych piwnicach, a Moskale, korzystając z tego, rozgospodarowali się po chatach, odbijali skrzynie i komory, zabierając biedakom resztki przednówek. Opanowano też karczmę, a nie zwracając uwagi na kłaniającego się i zapraszającego uniżenie Chaima, wytoczono na drogę antałki z wódką i piwem i stosując się do rozkazu, odnoszono butelki z lepszą wódką do wójta, kędy zebrała się moskiewska starszyzna. A że nadjechali niebawem wysłani do Łopuszna huzarzy z obfitszym jeszcze plonem spirytusu, wszyscy „sołdatiki“ zostali suto ugoszczeni, że po kilku godzinach śpiewów, krzyków i wyuzdanej swawoli rozległ się z końca w koniec wsi donośny chór chrapania. Chrapał sztab na łózkach i porozkładanej na ziemi pościeli w zasobnych mieszkaniach wójta i sołtysa, chrapali oficerowie i podoficerowie, rozmieszczeni po chatach, żołnierze, śpiący na trawie, poowijani w swe płaszcze; drzemali i stojący na pikietach wartownicy, którzy ukradkiem tylko wypili po parę kieliszków, podanych przez życzliwych kolegów.

Nie spali tylko jeńcy polscy.

Przeważnie ranni, wszyscy głodni, zgnębieni przeświadczeniem o klęsce i przewidywaniem ciężkiego losu. siedzieli na ziemi małymi grupkami, umyślnie rozrzućeni na rozległych polach poza chatami.

Tomasz Ptak miał obok siebie sześciu towarzyszy: był Maciej Bugajka z Rzędowic, ranny w obie nogi, Paweł Chróściel z Młynków, obcierający raz po raz krew, spływającą ze źle obandażowanej głowy, Jan Jarzabek, nie ranny, ale ogłuszony i prawie ogłupiały z powodu kartacza, który pękł tuż przed jego nogami, Jan Waganiec, także nie ranny, lecz przygnieciony przez konia, przeto jęczący i przekładający się z boku na bok, nie mógł bowiem znaleźć sobie miejsca na potłuczone ciało. Wreszcie dwaj cali i zdrowi, zagarnięci przez konnicę rosyjską: Bartek Ćmucha i Piotr Kura.

Leżeli wzdłuż chrześcianaego płotu, okalającego domostwo Jaśka Zaprzańca, ostatnie w Seceminie, obok trzech armat z baterji z Łysej Górki, zdobytych w ich oczach na Polakach. Opodał Jegor Bułat, olbrzymiego wzrostu Tatar, stał z bronią przy nodze, oka z nich nie spuszczać na chwilę.

Bartłomiej Ćmucha wyjął z tornistra bochenek chleba, rozkładał go na siedem dość nierównych części i nie mówiąc słowa, podzielił między towarzyszy. Przyjęli, życząc mu Bożej zapłaty, a Waganiec odezwał się z westchnieniem:

— Może ostatni raz w życiu jemy chleb z naszej polskiej mąki?

Westchnęli wszyscy i milczenie panowało dobrą chwilę.

— Na frasunek dobry trunek — zawołał nagle Kura, wydobywając manierkę z wódką... Do którego tu wprzód przepić?

— Do mnie — odezwał się Ptak.

— O nie, bratku, Chróściel najstarszy.

— Lepiej do Wagańca, jako że się chlebem z nami podzielił.

— A ja wam mówię, Pietrze, dajcie w moje ręce, a dobrze będzie... Coś na tem skorzystamy.

— Dajcie, Pietrze, niech Tomek zacznie; to przebiegła sztuka, pewnością jaką psotę spleta.

— Napluje w manierkę, aby było więcej.

— Et, nie gadaj głupstw!

— Tylko nie pij więcej, jak trzy łyki!

— I to za wiele; on ma gardło jak gąsior.

— Jego łyk za trzy moje starczy — odezwał się Bugajka.

Ale Tomasz, wzięwszy manierkę do ręki, nie kwapił się ze zbliżeniem jej do ust; obejrzał ją dokładnie, powąchał i zerknąwszy kilka razy w stronę wartującego żołnierza, podniósł się z miejsca.

— Orację pewno powie — zaśmiał się Ćmucha.

Tomasz natomiast odwrócił się od towarzyszy i rażno podszedł do wartownika.

— Stoj!... pastoj! — wykrzyknął Bułat, zmierzając ku niemu karabin.

Ptak rzeczywiście zatrzymał się, ale wysunął do niego rękę z manierką, a drugą gładząc się po piersiach z lubym uśmiechem, mrugał i cmokał.

— Sadiś! — jakimś oślinionym szeptem zawołał Tatar.

— Napiłbyś się, panie wartowniku; noc zimna.

— Paszoł won! — opędzając się, jak przed widmem, powtarzał wartownik.

— Tomek, nie marnuj wódki! co dla nas ostanie? — wołał Bugajka.

— Siedź! — fuknął na niego Ćmucha: — Ptak wie, co czyni: zresztą moja gorzałka, nie twoja.

A Ptak ośmielony podszedł tuż do wartownika.

— Napij się choć łyk! — zapraszał, podsuwając mu manierkę pod nos.

Bułat skusił się, manierkę pochwycił, zbliżył do ust i wypił chciwie kilka łyków.

— Dobra, — rzekł, oddając manierkę — Bóg wam zapłać.

— O, napijcie się jeszcze! rozgrzejecie się.

— Dla nas nie ostanie.

— Mamy dość.

Bułat napił się znowu kilka łyków.

— Ot, jakby się człowiek na świat urodził nanowo — zawołał. — Tyle naszej pociechy, co czasem człek napije się, lub lepiej poje przy jakim rabunku, a tak to nic, tylko warij jak pies, maszeruj, strzelaj, kłuj, a nie podoba się co feldfeblowi, to wali w mordę, że zęby lecą, a nie podoba się co kapitanowi, to skaże na pałki, że półżywy człowiek z nich wyjdzie.

— Tak, psia służba, i za co? i dla kogo?

— Dla cara miłościwego.

— A co ci car kiedy dał?

Tatar spojrzał zdziwiony i pokręcił głową.

— Widzisz, że car ci łajno dał... A ja to gotówem ci srebrnego rubla ofiarować.

Błysnął rublem pod oczy Tatar.

— Ty mi dasz tak za nic? — nieufnie zapytał Bułat.

— A za nic... Jedno tylko, że dasz mi odejść stąd wolno.

— Zdrowo!... A mnie za to jutro pałkami zatłuką.

— Przecież nas nie liczyli jeszcze; kilku więcej, czy kilku mniej... nie zauważą.

— Ale kto podpatrzy... — Kto?... Wszystkō pijane, śpią jak bele.

Bartłomiej Ćmucha i Piotr Kura zbliżyli się także.

— My ci damy po pięciozłotówce każdy, ale nas puść Bułat kręcił głową.

— Słuchaj, ty kudłata głowo, bierz pieniądze i puszczaj nas, póki po dobremu prosimy.

Na groźny ton Tomasza Tatar zakipiał gniewem.

— Co ty, niewolniku, będziesz na mnie głos podnosił... Ja cię zabiję jak psa!

Brzęknął karabin, podniesiony do oka przez wartownika, ale w tej chwili podskoczył Ptak i pchnął go tak silnie, że Bułat wydał ryk bólu, uderzony całą siłą kolby między oczy. Napastnik nie dał oprzytomnieć żołnierzowi, pochwycił w lot upadający karabin, zrobił nim młynka i wbił ostrze bagnetu w pierś Bułata, który z cichym jękiem osunął się na ziemię.

— A teraz w nogi! — zawołał Ćmucha.

— Uciekajmy! — powtórzył Kura.

— Tak z pustymi rękami? — zapytał Tomasz.

— Ano, może zabrać ten karabin? — zapytał Bartłomiej.

— Co tam karabin! zabierzemy armatę.

— Armatę? — powtórzyli zdumieni.

— A ino; stoją w stodole Zaprzańca trzy armaty z Łysej Górki, zabierzemy jedną z brzoza, a jest nią Jasnogórka, co Najświętszej Marji Panny strzegła Częstochowskiej i pod którą Bartosz Głowacki wydał ostatnie tchnienie.

— Ale jak wziąć? Wę trzech nie zawlecziemy.

— Mało to tu koni pasie się spętanych?

— Żołnierze pilnują.

— Pijani, śpią.

Bartłomiej Ćmucha spojrział na Tomasza Płaka niedługo z uwielbieniem.

— Ano próbujmy!

— Nie uda się, to wypuszczą za nami kule... jedną... drugą... Lepiej zginąć w polu, niż w mękach niewoli.

— Słusznie mówicie.

Zbliżyli się do pozostałych czterech towarzyszy.

— Słuchajta, — rzekł Tomasz — ubiliśmy wartownika.

— Widzieli my.

— I teraz uciekamy.

— Ja z wami — rzekł, wstając, Chrościel.

— Ja biedny nie mogę; nie znajdę na przestrelonych nogach — jęknął Bugajka.

— Ani ja — westchnął Jan Waganiec — ani ten — dodał, wskazując Jana Jarząbka, który żuł skórkę chleba, patrząc tępych wzrokiem przed siebie.

— To macie, Bugajko, tego rubla, com onemu przeznaczał, a pomódlcie się, żeby udało się nam szczęśliwie uprowadzić armatę.

— A wy, Janie, macie moje pięć złotych — rzekł Ćmucha.

— I moje — dodał Kura — a miejcie baczenie na tego biedaka, bo do cna ogłupiał — i ręką wskazał Jarząbka.

— Widzicie, kumie, on jest mądry, ino głupi... ano.. niebardzo.

— Ostańcie z Bogiem; nie dziś, to później starajcie się wrócić do nas.

— Ano, dałby Bóg a Panna Przenajświętsza...

Tomasz tymczasem siadł na ziemi, ściągnął buty i odwinął onucę. Obejrzał i rzucił ku towarzyszom:

— Niech ta który swoje też da!

— Na co wam?

— Trza będzie koniom owinać kopyta.

— Więcej hałasu narobi ciągniona armata, niż konie—
zawołał Kura.

— Prawda to jest — dodał Ćmucha.

— Nieprawda; armatę zabierzemy ze stodołki, przy której jeno trup wartuje, a konie musimy przeprowadzać pod samym nosem żołnierzy, choć śpiących.

Przekonani o słuszności Ćmucha i Kura siedli na ziemi i pośpiesznie wydobyli też swoje onuce. Potem podeszli do pasącego się stada, wybrali niewielkie, lecz silne konie artyleryjskie, poowiązywali im kopyta szmatami i krótko trzymając przy pyskach, poprowadzili, okrążając śpiących żołnierzy, dał ko pod zagajnikiem, aż do stodoły Zaprzańca. Jeden z koni spostrzegł nagle trupa wartownika, parsknął i rzucił się w bok, a przy tem uraził boleśnie zraniony bok Ptaka. Zaklął, jęknął, ale z tem większą zawziętością zabrał się do zaprzęgania armaty, która była nieodprzodkowana i niezagwożdżona. Zresztą z powodu rany ogarniała go gorączka, robił przeto wszystko pośpiesznie, pomimo przechodzących go raz po raz na mgnienie okamodnień. Z wielkimi ostrożnościami wytoczono zaprzęgniętą armatę i skierowano na drogę.

Paweł Chróściel dosiadł zabranego konia kawaleryjskiego, by się rozejrzeć, czy niema gdzie niebezpieczeństwa. Pod osłoną nocy można było jechać swobodnie; dopiero gdy zaczęło dzień, uradzili uciekinierzy, że nieroztropnością byłoby wieźć armatę publicznym gościńcem. Wjechali przeto w las i, wymijając belki i wykroty, zaszyli się w gęstwinę, a odprząc konie, legli na trawie dla wypoczynku po całodziennnej bitwie i nocnym pochodzie.

ROZDZIAŁ 3.

Spali kilka godzin, Ćmucha i Kura jak zabici, Ptek i Chróściel majacząc w gorączce i jęcząc boleśnie.

Pierwszy obudził się Chróściel; słońce rzuciło promień między konarami sosny na zranioną głowę kosyniera i wy-

wołało ból tak dotkliwy, że aż się porwał z miejsca, chro-
niąc zbolące czoło pod rozłożyste paprocie. Paliło go strasz-
ne pragnienie, uniósł się przeto z wysiłkiem i rozejrzał, czy
nie ujrzy gdzie w pobliżu strumyka. Ale otaczały ich gę-
ste krzaki jałowcu i pnie sosen; panowała cisza południa,
która pozwalała wyłować nawet brzęczenie muchy, ale szmer
bieżącej wody nie uderzał uszu chorego. Chciał wstać,
ale zamroczyło go i z jękiem przysiadł znowu.

— Bartłomieju, Bartłomieju! — jął wołać, ciągnąc za
ubranie najbliżej leżącego Ćmucha — ratujcie mnie, ady
zamrę z onego w piersi palenia.

Ale Bartłomiej spał snem kamiennym, nie pomogło woła-
nie ani szarpanie za sukmanę. Natomiast zbudził się Tomasz.

— A co to wam? — zapytał.

— Pić mi się strasznie chce...

— To tak, jak mnie.

— Chciałem wstać, ale mnie zamroczyło.

— To tak, jak mnie.

— Trza, żeby który z tych zdrowych skoczył po wodę.

— Pewno, że trza, i to ważniejsze, musi rozejrzeć się,
ka jesteśmy i czyśmy tu bezpieczni.

Jęli we dwóch targać za nogi Ćmucha, który rozłożył
się, wyciągnawszy sztywno, jak pajac z piernika.

Pótąd ciągnęli jeden za prawą, drugi za lewą nogę,
aż Ćmuch wierzgnął raz i drugi, a potem otworzył wystra-
szone i nieprzytomne oczy.

— Co się dzieje?

— Dość tego spania. Wstawaj, chłopie, zabierz pod
pachę Kure i skocz po wodę, a potem na zwiady.

Ćmuch przeciągnął się z długim ziewnięciem.

— Jeść mi się chce jak psu.

— Przeto trza, żebyś się stąd ruszył; tu chleb ani
ser nie rosną.

— Pietrzel! Pietrzel! wstawajcie!

Śpiący trochę dalej Kura, prędzej dał się obudzić. Mil-
czący, jak zwykle, wziął dwie manierki, drugie dwie dano
Bartłomiejowi. Wyszli z gęstwiny i długo chodzili po lesie,

zanim udało im się znaleźć źródelko; napili się dowoli, napełnili manierki i prędzej już krótszą drogą powrócili do pozostałych dwóch rannych. Znaleźli ich trochę dalej pod omszałą skałą, leżących na brzuchach i zajądających ze smakiem poziomki.

— Bóg wam zapłać, chłopcy! — rzekł Tomasz, odbierając manierkę z wodą. — A teraz skoczcie rozejrzeć się lub, co ważniejsze, zasięgnąć języka.

— I przedewszystkiem podjeść gdzie i wam strawy przynieść—odezwał się Ćmucha.

— Ja ta nie głodny.

— Ani ja; ozór mam, jakby mi kto osinowy kołek w gębę włożył.

— Wiadomo, jak to w chorobie; ale nam pilno do jakowej strawy.

Odeszli. Dwaj ranni, pokrzepiwszy się wodą i poziomkami, legli w cieniu, wiodąc rozmowę dość cichą, bo sił nie mieli na głośne mówienie.

— Wy dworski?—zapytał Tomasz Chróściciela.

— Nie; ja borowy z lasów, co do kapituły należą.

— Aha.

— Mam już w dożywocie daną chatę i pola ślicznego trzy morgi, a że kobietę mam gospodarną, to mi w chałupie niczego nie brak, jest statek i dostatek.

— Dziaćki macie?

— Mam dziewczuchę... Na czternasty jej się obróciło, kapryśna dziewczka, ale dobra i robotna, tak jak matka; jak wezmą się drzeć przy pieleniu czy przy okopkach, to jak dwa szczygły, aże się rozlega.

— A tera co? wróćcie do nich?

— Pewno; póki onej dziury we łbie nie załatam, nic po mnie na wojnie... Oj, będą one, będą chodziły koło mnie, turkaweczki, oj, będą dogadzały, a poły, a karmiły!

Wypieki występowały na jego twarz, patrzył przed siebie, a uśmiechał się, jak do najmilszego obrazu.

— Żebyście wy widzieli naszą świetlicę!... Miejsce przy miejscu wystrzyganki, nalepianki, cudaki różne, a to

znowu pisanki z różnych lat, a co jedna, to piękniejsza od drugiej, taką ta moja Małgośka ma zgrabność do onych cacek. A jak ona tka, jak chusty wyszywał. Cała parafia dziwuje się onym haftom. Jak się ubierze na gody—wełniaczek na niej w różne kolory, gorset koralami i złotem wyszywany... Aż dziedziczki z okolicy... sama pani starościna Dobiecka z Łopuszna dziwuje się, a...

— To wy z łopuszańskiej parafji?

— Nie, z izbickiej.

— To wpodle...

— Tak, starościna łopuszańska tam do swoich ojców dojeżdża. Wiecie, co wam rzekę? Radbym, żeby mi się on łeb nieprędko goił... tak mi ta moja chałupa pachnie.

— Jak każdemu; ja też chatę mam piękną i kobietę dobrą, a zaś dwóch chłopczyków ledwo od ziemi odrosłych, a przymilnych, a przewcipnych!...

Z kolei zaczął Tomasz malować przymioty swego domu i swej rodziny; i tak skracali sobie czas oczekiwania popijając wodę, bo upał i gorączka budziły pragnienie.

Słońce zsunęło się już z konarów i rudym odcieniem zabarwiło pnie sosen, gdy nadeszli Ćmuchi i Kura. Przynieśli chleba, sera i kawałek wędzonego boczk, a potem powiedzieli, że wiadomości mają i ciekawe, ale że wprzódzi spragnione konie napoją. Nie trwało to długo. Wrócili, a usiadłszy obok pożywających się towarzyszy, pokiwali głowami z wyrazem grozy.

— Wiecie wy,—zaczął Ćmucha — że gdyśmy tu zasympiali w najlepsze dziś rano, kozacy i pułk dragonów moskiewskich przeszedł o kilkadziesiąt kroków od nas! Tą drogą, którą przybyliśmy w to miejsce!

Tomasz Ptak aż się porwał z okrzykiem, spowodowanym bardziej jeszcze przez ból przy obrażeniu rany.

— Co mówicie? O! gdyby tak byli znaleźli nas tutaj!

— Byłoby nam ciepło!—dokończył Chrościel.

— I armatkę byliby djabli, czyli oni, wzięli sobie. Retyl! retyl!

— Opatrzność Boska nad nami, że wówczas który koń nie parsknął, albo jeden z nas nie zajęczał.

— No, i ka oni tera? Czy bezpiecznie nam będzie wyjść choćby po nocy.

— Pošli w przeciwną stronę, ku Żarnowcu.

— Chwalić Boga!

— Kto wam to powiadał?

— W karczmie spotkaliśma Wojciecha ze Dźbowa, co mojej kobiecie wujem przypada. Wszycko nam opowiedział, że Moskale szli i grabili, co się dało, ale do onej karczmy nie wstępowali, bo im dowódca pośpieszać kazał. Wojciech, powiadomiony, z czem to i z jakiej okazji ciągniemy, czekać będzie na nas o zmroku, żeby nam pożywienia coś nie-
coś dać i ubocznemi drogami przeprowadzić.

— A w jakiej to my stronie?

— Ano, karczma, w której spoczywaliśmy, zwie się Wypłoszańska, pod Jastrzębiem.

— Pod Jastrzębiem!... karczma w Wypłosznie! — wykrzyknął uradowany Chróściel. — Ady to o kilka pacierzy od mojej zagrody!... Rany Boskie!... to ja tej nocy jeszcze moją Małgośkę i Ułisę zobaczę! w mojej izbie się przytułę! pod moją pierzyną rozgrzeję!... Łeb mi trzaśnie z radości!... O, dzięki ci, Panno Najświętsza! Dzięki ci, Jezu Chryste, za tę pociechę! O mój Bartecku, niech ci Pan Bóg wszystkim najlepszem wynagrodzi, żeś mi oną ucieczkę doradził.

— Ano pewnie, jest za co Bogu dziękować. Tylu z nas nigdy już nie wróci, swoich nie zobaczył. Choćby i ten Bartos z Rzędowic, Panie świeć nad jego duszą!... Nie wiedzieć skąd tak mi się wspomniał w tej chwili a jak żywy stanął przed oczami!... Wiecie co, chłopcy: dziękując Bogu za nasze ocalenie, odmówimy różaniec za wszystkie dusze zmarłe w tych okrutnych czasach wojny.

I tak naprzemiennie modląc się i rozmawiając, doczekali nocy. Wówczas zaprzęgli konie do armaty i ruszyli, prowadzeni przez Kure, który znał najlepiej drogę.

Księżyc już był wysoko, gdy z kryjówki leśnej wyskoczył Wojciech ze Dźbowa i zapewnił uciekinierów, że

iść mogą spokojnie, wraca bowiem od Łopuszna, dokąd chodził umyślnie, i przekonał się, że wroga ani poświeć w okolicy, a nasi w Kielcach się kupią. Dla towarzystwa jednak postanowił przejść jeszcze z nimi kawałek drogi.

— A co z tą armatą zrobić myślicie?—zapytał.

— Ano, Tomek ją brał, niech Tomek postanowi o niej.

— Cóżbym miał stanowić, jak nie to, że zwrócę polskiemu wojsku? Przecie to ich.

— Więc do Kielc?

Tomasz pomyślał chwilę.

— Widzicie, droga od Łopuszna do Kielc nie nada się do prowadzenia takiego konia: to bity trakt, roi się od różnego luda, a czy ja wiem, zali jutro, pojutrze nie będą nim ciągnęli Moskale lub Prusaki?

— Słusznie mówicie.

— Przeto ostawię to u siebie w Wielebnie, ukryję pieknie i pójde powiedzieć Najjaśniejszej Komendzie w Kielcach, żeby po armatę przysłała.

— Mnie się widzi, że my z Kurą to powiemy,—rzekł Ćmucha—bo co wy, to musicie doma ostać krzyne, póki się nie wygoicie.

— Pewno... tak będzie najlepiej.

Tak rozmawiając, postępowali rażno, paląc lulki i coraz poglądając ku gwiazdom, zali prędko czas upływa. Bartłomiej Chróściel zwłaszcza okazywał wyraźną niecierpliwość, poglądając to po niebie, to po ziemi. Wreszcie wybuchnął:

— Ciel... te brzezinki wedle drogi!... po prawicy od nich, krzyne w las, już moja chudoba.

I nie oglądając się na nikogo, mimo osłabienia, spowodowanego raną, biegł naprzód co tchu.

— Swąd jakowys tu czuć—rzekł Ćmucha.

— Jak to przy drodze—odparł Wojciech z Dźbowa.—Szły tedy różne wojska, rozpały ogniska i piekły, co się dało.

— Pewno.

— Baczcie, jak Chróściel, choć ranny i nie młodziak, rwie naprzód!

— Ha, do pierzyny mu pilno.

— Abo do Małgoški.

Parsknęli śmiechem.

— Już go nie widać, zaszył się w las.

— Nie dziwota, że rwie do swojej chudoby—rzekł po chwili Ćmucha; — mało wiele znaleźć taki statek i dostatek u chłopu, i pola karwas księża mu dali za wierne usługi. A co kobieta, to z hubką a krzesiwem szukać drugiej takiej, bo to i urodna i robotna, że z jednego dziesięć zrobi.

W tej chwili z za brzezinek doszedł krzyk rozdierający, który niebawem przeszedł w jęk i lament. Drużyna przystanęła i spojrzała po sobie.

— Chróściel to?...

— A ino.

Nie naradzając się i nie namyślając, pozostawili konie z armatą przy drodze, a sami puścili się ścieżką między brzozi. Ledwie ubiegli kilkaset kroków, gdy stanęli jak wryci. Na szerokiej polanie czerniły się zgłiszczu, od których odcinał się biały komin, a na nim w mocnym blasku księżycy widniały jeszcze malowane farbą kwiaty. Na przodzie, przyciśnięte belką, leżały zwłoki spalone, szczerbate, z przerażającą twarzą. Resztki wełniaka, osłaniające nogi, wskazywały, że była to kobieta. Przy zwłokach klęczał Chróściel, jęcząc i zawodząc rozpacznie.

Obskoczyli go towarzysze.

— Bartłomieju, Bartku!... Ady upamiętajcie się! Nie bluźnijcie Panu Bogu, bo może was jeszcze srożej dotknąć!

— Jeszcze dotknąć? A na czym? A na czym?... Co mam jeszcze do stracenia, jak mi ogień strawił kobietę chatę i dobytek?...

— A dziecko?

— Dziecko?... Ulisia!... Rany Boskie! rany Boskie! Ka ona?

Porwał się z miejsca i zaczął biegać po zgłiszczach, przekraczając belki, unosząc kawały polepy i coraz jęcząc nad jakimś nowym szczątkiem, przypominającym mu zrujnowane szczęście. Nagle stanął jak wryty, do uszu jego doszedł cichy jęk, wychodzący z pośród belek, spiętrzonych po spalonej obórcie. Poskoczył i pochylił się prawie do

ziemi, rozsuwając kupę węgli. Pod wystającą belką coś się poruszyło—wychylił się jakiś jasny kształt.

— Kurta! — krzyknął Chróściel, wyciągając rękę ku kudłatej głowie psa.

Kurta zaskomlał radośnie, przytulił łeb do kolan pana i począł lizać jego rękę.

— Kurta, mów, co się stało? Ka Ulisia?—wołał jak obłąkany Chróściel.

Ale pies coraz ciszej skomlał, prężył się, poczem zsunął łeb z kolan pana i opadł bezwładny.

— Chodźcie, Bartoszu, nie macie co tu tkwić—rzekł Tomasz.—Pójdźcie do mnie; za dnia zawiadomi się księży i rozejrzy się w okolicy, to i dziecko się znajdzie.

Podniósł się machinalnie, pogłaskał psa i poszedł za Ptakiem; ale przechodząc koło zwęglonego ciała żony, przypadł na kolana i z płaczem przylgnął ustami do jej ręki. Łkającego oderwali go towarzysze i powiedli w gwiazdzi-
stą, cichą noc.

ROZDZIAŁ 4.

Cisza jeszcze zupełna panowała wśród chat Wielebna, gdy kosynierowie przybyli do wioski.

Chata Tomasza Ptaka była jedną z bliższych, wjechali przeto w podwórko. Na ciężki turkot kół i brzęk żelastwa zbudziła się znać Tomaszowa, bo twarz jakaś, otoczona czerwona chustką, zamajaczała w oknie. Jeszcze też pierwsze konie nie zostały nawet odczepione, kiedy drzwi od chaty otworzyły się mocno i wypadła z nich ładna, hoża kobieta, jak kwiat maku, cała w czerwieni. Zawisła na szyi męża.

— Jesteś, Tomuś, jesteś, nareszcie!

Tuliła się do niego z płaczem.

— A mnie się śniła taka duża woda — mówiłam do Kuby: pewnikiem płakać będę.

— Ano i buczysz.

— To z radości.

Z chaty wybiegli dwaj chłopcy, siedemnastoletni i dwiętnastoletni.

— Tomekl... A cóż ty nam armatę przywiozłeś? Fortecę w Wielebnie założym, czy co?

— O tej armacie to — szal! Nie pyskować po wsi: wnetkiby ją nam zabrali. A teraz, chłopaki, konie do żłobu poprowadzić, a ty, Maryś, śniadanie godne naszykuj, bo jako widzisz, stowarzyszyli się ze mną kompani.

Marysia wejrzała ze współczuciem na Chróściela: z głową obwiązaną chustką, na której widać było wielkie ślady krwi, z twarzą bladą i spłakaną, wyglądał on jak istny obraz nieszczęścia.

Ćmucha objął go wpół i prowadził tak ledwo żywego z rozpaczą.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekli chórem, wchodząc do izby.

— Na wieki wieków! — odrzekła gospodyni — siadajcie, zarazko zacieręk nawarzę.

Siedli wszyscy prócz Tomasza, który podszedł do łóżka, patrząc z uśmiechem i rozczuleniem na trzyletniego malca o czerwonym buziaku, który spał głęboko, sapiąc, z przytwartemi usteczkami.

— Widzi mi się, jakby urósł — mruknął — bez te dwa miesiące i dwie niedziele.

— Jasiek to jeszcze nie, ale patrz na Józka, jaki chłop się z niego zrobił! Już próbuje chodzić.

Z czułością patrzała na tłuste dziecko, śpiące w kołobce. Tomasz patrzył na nie, ale wzrok jego stawał się mętny; bladł, zachwiał się, potem pochylił i runął na ziemię.

Zrobiło się zamieszanie. Ptakowa poczęła krzyczeć wniebogłosy, wszyscy mężczyźni prócz Chróściela rzucili się podnosić go i cucić.

— Zmogło go — rzekł Ćmucha. — Jest ciężko ranny, a już dwa dni i dwie noce tak się zмага z chorobą.

Przeniesiono go na łóżko, rozebrano, poczem Kuba poleciał po felczera do Łopuszna. Tomasz utracił przytomność i nie przestawał bredzić. Marysia zalewała się łzami

i zawodziła, że jej chłop rozum stracił, że z rany tej nie wyżyje. ale posłuszna rozporządzeniom mężowskiego brata, Łukasza, gotowała śniadanie dla gości, a nawet potem pilnowała i zapraszała, by jedli.

Po śniadaniu chłopci złożyli naradę i postanowili wysłać Łukasza zdobytymi końmi do Kielc, aby powiedział księdzu kanonikowi Płacheckiemu o nieszczęściu, jakie spotkało Chróściela, a w komendzie wojskowej o tem, że jest w Wielebnie armata do zabrania, oraz że dwaj zbiegli z niewoli niebawem na zdobytych koniach nadjadą. Potem udało im się skłonić Chróściela, aby poszedł z nimi prześpać się do stodołki.

Nadjechał cyrulik, obejrzał ranę Tomasza, przywołał do pomocy Jana, starego żołnierza, co się na opatrunkach rozumiał, i we dwóch, nie zważając na krzyki i jęki chorego, wyjęli kulę i usiłovali zatamować krwotok, wynikły skutkiem operacji. Kilka godzin chory jęczał jeszcze strasznie i wyrzekał, ale powoli uspokoił się i pod wieczór zasnął głęboko, zcicha tylko postękując.

Słońce miało się już ku zachodowi, gdy wracająca z oprzątania chlewu Marysia ujrzała wchodzące w podwórko dwie kobiety. Jedna, lat trzydziestu, ubrana w kwaciastą chustkę i tiulowy zawój na głowie, druga, podłotek, boso i okryta szalem ciemnym, za grubym jak na tę porę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!—rzekła wchodząca.—Wy są pewno Tomasza Ptaka kobiety?

— Na wieki wieków! Czego to chcieliście?

— Powiadają ludzie, że wasz zbiegł z niewoli.

— Z niewoli? — powtórzyła Tomaszowa ze zdumieniem.—Może i z niewoli, czy ja wiem... przyszli tu w czterech i to z ar...

Przypomniła sobie, że jej zabroniono wspominać o ukrytej armacie, i nagle w płacz uderzyła.

— Czy ja wiem, czy ja wiem co niebądź, moiście wyl... Leży jak kłoda, jęczy jak zarzynany wół, a dziurę ma w boku... powiadam wam... jak pies młynarzowego wieprzka poszarpał, to ani jednej takiej dziury nie miał na sobie.

— Powiadacie, że wasz chłop nieprzytomny?

— Ano, sami zobaczycie... Jasiek, usuń się! — zawołała, odsuwając malca, który wyciągnął się na progu.

Wprowadziła przybyłe do izby i wskazała na łóżko na którem pod grubym prześcieradłem leżał trupio blady Tomasz. Popatrzała na niego i znowu uderzyła w lament

— Widzi mi się, że on już z tego nie wyjdzie.

Odwróciła się, zasłyszawsza bowiem za sobą szlochanie. To przybyłe dziewczę stało z ramionami opuszczonymi wzdłuż koszuli bogato haftowanej, ale w kilku miejscach rozdartej, i wzdłuż barwnego pięknego wełniaka. Gruba chustka zsunęła się z jej głowy i ramion, ukazując wysmukłą, zgrabną kibić i twarzyczkę ładną, otoczoną wieńcem rozczochranych włosów. Piersią jej wstrząsało łkanie, łyż jak grochy spływały po twarzy — nie ocierała ich nawet.

Tomaszowa, myśląc, że to nad jej niedolą płacze, wzięła ją w objęcia i tak płakały obie, położywszy jedna drugiej głowę na ramieniu.

— To widać próżnom szła—niczego się nie dowiem.

— A coście wiedzieć chcieli?—łzawym głosem zapytała Marysia, nie podnosząc głowy z ramienia gościa.

— A bo to przyszłam tu ze Rzędowic, wedle tego...

— Ze Rzędowic?... A wy od kogo?

— Bartosa Głowaca kobieta.

Tomaszowa wyprostowała się i jąła wycierać oczy fartuchem.

— Tó mój wam dziecko podawał, jeszcze kiej nieżeniaty był.

— Ady Jędrus to jego chrześniak.

— No, to siadajcie, Bartosowa; nasi chłopci sobie kumotry, to my sobie kumoski.

Zaśmiała się wesóło, dziecinnie.

— A to wasza córusia?

Bartosowa się obruszyła.

— Gdzie zaś! Toćbym swojej dziewczuchy nie wodziła boso do ludzi w tyli świat.

Zasiadła na ławie, szeroko rozpościerając kraciastą spódnice i starannie ułożyła haftowany fartuch.

— Ta ze mną się tak z przypadku stowarzyszyła... Oj, kumosiu, kumosiu! wy lamentujecie, że waszemu chłopu bok przedziurawili, a co ma rzec taka biedota!... Miała ojca i matkę, chatę i pole, konia i krowę, i dwie świnie, i gadziny różnej dostatek. Ojciec poszli do powstania, tak jak i mój chłop...

— I mój.

— One zostały z matką doma, gospodarzyły a Boga prosiły, żeby tatusia z wojny szczęśliwie, powrócił. Aż tu zeszłego wieczora ściągnęły huncwoty kozunie, zabiły krowę, zabiły świnie...

— I wieprzka też... zachlipało dziewczę.

— I wieprzka też... I kury, i kaczki, i gęsi... Wszystko pojadły...

— To jeszcze nic, — zapłakała dziewczynka—ale jak się popili, jeni się czepiać matusi, a ona nie wiele myślący jak nie chyci garnka z gorącą wodą, jak nie chluśnie na jednego, na drugiego!... Ale ich była cała kupal... Wszycyko to doskoczyło do matki z bagnietami, z nożami, z pistoletami... Matusia raz tylko krzyknęła: Jezus! Maryja! Józefie święty!... A ja, nie wiem nawet kiej, wyskoczyłam bez okno i schowałam się w szopie...

— Jezus! Jezus!—szeptały słuchające kobiety.

— Niedługo zabawili łotry. Wszycyko to jęło wychodzić przed chatę i pośpiwywali i gwizdali; jeno ci dwaj oparzeni, jęcząc, siadali na wóz, co tatusiowi zabrali. Bałam się wyjść, że może który jeszcze tam ostał; ale myślałam, że może matula jeszcze żyją a potrzebują pomocy, więc pocichutku podeszłam do okna i patrzę... O Matko Przenajświętsza! — jak ta moja matuś wyglądała!... Nawet twarzy nie rozeznać!... Jedna rana!... Alem się też nie napatrzyła!... Kurta zaczął wyć przeraźliwie i tak się raptem jasno zrobiło! Patrzę... dach już w ogniu!... Zmogłam się—wskoczyłam przez okno i do matki dopadłam, ale była już prawie zimna, a i pierś miała rozplataną, że aż wątpia widać

byłol... Więc uciekłam z onego palącego się domu i już drugi dzień po boru się włóczę, a jagody ino jak ptak dziobię.

Bartosowa przygarnęła ją do piersi.

— Bóg raczył, zem ciebie spotkała. Mam ino chłopaków, to cię jak córkę przytulę, póki twój tatulo nie wróca.

Do izby wszedł Kuba.

— Przyrządź wieczerzę, Marysia—rzekł od progu — bo nasze wojaki chcą w drogę ruszać.

— Wojaki? — powtórzyła Bartosowa.

— Przyjechało trzech z moim chłopem, jeden ranny, Aronek go razem z moim opatrywał, ten pewnie póki co zostanie. A dwóch, zdrowych, wróci do wojny.

— Może który z nich mój Bartos?

— A wołają na jednego: Bartek—młody chłop, ledwo mu się wąs wysypał.

— To nie mój!... Mojemu już się na czterdziesty obróciło.

— Gospodarz ciągle jednaki?—zapytał Kuba, podchodząc do łóżka.

— Śpi już kilka godzin.

— Jak się wyśpi, będzie mu lepiej.

— Może już oprzytomnieje... Tomekl...

— Cichoj, głupi, nie budź go! niech śpi! — zawołała z gniewem Marysia.

Ale Kuba nie zwracał na to uwagi, przeciwnie, pociągnął za ramię chorego.

— Co to? — zapytał gorączkowo, otwierając szeroko szkliste oczy, ale dodał zaraz: — A to ty Kuba?

— Widzisz, poznał me.

Tomaszowa ucieszyła się niezmiernie.

— O mój Tomeckul... Niechże też Panu Jezusickowi będą dzięki, że ci całkiem rozumu nie odjął.

Kiwnął głową, siląc się na uśmiech.

— Tomku, chłopcy chcą iść do Kielc, pytają, do kogo się tam obrócić.

— Ano, niech przyjdą, uradzimy — słabym bardzo głosem odparł Tomasz.

Do łóżka zbliżyła się Bartosowa.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków!

Przymrużył oczy, chcąc rozróżnić rysy stojącej tyłem do okna kobiety.

— To ja, Bartosowa Głowacka... ze Rzędowic... Uznajecie mnie, kumie?

Zbierał przez chwilę myśli i nagle, wyciągnawszy rękę, z rozpromienioną twarzą, jak do jakiego cudnego obrazu, zawołał:

— Wojciechu Głowacki! mianuję cię chorążym pierwszego pułku grenadierów krakowskich, a jako dawniej za usługi krajowi czyniono szlachcicom, tak ja za dzielną służbę ojczyźnie czynię cię szlachcicem, równym każdemu, i w herbie będziesz miał kosę.

— Znów bredzi! — ławym głosem zauważyła Ptakowa. Tomasz potrząsnął głową:

— Nie, nie bredzę, tak było... pod Racławicami.

Oczy zamknął i mówił jak do siebie samego:

— Ustawił Moskal armaty na wzgórzu... Strasznie prążyły, spustoszenie szerzyły wśród naszych. Naczelnik podjechał, ręką wskazał wzgórze: „Dalej, chłopcy! weźcie mi te armaty! Bóg i Ojczyzna!” Nie trza nam było dwa razy mówić: rwiemy — Wojtek Bartos na czele, kule armatnie lecą nad nami, bo my zgięci w pół, żeby bliżej tej matki ziemi. Wpadli my na wzgórze. Wojtek Bartos pierwszy kosą śmiga po kanonierach, a czapką wylot armaty nakrywa. Wala się ci kanonierzy jak snopy, bo nasze kosy szwarnie pracują; krzyk, jęk — krótka chwila, już armaty nasze, już je przed Naczelnika wlecemy. A on kapelusz zdjął, powiewa nim wesoło: „Dzielne chłopcy!” woła, a potem z Wojtka Bartosa Głowacza — pana Głowackiego czyni.

Wojciechowa ręce do twarzy podniosła.

— Prawdęż mówicie, Tomaszu, prawdęż mówicie?

— Żebym tak Boga miał przy skonaniu, jak żem słowa nie przyczynił.

— Dziwy, dziwy! Szlachcicem, powiadacie?... Ady ja

się w tem szlachectwie ruchać nie potrafię. A ka on tera? ka on?

Tomasz ściągnął brwi, twarz jego przybrała wyraz wielkiej powagi.

— Módl się za jego duszę! — wyszeptał.

— Co? co?... powiadacie?... za jego duszę?... to on pome?...

Krzyk jakiejś rozdzierającej trwogi i niepewności wydarł się z jej piersi, padła na kolana przy łóżku, kryjąc twarz w pościeli. Tomasz położył rękę na jej głowie i rzekł z rozrzewnieniem:

— Poległ, poległ, jak tylu innych szlachciców na polach bitew padało, on pierwszy szlachcic wśród chłopów, pierwszy, co miał honor oddać życie za ojczyznę...

W tej chwili rozległy się kroki kilku mężczyzn; do izby wszedł Kuba, prowadząc trzech kosynierów. Przybyła dziewczeczka, która z wielkiem zajęciem przysłuchiwała się słowom Tomasza, nie odwróciła się nawet ku wchodzącym. Nagle Chróściel wydał okrzyk, a rzuciwszy się naprzód, wykrzyknął radośnie:

— Uliśiał

Dziewczynka się odwróciła i naprzemian płacząc i śmiejąc się, na szyi ojca zawisła.

— Tak zara poznaliście mnie, tatulu, choć z tyłu?

— Ja twój węlniak poznałem, co go nieboszczyca matka tkali.

I jął całować dziewczę, a ono mu wśród łkań powtarzało znowu straszne wypadki poprzedniej nocy. I tak w dwóch kątach izby płakało dwoje ludzi: Głowacka po utraconym mężu, Chróściel po żonie i dobytku.

Nagle nad szlochami temi zapanował głos Tomasza Ptaka:

— W dzień bitwy szczekocińskiej, w której to zginął chorąży Głowacki, miał jedną troskę, że jeśli mu sądzono zginąć, kobieta jego ostatnie bez pomocy, jako że bratów ani on, ani ona nie mają, a synowie jeszcze mali. I upominał mnie, abym, jako kum, staranie o to miał. To ja tak radzę: Paweł Chróściel ostał bez domu, a dom Głowaczów bez gospodarza, Głowaczów dziecka bez ojca, a Chróście-

łów dziewczka bez matki; przeto ja mówię tak: niech Chróściel złączy się z Głowacką...

— A co wam w głowie, kumotrzel — krzyknęła Wojciechowa. Gdziebym zaś ja memu Wojtkowi miała nie dochować pamięci!

— Ja też nie mówię, żeby cię Paweł miał za żonę wziąć, tylko żebyście wy Chróścielowi dom swój otworzyli; on o waszą gospodarkę będzie miał staranie, a wy o jego dziewczkę.

— Ano, Pan Bóg znać onę nieszczęsną sierotę na drodze mojej postawił — westchnęła Głowacka. Ale mi i tak mego Wojciecha żal, oj, żal, żal!

Zawodziła żałośnie, a tymczasem Tomasz coraz ciszej, bo bardzo był zmęczony, doradzał Ćmuchowi i Kurze, dokąd mają się zwrócić i co powiedzieć co do armaty i zdobytych koni.

Po wieczery dwaj kosynierowie odjechali, a Głowacka z Chróścielem i Ptakową długo rozmawiała na przyźbie, popłakując i tuląc do siebie siedzącą u jej nóg Uliśię.

ROZDZIAŁ 5.

Tomasz Ptak chorował długo i ciężko. Nieusunięta w porę kula wytworzyła stan zakaźny, a to sprawiło, że przez parę miesięcy życie jego było na włosku. Ale silna natura i gorące modlitwy Tomaszowej sprawiły, że zdrowie wzięło górę nad chorobą, i z rozpoczęciem zasiewów w polu Tomasz zaczął wstawać, wysiadywać na przyźbie, poglądać na gospodarkę i ciągle się dopominać o strawę u swej kobiety.

W niedzielę po Narodzeniu N. Marji Panny wybrał się Tomasz do kościoła w Łopusznie. Przywdział nową sukmanę, opasał się szerokim na półłokcia pasem, mosiężnemi gwoździakami nabijanym, do wysokiego czarnego kapelusza przypiął pęk piór pawich i tak szedł, prosty i okazały, aż luna od niego biła. Za nim postępowała Marysia w kwiaciastej spódnicy, czarnym kaftaniku, wstążeczkami

i galonem naszywany, w koralach jak żółędzie na szyi, a dumnie podnosząc głowę w tiulowy turban strojną, że za takim bohaterem idzie.

W kościele, a bardziej jeszcze na cmentarzu, na którym kupiła się moc ludu, każdy oglądał się za Tomaszem i wskazywał go palcami, jako takiego, co w kilku bitwach był, najbardziej zaś w sławnym ataku na armaty pod Racławicami. Dzieciaki nawet biegły za nim, a dopytywały się wzajemnie, gdzie ma armatę i pistolet.

Ale Tomaszowi pilno było do kościoła, bo już rozbrzmiewał w nim potężny chór „Święty Boże“, znak, że proboszcz rozpoczął nabożeństwo.

Dopiero po mszy i kazaniu wyszedł przed kościół i przystanął niedaleko drzwi zakrystji, a zaraz obokoczyli go parafjanie, szczególnie z dalszych wsi, którzy nie odwiedzili go dotąd w Wielebnie, prosząc, aby opowiedział, jak to na wojnie, dopytując o krewniaków i znajomków. Nagle zaczęli się rozstępować: z zakrystji wyszedł pan starosta Dobiecki, właściciel Łopuszna z licznymi włościami, ubrany w świetny czerwony kontusz i żupan ze złocistej materji, a założywszy lewą rękę za cudny pas sławucki, prawą raz po raz uchylał czapki z czapłą kitą, kłaniając się witającym go sąsiadom i oficjalistom. Szedł prosto ku gromadce otaczającej Tomasza i uśmiechał się zdaleka.

— Miło mi, że was, Tomaszu, w dobrym zdrowiu widzę — rzekł, podchodząc do niego.

Ptako uklonił się kapeluszem do ziemi, potem przypadł do kolan pańskich i uściśnął je wedle dawnego zwyczaju. Ale wnet wyprostował się i stanął, patrząc śmiało w oczy pańskie, jak przystało temu, kto się już bił za ojczyznę.

— Już zupełnie przyszliście do siebie?

— Panu Jezusowi dziękować, już mi tak, jakbym nigdy nie chorował, całkiem o chorobie zapomniałem.

— A o tem, co było przed chorobą?

— Niby o wojnie?...

— Tak, czy też zapomnieliście?

— Przecie nasza wojna to nasamprzód pan Naczelnik

Kościuszkę, a tego kto raz poznał, ten pokochał, a kto pokochał, jakże ma zapomnieć.

— Słusznie mówicie, Tomasz. Radbym też, żebyście mi opowiedzieli, coście to widzieli i słyszeli przez te dwa miesiące, które spędziliście na wojnie.

— Dwa miesiące i dwie niedziele—poprawił Tomasz.

— Tem więcej—uśmiechnął się pan Dobiecki. — Ale że moja żona i córki też ciekawe każdego szczegółu, a nie chcę was dwa razy utrudzać, proszę, żebyście podeszli ze mną do dworu; zasiadziecie w altanie, pokrzepicie się winem i jakim posiłkiem, a potem opowiecie nam o wszystkim.

— Ano, dziękować jaśnie wielmożnemu dziedzicowi za łaskawość na mnie.

Odwrócił się do żony, kazał jej z braćmi wracać do domu, a sam poszedł z dziedzicem, odprowadzany ciekawymi i trochę zazdrosnymi spojrzzeniami. Właśnie wyszedł z zakrystji i pleban, starzec sędziwy, kiwając głową i powtarzając: „Jak się macie? jak się macie?“ całującym go po rękach chłopom. Stał w bramie muru kościelnego, popatrzał przed siebie i twarz rozpoznała mu się serdecznym uśmiechem.

Starą kasztanową aleją szedł pan Dobiecki w swym bogatym stroju i złotych butach, a przy nim postępował chłop w białej świcie i skórzanym pasie i wiedli z sobą rozmowę jak dwaj równi, jak bracia. Czasami jeden z nich chciał coś poufniej powiedzieć, zbliżał więc głowę do ucha drugiego, a wówczas czapła kita i pęk piór pawich łączyły się z sobą w pięknej harmonji. Proboszcz pokiwał głową ze wzruszeniem:

— Więcej nam takich! więcej! — wyszeptał.

A Tomasz Ptak, skoro tylko wydostał się z tłumu, zwrócił się do pana Dobieckiego z zapytaniem:

— Gdzie teraz, panie dziedzicu, pan Naczelnik i co wogóle z wojną słycać; bo to już bezmała trzy miesiące wyleżałem się w wyrku, a u nas nic się nie dopytać.

— Ano, miło mi zatem zawiadomić was, że Kościuszkę wytrzymał blisko dwumiesięczne oblężenie Warszawy

przez połączone wojska rosyjskie i pruskie w sile 41,000 i 235 dział, gdy on zaledwie 23,000 rozporządzał. Nieprzyjaciół, poniosłszy wielkie straty, cofnął się przed tygodniem, a Prusacy, rozdzieleni zwycięskimi wojskami Kościuszki, nie mogą połączyć się z Moskalami. Nadto generał Dąbrowski, wysłany do Wielkopolski, zasilił tam powstanie i dokonywa cudów sztuki wojennej, dzięki czemu Prusacy są wzięci w dwa ognie.

Oczy Tomasza Ptaka rozgorzały jakąś radosną dumą.

— No, a on, nasz Naczelnik, ka on teraz?

— Ma główną kwaterę w Mokotowie pod Warszawą, ale w ciągłym ruchu, rozstawia wojska i utrudnia ruchy nieprzyjacielskie. Po tamtej stronie Wisły pełno naszego wojska pod generałami: Madalińskim, Mokronoskim, Sierakowskim, Ponińskim.

Ptak milczał chwilę, przygryzając wargi.

— A jak to się idzie do tej Warszawy? — zapytał z wahaniem.

Pan Dobiecki przystanął i rzucił mu serdeczne spojrzenie.

— Wróćcie? — zapytał.

Ptak pęskrobał się w głowę.

— Ano, wielmożny dziedzicu, jak wielmożny dziedzic zaczął mówić o Kościuszcze, Dąbrowskim, Madalińskim, jak i tu i tam piorą nieprzyjaciół, to mi się tak zrobiło, jakby mnie kto, z przeproszeniem dziedzica, gdzieś łechtał... nic tylko iść i iść, jakby mnie co gnało... A i to, że mam coś oddać naszym... Ale nie wiem, kędy droga do Warszawy; do Kielc znam, ale stamtąd...

— Dobrze też, żeśmy się zeszli z sobą: wy nam opowiecie to wszystko, coście widzieli i słyszeli, a ja was poczę, któredy jechać do Warszawy, a i pistolecikiem dobrym i trochę dukatów opatrę.

— Mnie nie trza przy wojsku...

— Oddacie też mieszek Naczelnikowi.

Tomaszowi zaśmiały się oczy.

— To dobrzel... U nas też zbiorę parę kilka złotych

między chłopami, tymi, co do wojny iść nie mogą. Naczelnik strasznie się cieszy, jak widzi, że i chłopcy grosza dla ojczyzny nie żałują. Przywiozę worek od wielmożnego dziedzica i woreczek od chłopów.

— Nie, Tomaszu; wsypiesz wasze złotówki do mojego worka, niech się zmieszają z mojem złotem, i powiedz Naczelnikowi, że są w Polsce tacy chłopcy, co na ołtarzu ojczyzny ostatnie grosze składają, i tacy panowie, co rozumieją, że chłopski trzygroszniak ma taką cenę, jak ich złoty dukat.

ROZDZIAŁ 6.

Tomasz Ptak przerachował się z siłami. Powróciwszy, do siebie z Łopuszna, czuł się tak zmęczonym tą wycieczką, że zrozumiał, iż trzeba mu dobrze jeszcze jakiś czas wypocząć, żeby w drodze nie zaniemóc.

Jakoż dopiero w pierwszych dniach października puścił się wozem, zaprzęgniętym w dwa konie z tych, które przyciągnęły armatę, mając ukryte w worku z obrokiem: woreczek z pieniędzmi i ostrze racławickiej kosi, starannie w drewniany futerał włożone, a pod siedzeniem pistolet. Pan Dobiecki dał mu też parę worków z owsem, aby wyglądało, że wiezie zboże do jakiegoś miasteczka.

Pierwsze dni minęły szczęśliwie: okolica między Kielcami a Radomiem była spokojna; ludzie wprawdzie tu i ówdzie opowiadali, że po drugiej stronie Wisły kraj roi się od Moskali, ale Tomasz rad to słyszał, wiedział bowiem, że wyprzedziwszy ich i dążąc na północ, złączy się z wojskiem polskiem. Niemale przeto było jego zdziwienie, gdy usłyszał, że pod Kozienicami rozłożyli się Moskale. Nie chciał z początku wierzyć.

— A nacóżby oni tu szli?— rzekł do leśniczego, który mu tej wiadomości udzielił. — Odchodziliby od wojny?

— Nie idą oni ku nam, ale zbudowali most pod Kozienicami, to przecie nie dla wygody Polaków, ino dla przeprawienia po nim wojska swojego.

— A pocóżby oni tak tam i z powrotem spacerowali nad Wisłą?

— Pewnie poto, żeby zająć tyły Polakom.

— Znaczy, gdzieś niedaleko będzie bitwa.

— Prawdopodobnie.

Upewniwszy się co do wiadomości o postoju Moskali między Sieciechowem a Kozienicami, Ptak postanowił zjechać z głównego traktu i powlókł się rozmiękłemi glinianymi drogami na Jedlińsk, Głowaczów i Ryczywół. Poza Głowaczowem w jakiejś lichej wioszczynie opowiadali z płaczem ludzie, że przeciągała tędy rosyjska konnica i że zabrała im wszystko bydło i zboże, co miało im służyć na całą zimę. Jakoż obznajomiony już z rekonesansami Tomasz poznał po śladach kopyt, że musiała przeciągać tędy pikietą z kilkunastu koni, zapewne dla zdobycia furazu lub zasięgnięcia języka. W każdym razie wolał dzień spędzić w oberży, a dopiero na noc ruszył do Ryczywoła.

Był już w połowie drogi, gdy nagle z za kępy oiszyn wyjechało dwóch jeźdźców. Po wysokich czapkach i pikach odgadł, choć noc była ciemna, że miał przed sobą kozaków. Przeżegnał się i szepcząc „Pod Twoją Obronę..“ jechał na pozór obojętnie. Ale kozacy, znać z myślą zdobycia korzyści, rozdzielili się i każdy podjechał z innej strony wozu.

— Pastoj! czto wieziosz?

— Ano widzicie — owies.

— Owsa u nas dowolno... Dieńgi imiejesz?

— Gdziebym ja dieńgi miał... Parę czeskich na strawne mam.

Wydobył z za koszuli szmatkę, w której miał zawiniętych kilka złotych.

— Poszukajmy w owsie: może będzie tak, jak z tym wasaczem, co już ziemię gryzie, a w obroku dukaty miał.

Na to przypomnienie, jak na komendę, zeskoczyli obaj z koni, okręciwszy cugle koło ręki, zbliżyli się, a pochyliwszy się nad wozem, zanurzyli chciwie ręce, obmacując worki. Ale Tomasz odwrócił się ku nim, ręka nieznacznie

wsunęła się pod słomę, na której siedział, zrobił mały ruch pod kapotą i nagle huknęły dwa strzały. Jeden z kozaków, dostawszy kulą w samą skroń, bez jęku obsunął się na drabinę wozu, a pociągnięty przez spłoszonego wystrzałem konia, włókł się, oplątany w lejce, po drodze, podrzucany gwałtownie na kamieniach. Ale drugi kozak dostał postrzał w szczękę; wyjąc z bólu, podskoczył za koniem, uchodzącym także; chciał dobyć pistolet, przytroczony do siodła. Tomasz tymczasem nabił ponownie swój i korzystając z tego, że i jego konie ponosiły z przerażenia, dawał znowu jeden za drugim strzały w stronę kozaka. Ale ten już dopadł konia i porwał najulubieńszą swą broń — pikę. Tymczasem kosynier już go minął i pędził całą siłą przerażonych koni. Kozak wymierzył potężny cios, ale pika zanurzyła się miękko w worek owsa, znajdujący się z tyłu wozu. Wówczas z najwyższą wściekłością puścił towarzyszkę bojów z rozmachem przed siebie. Ptak uczuł straszliwe uderzenie i silny ból w lewym ramieniu, pika z brzękiem padła na płaski gład przydrożny, ale on nie stracił przytomności; miał już ostatnią kulę, rozumiał, że nie wolno mu jej na ślepo wypuścić. Podniósł się, stanął na wozie i wymierzywszy z wielkiem zastanowieniem — wypalił. Jednocześnie strzelił też kozak, ale że obliczał kierunek strzału w głowę siedzącego chłopą, który niespodzianie podniósł się, kula przebiła mu sukmanę poniżej kieszeni. Strzał zaś Tomasza był znakomicie skierowany w samo serce. Kozak obsunął się z wysokiej kulbaki i runął głową na dół. Koń jego stał nad ciałem, wachał swojego pana i rżał żałośnie.

Z pół godziny pędziły rozhukane konie Tomasza; czuł on przejmujący ból w ramieniu i spływającą krew, ale nie zatrzymywał się dla opatrzenia tymczasowo związanego ramienia, ogarnięty trwogą przed grożącym pościgiem. To też niezmiernie szybko przebył przestrzeń, dzielącą go od Ryczywóła.

W miasteczku zastał ruch niezwykły; w rynku i na ulicach pełno chłopskich wózków, na których spały kobiety i dzieci, przeważnie w brązowe świty przybrane; przy

wózkach przywiązane były krowy; między wozami kręcili się chłopcy, pykając z fajeczki i rozmawiając między sobą śpiewnym i żałosnym głosem.

Tomasz zatrzymał się przy pierwszym.

— A skąd to wy? Widzi mi się, uciekacie przed wojną?

— Co robić, bracie miłościwy! nasze wioski: Maciejowice, Oronne, Godzin, Kawęczyn, wszystko już przez wojska zajęte. Moskale ciągną, lada chwila bitwa się zacznie.

— Pan Naczelnik Kościuszko wydaje bitwę?

— Pono.

— A z wrogów tylko Moskale?

— Tak, ale ich siła siła

— To nic; jednego wroga Naczelnik zawdy pokona, choćby dziesięć razy był silniejszy.

— O, dałby to Pan Bóg miłosierny? Powiadają ludzie, że naszych połowa tego, co Moskale, ale jakiś generał... Jak to, kumotrze, mówili?... Jak on się nazywa?

— Zabaczyłem — odparł zagadnięty Podlasiak.

— Może Dąbrowski? — zapytał Ptak.

Obaj chłopcy z Podlasia oburzyli się.

— Dy Dąbrowskiegobym nie zabaczył! — zawołał pierwszy — dość o nim po całym kraju mówią, jaki zuch i mądrała.

— To może Madaliński? — Nie. — Sierakowski? — Też nie. — Poniński? — Tak, tak, Paniński!... wiedziałem, że tak coś od kobiety.

— Więc co mówili o generale Ponińskim?

— Ano, mówili, że wie dzie 4,000 rezerwy, która doskoczy z tyłu na Moskala.

— Będzie im ciepło, jak im Polacy tyły wezmą!...

W Tomaszu zagrała krew rycerska; radby napotkać tu zaraz owe rezerwy i ruszyć z niemi, sprawić straszną niespodziankę wrogom. Ale rozumiał, że przedewszystkiem trzeba opatrzyć odpowiednio ramię, nie dopuszczając zbyt-niego upływu krwi, bo to po niedawno przebytej chorobie mogło uczynić go niezdolnym nawet do zawiezienia Naczelnikowi wiadomości o ukrytej armacie. Udał się przeto do

oberży, kazał sobie przywołać cyrulika i zniósł cierpliwie bolesny opatrunek zranionego z nadwężeniem kości ramienia.

Właśnie cyrulik kończył owijać ramię, wzięte w dwie deseczki, gdy do uszu ich doszedł głuchy, odległy jęk artylerji. Tomasz drgnął, jak koń pułkowy.

— Bitwał—rzekł błędąc.

— Ano biją sze warjaty—odparł obojętnie Żyd cyrulik.

W tej chwili Ptak wymierzył mu potężny policzek.

— Aj waj! zabił mel zabił mel!

— Nie zabiłem cię, parchu; ale powtórz ino, to ci ten kołtuniasty łeb na czworo rozwałę!

— Aj waj! co wy za zbójnik! Ja was opatruję, ja was kuruję, a wy mnie za to bijecie!

— Nie za to, psiakrew Masyjaszu, ale za to, żeś powiedział: biją się warjaty! A wiesz ty, niechrzczeńcze, kto się bije? To wojsko polskie, to jenerałowie polscy, to sam pan Naczelnik Kościuszko.

— To, niech uny sze biją, niech im będzie na zdrowie, jak ich pozabijają; a wy dajcie mi moje trzydzieści groszy za opatrunek i dziesięć za zbity pysk i idźcie się bić, kiedy wam sze to widzi.

Tomasz wydobył z węzetka kilkanaście trzygroszniaków.

— Masz trzydzieści groszy za opatrunek, a co do pyska, to mogę ci nabić drugi, żeby jednemu żal nie było.

— Gospodarz taki krotochwilny, że gospodarzowi je-no sztuki na jarmark pokazywać.

Zabrał swoje miedziaki i wyniósł się pośpiesznie.

Tomasz Ptak zastanowił się chwilę, potem udał się do oberżysty, wyglądającego na porządnego człowieka, i oświadczył mu, że ponieważ łatwiej mu będzie przejść piechotą, chce pod jego opieką zostawić wóz i konie.

— Ostawić możecie, ale czy je znajdziecie za powrotem—nie ręczę. Jak to w czasie wojny—plądruje jeden, plądruje drugi... A to wasze, czy pańskie?

— To Rzeczypospolitej.

— A, jeśli tak, to zapewniam was, że dopiero wtedy wróg zabierze, jeśli ja nie będę mógł palcem ruszyć w obronie.

— Bogu dzięki, że na dobrego i uczciwego natrafiłem Polaka.

— Ba, my tu przy tej oberży z dziada pradziada siedzimy.

— To wam jeszcze coś powiem. Gdyby tu nadeszło polskie wojsko, to powiedzcie dowódcy, że może konie zabrać, bo to wojskowe: nasze, ruskie, czy pruskie, nie wiem, dość, że po szczekocińskiej bitwie wrogom zabrane. Mogą je zabrać i wóz, jeśli im się przyda, i owies, żeby koniskom podsypać.

— Dobrze, wezmę pokwitowanie.

— Jak tam chcecie... Psiachmać, jak mnie łapa boli... Gdzie tu prom?

— Idźcie prosto drogą, to do niego dojdziecie; spojrzycie trochę na prawo, to go ujrzycie, jak się bieli.

Tomasz przed opuszczeniem oberży wyjął ukryty w obroku woreczek z pieniędzmi, a rozpruwszy, podszył nim pas i wypełnił monetami. Potem, pożegnawszy oberżystę i wstąpiwszy na pacierz do kościoła, puścił się drogą na wschód.

Jęk armat stawał się coraz wyraźniejszym, a każda salwa była jakby uderzeniem bicia dla podążającego Tomasa; za każdym razem przyśpieszał kroku, a potem znowu zwalniał, zmęczenie bowiem całej nocy i rana powodowały takie osłabienie, że dwukrotnie schodził z drogi, a zaszywszy się w krzaki, wypoczywał blisko godzinę.

Około południa przybył nad Wisłę, obejrzał się na prawo i na lewo—promu nie było. Wyteżył wzrok i odróżnił go przy drugim brzegu rzeki. Myślał w pierwszej chwili, że przewiózł kogoś na drugą stronę i zaraz powróci. Ale tam najmniejszego ruchu widać nie było, natomiast liczne ślady świeże stóp żołnierskich kazały się domyślać, że jakiś oddział przeprawił się na drugą stronę i nie uznał za rzecz potrzebną odesłać prom na zwykłe miejsce. Obejrzał się jeszcze dokładnie, a nie widząc żadnego czołna ani łodzi, nie namyślał się długo i rzucił się do rzeki wpław.

A kanonada artylerji doszła do jakiegoś potwornego chóru; powtarzał ją echem las na lewym brzegu Wisły, tak

iż Tomaszowi zdawało się, że płynie między dwiema grającymi baterjami. Serce biło mu gwałtowniej, coraz gwałtowniej. Wyskoczywszy na brzeg, otrząsnął się z wody, a chcąc osuszyć się i rozejrzeć w okolicy, wbiegł na najbliższe wzgórze i nagle zadrżał... w oddali ujrzał na horyzoncie jakieś barwne ruszające się kreski.

W znacznej jeszcze odległości, ale wprost przed nim wrzała bitwa.

Chwilę stał bez tchu; nie wiedział, od której strony nasi, od której Moskale; bał się natknąć na wroga. Nagle jakiś ruchomy kolorowy obłok zaczął pełzać ku niemu, z niesłychaną szybkością zbliżał się, a zarazem nabierał wyraźnych kształtów: już można było rozróżnić konie i jeźdźców, już z kłębow kurzu wychylają się czapki czerwone z ciemnem obszyciem, kołnierze i rabaty, już widzi barwę zieloną munduru. Tomasz przypomina sobie te postacie: widział tę konnicę pod Racławicami i w obozach pod Jędrzejowem i pod Sieczkowem.

Nasil... Ale czemuż biegną od pola bitwy? Czyżby rekonesans jaki? Czemu w popłochu?... Czyżby ucieczka?... Tomasz ręce rozkrzyżował i biegnie ku nim. Pędzą, że konie nieledwie dotykają brzuchami ziemi, minęli go, nie słysząc jego wołań, nie rzuciwszy spojrzenia.

Nagle jeden z ostatnich zsunął się z konia i runął na ziemię; przesadziły go konie podążających za nim, a on leżał na piasku z odrzuconemi w tył ramionami.

Tomasz pochylił się nad nim — żył jeszcze. Z przydrożnego rowu nabrał wody w dłoń i chlusnął na twarz oficera. Oficer otworzył oczy, z pomocą Tomasza podniósł się i rozejrzał wokoło.

— Co to? — zapytał słabym głosem.

— Omgleliście i spadliście z konia... Pewnieście ranni? Oficer jęknął i spojrzał po sobie; Tomasz spostrzegł teraz świeże ślady krwi na piersiach młodzieńca.

— Zdaje się, że uchodziliście z boju... Co tam?...

Ranny zdawał się namyślać chwilę, potem skrzyżował ramiona na kolanach, złożył na nich głowę i wybuchnął łkaniem.

— Pogrom! pogrom! — wołał. — Było nas tak mało, Poniński nie nadciągnął, Naczelnik na niego liczył. Naczelnik zabił!

— Kościuszko?

Twarz Tomasza powlokła się trupią bladością.

— Przebóg!... Mówicie wy prawdę?

— Samem widział!... Padł z konia, a nad nim chmara kozaków... migaly jeno szable.

— Naczelnik zginął! Naczelnik zginął! Kościuszko zabił! — powtarzał, jakby nie mogąc uwierzyć tym słowom, Tomasz.

Nagle obłądną twarz zwrócił w stronę Maciejowic. — Słyszycie? — szepnął. — Co? — Artylerja zamilkła. — Stało się... zginęliśmy! — Pójdę na to wzgórze... popatrzę. — Pójdę z wami. — Poczekajcie! wprzódzi przewiążę wam ranę. Macie szmaty przy sobie?

Zręcznie dokonał opatrunku, potem, pomógłszy rannemu wdziać mundur, poprowadził go na wzgórze, a gdy wskoczyli obaj na złożony tam siąg pni, mogli jak najdokładniej rozróżnić pobojowisko, na którym odbywał się już tylko przemarsz jeńców i zabieranie rannych.

Oficer znowu zapłakał, ujrzawszy ten obraz.

— Zauważcie, — rzekł — jak równo szeregiem leżą nasi: to dowód, że żaden z tych żołnierzy nie cofnął się, leżą tak, ramię przy ramieniu. Widzicie te dwa bataljony muszkieterów?... te tam?... taki szereg różowych rabatów i żółtych naramienników?... to „Działyńczyki“ z pułku Działyńskiego... legli co do nogi.... Widzicie... przy artylerji ani jednego żywego konia, wszystkie wybite, kanonierowie obracali działa bez zaprzęgów, własnoręcznie przesuwali je z miejsca na miejsce, póki nie wystrzelali co do ostatniego naboju... Od chwili, jak jazda Tolstoja wzięła nam tyły, bitwa zamieniła się w rzeź straszliwą.

Tomasz załamał ręce.

— Czegom ja dożył!... Czego oczy moje ten straszny obraz oglądają?... Było mi pozostać ze wspomnieniem Racławic!

Oficer położył rękę na ramieniu Tomasza.

— Nie za zwycięskie bitwy tylko naród winien być wdzięcznym. Nie doniosłość zwycięstwa, ale doniosłość ofiary stanowi o wielkości dzieła. Ale skryjmy się, przyjacielu: pikiety nieprzyjacielskie zapewne rozbiegną się po okolicy wyławiać jeńców, a ja nie chcę zostać niewolnikiem.

ROZDZIAŁ 7.

Stanisław Pietrzykowski i Tomasz Ptak, pomimo niebezpieczeństwa, które rozumieli, nie oddalili się od Maciejowic, lecz krążyli w pobliżu, pragnąc dowiedzieć się choć o losie dowódców. Poświęcenie to ich zostało uwiecznione przynajmniej tym szczęśliwym wynikiem, iż nazajutrz rano dowiedzieli się, że Kościuszko żyje, choć znaleziono go tak porąbanego i obdartego, że nawet własni jego adjutanci z trudem go poznali. Przyniesiony do zamku maciejowskiego, znalazł się tam wraz z Książewiczem, Fiszerem, Niemcewiczem, Kopciem, Sierakowskim, Kamińskim i wielu innymi wybitnymi oficerami.

Sprawca nieszczęścia, generał Poniński nadciągnął dopiero w dwie godziny po bitwie, skutkiem obrania, wbrew rozkazowi, drogi na Korytnicę.

Rozpacz wojska i narodu była nie do opisania; tozumiiano, że z upadkiem Kościuszki nikła nadzieja wybawienia na długie lata. Opowiadano, że kilka tysięcy ludu wyruszyło z Warszawy, aby odbić ukochanego Naczelnika, a Rada Najwyższa proponowała zwycięzcom oddanie wszystkich jeńców rosyjskich wzamian za jednego Kościuszkę. Propozycja ta została odrzuconą, a biegnący z odsieczą lud warszawski opamiętał się, że nic nie zdziała z gołemi rękoma, i wrócił z pod Jeziorny.

Tak krążąc po okolicy, doszli Pietrzykowski z Ptakiem trzeciego dnia do Radzyna. Tu oficer położył się do łóżka, zaproszony pod dach jakiegoś gościnnego patryjoty, Ptak zaś wyszedł na główny trakt i ze ściśniętym sercem patrzył

na pędzone tłupy jeńców. Byli wśród nich i świetni kawalerzyści i kanonierzy, chłopcy na schwał i wielu takich, jak on, kosynierów, którzy szli w swych białych, brązowych i siwych świtach długim, długim szeregiem. Ludność miaseczek i wsi wynosiła im jadło i udzielała drobnych zapomóg, płacząc nad nieszczęśliwymi w przewidywaniu strasznego ich losu.

Trzeciego dnia rozeszła się wiadomość, że do oberży Grocholskiego przywieziono Naczelnika. Zaraz ruszyły w tę stronę tłupy. Oberża otoczona była wojskiem rosyjskiem, które odpychało ciekawych kolbami; pomimo to fala wciąż podpływała i cofała się znowu.

— No, co? no, co? — pytano — jest Kościuszko? — Jest, jest, sam go na własne oczy widziałem. — W mundurze, czy sukmanie? — Ma ciemny płaszcz na sobie. — Na głowie konfederatkę... — Głowa cała obandażowana. — I ręka w opatrunkach; a noga sztywna, z deską spowita. — Sam wygląda pół żywy, znać nieprzytomny. — Wynieśli go z wozu. — Jak człowieka w takim stanie wozem trząść! — — Mało powiedzieć „człowieka“ — Naczelnika. — Kościuszkę!

— Nie mogły to juchy do Warszawy go odwiedzić? tamby miał jak się patrzeć opiekę. — Ba, samo powietrze zdrowszeby mu było. — Psyl szakale! — Nijako im zabić Naczelnika, to radziby go do śmierci doprowadzić.

Tak biadał i pomstował lud zebrany pod karczmą w Radzynie, podczas gdy Tomasz na pierwszą wiadomość o przybyciu Kościuszki pobiegł do zajazdu, wypruł pieniądze z pasa i wsypał je znowu do woreczka. Potem przybiegł przed oberżę Grocholskiego i szedł prosto, rozpychając lud przed sobą. Ustępowali mu, zdjęci szacunkiem dla jego olbrzymiej postaci. Ale na żołnierzach nie robiło to wrażenia; pierwszy z brzegu zastawił mu drogę karabinem.

— Dokąd to? — Do pana Kościuszki. — Nielział! — Ja mam coś do oddania mu. — Tak mnie dajcie! — Nie głupim! — Doręczę jenerałowi. — Któremu? — Kościuszcze. —

Aha, będzie on ją oglądał, jak świnia zje własną kiskę, kaszą nadzianą! — Nie dasz, to idź k czortu!

Tracił go kolbą, aż Tomasz jęknął, bo go uraził w zranione ramię. Nie odchodził jednak, kręcąc się koło oberży i upatrując okazji. Tak upłynęło blisko dwie godziny; tłum, otaczający oberżę, zwiększał się, bo z dalekiej okolicy nawet szli śladem Kościuszki ci, co go umiłowali, łudząc się nadzieją, że zdołają ulżyć ciężkiej doli bohatera, oddać mu jaką usługę. Dzięki temu, Ptak dowiedział się wielu szczegółów. Że z Kościuszką jechali sekretarz jego Niemcewicz i adjutant Fiszer, obaj ranni. Że Rada Najwyższa nadesłała Kościuszcze pensję jego, 4,000 dukatów, których połowę przeznaczył zaraz Naczelnik na jeńców polskich. Że prowadzi konwój major Titow, przy każdej sposobności pokazując Kościuszkę zabiegającym drogę tłumom, jakby je chciał utwierdzić w przekonaniu, że ten, na którym spoczęły nadzieje narodu, padł ofiarą przemocy.

Już konwój począł zbierać się do odjazdu, gdy przed oberżę zajechał pędem obszerne kocz, kurzem okryty, zaprzęgnięty w cztery rosłe konie. Z koczka wysiadło dwóch panów, z podążającej za nimi nejtyczanki jeszcze dwóch; wszyscy byli cywilni i mówili z sobą po polsku, ale znać byli ludźmi wybitnymi, gdy bowiem pokazali swoje papery dyżurującemu oficerowi, ten zasalutował, papiery odebrał i poszedł do oberży.

Tomasz zbliżył się do przyjezdnych, podsłuchując rozmowy; wymiarkował z niej, że to są wysłańcy Rady Najwyższej, wiozący dla Kościuszki wygodny powóz i opatrunki. Był między nimi lekarz, który miał nadzieję, że mu pozwolą odwiedzić Naczelnika aż do Petersburga.

Oficer, który przyjął papiery, wrócił niebawem i grzecznie zaprosił przyjezdnych do wnętrza. Odeszli szybko, a Tomasza ogarnęła nieledwie rozpacz, że nie skorzystał ze sposobności i nie oddał im pieniędzy, przeznaczonych dla Naczelnika. Na szczęście po kilkunastu minutach wyszedł z oberży ten, co wyglądał na lekarza, i zbliżywszy się do powozu, wyjął zeń pudło z narzędziami. Tomasz podbiegł

do niego i ukłonił mu się kapeluszem do ziemi: — Dopraszam się łaski wielmożnego pana... — Nie mam czasu. — Ale bo to pana Kościuski tacy. — Nas wszystkich pan Kościuszeko przedewszystkiem obchodzi... — To ważne rzeczy. — Mój przyjacielu, nie mam czasu; Naczelnika opatrzył byle jak chirurg polowy, muszę założyć jak się należy opatrunek. — To was nie strzymuję, ale przyślijcie mi drugiego jegomościa... krótko rzekę: mam Naczelnikowi pieniądze oddać.

A gdy lekarz spojrzął nań ze zdziwieniem, Tomasz odrzekł z dumą, podkrecając wąsa: — Jam z pod Racławic i Szczekocin Kościuszkowy żołnierz.

W kilka chwil po odejściu chirurga z oberży wyszedł przybyły przed chwilą wysłaniec Rady Najwyższej. Zbliżył się do Ptaka, który znowu ukłonił się do ziemi. — Czego to chcecie? — Przywiozłem pieniądze dla pana Naczelnika — dukaty od pana Dobieckiego, srybło od różnych chłopów z Wielebna, Łopuszna, Hucisk, Zarembienic, Jasienia i Sadowa, ale wszystko do kupy w onym mieszkuku zsute.

Twarz pana radnego rozpromieniła się.

— Chodźcie do Naczelnika, sami mu to oddacie; niewiele ma jaśniejszych chwil w życiu. — Ja jużby dawno szedł, ale mnie one djabły morowe nie puszczają. — Za mną iść możesz.

Jakoż przepuszczono go. Wszedł do izby, a serce mu biło, jak w on czas, przed dwudziestu laty, gdy się po raz pierwszy do Sakramentu świętego zbliżał. Naczelnik leżał na łożu, rozebrany, bo chirurg właśnie poowijał go bandażami, po opatrzeniu licznych ran.

— Naczelniku — rzekł radny — przybył tu jakiś wieśniak, powiada, że jest z twoich kosynierów...

A Tomasz już klęczał u nóg Kościuszki i obsypywał je pocałunkami.

— Z kosynierów, mówisz? — odezwał się Naczelnik słabym głosem. — Tak, rozpocząłem służbę pod Racławicami, byłem piątą przy armatach za Wojtkiem z Rzędo-

wic. — Jak się nazywasz? — Ptak z Wielebna. — Czego sobie życzysz?

— Życzyć ta sobie nic nie życzę, kiej Naczelnika na swoje oczy oglądam, a nogi jego uściśnałem. Chciałem jeno oddać ten mieszek z pieniędzmi; są tam dukaty od pana Dobieckiego i srybło od chłopów z Wielebna, Łopuszna, Hucisk, Zaremblenic, Jasienia i Sadowa. Nie liczyłem, siła tam tego, bo do tyła liczyć nie poradzę.

Dwie wielkie łzy błysnęły w oczach Kościuszki i wolno spłynęły po wybladłych policzkach.

— Bóg wam zapłaci! — wyszeptał — to dla tych nieszczęśliwych już pognanych na Sybir.

— Jeszcze chciałem rzec wedle tej armaty...

W tej chwili do izby wpadł major Titow.

— Co ten tu robi? — wykrzyknął. — Precz z nim! — Ciszej, majorze, — odezwał się surowo lekarz — zapominasz, że jest tu generał i ciężko chory. — Nie dość, że pozwoliłem wejść wysłańcom Rady Najwyższej, a wy wprowadzacie tu jakichś drabów. Może to z tych djabłów kossynierów! Precz stąd!

Ujął za ramiona Tomasza Ptaka i skierował go ku drzwiom, które z hukiem za nim zatrzasnęły. Ale Tomasz zdołał jeszcze raz się odwrócić i wziąć do duszy ostatnie spojrzenie Kościuszki i zachować je jak błogosławiony chryzmat.

ROZDZIAŁ 8.

Lata mijały. Polska, po raz trzeci rozdarta, przeżywała ciężkie dni. Państwa rozbiornicze, rzeczy można, prześcigały się wzajemnie w stosowaniu ucisku do narodu, przywykłego do swobody. Ale niezmiernej doniosłości było to, że zasmakował on już w stosowanych reformach. To też pomimo upadku Kościuszki najlepsi synowie ojczyzny nie przestawali jej służyć tak głową, jak orężem.

A że w granicach kraju było to niemożliwe, pracowano na obczyźnie, tworząc związki, których celem było służenie krajowi i rozbudzanie ducha patriotycznego wśród narodu. Pomyślano też o tem, aby dać możność całemu mnóstwu wojskowych polskich, bądź uszłych z ojczyzny z upadkiem kraju, bądź zwolnionych wraz z Kościuszką przez cara Pawła I, żeby po dwuletniej niewoli złączyli się i tworzyli armję, która kiedyś miała powrócić do Polski i zdobyć dla niej niepodległość. Taką drogą powstały legjony pod dowództwem Henryka Dąbrowskiego. Ściągały do niej resztki rozbitej armji polskiej i liczni dezterterzy z armji austriackiej, więc Galicjanie lub mieszkańcy ziemi Krakowskiej, Kieleckiej lub Sandomierskiej i Radomskiej, którzy, dostawszy się pod berło austriackie, przemocą zostali zabrani do ciężkiej służby w nieprzyjacielskiem wojsku.

Tomasza Ptaka uratowała od tego losu rana, którą otrzymał z ręki kozaka; wskutek nieodpowiedniego opatrzenia, nastąpiło porażenie i bezwładność palców. Tomaszowie gorąco dziękowali Bogu za to oboje: częściowe kalectwo lewej ręki nie przeszkadzało mu w pracy około roli i inwentarza, a osłoniło od ciężkiej służby w wojsku.

Ale gdy od roku 1797 poczęły chodzić po kraju słuchy o tworzących się na ziemi Włoskiej legjonach, o ich nadziei przebicia się do ojczyzny i zdobycia na niej niepodległości, Tomasz często bardzo z żalem spoglądał na swe sztywne palce, mówiąc z westchnieniem:

— Żeby nie ta twoja pika, niechrzczeniec kozaku, byłbym ja tera z panem Dąbrowskim.

Żal ten wzmagał się, gdy doszły do kraju wiadomości, że wszyscy Polacy, zabrani przez Włochów i legjony Austriakom, zostali wcieleni do wojska polskiego, a i moc chłopu uchodziła dobrowolnie ze służby wojskowej i z ziemi ujarzmionej w bratnie szeregi.

Rok za rokiem wyczekiwano przybycia legjonów do kraju, czekano ich jak dżdżu w upalne lato, jak żniw po ciężkim przednówku.

• Legjony nie przybywały.

Dostały się do kraju wieści o ich bohaterskich bojach z Austriakami, Moskwą i Neapolitańczykami, o ich cierpieniach z powodu strasznego niedostatku, o ich rozpaczliwym konaniu na dalekiej wyspie San Domingo. Przeradła się nawet piosenka: „Jeszcze Polska nie zginęła“, a ich samych, zbawców ojczyzny, widać nie było.

Zato roku 1805 i 1806 rozchodziły się wieści o olbrzymich zwycięstwach cesarza Napoleona, o pogromach, jakie sprawiał odwiecznym wrogiom Polski. I mówiono, że Napoleon walczy o Polskę, że przywróci ją w dawnej potędze, że wyżenie ciemiężców daleko z jej granic.

Jakoż na ziemiach, zagarniętych przez Prusy i Austriaków, ściągano gwałtownie garnizony, wojska nieprzyjacielskie uchodziły cichaczem, nocami, a uszczęśliwieni mieszkańcy oprząтали koszary i czynili przygotowania na przyjęcie wojsk polskich, o których wiedzano, że już są w drodze do kraju.

Gorączkowe oczekiwanie ogarnęło cały naród.

W pewne gorące popołudnie siedział Tomasz Ptak przed chatą, pykając z fajeczki i patrząc z zadowoleniem na rozciągnięte po drugiej stronie pola, że się już tak złocą pięknie, że lada dzień już będzie można je skosić, zanim się pójdzie „na pańskie“.

Wtem tupot kopyt konskich zwrócił uwagę jego w drugą stronę. Droga jechał wieśniak w białej sukmanie na dobrane spasionym mierzynie. Był jeszcze o paręset kroków od chaty Ptaka, a już zdjął kapelusz i powiewał nim w stronę siedzącego gospodarza. Ten oczy przysłonił ręką i wyteżył wzrok, usiłując rozeznąć rysy jadącego.

— Jak się macie, Tomku!

Poznał go po głosie: był to brat żony, fornał z Łopuszna, Paweł Ozimek.

— Witajże, witaj, Pawełku! Z czem Pan Bóg prowadzi?

Zeskoczył z konia, ucałowali się w oba policzki.

— A przecie nie w gościnę jadę i nie po swojej sprawie. Dziedzic wysłał mnie z listami do różnych dworów,

a Antek Kurzej i Łuka Krzywy pojechali w inne strony. Dziedzic całą okolicę na niedzielę sprasza.

— A co u dziedzica: chrzciny, czy wesele?

— Wesele, wesele wielkiel... to przez tę Polskę, co ją cesarz Napoleon ogłosił.

Tomasz porwał się z miejsca.

— Co mówisz?... ogłosił?... Pewnie ogłosił?

— Nie słyszeliśta to?... U nas w Łopusznie od trzech dni o niczem nie gadają, jeno o tem Księstwie Warszawskim, co je Napoleon postanowił, a które będzie miało swego króla, swoje wojsko...

— I wojsko, mówisz?...

— Ano przecie, jakżeby się kraj przez wojska obył?

— Oj, trzeba będzie temu wojsku chłopów i broni i armat! Twarz mu się rozpromieniła.

— Ale może to tak ludzie jeno mamią? — Zasepił się nagle.

— Nie mamią, nie, ekonom nam mówił, co sam pismo o tem czytał, a w tę niedzielę pleban z ambony ogłosi.

— Bogu chwała, Bogu Najwyższemu chwała!

— I z tej przyczyny w tę niedzielę u naszego dziedzica wielki bal, nietylko z całej okolicy, ale i z Warszawy; ma przyjechać nawet pan Stanisław Małachowski, co ma być pierwsza głowa w naszym kraju.

— Wiem, wiem. On przewodniczył na tym sejmie, na którym ustanowiono Konstytucję Trzeciego Maja, to jest sprawiedliwość dla wszystkich Polaków... Ano, to dobrze... Jak będzie pan Małachowski, to i ja na ten bal przyjadę.

— Ot, nie ćmiłbyś, Tomku!

— Jak pragnę, żeby mi się dzieciaki zdrowo chowały, tak przyjadę w niedzielę do Łopuszna.

— Tak, do kościoła... pogadać w parafji.

— Nie do kościoła, tylko do dwora, pogadać nie z chłopami, jeno z panami, z samym panem Małachowskim.

— Coś ci się od radości pokręciło w głowie, mój Tomku... Żeby cię tam nie wyrzucili za drzwi, albo i psami nie wyszczulili!

— Nie wyszczują i nie wyrzuca.

— Tomek, upamiętajże się! Tam poszóstnemi karetami zajeżdżać będą, a ty...

— I ja zajadę poszóstną!

Nadejście Tomaszowej przerwało rozmowę; ucieszyła się bardzo bratu, a wiedząc, że się na krótką tylko chwilę zatrzymał, zabrała go do izby, by pokrzepić mlekiem kwasem i chlebem z miodem.

Od tej rozmowy Tomasz chodził jak nieprzytomny i nie mógł się doczekać niedzieli. Napędzał żonę do odczyszczenia świątecznego przyodziewku. Kazał krawcowi poszyć nowe świtki dla trzech synów z własnego samodziału. Buty musiał mu Jasek wyświecić sadłem jak dworską karetę? a młodszego Tomka posłał do miasta, żeby mu kupił nowe pawie pióra do kapelusza i czerwoną wstążkę do koszuli na trzy palce szeroką. Wszyscy wiedzieli, że Tomasz wybiera się na bal do Łopuszna, i pukali się po czołach, twierdząc, że chłopu się we łbie przekręciło. Jedna tylko Marysia uśmiechała się, słysząc te zdania, i odpowiadała wesoło:

— Ano, nie z próżnemi rękami on tam pójdzie.

A w Łopusznie aż wrzało od przygotowań. Bito bydło i nierogaciznę, skubano całe stada drobiu, a kucharze przyrządzali słodkie ciasta w kształcie dzwonnicy kościelnej i fortacy i wieńce kwiatów.

Goście zaczęli się zjeżdżać już w sobotę, a gospodarz, pan Dobiecki, witał wszystkich w ganku radosnem słowem:

— Witajcie nam, witajcie w naszym Księstwie Warszawskiem!

Goście odpowiadali różnie, albo: „Niech żyje Polska!“ albo: „Niech żyje Księstwo Warszawskie!“ A wojskowi wołali najczęściej: „Niech żyje cesarz Napoleon!“

Po południu roito się już na salonach starego dworu łopuszańskiego. Było dużo panów w polskich strojach żupanach, kontuszach z wylotami i w złotolitych pasach, w złotych i czerwonych butach, nie brakło i takich, co się przebrali na wzór nieboszczyka króla Stanisława Poniatowskiego: w jedwabne i aksamitne fraki, złotem haftowane,

oblókłszy nogi w jasne pończochy i płytkie pantofle. Lecz z największą przyjemnością spoglądano na mundury wojskowych, którzy przyjechali w straży przedniej wojsk napoleońskich.

Ponieważ skwar był wielki, rozstawiono pod lipami przed dworem stoły, nakryte cienkimi, ogromnymi obrusami, zastawione rżniętem szkłem i pięknie malowaną porcelaną, zapraszając gości do podwieczorku, na wyborną kawę, polewkę z wina i przeróżne ciasta. Gwar zrobił się wielki, zwłaszcza przy stole, który obsiadła młodzież.

Wtem nad gwarem zapanował głuchy turkot jakiegoś ciężkiego pojazdu, zbliżającego się do bramy dworu.

— Prowadzi nam Pan Bóg jeszcze spóźnionego gościa — rzekł gospodarz domu do żony.

Jakoż w szeroko otwartą bramę dworską wjechał zaprząg trzech par koni; na prawym z każdej pary siedzieli trzej synowie Tomasza Ptaka, Jasiek, Tomek i Staszek, ubrani w białe świty i czerwone konfederatki z pawimi piórami. Konie ciągnęły armatę, a na niej siedział ubrany odświeżnie, rozpromieniony Tomasz.

Armata objechała klomb i zatrzymała się przed ganikiem, gdzie na ostatnim stopniu stał pan Dobiecki. Szmer zdziwienia przeszedł przez zgromadzenie. Ptak zeskoczył z armaty i pokłonił się dziedzicowi do ziemi, a wyprostowawszy jak struna swą wspaniałą postać, zapytał śmiało:

— A ka tu pan Małachowski?

Stanisław Małachowski widział wjeżdżającego chłopca na armacie, zaciekało go to, a teraz, powstawszy z miejsca, stanął obok pana Dobieckiego, uśmiechnął się i rzekł wesoło:

— Jestem... a z kim mam zaszczyt?

— Jam Tomasz Ptak z Wielebna, a to armata jaśnie wielmożnej Rzeczypospolitej, z wojska naszego najukochańszego pana Naczelnika Kościuszki, którą udało mi się odebrać Moskałom po bitwie szczekocińskiej i dotychczas przechować. Odwożę przeto, a że wiem, że jaśnie wielmożny pan Marszałek to pierwsza głowa w Polsce, to mu to działko przyporuczę, bo on naj'lepiej wie, co z niem zrobić, że-

by do naszego wojska wróciło. Konie wtedy też cztery zabrałem; to na dwóch odjechali Bartek Ćmucha i Piotr Kura do wojska, do pana Kościuszki, a z dwóch, co zostały u mnie, to ten łysy jeszcze z onych, a kobyłka zdechła na św. Marcin trzy lata temu, ale przedtem co rok źrebięta miała, to tych pięć hodowali na folwarku, a teraz wszystko, jako Rzeczypospolitej, jasnemu Księstwu Warszawskiemu z powrotem oddaję.

Stanisław Małachowski, nie mogąc słowa przemówić ze wzruszenia, wyciągnął rękę do Tomasza, ale on jej nie przyjął, lecz przypadł do kolan zacnego Marszałka i uściśnął je serdecznie. Stanisław Małachowski uniósł go i przemówił, opanowując wzruszenie:

— Spełniłeś zacny czyn obywatelski: Ojczyzna nasza z grobu wstająca bardzo potrzebuje broni i koni, bardziej jednak zacnych serc, co biją gorącą miłością pod chłopską sukmaną. Niech żyje Tomasz Ptak!

— Niech żyje! niech żyje! — wołali radośnie zgromadzeni.

— Hej, muzyko, zagraj pieśń naszą!

Ustawiona na szczycie ganku kapela zagrała od ucha „Jeszcze Polska nie zginęła“, a wszyscy słychali ze wzruszeniem. Tomasz Ptak stał przy swej armacie, przygarbiając jedną ręką swych trzech synów, a drugą ściskając trzymającą go dłoń Małachowskiego.

Kapela przegrała pieśń narodową i rozochociona, urzęła siarczystego, ochoczego mazura, aż nogi poczęły drgać młodzieży. Nagle panną Dobiecką, nie mogąc zapanować nad sobą, wybiegła z grona młodzieży, a pochwyciwszy za rękę Tomasza, puściła się z nim w tany na przygotowanej już poprzednio szerokiej platformie z desek. Ptak się nie wzbraniał, bo i jego ogarnęła niebywała ochota, pragnienie wyrzucenia w tańcu i krzyku nadmiernej radości, co rozrywała mu piersi. Wybijał hołubce podkówkami, aż drzazgi leciały z podłogi, unosił panienkę w rozpędowych susach i wykrzykiwał hul ha! aż do zagłuszenia kapeli. Wnet pani podkomorzyna Krasieńska odbiła Tomasza pannie Dosi,

a panna Katarzyna Kamieniecka podkomorzynie, i tak wyrywano go sobie i tańczono na zabój.

Tymczasem pan Dobiecki poszeptał coś z panem Małachowskim i innymi panami, a gdy już z godzinę trwały tańce, dał znak muzyce, aby grać przestała, i wzięwszy kielich ze stołu, przemówił gromko:

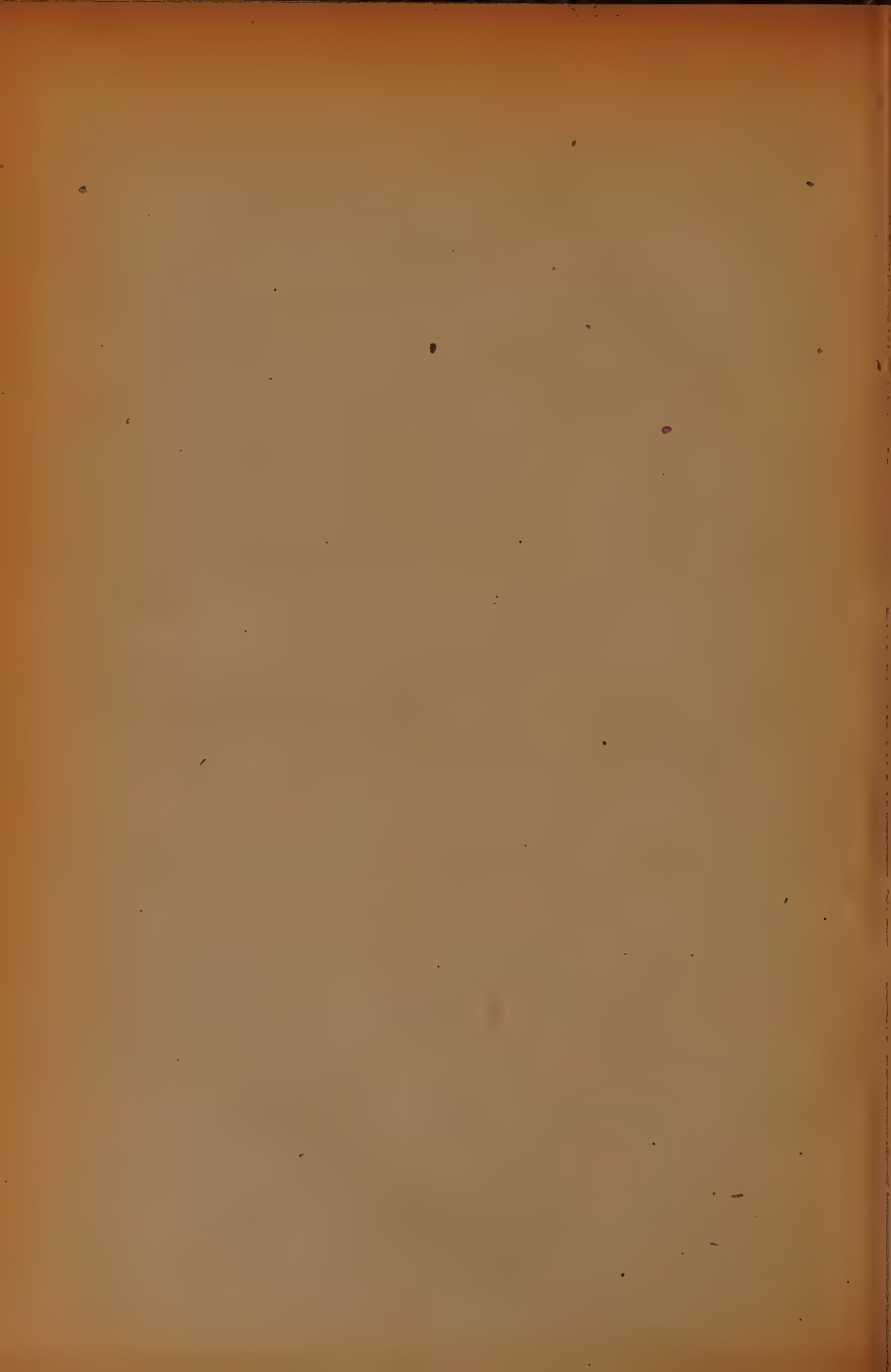
— Pozwólcie, zacni panowie i panie, że spełnię zdrowie Tomasza Ptaka, włościanina, który całym szeregiem czynów dał dowód, że i chłop polski, choć tak długo po macoszemu traktowany, potrafi kraj kochać gorąco. Tomasz Ptak na pierwszy apel ojczyzny pobiął w szeregi Kościuszki, walczył dzielnie pod Racławicami i Szczekocinami, wzięty do niewoli, uszedł z niej z czterema towarzyszami i jeszcze działał uprowadził. Ciężko ranny, po kilkomiesięcznych cierpieniach znowu postanowił wrócić do wojska, wprzód zarządziwszy składkę na jego potrzeby. Pieniądze te wraz z mojemi dowiódł szczęśliwie, obroniwszy je przed łupiestwem kozaków za cenę nowej rany i kalectwa. Niestety, przybył już po pogromie, ale pieniądze doręczył jeszcze Kościuszcze, który przeznaczył je na potrzeby jeńców, pognanych na Sybir. I oto teraz, gdy się tylko dowiedział o tworzącem się na nowo państwie Polskiem, zwraca święty depozyt... Wdzięczna ojczyzna może inaczej wynagrodzi zasługi Tomasza Ptaka, przede wszystkim przekaże imię jego potomności; my zaś tu zebrani pragniemy wyrazić nasze uznanie w zwykły, ludzki sposób. Złożyliśmy tutaj kilkaset złotych; przyjmij, je Tomasz Ptaku, pomogą ci one podnieść gospodarstwo i zapewnić sobie, kalece, spokojniejszą starość. Piję za zdrowie dzielnego włościanina!

Tomasz Ptak przyjął z rąk dziedzica podany puhar, spełnił go duszkiem, otarł wąsa, odchrząknął i rzekł z przekonaniem;

— Bóg złapać dziedzicowi za dobre słowo i dobrą wolę! Ale co tych pieniędzy, to ich nie wezmę. A cóż to ja poganin, żebym za taką rzecz pieniądze brał? Armatę uratowałem i chronię, bo do Polski należy; zwracam ją

Polsce, bo tak Pan Bóg przykazuje. A co do tego, żebym takim kaleką był, jak powiadają, to się dziedzic grubo mylą. Dla Austriaków to nie mogłem palcami ruchać, prawda jest, ale dla swoich potrafię. Pewnie karabinu nie nabiję, ale co przy armacie zrobić porządek, a nałożyć, a na wroga skierować, a zapalić, to prawicą potrafię i temi dwoma zdrowemi u lewicy. Więc dopraszam się ino łaski panów oficerów, żeby mi u naczelnictwa wyrobili pozwolenie, żebym się do obsługi tej tu armatki pozostał. Pokochałem ci ją za te dni, co ze mną od wroga umykała, za te dni, w których w stodole ukryta stała, za to, że jak mi ciężko było na duszy, to szedłem wejrzeć na nią, bo mi przypominała, jaka Polska potężna była, jak obroniła świętej Jasnej Góry, jak pokonała Moskali pod Racławicami, i mówiłem sobie, że przecie takiego narodu tak łatwo na śmierć nie zakatrupią. I za to ją kocham, że mi oną radość sprawiła, żem ją w całości zebranyim zacnym polskim panom tu odstawił. Więc dopraszam się łaski wielmożnych panów, żebym ostał przy artylerji. A za te pieniądze to kupta parę koni, bo te, co w przodku, to trzech latek nie mają, nie wytrzymałyby długo.

Nikt nie zaproteutował Tomaszowi; obiecano mu poparcie u rządu polskiego co do przyjęcia do wojska i opiekę dla rodziny, gdy on znowu pójdzie służyć ojczyźnie.



MARYA BOGUSŁAWSKA.



DUCH ZAMKU OLSZTYŃSKIEGO.

POWIEŚĆ.



WARSZAWA.

Skład główny w „Księgarni Polskiej”: ul. Warecka № 14.

1917.

O dwie mile od Częstochowy obszerne piaszczyste równiny zaczynają lekko falować, spiętrzać się, uginać pod ciężkimi głazami narzutowymi, skałami, na których rosną liche sosny, bujne jałowce, marne żyta i strzeliste dziewanny.

Na jednym z pierwszych wzgórz już w XIV wieku wzniesiono zamek Olsztyn, co granitowem podnóżem, potężnymi basztami i murami, najeżonymi gardzielami armat, miał strzedz od wszelkiego najazdu. Odbiło się o te mury niemało strzał niemieckich, szwedzkich i czeskich, co w różnych wiekach próżno kusiły się zdobyć zamek z jego skarbami i wyniosłym położeniem.

Po tych wałach kroczył ponuro ku lochom, co mu grobem być miały, Maćko Borkowic, skazany na śmierć przez Kazimierza Wielkiego, że kusił się o oderwanie od Korony Wielkopolski, kolebki naszej ojczyzny.

Na tych murach rozegrał się wstrząsający dramat, gdy Austriacy, pochwyciwszy synka komendanta olsztyńskiego, Kacpra Karlińskiego, nieśli go przed sobą, pewni, że ojciec raczej zamek podda, niż wymierzy śmiertelny strzał w pierś syna. Ale Karliński przełożył pożytek kraju nad własne cierpienie, czyniąc z dziecka ofiarę na ołtarzu ojczyzny.

Bywały mury olsztyńskie świadkami szumnych zjaz-

dów, gdy szlachta szykowała się na wyprawy, pysznych uczt i rycerskich zawodów. Wytrwały wiele oblężeń, wiele burz, wiele wieków.

Aż przyszedł wróg niezmierzony, potężny, wszechwładny, niosący zagładę i pod biegunem i pod równikiem—czas wiecznotrwały i przemożny. Przyszła mu w pomoc matka nędza i dzieci jej: rabunek i opuszczenie, i zmogły potężne zamczysko. Marmury, złocenia, bławaty, szkarłat, bisiory roznieśli ludzie po świecie; mury poszczerbiły burze i wichury, wieże porozwalały pioruny, wały i podwórca oplotły w miękkie więzy chwasty i powoje, Zamczysko olsztyńskie stało się ruinami Olsztynu.... Ci-cho tam, smutno, pusto....

A u stóp historycznego zamku rozłożyło się miasteczko ubogie, półwieś, którego mieszkańcy żyli się z ruinami, zarówno jak z kościołem i szkołą. Toż na stokach jego od początku wiosny pasło się bezkarnie bydło, chwasty podwórca ogryzały brodate kozy. Wśród murów tak dobrze było dziatwie bawić się w wojnę i rozbójników. A przyjeżdżający z różnych stron ciekawi dla zwiedzenia zamku nie tylko wnosili pewne urozmaicenie w jednostajne życie miasteczka, ale często gęsto obdarzali objasniające ich dzieci cukierkami, ciastkami, a nawet pieniędźmi.

Wśród tych niepowołanych przewodników zamczyska pierwsze miejsce trzymał Czesiek Kamiński, syn ubogiego szewca, który wiecznie cherlał i więcej czasu przeleżał w łóżku, niż przesiedział na niskim, wgłębionym stołeczku przy warsztacie. Czesiek umiał tyleż z szewstwa, co jego ojciec, i nie jedną pilną reparację sam zamiast ojca wykonał; cóż, kiedy niewiele było sposobności do wykazania uzdolnienia szewskiego. Olsztyn bowiem prócz Kamińskiego miał jeszcze dwóch szewców młodych, posiadających maszyny, liczną czeladź i okazałe wystawy sklepowe; le-

dwo przeto ten i ów z biedoty, która nie śmiała wchodzić do zamożnych warsztatów, przyniósł jakie wykoszlawione buty lub dziurawe trzewiki do naprawy.

Miał przeto Czesiek czasu aż zanadto dużo. Spędzał go, o ile pogoda służyła, na stoku góry zamkowej, czytając książki lub wyrzynając nożykiem różne pudełka i zabawki dziecinne, które sprzedawał po kilka groszy wśród znajomych, a kupował za pozyskane w ten sposób pieniądze książki, za którymi przepadał. Skoro tylko na końcu piaszczystej drogi zobaczył powóz lub półkoczyk, naładowany krzykliwą gromadą mieszczuchów, cieszących się zarówno niewygodami wycieczki, jak cudami natury, albo wreszcie podróżnego w zakurzonem ubraniu, z przyrządem fotograficznym u boku, ukrywał książkę lub narzędzia między najgęstszymi chwastami, a sam biegł ku przybywającemu, kłaniał się kapeluszem, którego koloru pierwotnego i król Salomon nie mógłby odgadnąć, i odzywał się z miłym uśmiechem:

— Pokazać państwu zamczysko? Wszędzie zaprowadzę.

Najczęściej otrzymywał dość szorstką odpowiedź:

— Nie potrzeba, sami obejrzyć potrafimy.

Ale nie zrażał się tem wcale, przeciwnie, szedł obok wspinających się na górę i zachęcał dalej:

— Niech państwo sami się nie zapuszczają, bo można zabiłdźić... Mogą państwo podejść pod taką część muru, z którego kamienie lecą, i zaraz będzie wypadek. Tu każdego roku przytłucze jednego... A łuczywo do obejrzenia groty państwo mają?... Aha! a jak oglądać grootę ze stalaktytami pociemku?... A wiedzą państwo, gdzie jest cudowne źródółko?... Aha!... zyg, zyg, marchewka!... Odjechałoby państwo i nie skorzystało z cudownej wody, a ona leczy wszystkie choroby.... Nawet kto łysy, a posmaruje sobie głowę tą wodą, to za miesiąc będzie miał

czuprynę jak szczecina na zdrowej świni. Niech wielmożny pan spróbuje.... O, w tej buteleczce mam cudowną wodę, niech pan choć nos umacza.... Za miesiąc będzie pan miał warkocz u nosa.... Jedna pani zębów nie miała, posmarowała sobie wodą szczęki i w miesiąc wyrosły jej takie kły, jak dzikowi; musiała dać sobie przypilować.

I tak trzepał, zmyślał z poważną miną, że ludzie pękali ze śmiechu i nikt go nie odprawił. Każdemu towarzyszył, każdemu wskazał z groźną miną mur, z którego rzekomo miały spadać kamienie, zaczynający się las, w którym podobno kto się zapuścił, już zeń nie wychodził. Przy najgłębszym lochu opowiadał na swój sposób o Maćku Borkowicu:

— Był to straszny zbój, któremu musieli chłopci okoliczni przypędzać najpiękniejsze bydło i najpiękniejsze panny; on bydło zaraz zjadał z rogami i kopytami, a pannom kazał żarna obracać i wybierać po ziarnku garniec maku z korca pszenicy; aż się Kazimierz Wielki rozeźlił, kazał go do lochu wtrącić i dać mu jeno ten korzec pszenicy i garniec maku; ale on tem żył cały rok, bo strasznie mocowy chłop był.

I wcale się nie gniewał, gdy mu dowodzono, że głupstwa prawi, że Maćko nie był zbójem, lecz wojewodą poznańskim; bo sam znał tę opowieść z ksiąg historycznych, a opowiadał ją w ten sposób dla zabawienia ludzi.

W pewien piękny dzień lipcowy na drodze od Czesochowy ukazała się bryka, zaprzężona w dwa silne kasztań, które z trudem przekopywały się przez sypki piasek. Na bryczce siedziały trzy panie, osłaniające się białymi parasolkami, i dwóch panów w jasnych płaszczach od kurzu. Czesiek wsunął czytaną książkę w zanadrze puścił się naprzeciwko przybywającym.

— Pokazać państwu zamczysko?—zapytał, uchylając kapelusza.—Wszędzie zaprowadzę.

Był przygotowany na odpowiedź odmowną; ale przeciwnie, jeden z panów uśmiechnął się do niego, pogłaskał go po głowie z ledwie sunącej się po piasku bryczki i zapytał wesoło:

— A któż ty jesteś?

— Ja *cziczzerone* olsztyńskiego zamku.

Całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem. Nie spodziewało się bynajmniej wyrazu włoskiego w ustach tego chłopczyny. Śmiano się tembardziej, porównyując tego bosego oberwańca z modnie ubranymi i rozmawiającymi w obcych językach przewodnikami zagranicznymi, których tak po włosku nazywają. Czesiek słyszał kilkakrotnie to określenie, szyderczo do siebie stosowane, zapytał się nauczyciela o znaczenie tego, co mu się zdawało obelżywym wyrazem, i odtąd chętnie sam się tak tytułował. Przekonał się przytem, że wszystkich wprowadzało to w dobry humor.

I w tym wypadku zdobył sobie tym jednym wyrazem całe towarzystwo, które więcej, niż inne, bawiło się jego zmyślaniami i conceptami. Gdy przyszła godzina obiadowa, Czesiek, jak zwykle, zaofiarował swe usługi do zrobienia herbaty. Skoczył przeto po szklanki i łyżeczki i blaszany imbryk do domu, a potem zręcznie i wprawnie ustawił imbryk na kamykach i obłożył suchemi gałązkami, tak że woda w mig się zagotowała, a młody kucharz otrzymał w nagrodę pół kurczaka, kilka bułek, kawał kielbasy i dwa ciastka. Choć miał wilczy apetyt, nie tknął kurczaka, lecz schował go dla chorego ojca, bo w dniu tym nie miał czasu ugotować obiadu. To też skorzystał z pierwszej sposobnej chwili i pod pozorem odniesienia statków, zaniósł choremu ojcu dobry posiłek. Za powrotem namówił towarzystwo, żeby się udało do groty, odległej o półtorej wiorsty. Towarzystwo zgodziło się,

postanowiono tylko przeczekać upalne godziny. Tymczasem naciągano Czesia na rozmowę.

— Czy też *cziczerone* wie, gdzie stała armata, z której Karliński strzelił do swojego syna?—zapytała żartobliwie najmłodsza z pań.

— O, w tem miejscu, — bez chwili zastanowienia odparł Czesio, wskazując szeroki głaz, leżący opodal zebranego grona.—Tu jest nawet obrączka z lufy armatniej, — dodał z zupełną powagą, podnosząc okrajany brzeg jakiejś puszki.

— Panie Stanisławie, — wołała śmiejąc się panienka, — pan zbiera starożytności, niech pan to weźmie do swych zbiorów.

— Zabrać nie można, — zaprotestował Czesiek, przyciskając blaszkę do piersi,—to można tylko kupić, Jeden Japończyk ofiarowywał mi za to 30 sterlingów*) i jeszcze coś kopiejek, ale ja nie chcę, żeby zabierano pamiątki historyczne z kraju.

Pan Stanisław popatrzał przez kilka chwil w milczeniu na sprytnego chłopca, a potem rzekł z uśmiechem:

— Trzydziestu funtów sterlingów ci nie dam, ale coś kopiejek... i owszem. — To mówiąc, rzucił do leżącego na ziemi kapelusza chłopca dwie złotówki.

Czesiek się rozpromienił.

— Kupię sobie najnowsze podróże,—zawołał.

— Lubisz czytać?

— Strasznie lubię.

— A uczyć się?

— Także, tylko ja się bardzo mało uczę, tak dorywczo, od czasu do czasu.

— A stale co robisz?

— Bąki zbijam.

— To źle.

*) Wysoka moneta angielska.

— To bardzo niedobrze.

— A co umiesz?

— Czytam zupełnie dobrze, piszę prawie bez błędu. Umieję but zeszyć i załatać, i dać zelówkę, i obcas nadłożyć, sprostować, przybić. Byłbym szewc artysta, gdybym się uczył przy majstrze jak się należy, nie przy partaczu, jak mój tata.

— To słuchaj, chłopcze,—odezwał się ten, którego nazywano Stanisławem,—za dwa tygodnie wracam do Warszawy, to po drodze wstąpię tutaj i zabiorę cię ze sobą, oddam do porządnego majstra, żebyś się wyćwiczył w rzemieśle, a wieczorami chodził na wykłady naukowe.

Czesiek przypadł do rąk pana Stanisława.

— O, jak to dobrze! jaki pan łaskaw!

Ale nagle posmutniał i opuścił głowę na piersi.

— Et, to się nie da,—szepnął.

— Czemu?

— Bo mój tata jest chory, zartretyzmowany; ja mu jestem i niańką i kucharką; toć go tak nie zostawię.

Towarzystwo popatrzało po sobie ze współczuciem.

— Możliwy twego ojca umieścić w jakim przytułku,—rzekł po chwili namysłu pan Stanisław.

— Cniłoby mu się.

— W Częstochowie jest przytułek dla paralityków, w którym otaczają chorych bardzo pocziwą opieką,—rzekła starsza z pań.

— Bądź co bądź, ja w końcu przyszłego tygodnia będę tutaj, zobaczę się z twoim ojcem i omówimy sprawę sprowadzenia cię do Warszawy.

Czesiek znowu przypadł do rąk pana Stanisława.

— Czemu ja się panu odwdzięczę?

— Marazie opowiedz nam jeszcze o zamczysku.

— Kiedy mi figle z głowy opadły do serca; nie wiem, co powiedzieć.

— Wiesz, czegom ja ciekawa? — zawołała, zrywając się z miejsca młoda panienka,—oto, czy tu w zamku nie pokutuje?

— Jakto?

— Niby czy niema duchów?

Czesiek pomyślał chwilę i wnet przyobłócił twarz w tajemniczy wyraz.

— Jest, jest duch, który pokazuje się co jakiś czas.

— Jak wygląda?

— Tak do cna dokładnie go nie opiszę, bo się z nim nie kumałem.

— A z daleka go widziałeś?

— A ino.

— Jak się przedstawiał?

— No, taka biała postać.... przechadzał się od lochu do wieży i jęczał.

— No, i to wszystko?

— Jeszcze czasem widuje się tu ogniki, jak latają nad wałami; to duchy tych panien, co poumieraly przy żarnach.

-- Widziałeś?

— O, ile razy!

— Et, zmyślasz.... to wszystko bajki.

— Jeszcze pan sam kiedy takiego ducha tu zobaczy. Jak pan na drugi raz przyjedzie, to przyjdziemy tu nocą, jeśli pan nie strachliwy.

— W twojem towarzystwie nie będę się bał niczego,—rzekł ze śmiechem pan Stanisław.

W tej chwili z cienistego miejsca podniósł się drugi mężczyzna, widocznie nietowarzyski i małomówny.

— Jeśli mamy iść do groty,—odezwał się,—to wielki już czas, żebyśmy się zbierali.

Wesoło i gwarno ruszono w stronę ciekawej groty, ale już w połowie drogi humory opadły, ustępując miejsca zme-

czeniu; nogi po kostki grzęzły w piasku, wydobywanie ich wyciskało pot z czoła i niewypowiedzianem utrudnieniem przejmowało członki. Panie szczerze przymawiały się nawet, że wołałyby całkiem nie puszczać się w tę drogę, a przybywszy do groty, rzuciły się u jej wejścia na trawę, nie czując się na siłach do uczynienia choćby kilku kroków.

Czesiek jednak wydobył łuczywo, przywiązał je do laski, zakończonej żelazem, zapalił i ruszył naprzód przed panami.

Grota była niezmiernie obszerna, choć rozmiarów jej nie można było ogarnąć okiem dla olbrzymich stalaktytów, zwieszających się ze sklepienia, miejscami łączących się z szerokimi stalagmitami, tworzących w ten sposób dziwaczne, grubsze i cieńsze kolumny. Wilgoć tu była dojmująca, zapach wapienny, a kilka nietoperzy cicho, tajemniczo uwijało się nad pochodnią i głowami przybyszów.

— Dziwne, — rzekł pan Aleksander, zatrzymując się przed jednym z większych zagłębień groty: — tu jest wyraźnie czyjeś legowisko — słoma, suche liście. Czy aby nie ukrywa się tu niedźwiedź?

— Nie, — odparł pan Stanisław — to jacyś ludzie musieli się tu chronić przed niedawnym czasem. O, patrz, Olesiu, tu jest drugie posłanie, a przy niem butelki po piwie, pudełeczka od papierosów.

— O, psupapa! — zawołał w tej chwili Czesiek, — oni nawet czekoladę jedli.

I podniósł barwny obrazek, przedstawiający dziecko w pstrej sukience, z filiżanką mleka w ręku.

— To, proszę panów, z pewnością bandyci się tu ukrywali.... O, widzi pan, jaki ten papiererek zagięty? On z pewnością okrywał rulon pieniędzy — srebrnych rubli.

— Wistocie, — rzekł pan Aleksander, — ten spryciarz ma rację. — I podał zwinięty papiererek swemu towarzyszowi.

Pan Stanisław machinalnie wziął zwitek w rękę. Nagle na twarzy jego odbiło się zdumienie.

— To moje pismo,—rzekł, zakładając binokle.

Był to rzeczywiście kawałek listowego papieru, zapisanego z obu stron nie dokończonemi zdaniem. Na jednej można było wyczytać: „Pogróżki twoje są szczytem dzieciństwa; szalenciec chyba skazuje się dobrowolnie na drogę występku i hańby, a ty odznaczałeś się zawsz....“ Na drugiej zaś stronie wypisano: „.....użyj ich na istotne twoje potrzeby. Nie przeczę, że mógłbym dać więcej; ale póki obracać się będziesz w tem nikczemnem środowisku“....

Pan Stanisław kilkakrotnie odczytał obie strony ćwiartki i bladł coraz bardziej; potem przetarł czoło, niespokojnym ruchem zrzucił binokle z nosa, schował kartkę do kieszeni i w milczeniu długo oglądał pieczęć. Zawezwany kilkakrotnie do wyjścia, otrząsnął się z zadumy i rzekł stłumionym głosem:

— Wiele dałbym za to, żeby wiedzieć, gdzie są ci, co się tu ukrywali przed niedawnym czasem.

— To z pewnością, proszę pana, bandyci; może z bandy Wilkowskiego, co niedawno rozbiła urząd gminny w Krzeptowicach. To podobno lepsza banda, taka inteligentna, lepiej wychowana, która nie napada chłopów ani Żydków po drodze, ale zabiera tylko, gdzie się da, pieniądze rządowe, bo oni kraść nie chcą.

— A czyż to nie jest takie samo zabieranie cudzej własności?

— Tak mówi pan i ksiądz proboszcz i nauczyciel, ale głupiemu człowiekowi to tak się nie zdaje. Oni wyobrażają sobie, że pieniądze rządowe to takie, co nie mają pana, a proboszcz powiada, że pieniądze rządowe to grosz najbiedniejszych, boć za nie utrzymuje się szpitale, szkoły...

— Masz rację, chłopczyno.

— A prostym ludziom to zawsze zdaje się, że to

jest coś innego. I dlatego, jak w tych stronach przebywała banda Michałka, co był zwyczajny zbój, rozbijający na drogach, to go ludzie ze wszystkich wsi i miasteczek tropili jak wściekłego psa; a Wilkowskiego, że to jest bandyta od pieniędzy rządowych, to osłaniają, jak mogą. Co prawda, to on podobno też suto płaci za każdy nocleg czy łyżkę strawy.

Pan Stanisław przystanął.

— Mówisz, że tu bandę Wilkowskiego znają?

— Nie wiem, czy każdego z nich; ale samego Wilkowskiego to wszyscy w Olsztynie znają, bo on pracował w hucie żelaznej pod Częstochową, a na święta często tu do siostry, co jest za pisarzem gminnym, przyjeżdżał. Innych też znamy; jest tam taki blondas gruby, czerwony na twarzy, co go Białas nazywają; jest zezowaty Kulik, też stych stron. O, w olsztyńskiej karczmie oni ładny grosz zostawili. Chłopom też za wszystko pieniędzmi sypią, więc ich nikt nie wyda, a jeszcze schowa, ukryje.

Pan Stanisław zagadnął nagle Czesia:

— Dawnoś widział „towarzystwo“ Wilkowskiego?

— Ja Wilkowskiego, Kulika i Białasa widziałem na św. Wojciech w Żarkach; zaniósłem im tłumok do gospody, to mi czterdziestkę za to wsunęli. Ale Władek Pocięszycielów mówił mi, że u jego matki w stodole to ich pięciu przez trzy dni się ukrywało.

Pan Stanisław przystanął; zobaczył, że towarzysz jego, zajęty rozmową z paniami, nie zwraca na niego uwagi, i rzekł cicho a gorączkowo:

— Zaprowadź mnie do nich, a suto ci za to zapłacę.

Czesiek spojrzał na niego z wyrzutem i rzekł hardo:

— Ja ta ze zbojami się nie znam i prowadzić pana do nich nie będę.

Pan Stanisław przyciął usta i długą chwilę myślał nad czemś głęboko.

— Więc nie za zapłatę... Chłopcze, ja chcę ratować kogoś, kogoś mi drogiego; pomóż mi, a Bóg ci nagrodzi.

— Ależ, proszę pana, ja prawdę mówię, że ich nie znam i nie wiem, gdzie się obracają. Niech pan łązi po karczmach: u Súskinda w Olsztynie, u Sasa w Żarkach, w Krzepicach, w Małczynie, w Sosnówku. Może pan wypatrzy; ale jakby pan o nich pytał, to nikt pana nie objaśni, bo każdy będzie się bojał, że pan z policyi.

— No, panie Stanisławie,—wołała starsza z pań — czekamy, pora jechać, żebyśmy za dnia wrócili, bo teraz strasznie czarne noce. Bywaj zdrów, nasz mały cziczero-ne; masz tu jeszcze resztki zapasów, zjedz to na kolację.

— A jak zobaczysz ducha, to kłaniaj mu się ode mnie, — śmiała się panienka, — mam przecucie, że się tu niebawem zjawi.

Wesoło siadano na bryczkę.

Czesiek kłaniał się, żegnał, życzył szczęśliwej podróży, zafrasowany tylko tem, że pan Stanisław, okazujący mu z początku taką życzliwość, od wyjścia z groty nie zwracał na niego uwagi, cały zajęty swemi myślami. Gdy przeto wskoczył już na bryczkę, Cześ pocałował go w rękę i zapytał nieśmiało:

— Przyjedzie pan po mnie?

— Przyjadę, — odrzekł roztargniony.

— W przyszłym tygodniu?

— Prawdopodobnie.

II.

Cały następny tydzień Czesiek gorączkowo wyglądał pana Stanisława. Porozumieli się z ojcem, który jak najchętniej godził się na pobyt w przytułku dla nieuleczalnych, byle jednak jego znalazł opiekę i mógł wyjść na

człowieka porządnego i światłego rzemieślnika. Czesiek go w tem podtrzymywał.

— Przecie to tylko na kilka lat, tatusiu,—mawiał.— Jak się wyzwolę, wezmę tatę do siebie, i będziemy gospodarować razem, tak jak teraz, z tą tylko różnicą, że tata będzie miał pożywienie jak się należy i ładny pokój z dużem oknem, żeby było gdzie zawiesić obie klatki z kanarkami.

— Jeżeli biedne ptaszyny nie pozdychają do tego czasu, — westchnął Kamiński.

— Pani Szarkowa będzie o nie dbała, jak o swoje. Jeszcze tacie dokupię parkę prawdziwych herceńskich, co tak pięknie śpiewają.

Stary się rozpromienił.

— Żeby tylko ten pan nie zapomniał o swej obietnicy...

Nieczynność taka coraz bardziej niepokoiła też Czeska; mijał dzień za dniem, upłynęły dwa tygodnie, ani pana Stanisława, ani wiadomości od niego...

Czesiek posmutniał i coraz dłużej wysiadywał na stoku góry zamkowej, snując marzenia o szczęśliwej przyszłości, gdy już będzie rzemieślnikiem, a wieczory będzie mógł spędzać na czytaniu naukowych książek, pożyczonych z publicznych bibliotek, obok ojca, dożywającego w spokoju i dostatku skołatanego żywota.

Słońce zaszło, zmrok wyrugowała zupełna już ciemność, a on siedział jeszcze na głazie w głębokiej zadumie. Nagle drgnął: wydało mu się, że ktoś z głębi zamczyska odezwał się jęklawie, rzucając w powietrze dźwięk jakiś, jakby jego imię. Obejrzał się, wyteżył wzrok i zadrżał. Przez podwórzec zamczyska wzdłuż muru posuwała się jakaś biała, wysoka postać. Chwilkę wpatrywał się w zjawisko i przekonał się, że nie było to złudzenie: biała postać sunęła ku niemu i coś wołała. Krzyknął

przerażająco i pędem puścił się z góry. Ani się obejrzał, jak się znalazł w ulicy miasteczka i wpadł w ramiona Zygmunta Wolnego, który zabiegł mu drogę.

— Gdzie tak pędzisz jak waryat?

Czesiek stanął, chwytając oddech w zmęczone piersi, drżał cały.

— Co ci to? Chciał ci kto sprawić lanie?

— Ah, Zygmunt, Zygmunt, co ja widziałem!

— Co takiego?

— Ducha.

— Gdzie?

— W zamku.

— Zawracanie głowy!

— Przecież widzisz, jakim wystraszony, z przywidzenia bym się tak nie przestraszył.

— Coś ci mignęło przed oczami...

— Ale gdzie tam! Stałem, jak przed tobą stoję, i widziałem taką wysoką, białą postać; szła ku mnie i jęczała.

Zygmunt pokręcił głową. Ile to razy z Cześkiem i innymi chłopcami bez mała do północy przesiadywali wśród ruin, a nigdy nie pokazało się nic nadprzyrodzonego; skądżeby teraz?...

Poskrobał się w głowę i rzekł:

— Mów, co chcesz, a ja myślę, że ci się przywidziało, i żebyś wiedział, że się nie boję i że pójdę na zamek.

Cześ popatrzył nań niedowierzająco, a widząc, że Zygmunt z rażną miną ruszył w stronę ruin, poszedł za nim, po chwili przyśpieszył kroku i zrównał się z Zygmuntem.

— Wiesz, dwa tygodnie temu byli tu jacyś państwo, przed którymi kpiłem i opowiadałem niestworzone rzeczy, że niby tam pokutuje i że ja duchy widziałem; no, i Pan

Bóg ukarał mnie za kłamstwo i kpiny i dozwolił pokazać się duchowi, żeby mnie nastraszył.

— A tak ci się duch pokazał, jakieś im opowiadał?

— Akurat tak. Mówilem, że widziałem białą postać wysoką, i taka też stanęła przede mną... Mówilem także, że panny pokutujące pokazują się w postaci iskier i płomyków... Ah!... patrz!...

Drżący przypadł do boku Zygmunta, ręką wskazując ku szczytowi góry... Ponad gęstymi krzakami pełgało światło, przesuające się w powietrzu na przestrzeni paru łokci.

Zygmunt przetarł oczy.

— Przecież nie śnię...

— I nigdy to nie bywało?

— Pierwszy raz to widzę.

— W imię Ojca i Syna...

Obaj zrobili znak krzyża. Światelko chwiała się cłagle.

— To jakiś czysty duch, bo nie znika pod znakiem świętym.

— Poszedłbyś tam teraz?

— Za nic w świecie.

— Patrz, zgasło światło.

— Warto, żeby się kto przekonał i poszedł teraz czy ten duch także mu się pokaże.

— To dobra myśl. Seweryn udaje zawsze takiego zucha, Bolek także; niech pójda teraz przekonać się sami.

— Ale lepiej nie mówić im, że się tobie coś pokazało; niech idą nieprzygotowani, bo mogliby dopatrzeć się czego przez sam strach.

— Dobrze radzisz; chodźmy po chłopaków.

Pobiegli w pobliżki rynek, w którym na łańcuchu, opasującym urząd gminny, huśtali się Seweryn i Bolek.

- Słuchajcie, chłopaki! Chciałem pójść o zakład z Cześkiem, że obiegnie teraz zamek dookoła, ale go strach obleciał i nie chce się zakładać; a ja mówię, że wy nie balibyscie się tam pójść nie tylko teraz, ale nawet o północy.

— To się wie; nawet w sądny dzień żydowski.

— Tak, zajrzeć, zajrzycie,—rzekł Czesiek; ale całego nie obiegiecie.

— Założmy się, że obiegniemy.

— Założmy się.

— O co?

— Jeżeli wy obiegiecie, to dam każdemu po pięć starych marek.

— Ale nie ruskich ani niemieckich, tylko z dalszych krajów.

— Tak, tylko z dalszych... A wy co mi dacie, jeśli nie obiegiecie?

— O, ja ci mogę przyrzec, co chcesz, bom taki pewny, że obejdę śpiewający.

— I dałbyś mi swój scyzoryk z trzema ostrzami?

— Dałbym ci.

— Dobra moja! a Bolek niech stawi w zakład dziesięć obwarzanków; o to tobie najłatwiej, bo twoja matka je piecze.

— Naturalnie buchnie, niosąc kosz na stragan.

Śmiejąc się i żartując, doszli do zamku. Czesiek z Zygmuntem zostali u podnóża, Seweryn z Bolkiem rażno ruszyli na górę. Po krótkiej chwili przestali rozmawiać, bo nogi bardzo grzęzły w piasku, z mazurem musieli je wydostawać; po kilku minutach zniknęli z oczu na załamie zamkowej drożyny. Minęła minuta, dwie, trzy...

— Psupapa, — mruknął Czesiek, — zagalopowałem

się: widzę, że obejdą spokojnie zamek, i przyjdzie mi dać dziesięć marek z dalekich krajów.

— O, oni cię obiorą!

— Wezmą pewnie rumuńskie albo bułgarskie, bo najładniejsze.

— Potrzeba to było być takim pewnym? Przecie łatwo było domyślić się, że duch, choć się pokaże, to tylko raz jeden, a nie włości się godzinami na oczach ciekawców.

— Psupapa!... szkoda... Słyszysz!

Zupełną ciszę nocną rozdarły dwa jednoczesne krzyki, zamąciło łopotanie nóg i trzask strąconych w przepaść kamieni.

— Pokazał się i im! — wykrzyknął z bijącym sercem Zygmunt.

— Nie dam marek! — odetchnął Czesiek.

Seweryn i Bolek jak rwący potok toczyli się z góry.

— Rany!... rany!... co my widzieli! — ryczał Seweryn.

— Duch, jak maie widżicie, duch się pokazał—dorzucił Bolek.

— Jaki? gdzie?

Ale oni nie słuchali pytania, pędząc co sił przed siebie. W pędzie przewrócili jakieś żydziątko, siedzące nad rynsztokiem, które nieludzkim wrzaskiem nappełniło ulicę, przewrócili opróżniony przez owocarke stragan; wreszcie Bolek zaczepił kurtkę o dyszel stojącego woza, a dyszel dostał się do kieszeni i zatamował szalony rozpęd. Siadł przy wozie na kamieniach, dysząc ciężko; Seweryn, Czesiek i Zygmunt usadowili się na dyszlu.

— No, jak to było? powiadajcie! — zapytał Zygmunt.

— Nastraszył was porządnie! — śmiał się Czesiek.

W tej chwili Seweryn buchnął go pięścią w plecy.

— Ty łajdaku, ty musiałeś wiedzieć, że tam straszy, dlatego nas posłałeś!

Czesiek zaśmiał się, przechylił w tył, nogami zatrzepotał w powietrzu i wołał ze śmiechem:

— Dlatego wam marki z dalekich krajów obiecał.

— No, widzisz, jaki ty jesteś oszust... Ale ja ci scyzoryka nie dam... figa malowana!

— Przecie wygrałem.

— Ale to był podstęp.

— Ja ryzykowałem, bo mógł się wam duch nie pokazać, więc mogłem być swoje marki stracić, więc też należy mi się scyzoryk.

— Figa malowana!... Nie dam takiemu oszukańcowi, jak ty.

— A ja dziesięciu obwarzanków nie dam—pisał Bolek.

— Ja was pogodzę:—odezwał się Zygmunt—niech Bolek da tylko cztery obwarzanki, po dwa dla nas, a Seweryn niech nie daje Cześkowi nowego scyzoryka, tylko oprawkę od starego, co mu się złamał.

— A co mi po samej oprawce!

— Ślusarz dorobi ci ostrze.

Pogodzono się, a potem Seweryn, jako najstarszy, zabrał głos:

— A to było tak. Idziemy my oba, Bolek i ja; nic nie gadamy, bo sobie myślimy; przeszliśmy już tak za łoch Borkowica; aż tu słyszę — jakby pod murem coś się ruchało; myślę, że jaszczurka albo wąż; wtem Bolek daje mi sółkę w bok; spoglądam na mur, a tam w zalaminie stoi coś wielkiego, białego, z ludzką twarzą.

— E, maniszl... gdzieby z ludzką twarzą!...

— Jak mnie żywego widzisz, niech Bolek poświadczy.

— Jak Boga kocham,—bijąc się pięścią w podolek, potwierdził Bolek;—miał ludzką twarz i czarną brodę.

— Bo to może jest człowiek, ukrywający się tam w zamku.

— Powiedział, co wiedział: człowiek nie chodzi w białej szacie od głowy do ziemi.

— I to zupełnie przezroczyście.

— A tak: to tak wyglądało, jakby głowa sterczała na galarecie.

— Tak, na takiej szarej mgłę.

— Ja krzyknąłem: Jezus! Marya! a on zaraz zniknął, jakby w ziemię zapadł.

— To musi być nieczysty duch!

III.

Tej nocy wszyscy czterej chłopcy bardzo źle spali.

Nazajutrz Zygmunt, Seweryn i Bolek, terminatorzy, szeroko opowiadali w swoich warsztatach bardzo zmienioną i upiększoną przygodę o duchu zamku. Czesiek zaś, ośmielony przez jasny, słoneczny dzień, ruszył ku ruinom, aby obejrzeć miejsce, jak sądził, zakłęte.

Panny-płomyki nie zostawiły po bytności swej nawet popiołu, duch żadnych śladów na piasku. Mijał już loch, w którym zmarł Borkowic, gdy z głębi jego doszedł go wyraźnie jęk. Podbiegł, przeżegnał się i przystanął. Zabobonny strach nakazywał ucieczkę, rozsądek doradzał spokojnie dziwne miejsce zbadać.

— Za dnia nie duch, lecz człowiek musi się odzywać, a jeśli jęczy, to zapewne potrzebuje pomocy.

Zdecydowany odrazu, zawrócił się, przykucnął przy lochu i zapuścił wzrok, ale z powodu panującego tam mroku nie mógł nic rozróżnić.

— Jest tam kto? — zapytał lekliwie.

— Jest tam kto? — powtórzył głośniejsze.

— Ratunku!... usłyszał jękliwy głos.

— A kto tam?

— Zdaje mi się, że to Cześ?

— Tak, to Czesiek... A kto tam jest?

— To ja, Stanisław.

— Pan Stanisław?... A po co pan do tej dziury wlaż? I czy pana brzucho boli, że pan jęczy?

— Ja jestem całkiem chory.

— To niech pan wyjdzie!

— Nie mogę; jestem nieubrany... Chodź do mnie...

Czy jesteś sam?

— Sam.

— To chodź! opowiem ci i poproszę o pomoc.

Czesiek po dobrze znanym sobie spadku wbiegł do lochu. W kącie siedziała skulona, biała postać.

— W imię Ojca i Syna! co to pan w koszuli tylko i w kalesonach!.. A gdzie pana ubranie?

— Opowiem ci potem. Teraz błagam cię o jedno: przynieś mi co zjeść, bo umieram z głodu, od trzydziestu sześciu godzin nic w ustach nie miałem.

— A od kiedy pan tu jest w zamku?

— Wczoraj popołudniu dostałem się tutaj.

— I chodził pan wieczorem po podwórku?

— Chodziłem.

Czesiek parsknął śmiechem.

— A myśmy pana za ducha brali!

— Widziałem ciebie o zmroku, wołałem na ciebie, a ty jak waryat uciekałeś; potem nadeszli inni chłopcy, przed tymi wołałem się ukryć, bo nie byłem pewny, jacy oni są.

— Ale dlaczego pan tak bez ubrania?

— Powiedziałem ci, narazie nie pytaj, tylko przynieś mi co zjeść, bo zemdleję z głodu. Masz tu dziesięć rubli, idź co kupić.

— Niech pan da mniej, bo się ludzie będą dziwo-
wać, skąd wziąłem dziesięć rubli.

— Nie mam drobniejszych pieniędzy; portmonetka
została w oberży, zdołałem tylko pochwycić pugilares
i papierośnicę.

— I może pan palił wczoraj papierosy?

— To była moja jedyna rozrywka.

— A myśmy to brali za duchy panien, co przy żar-
nach poginęły.

— No, nie gadaj, tylko idź co kupić!

— Ja poradzę tak: niech pan dziesięciorublowkę
zatrzyma, a ja wezmę od ojca parę złotych, kupię panu
bułek, szynki, z domu przyniosę gorącej herbaty w bla-
szance za pazuchą.. bo pan pewnie nie chce, żeby wie-
dzieli, że pan się tu ukrywa?

— Niech Bóg bronil... Milczenie twoje hojnie na-
grodzę, ale niech się nikt nie domysła, że ja tu jestem.

W pół godziny potem Czesiek wracał, niosąc zapasy
do jedzenia i gorącą herbatę, ale z twarzy jego znikła
zwykła wesołość. Przeciwnie, z ponurym wyrazem przy-
glądał się panu Stanisławowi. Ten w milczeniu, pośpie-
sznie zjadł przyniesione śniadanie, dopiero spożywszy je,
wyciągnął rękę do Cześka i rzekł:

— Uratowałeś mnie od głodowej śmierci, ale ja i na-
dal liczę na twą pomoc.

Czesiek milczał chwilę; znać było, że walczył mię-
dzy nieśmiałością a chęcią zadania jakiegoś pytania.
Nareszcie cicho, ze spuszczoną głową zapytał:

— Ale pan nie jest bandytą... nawet takim od rzą-
dowych pieniędzy?...

Pan Stanisław milczał, zdawał się badać duszę chło-
paka, wreszcie zapytał:

— A czemu mnie o to pytasz?

— Bo, żeby mnie nie wiem co ludzie mówili na

Ich obronę, to ja bandytów nie lubię i żadnemu bandy- ciebym nie pomagał za żadne skarby świata.

Pan Stanisław przygarnął chłopca do piersi.

— Masz rację, dziecko. Szanuję cię za ten wstręt i utwierdzam się w przekonaniu, że Bóg mnie zbliżył do ciebie, bo możemy wzajemnie być sobie i ludziom pomocnymi. Siądź tu przy mnie, opowiem ci, w jaki sposób możesz mi pomódz uratować drogą mi istotę od hańby i niebezpieczeństwa, naturalnie, jeżeli nie jest już za późno. Mam brata młodszego ode mnie o lat kilkanaście, z ośmiorga rodzeństwa dwóch nas tylko zostało; jego, najmłodszego, psuto zanadto, a że naturę miał mięką, otwartą, dostał się do grona ludzi, którzy pod ładnie brzmiącemi hasłami uprawiali pospolity rabunek. Od dziesięciu miesięcy nie miałem o Michasiu żadnej wiadomości. Dopiero wówczas w grocie świstek papieru, na który ty zwróciłeś uwagę, pozwolił mi natrafić na trop biednego, wykołajonego mego brata. Przedwczorajszej nocy udało mi się zejść z nim w oberżę Balcera; przycisnięty do muru wyznał, że życie, jakie prowadzi od roku, stańło mu kością w gardle, że jedynym jego pragnieniem jest wrócić do życia uczciwego człowieka. O świecie miał ze mną jechać do naszych przyjaciół na wieś, skąd miałem go wyprawić za granicę. Niestety, nad ranem zbudzono mnie z głębokiego snu rozkazem, żeby natychmiast uciekać. Zanim zdołałem zrozumieć, co się stało, myślałem, że się pali, i wyskoczyłem oknem, zdążywszy zabrać jedynie pugilares i papieróśnicę. Pod oknem ktoś chwycił mnie za rękę i ciągnął przemocą za sobą po korzeniach drzew, po ostrych kamieniach, wołając, że trzeba uchodzić przed policją. W gęstym lesie doczekaliśmy się dnia; towarzysz mój był to jeden z bandy Wilkowskiego, o tyle w szczęśliwszem ode mnie położeniu, że niespodziana przygoda zaskoczyła go cał-

kiem ubranego. Na prośby moje wrócił ku oberży, aby się dowiedzieć, co się stało z Michasiem; poszedł i już nie wrócił. Czekałem do wieczora, potem omdlewający z głodu, chyłkiem lasami przekradałem się ku ludzkim siedzibom, aż los wyprowadził mnie na olsztyńskie zamczysko.

— No, i nie wie pan, co się dzieje z bratem?

— Nie wiem i w tem potrzebuję twojej pomocy.

— Skoczę do Topolina i przepytam o wszystko.

— Tak, to konieczne; ale ja nie mogę siedzieć tu do nieskończoności i muszę zdobyć sobie ubranie.

— Może zostało panowe u Balcera?

— Prawdopodobniej policya wzięła je jako jeden z namacalnych śladów.

Tu pan Stanisław chwycił się za głowę.

— Jezus, Marya! Jezus, Marya! — zawołał — w ubraniu mojem były bilety wizytowe; policya przejmie je i będzie myślała, że ja jestem także bandytą.

— Et, zwracanie głowy! Przecież w oberży różni ludzie nocują, i co oni winni, że na drugim łóżku leży jaki nożowiec albo brzuchomówca.

— Ale nazwisko moje i Michasia!...

— Mogą myśleć, że panowie zanocowali przypadkiem wśród bandy.

— Jeżeli Michasia już nie ujęli i nie wydał wszystkiego.

— To ja się o tem dowiem. Ale w każdym razie muszę mieć jakie słówko od pana, żeby mi Balcer wydał ubranie pana, jeśli on je schował.

— Masz rację; dostarcz mi papieru i ołówka... Ile czasu potrzebujesz na pójście i wrócenie z Topolina?

— Trzy, może cztery godziny.

— Zatem musisz zmienić te dziesięć rubli, przynieść mi tu jeszcze pożywienia, posilić się także i ojca nakarmić... Może masz jaką książkę?... Piekierne nudy w tej dziurze.

— Mam Robinsona Kruzoe.

— Dawaj... i biegnij po żywność i materiały piśmienne!

Dobra godzina upłynęła, zanim Czesiek załatwił sprawunki, zostawił pożywienie ojcu i opatrzony w list pana Stanisława, ruszył w stronę Topolina.

Topolińska oberża podobna była do innych karczem—zadymiona, brudna i cuchnąca wódką i zastarzałem potem. W tej chwili była ona pusta zupełnie. Czesiek siadł w najciemniejszym kącie i zaczął gwizdać. Zwabiona tem dziewczyna służebna w podkasanej spódnicy i z zawiniętymi rękawami weszła z gniewną miną.

— A ty czego gwizdzesz jak w polu? Co ty sobie myślisz? — rzuciła w stronę chłopca.

— Gwizdę teraz piosenkę, bo potem zadzwonię pieńd mi,—hardo odpowiedział Czesiek i dorzucił, widząc, że dziewczyna zbliża się do niego nieufna i groźna: — Kawa biała, chleb, masło i kiełbasa!

Wyjął z kieszeni papierowego rubla, położył na stole i przycisnął podstawką do piwa. Na ten widok dziewczyna już nic nie rzekła, tylko mruczając pod nosem, wyszła do kuchni. Czesiek tymczasem bardzo uważnie badał miejsce, w którym się znajdował. Szynekownia prócz drzwi wchodowych i kuchennych miała jedne jeszcze napół uchylone, wiodące znać do alkierza, widać bowiem było dwa wysoko usłane łóżka i szereg obrazów na ścianie. Z izby tej dochodziła jakaś żywa rozmowa, widocznie targ.

— Żeby tak moje dzieci szczęście do handlu miały,—mówił ktoś żydowskim akcentem,—jak że to nie warte więcej. O, niech pani Balcerowa patrzy... na siedzeniu lustro, na kolanach górki, a podszewka całkiem bawełnicowa.

— Tak Mosiek tu gada, a sprzeda za dwadzieścia pięć rubli.

— Aj waj, co pani Balcerowa takie głupie słowo gada? Kto to stare odżenie kupi? bogaty używane nie weźmie, a biedny chce, byle tanio.

— Zmarnować za sześć rubli nie mogę.

— A czy ja pani Balcerowej każę? Jak pani Balcerowa nie może, to i nie musi. Ja tu jeszcze wam kupca mogę przysłać... Ja wiem, starszy strażnik z Żarek potrzebuje takie ubranie dla syna... Ja go tu przyszlę.

Ktoś mocno splunął z dobitną klątwą.

— No, siedem rubli pani Balcerowa weźmie?

— Nie... dziesięć.

— To niech kupi strażnik z Żarek, on tem nie handluje, to może takie cene dacz; dla mnie to żaden interes.

— Niech Mosiek przestanie z tym strażnikiem z Żarek, bo jak wam wrzátku na łeb chlusnę, to wam się całe stado, co w kędziorach macie, zatopi.

— Niech ono sze zdrowo chowa... a ja więcej jak siedem rubli nie dam.

— Chłop swoje, czort swojel... Przecie muszę [mego się poradzić, czy da tak za byle co ten garnitur zmarnować.

Drzwi od alkierza otworzyły się szeroko. Gruba, czerwona Balcerowa przebiegła ciężko szynkownię, aż szkło zabrzęczało na szynkwasię, i wychyliła się przez otwarte okno, wołając:

— Hipek! Hipek!

Po chwili za oknem ukazał się Balcer, w koszuli tylko i z siatką w rękę, widocznie oderwany od zajęcia przy pszczołach. Dość długo szeptali z żoną, podczas gdy w alkierzu Mosiek przyglądał się pod światło spodniom w drobną kratkę i czarnej alpagowej marynarce, oraz takież kamizelce. Czesiek nie wątpił, że było to ubranie

pana Stanisława, który opowiedział mu, jak wyglądało. W tej chwili doszły do jego uszu słowa szynkarza:

— Trzeba oddać, bo bestya zdradzi i doniesie.

Balcerowa była już w połowie izby, gdy w drzwiach wchodowych ukazało się trzech mężczyzn. Czesiek w jednym z nich poznał „Białasa” po niezmiernie płowych włosach i niezwykle białej cerze; drugi mógł być Wilkowskim, choć nosił odmienny zarost, niż ów, którego pokazano mu jako dowódcę bandytów przed rokiem; trzeci miał wygląd delikatniejszy, a w wyrazie ust przypominał mu pana Stanisława, tak że serce w Czesku zabiło na myśl, że jest wobec poszukiwanego młodzieńca.

— Moje uszanowanie panom! — zawołała szynkarka pośpiesznie, zamykając drzwi alkierza.

— Dzień dobry! — odezwał się najstarszy z przybyłych. — Gdzie mąż?

— Pszczoly się nam wyroiły, poszedł rój podebrać.

— Niech go pani zawoła, a nam poda piwa!

Zasiedli przy stole. Balcerowa podeszła do okna i znowu piskliwe: Hipek! Hipek! rozdarło powietrze.

Kipiące pianą kufle stały już przed gośćmi, gdy wszedł Balcer, przykładając wilgotną glinę na ukłutą przez pszczolę rękę.

— Szacuneczek panom!.. Ucieła mnie bestya... Czem panom mogę służyć?

— Panie Balcer,—rzekł ten z przybyłych, który przypominał pana Stanisława.—Przedwczorajszej nocy, w czasie tego fałszywego popłochu z powodu niby policyi, wybiegł mój brat w samej bieliźnie, a ubranie jego pozostało tutaj. Ponieważ w ubraniu tem prawdopodobnie były jakie listy, mogące mi wskazać miejsce jego obecnego przebywania, przybyłem dziś po nie umyślnie.

— Ubranie, jakie ubranie?

— Spodnie w kratkę, czarna marynarka i kamizelka

czarna... Zresztą, co tu mówić, dziesięć ubrań tu nie pozostało... Zaraz mi tu wynieście!

Balcer grzmotnął się pięścią w piersi:

— Żebym tak jutra nie doczekał, jak tu nie pozostało żadne ubranie. Może który z towarzyszy zabrał ze sobą.

Wilkowski zwrócił na niego groźną twarz.

— Liczyć się ze słowami! — huknął — my nie banda złodziejska, żebyśmy kradli ubrania.

— Ja nie mówię na pańskich towarzyszy, niech mnie Bóg broni; ale wtedy było w oberży jeszcze kilku panów, których nie znam, wszystko to uciekło w popłochu, musiał któryś buchnąć.

— Łziesz jak pies!

— Żebym tak jutra nie doczekał, że nie widziałem żadnego pozostawionego ubrania, — wyklamywał się szynkarz.

W tej chwili spokojnym głosem z ciemnego kąta odezwał się Czesiek:

— Ubranie, jakie pan opisuje, sprzedawała przed chwilą w alkierzu pani oberżystka... O, idzie drogą Mosiek z zawiniątkiem, pewnie go wypuszczono tylnymi drzwiami.

— Witold, skocz za nim! — rzucił Wilkowski w stronę Białasa.

W tejże chwili Balcer przyskoczył do Czesia i silnem uderzeniem pięścią w głowę ogłuszył go na chwilę. Chłopiec przerażony począł krzyczeć. Szynkarz pochwycił z kąta grubą łaskę z rączką z rogu i szedł groźny w stronę Czeska, ale Wilkowski zastąpił mu drogę.

— Nie waż mi się go tknąć! — krzyknął.

— Ja go tu!.. ja go tu!... bełkotał Balcer, pieniąc się ze złości... Ja go jeszcze dostanę w swoje ręce!

W tej chwili wpadła do izby oberżystka, która w alkierzu słyszała rozmowę.

— Niech go panowie nie bronią! To niebezpieczny ptaszek... To syn starszego strażnika z Żarek. On zaraz doniesie, że się panowie tu ukrywacie, on sprowadzi tu policyę, on...

Czesiek nie słyszał dalszych słów; pragnął wydostać się z niebezpiecznego miejsca; korzystając z zamieszania, chyłkiem przemknął się ku oknu i poza szerokiemi plecami Wilkowskiego wyskoczył do ogrodu. Dopiero znalazłszy się na drodze, wyprostował się i puścił jak strzała w stronę lasu. Po kilku chwilach usłyszał, że ktoś od karczmy szybko biegnie za nim; struchlał, przekonany, że to Balcer goni go, aby wyrzucić na nim wściekłą zemstę. Obejrzał się, po wysokiej postaci poznał, że to któryś z gości, którzy przyszli; nie wiedział jednak, czy to był Wilkowski, czy Michał Znański. W przypuszczeniu, że to tamten pierwszy, gnał co sił, bez tchu, bez upamiętania; ale słyszał coraz bliższy odgłos pogoni, widział, że nie ujdzie... postanowił zatem spojrzeć w twarz niebezpieczeństwu. Odwrócił się nagle i znalazł się wprost brata pana Stanisława.

— Moje uszanowanie panu Michałowi Znańskiemu!— zawołał, zdejmując kapelusz z uśmiechem.

Michał stanął zdumiony.

— Znasz mnie?... Czyżes rzeczywiście małoletni szpieg policyjny?

Czesiek w odpowiedzi podał Michałowi list pana Stanisława, pisany w sprawie ubrania.

Michał przeczytał i rozpromieniał się.

— Rzeczywiście można to nazwać szczęśliwem zdarzeniem Opatrzności. Gdzie jest mój brat?

— W lochu w olsztyńskim zamku; a że ma na so-

bie samą koszulę i kalesony, — więc udaje ducha Maćka Borkowica.

Michał się uśmiechnął.

— Będiesz go dziś widział?

— Idę od niego i do niego.

— Zatem słuchaj. Kazano mi cię schwytać, jako niebezpiecznego ptaszka. Widzę, że to karczmarka tylko ogłosiła cię takim. Zatem wrócę do swoich towarzyszy i powiem, że nie mogłem cię dogonić. Ty zaś powiedz memu bratu, że jutro przybędę do Olsztyna i oddam się pod wyłączną jego komendę. Niech mnie czeka przed południem w ruinach zamku.

Wyjął z kieszeni jakiś pieniądz i chciał wcisnąć w rękę Czeška, ale ten nie przyjął.

— Ja to nie dla pana zrobiłem, tylko dla pana Stanisława, bo on chce się mną zająć.

— Oby lepszej doczekał się z ciebie pociechy, niż ze mnie! — smutno odezwał się Michał.

Objął spojrzeniem sympatyczną postać Czeška i do-rzucił:

— Jak widzę, Balcer dobrze cię poczęstował; masz guz na głowie jak pomarańcza.

— Ałem mu zato za kawę, chleb, masło i kielbasę nie zapłacił, — zaśmiał się chłopiec i pogwizdując puścił się w stronę Olsztyna.

IV.

Guz na głowie Czeška dochodził do rozmiarów poważnych; mimo to z dobrą miną biegł Cześ ku zamczysku, niosąc dobrą dla pana Stanisława nowinę. Ten, różniejszy, bo posilony, wyszedł z chłodnego lochu na słońce i bacznie przyglądał się drodze, prowadzącej na zamek, aby się skryć w porę, by go kto w oplakanym

stroju nie przydybał. Ale Czesiek zaszedł go od strony lasu całkiem niespodzianie.

— No, z czym przychodzisz?—gorączkowo zapytał go Stanisław.

— O, z jakim guzem!—śmiejąc się zawołał Czesiek.

— Tylko tyle?

— No, i z wiadomością, że pan Michał będzie tu jutro przed południem.

Pan Stanisław pochwycił chłopaka w ramiona i unióśł go w górę z radości.

— Niech ci Pan Bóg błogosławi za tę wiadomość! Więc widziałeś go? zdrow? nie ujęli go?

— Nikt go nie ujął, bo to wtedy niepotrzebnego strachu tylko narobiono. Młody pan okrutnie się ucieszył, gdy się dowiedział, że może się znowu z panem zobaczyć.

— A ubranie?

— Będzie jutro.

— A czemuś nie przyniósł z sobą? Cóż ja nieszczęśliwy zrobię w tym stroju? Rozchoruję się, jeżeli jedną noc jeszcze przesiedzę w tej dziurze. Myślałem, żeś przecie sprytniejszy, że Bóg wie gdzie pójdziesz, byle nie wrócić z pustemi rękami.

Czesiek uderzył w bek.

— Mało panu, że mi łeb rozbili? chciał pan jeszcze żeby mnie tam na śmierć zatłukli?

Pan Stanisław spojrzał na guz na czole Cześka i zał stanowił się, że mógł łatwo być niesprawiedliwym względem dzielnego chłopaka. Utulił go, ugłaskał i przyniewolił do opowiedzenia przygody.

Czesiek uczynił to nie bez dodatków i kpin.

Wynikiem opowieści było, że go pan Stanisław rozgrzeszył z zarzutu niedbalstwa i prosił o obmyślenie sposobu, jak zdobyć ubranie dziś jeszcze.

— Ja tam drugi raz w łapy temu hycłowi nie pójdę, — rzekł Czesiek, — a i kogo innego posłać tam nie warto, bo przecie pan Michał w tej złodziejskiej jamie nie siedzi. Jutro pan Michał pewnie ubranie przyniesie, a dziś przyniosę panu tatowe.

— Jakto tatowe?

— A no, tata ma tużurek, co sobie na „pochówek“ (niby do trumny) chowa; spodnie może dać te, co nosi, bo dziś leży; buty mamy Cięplaka, co je dał do podzełówki, jak ułał będą na pana: wystrychnie się pan aż ha i u nas przenocuje.

— Rzeczywiście to chyba jedyny ratunek; ale w każdym razie z tą maskaradą trzeba czekać do nocy.

— No, i ja wolę za dnia łańców nie nosić, boby kto podpatrzył i zrobiliby jeszcze z tego, że opiekuję się jakimś bandytą.

— Wogóle nie trzeba, aby ktokolwiek wiedział, że tu jestem. Wczoraj wieczorem chodziła tu jakaś para, gdy ja dygotałem z zimna w lochu; dziś też gotowa przywędrować.

— A, to córka zakrystyana ze swym narzeczonym, pisarzem z gminy, pierwsza plotkarka w mieście.

— Co zrobić, żeby dziś nie przyszła i nie spotkała się ze mną?

— Co zrobić?... A no, trzeba robić duchy.

— Jakto?

— Już od wczoraj gadają w mieście, że tu straszy. Jak się ściemni, zrobimy ducha Maćka Borkowica.

Chyłkiem skradał się wieczorem Czesiek, niosąc pod pachą ojcowe ubranie.

— Przedewszystkiem trzeba zrobić ducha, żeby pan-na zakrystyanówna nie zobaczyła pana przed wystrojeniem. Przyniosłem wszystko, co potrzeba na ducha; o, jest prześcieradło... zawieszamy na tym chojaku, a na

czubku stawiamy dynię; widzi pan, jaką śliczną gębę wykrajałem? Tu mam kawałek świeczki, wstawiam w środek i zapalam...

I Czesiek aż przewrócił kozła z uciechy, patrząc na potworną maskę, której niekształtne otwory oczu, nosa i ust odcinały się na ciemnem niebie.

— Zgaś to, waryacie, — wołał pan Stanisław, — bo całe miasto ciekawych tu nadbiegnie.

— Nie w Olsztynie; nikt się tu nie zbliży. Możemy ubierać się swobodnie.

Przy ubieraniu się pana Stanisława także było śmiechu niemało. Spodnie, kraciaste wytarte spodnie Kamińskiego sięgały ledwie do połowy łydek pana Stanisława, opuszczone bardzo nisko sprawiały, że najszersza ich część w śmieszny sposób tworzyła worek poniżej marynarki. Po długich przeto opuszczaniach i podnoszeniach zdecydowano się na włożenie ich zwyczajnie, a Czesiek skoczył do doniu po bandaż, którymi Kamiński wychodząc owijał bolące nogi: miały one w tej chwili zastąpić kamasze. Długi, niezgrabny surdut i buty z gumami bardzo śmiesznie wyglądały przy środkowej części ubrania, to też pan Stanisław błogosławił ciemną noc, która łaskawie zakrywała braki w stroju.

— No, teraz już duch zrobił swoje, może iść spać... O, niech pan słucha, jak tam ludzie rajcują pod górą... O, widzi pan, jaka ich kupa? Dam ja im bobu!

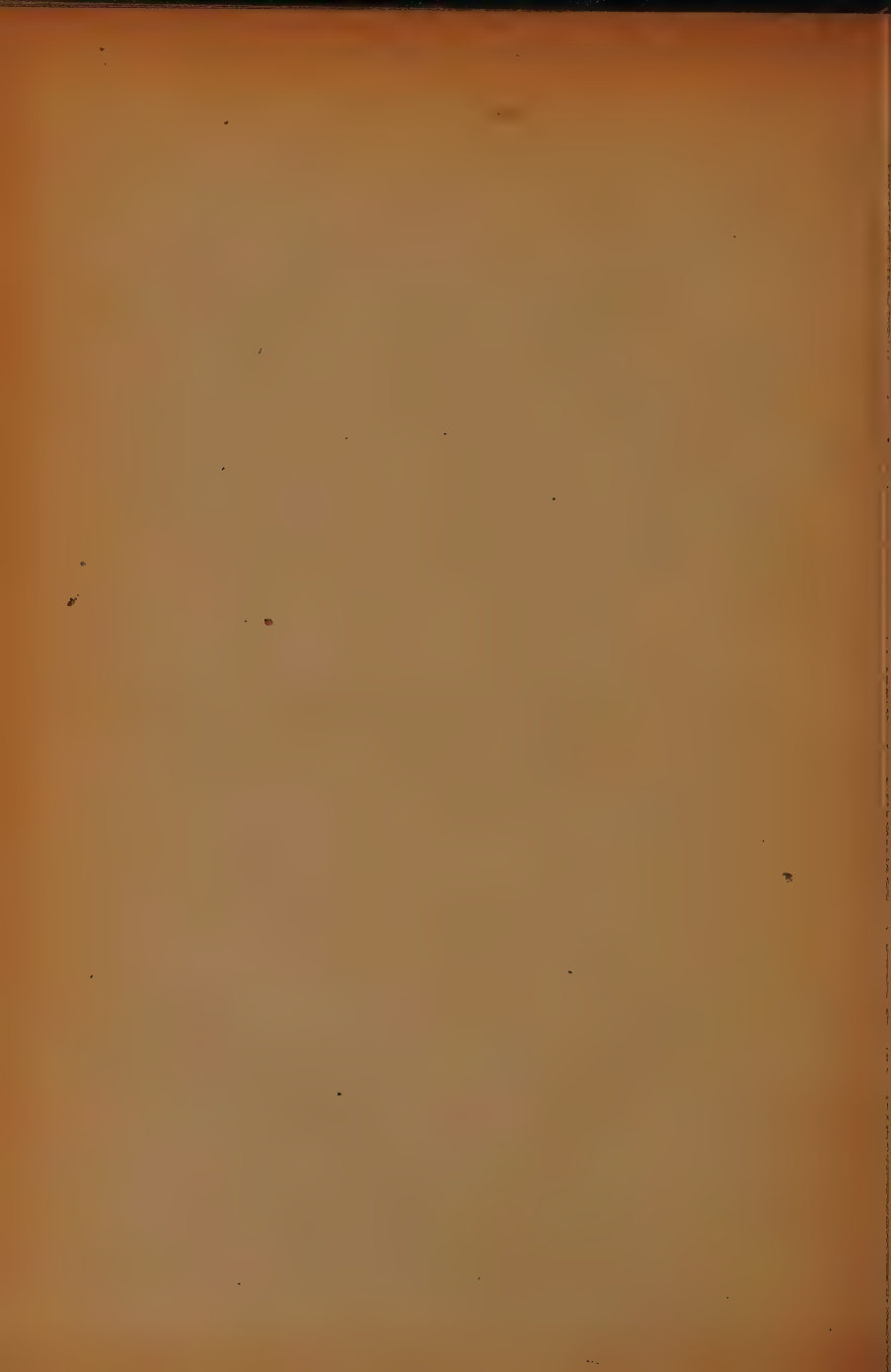
Wskoczył na wysoki głąz, pochwycił dynię w obie ręce i podniósł wysoko. Wśród gromadki, zebranej u podnóża ruin, rozległ się krzyk przerażenia.

— Precz, gapiel... Precz z mej drogi! — zaryczał Czesiek jak mógł najgłośniejszym głosem i cisnął dynię wprost na zebranych. Raz i drugi błysnęła w powietrzu potworna głowa, a potem padła na dół i rozbiła się na kawały, tocząc się po kamienistym spadku góry. Łoskot stąd po-

chodzący zagłuszył hałas z łopotania nóg i krzyków uciekającej gromadki.

Pan Stanisław z Cześkiem wracali zupełnie opróżnioną z gapiów ulicą.

W kilka minut potem siedzieli obaj w ubogiej izdebce Kamińskiego przy herbacie i obfitem jadle, przyniesionem przez Czeska za pieniądze pana Stanisława. Stary siedział na łóżku uszczęśliwiony, promienny, szeroko rozwodząc się na tem, jak się urządzi w Warszawie. Bo gość zapewniał, że zabierze go wraz z synem do stolicy i zatroszczy się o to, aby Czesiek został wykształconym rzemieślnikiem, a ojciec jego znalazł tam ulgę w cierpieniach, jeśli nie zupełne wyzdrowienie.



WYDAWNICTWO IMIENIA M. BRZEZIŃSKIEGO.

DZIECKO LEGJONU.

Powieść historyczna z końca wieku 18-go.

PRZEZ

MARJĘ BOGUSŁAWSKĄ.

1920.

SKŁADY GŁÓWNE:

WARSZAWA, „KSIĘGARNIA POLSKA”, WARECKA 15.

— POZNĄŃ, M. ARCT, PLAC WOLNOŚCI 7. —

WILNO, KSIĘGARNIA STOW. NAUCZYC. POLSKIEGO.

DRUK. KLAMKOWSKI I RAJSKI
WARSZAWA, NOWOGRODZKA 21

1.

Drugi bataljon strzelców legji Lombardzkiej i kompanja artylerji, z pułkownikiem Liberadzkim na czele, trzeci dzień już szły pośpiesznym marszem. Otrzymano rozporządzenie, żeby iść na odsiecz załodze francuskiej w Weronie, przeciwko której podniosła się miejscowa ludność w groźnej postawie.

Śpieszono, choć opadano z sił. Legjoniści, przymierający głodem, źle odziani, w obuwiu często rzemieniem przywiązaniem do stopy, aby nie pozostało na drodze, szli z zaciętymi ustami, pochmurni, dręczeni tęsknotą i niepokojem.

Nie znano jeszcze wówczas piosenki, która, zrodzona w gorącym Reggio, miała przebiec nad zastępami legjonistów przez całe Włochy, przedrzeć się za Alpy, rozbrzmiewać na wszystkich polach bitew, aby później, w dniach mrocznej niewoli, przy każdej sposobności budzić twórczą i siłodajną nadzieję swem: „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Więc od czasu do czasu ten i ów, dla dodania sobie animuszu, uciął krakowiaka lub mazurka, ale gdy te nie znalazły echa wśród towarzyszy, westchnieniem kończył piosenkę.

W dodatku przyszło kilkakrotnie ścierać się z gromadami zbuntowanego chłopstwa, które zastępowało drogę, roznamiętnione, wściekłe, zbrojne w dragi i żelastwo.

A że nacierała tu rozpacz wolnego ludu, zaskoczonego

obawą niewoli, pragnącego wywalczyć wolność dla swego kraju, więc też potyczki bywały zacięte, mordercze, skutkiem czego większość legjonistów ociekała krwią, sączącą się przez byle jakie szmaty, zastępujące bandaże.

Mrok zapadał już gęsty, gdy postępujący przy pułkowniku czternastoletni Jasiek Grzęda, trębacz pułkowy, przyłożył do ust pogiętą i pokrzywioną trąbkę, łup pochwycony przy braniu Mantui, i popłynęło między gajami oliwnymi krótkie, doniosłe hasło.

Żołnierze stanęli jak w ziemię wryci, tylko armaty chwilę jeszcze toczyły się z głuchym łoskotem.

— Sta... a... nać!... stać!... — rozległ się dźwięczny głos porucznika Chylińskiego.

— W lewo zwrot!... Naprzód, marsz!...

— Przez rów na polankę, chłopcy! rznąć mi brzuchami do góry, wyciągnąć podstawy i skrzepić się pół godzinkil...

Rozporządzenie to najspokojniej spełniono.

— I pożywić się możecie — ze smutnym uśmiechem dorzucił porucznik artylerji Hanuszko.

— Czem?... — mruknięto kilku żołnierzom.

— Nadziejają... — odparł Chyliński — nadziejają, że przed północą staniemy pod Weroną, nad ranem najwcześniej wejdziemy do miasta, a u kupców i mieszczan chleba, ryżu i wina nie zbraknie chyba, do licha ciężkiego.

Do rozsiadłej już na łące gromady podjechał pułkownik Liberadzki, wołając zdaleka:

— Nie wstawać! nie wstawać, mości panowie! wypoczynek należy się wam, jako zdrożonym okrutnie. W każdym rogu jeno niech czuwa który, azali skryte gdzie w zaroślach chłopstwo nie wypadnie niespodzianie.

Ruch zrobił się na polance; po zażyciu pierwszej chwili wypoczynku tłumnie ciśnięto się do strumyka, chciwie pijąc wodę i przemywając bolesne, przyschnięte rany.

Nagle na wschodnim rogu placówki zapanował nad gwarem doniosły głos wartownika: — Stać!... Ktoś idzie...

— Co to? skrada się kto? — zapytał w tej chwili Bartłomiej Ciompa, kościuszkowski jeszcze żołnierz, siedzący obok nad rowem.

— Jako żywo, przemknął się ktoś wedle onych krzaków.

— Jak Pana mego Jezusa Chrystusa z serca kocham, gałązki się ruszają.

— A cisza na świecie, jak w kościele przy Najświętszym Sakramencie...

— Coraz bliżej gałązki się rozsuwają... O!

Z pomiędzy młodych drzew oliwnych wysunęła się nagle postać mężczyzny w sile wieku, odzianego w zniszczony płaszcz, z głową owiniętą brudną szmatą. Twarz wynędzniała, pokryta źle utrzymanym zarostem, oczy jak węgle błyszczały gorączkowo.

— Ktoś ty? mów!

Ale nie dokończył wezwania, gdyż z ust przybysza padły słowa: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków... Nasz? — Wasz. — Już z legji?

— Nie, dezeter... — Z kraju?

— Z austrijackiej niewoli: chcę się zaciągnąć.

— Bywaj!.. Kolego Ciompa, do pułkownika z nim!

— Chodź, bracie! Jak Pana mego Jezusa Chrystusa miłuję, niełatwe to przedsięwzięcie z austriackiej niewoli uciec. — Dawnoście w drodze? — Czwarty tydzień. — I czym się żywicie? — Parę razy miałem kruszynkę chleba, a na codzień... ha, toć to wam nie nowość i nie dziwy... głodem się przymiera. Całe szczęście, że korzenie osobliwie smaczne w tej krainie, tylko że o ogień trudno... Więc mnie od zimnej strawy we wnętrzu trzęsie. Ale się skrzepię... o jejl! Był mnie przyjeł!

— U nas też tu nędza, jak Pana mego Jezusa Chry-

stusa z serca miłuję... Juchy Francuzy dowcipkują, że nam rząd lombardzki po cztery kasztany i dwie żaby dziennie na żołnierza wydaje...

— Ale dla Józia strawy dość, robaków chmary na krzakach, to też uważam, że przytyła dziecina.

Ciompą spojrział zaniepokojony na towarzysza: z ostatnich słów sądził, że ma z warjatem do czynienia.

Zmierzył go od stóp do głów i w tej chwili dopiero spostrzegł, że tamten miał nogi bose i poranione.

— Bez butów was juchy Austryjaki trzymali?

— Buty, bestje, głupich czterech lat nie wytrzymały. Nowiuśkie były, jakem się do Naczelnika zaciągnął...

— Wy kościuszkowski?

— A ino... Świeciły się, jak senatorska karetą, jakem sobie sperką wytarł raniusko na racławickiem polu...

— I wyście pod Racławicami byli?

— Juści... Na wszystkich polach służyły mi godnie: i pod Racławicami i pod Szczekocinami i na Maciejowickiem. Wytrzymały wszycko: i owe marsze po kamienistych drogach, i przedzieranie się po pniach, wykrotach leśnych, i brodzenie po bagnach, i chlupotanie we krwi na polach bitew; jeno im więziennie powietrze nie posłużyło. A Bóg świadkiem, żem ich jak oka w głowie pilnował; powiesiłem w oknie u kraty, bo tam codzień, ukosem od prawego, słonko przynajmniej kwadrans świeciło, przykryłem sukmaną, co już nie była bieluśka, jak wonce, gdy pod Racławicami szedł, tak od słót szerniała, krwią zaplamiona... Że w więzieniu wilgotność była okrutna, więc pleśnią zieloną, jak ozimina na wiosnę, buty porosły; wycierałem, wycierałem coraz, ale tak on mech skórę przeżarł, że w czwartym roku kawałami oblatywała, żebym tak jutra nie doczekał... palcem pchnął, a kawały z niej leciały.

— A z was nie?

— Wiadomo, człek to nad wszystko wytrzymałszy.

— Patrzajta, kolego (bośma, pokazuje się, z pod Kościuszki towarzysze...) o! tam na onym pieńku siedzi pan pułkownik.

— Ten, co fajeczkę kurzy? Młody jeszcze...

— Rekruta siła przywiódł, pieniądze w umundurowanie jego włożył wszystkie, jakie miał, ale prochu jeszcze nie wachał... To i lepiej: miał mu starosta Grabianka, co to pono jasnowidzący jest, przepowiedzieć, że od pierwszej kuli zginie.

— Co w bajanie wierzyć!

— Ja wierzyć wolę—ze śmiechem odparł Ciompa — bo mi w młodości przepowiedziała cyganka, że będę w obcych, gorących krajach i że tam jedną królownę poślubię. A no, w obcych krajach już jestem, a o królowny na wielkich drogach w te czasy, w których różne trony obalają się i wznoszą, nie trudno.

Zwrócił do niego twarz starą i zniszczoną, nie tyle wiekiem, ile przebytemi cierpieniami i trudami, poczem roześmiał się na całe gardło.

Ale byli już o kilka kroków od od Liberadzkiego, rozmawiającego z porucznikiem Drzewieckim. Ciompa wyciągnął się jak struna, rękę do czapki przykładając.

— Panie pułkowniku, melduję najpokorniej, jakom przywiódł rekruta.

Liberadzki wytyżył wzrok w ciemności.

— Niech tu bliżej przystąpi!

Miarowym, żołnierskim krokiem postąpił przybyły i stanął przed pułkownikiem. W blasku ogniska przedstawił teraz w całej pełni swą nędzę i wyniszczenie.

— Do upiora podobniejszy, niż do człeka — szepnął przez zęby Liberadzki.

— Mniejsza będzie pociecha z tych dwojga nowych rąk, niż zmartwienie z tej jednej nowej gęby—uśmiechnął się Drzewiecki.

— Panie pułkowniku, ja już nawykł korzenie jeść — szepnął nieśmiało przybyły;—byle mi je przy ogniu ugotować dali, bo od surowych mnie czuć.

— Skąd wy? — Z niewoli austryjackiej. — Długoście w niej byli?

— Zaraz po maciejowickiej bitwie wymknąłem się. Zażyłem tułaczki po lasach, a zaraz po przejściu granicy austryjackiej, nawet nie wiedzący o tem, dostałem się w ich ręce i do Ołomuńca... ciężkie więzienie.

— Ciężkie więzienie — mimowoli powtórzył pułkownik, patrząc ze współczuciem na wynędzniałego człowieka.— Chcecie się do nas zaciągnąć?

— Tak, panie pułkowniku!

— Ale, bo widzicie, nam ciężko swoich wyżywić, ci, co tu są, głodem przymierają.

— Przymierać będę przy was, przymierać będę bez was... Zawdy ta choć cieplej... bo to po nocach chłody i w onej krainie... samemu straszny ziąb, a z towarzyszami, to się jeden do drugiego przytuli i wnetki ciepło brat od brata... I ogień miewacie... można korzonki ugotować... A i z tego lepiej, że to przecie... no, wiecie... wszakże to nie po próżnicy kupa was tu... Przecie przyjdzie czas... wedle tego my tu są... Toć się wróci do Polski... toć dla niej ta poniewierka... jedenby nie dotarł, ale kupą... To przecie, jak tak człek jeden drugiemu powie a na to wspomni, to wnetki cieplej i raźniej...

Liberadzki szarpał wąsa, usta drżały mu od wzruszenia.

— Wszyscy, wszyscy tą myślą ożywieni... Gdybyż można ich czemś więcej, niż nadzieją, ogrzać i pożywić!.. Więc nie boicie się naszej nędzy?

— Wolę waszą, niż moją.

— No, to ostateń! Mundurzyna się jakowaś znajdzie... Toć pochowaliśmy czterech po drodze, a na zbytek chowania w mundurze nas nie stać... Jak się nazywacie?

— Paweł Sendal.

— Paweł Sendal... wykrzyknął nagle Bartosz Ciompa.
— Może z Janówki pod Korczynem?

Sendal odwrócił się i zamiast odpowiedzieć, długą chwilę wpatrywał się wśród mroku w twarz legjonisty.
— Boga mi... znam was!... — Jam Bartosz Ciompa. — Bartoszul..

Coś, jakby gwałtownie stłumione łkanie, wydarło się z ust przybysza.

I nagle ci dwaj ludzie, pochyleni przez mękę życia, ofiarowanego w zupełności krajowi, padli sobie w objęcia.

Długo trwał ten uścisk: składała się nań i siła wspomnień, i tęsknota, i przebyte cierpienia, a przede wszystkim rzucony im na tułaczą drogę żywy szmat tego czasu, który, jak hejnał wzniosły, raz jeden rozbrzmiewał im w życiu.

— Pawle, toć tyś mnie pod Szczekocinami własną piersią zasłonił! — Tyś mnie później, nikiej matka dziecię, w chorobie pieczę otaczał. — Alboś to nie za mnie cięcie wziął?... Warzęs własną mi nosił... mówiłeś, że wszyckiego macie wbród, a potem wiadomo mi się stało, jakoś głodny co dnia do snu leżał.

— Już teraz ostaniemy razem. — Do kraju bagnetem się przebijaj. — Da Bóg, jeszcze was osłonię. — Kto kogo..: mniejsza, byle obaczyć ojczyznę!

Jaśko Grzęda z jednym żołnierzem przynieśli ubranie dla legjonisty.

— Ubierzże przyjaciela! — rzekł z uśmiechem pułkownik, z trudnością powstrzymując wzruszenie.

Sendal z widocznem zmieszaniem powoli zdejmował z siebie dawną switę białą, obecnie niewyraźnego koloru i kształtu dla rękawów porwanych w szmaty, które zwiślały, tworząc coś jakby pelerynę. W blasku ogniska ukazał się znowu w koszuli, której strzępy zaledwie pokrywały wychudłe ciało.

— Dla Boga, i koszuli mu trzał Biegnij, Jaśku, po koszulę!

— Okryj się mundurem! — rzekł Ciompa, schylając się po położone przez Jaśka ubranie.

— To po Domaradzkim? — zapytał pułkownik żołnierza. — Tak, panie pułkowniku. — To nielada zucha mundur odziedziczasz. Walczył jak lew z kupami „baurów“ *), zginął rozszczepiony przez czerń, drogo sprzedawszy życie.

— Potąd walczyło się z baurami, mając przeciw sobie drąg i widły; pod Weroną pójdziemy już w ogień przeciw kulom.

— Pierwsza mnie sądzona — z uśmiechem rzucił Liberadzki.

— Z tego boku mundur jeszcze od krwi wilgotny — zauważył Ciompa.

Sendal ujął mundur w drżące ręce, popatrzał nań chwilę i z czcią ucałował.

W tej chwili powrócił Jasiek z bielizną.

Sendal zrzucił mundur i zaczynając się rozbierać, z trudem rozwiązywał sznurek, otaczający go w pasie.

— Psiakrew!... zaciągnął się węzeł. Dajcie, kolego, noża!

Przecięto sznurek i ku zdumieniu wszystkich, Sendal złożył na ziemi maleńką klateczkę, którą miał przywiązaną na plecach. W klatce zaczęło się coś poruszać i trzepotać.

— Złakł się Józio ognia! — dziwnie miękkim głosem rzekł Sendal... Zarutko skryjesz się pod świtkę.

Zarzucił na klatkę poszarpaną sukmanę. — Tak, śpij, bąku, jak u matusi pod skrzydełkiem; nikt ci tu krzywdy nie robi.

— Cóż to za inwentarz z sobą wozicie? — zaśmiał się Liberadzki.

*) Tak zwali legjoniści chłopów włoskich.

— To, panie pułkowniku, tak już dwa lata... W więzieniu wpadło to przez okno... jeszcze latać nie umiał... ledwo wypierzony... Musieli to temu źli ludzie gniazdko zepsuć... Zabrałem to... pod pazuchą się wychował.

Zaśmiał się z rozczuleniem. — Muchym mu łapał okruszynami chleba żywił, i tak to nawykło do mnie, jak pies. Na mój głos przylata... Józio go nazwałem, bom w domu chłopaka tego imienia miał... Uciekać trzeba było, tom Józia pod pachę wzion, jak niegdyś, kiej latać jeszcze nie umiał. Co on się natrzepotał, co mnie pazurami naskrobał a dziobem natłukł... Uciecha!... Skorom granicę przeszedł, wnetki pałac mu zbudowałem: deseczki w Tryjeście w porcie znalazłem, z rozbitej skrzynki znać, drutem ukradł nocą przy jednym pałacu, co miał ogród dookołutka siatką otoczony... Ciężka to była robota bez narzędzi jeno tak ten drut giąć a zębami przygryzać... I tak żyjemy we dwóch i tak się w służbę pana pułkownika we dwóch oddajemy.

Tu wybuchnął Ciompa. — Sensu niema! fanaberjel jak Pana mego Jezusa Chrystusa kocham! Słyszał świat, żeby żołnierz, jak stara panna, z ptaszkiem się wodził!

— To towarzysz więzienia—szepnął niemal błagalnie Sendal.

— To dość miał więzienia — wolność mu dajcie!

Sendal z przerażeniem rzucił się ku stojącej na ziemi klateczce. — Nie! nie! nie! — krzyknął. — Nie dam go!

— Samemu ci wolność pachnie, a to biedactwo w klatce jak pięść więzisz! — Ja go puszczę, jak Boga kocham, puszczę, ale skoro wrócimy do kraju. — Wróbel zamrze do onego czasu. — Po kwaterach puszczać go będę, wtedy wybuja się do syta.

— Pawle, bądźcie mężczyzną i pomyślcie, że żołnierze z was szydzić będą.

— To tak, jakbyście mi kazali własne dziecko precz wyrzucić — ze łzami w głosie zawołał Sendal.

— Dosyć, Bartoszu! — odezwał się pułkownik Liberadzki, — nie wolno zabierać takiego skarbu biedakowi. Ptak, wychowany na okruchach skąpego chleba więziennego, ukryty w klateczce z kradzionego drutu, przy robieniu której krew nieraz z palców trysnęła, ma większą wartość, niż rumak, nabyty za drogie pieniądze. Przyjmujemy was obu do pułku.

Sendal przypadł do kolan pułkownika. — On się byle czem wyżywi, na gościńcach strawy znajdzie dość dla niego.

— On polskiej legji nie skrzywdzi — z uśmiechem rzekł Liberadzki, klepiąc nowego legionistę po ramieniu.

2.

Ciempa rozciągnął ścisłą opiekę nad Sendalem. Ubrał własnoręcznie, jak matka dziecko, nożycami obciął naprędce zaniedbany zarost. Uprosił dlań trochę gorzałki u jednego z poruczników, kawał chleba u któregoś z towarzyszy.

Wróbla jednak nie mógł mu darować. W przywiązaniu biedaka do ptaszyny widział dziwactwo i karygodną słabość. Wracał ciągle do tego i nie przestawał gderać w czasie marszu pod Weronę. Sendal, przeciwnie, pokrzepiony był na duchu i ciele, wybornie przeto usposobiony, żartował ciągle ze złego humoru starego towarzysza broni.

Werona zdaleka rysowała się przed niemi na tle łuny, powstałej z pożarów, wznieconych w kilku punktach.

Legja znajdowała się zaledwie o kilometr, gdy zabiegł jej drogę żołnierz francuski, krwią ociekający, i z przerażeniem i zgrozą opisał, co się dzieje w Weronie.

Liberadzki zadrżał. Z bladą twarzą wysłuchał żołnierza i zwróciwszy się do swych legionistów, zawołał:—Bracia!

oto w Weronie wyrznięto w pień załogę francuską, nie podarowano nawet chorym w szpitalach, łóżka umierających krwią spłynęły. Oto jeden z tych, co cudem uszedł zagłady. — Bracia! — mówił — sądzą nam być mścicielami sprzymierzonej armji, sądzą nam pomścić zniewagę praw boskich i ludzkich. Za mną, kto w Boga wierzył

Wzburzony, z pałającymi oczyma, skoczył naprzód.

W pół godziny potem wjeżdżali w bramy miasta. Tłumy, pijane krwią i żądzą zemsty, zastępowały im drogę, raniąc bronią palną i białą, rażąc ciężkimi przedmiotami, oblewając z okien warem.

Ale nie tyle poczucie konieczności samoobrony, ile oburzenie i zgroza podniecały Polaków do walki. Miasto przedstawiało okropny widok: ulice zawałone trupami, pokaleczonemi straszliwie, umyślnie oszpeconemi w ohydny sposób. W wielu miejscach ciała w bieliźnie, widocznie wyrzucone przez okna, niektóre żyjące jeszcze, napełniały ulice. Ze wszystkich stron płynął żałobny chór jęków, westchnień, charczeń, błagań o pomoc.

Pułkownik Liberadzki, z szablą wzniesioną, pieszo, depcząc po stosach ciał, pędził za oddziałem powstańców, który uchodził, odwracając się co chwila i raniąc kamieniami z proc.

Nagle z za węgła jakiegoś błysnął ogień i rozległ się huk pojedynczego strzału, a po nim rozdzierający okrzyk. Pułkownik Liberadzki schwycił się za pierś, zatoczył w tył i padł na ręce Pawła Sendala.

— Naprzód, dzieci! — krzyknął jeszcze. — Zemsta za poległych! zemsta za pohańbionych!

Omdlałego wyniósł na rękach Sendal i rozkazawszy kilku szeregowcom iść za sobą, wtargnął do bramy opustoszałego pałacu.

Dwóch służących, nie usiłując nawet bronić, pozwoliło

wnieść umierającego i złożyć na wspaniałem łożu pod baldachimem ze staroświeckiej materji.

— Gnaj na miasto! — zawołał Sendal do jednego z szeregowców — znajdź medyka pułkowego, niech tu przychodzi ratować! Ja останę przy nim.

Lekarz przyszedł późno i stwierdził, że przychodzi napróżno; Liberadzki, ukochany przez wojsko, mąż dzielny i miłujący ojczyznę, umierał, słuchając raportów o tem, jak legja opanowuje miasto; czasami tylko szeptał zaledwie dosłyszalnym głosem: — Nie minęła mnie pierwsza kula...

Nad wieczorem skonał.

Strapiony Sendal wyszedł na miasto, jak mówił, zrachował tych wszystkich rodaków, których dusze przeniosły się za pułkownikiem w krainę wieczności.

Z niepokojem myślał o Ciompie, którego od rana stracił z oczu. Pytał towarzyszy; zbywano go nic nie znaczącymi odpowiedziami; każdy zajęty był bądź uprzątaniami miasta z trupów, bądź odnoszeniem rannych, bądź zdobytymi łupami, choć na plądrowanie miasta dowódcy nie pozwalali.

W wielu miejscach, przy barykadach, znajdowano prawdziwe stosy ciał, rozpaczliwie zmieszane, Polaków i Włochów, smutnych obrońców wolności swego kraju, tych, co nie chcąc ustąpić kroku, skłębili się w boju, walcząc już nie bronią palną, nie białą, lecz pierś o pierś, bary za bary, na zęby i pazury, tarzając się w kurzu i krwi.

W takich kupach, często zmasakrowanych w ohydny sposób, trudno było odnaleźć kogo; to też Sendal wrócił zniechęcony, zgnębiony, czując się znowu bezgranicznie osieroconym w tym szeregu bratnich serc, co go dopiero od kilkunastu godzin przyjęły za towarzysza.

Wyznaczono im na kwaterę jeden z klasztorów, którego mieszkańcy usunęli się do swych celek, pozostawiając refektarz, kuchnie i korytarze do dyspozycji zwycięzców.

Wesołość zapanowała wśród ponurych ścian gmachu,

wybuchy śmiechu i żwawe piosenki uderzyły o gotyckie sklepienia.

Legjoniści, zgłodzeni, mieli dnia tego jedzenia wbród, tułaczę mieli dach nad głową, zwycięzcy utwierdzili się w nadziei, że zaprawiając się w bojach, dobiją się ojczyzny.

Sendal tylko, nieśmiały i niespokojny, siedział w kącie, odwiązał klateczkę, rzucił w nią garść żyta, nakrył płaszczem, twarz wcisnął w dłoń i pogрузzył się w zadumie. Otaczała go ciżba i gwar, ale on nie słyszał nic, myślą przebiegając miasto, odnajdując krwawe grupy, z trwogą zastanawiając się, czy tam gdzie nie umiera dla braku pomocy towarzyszy miły, co go wiązał z przeszłością, podtrzymywał w teraźniejszej chwili.

Niedługo wytrzymał wśród tego natłoku myśli, porwał się z postanowieniem, że poprosi, by mu pozwolono przeszukać jeszcze miasto. W drzwiach już jednak wpadł na wracającego Ciompę.

— Co lecisz, jak warjat? dziecko mi zdepczesz!

Sendal uradował się i zarazem zdumiał: Ciompa wiódł przed sobą, otulając płaszczem, chłopczykę dziesięcioletniego, o jasnych włosach i bladej, ładnej twarzyczce.

— A co to? zawołało kilku. — Cóż to za łup wojenny?

— Skąd ten dzieciak? — zapytał Sendal, nie mogąc ze zdumienia przyjść do siebie.

— Co za dzieciak? Czekaj, zaraz się dowiesz, co to za dzieciak, mości dobrodzieju.

Trącił zlekka chłopca. — No, gadaj!

Chłopiec spuścił oczy — milczał.

— Gadaj! mówię ci — powtórzył Ciompa. Chłopiec nie podnosił oczu, nie otwierał ust.

— No, cóżeś miał powiedzieć?

— On was nie rozumie, a wy do niego precz po naszymu gadacie — rzekł jeden z legjonistów.

— Aha, nie rozumiel... To tylko Mazur musi być, więc uparty jak osioł, panie dobrodzieju... No, gadaj mi, z cierpliwości mnie nie wyprowadzaj, żebym cię zaś nie zmacał!

Chłopczyna pobladł jeszcze bardziej.

— Nie strasz dzieciaka! — rzekł Sendal.

— Skądżeś wziął onego bambina? *) — zapytał porucznik Lechowski.

— Wziąłem go z izby, która już płonęła, oderwałem go od trupa matki, którą podłe baury bezpiecznie rozplatali.

Usta chłopięcia poczęły drżeć, z pod długich rzęs spłynęła łza.

— On rozumie polską mowę.

— Co nie ma rozumieć: to polskie dziecko. Głos Ciompy złamał się od wzruszenia.

— To polskie dziecko! — jak echo, powtórzyli legjoniści.

— I cóż, ty dziecko wodzić z sobą będziesz? — ostro zapytał Sendal.

— Dy go tu nie ostawię na poniewierkę.

— Dzieciak w tem mieście może mieć krewnych, przyjaciół, którzy się nim zaopiekują.

— Trzeba go wybadać.

— No, powiedz, robaku, masz tu kogo w tem mieście?

Chłopak szlochał coraz mocniej, lecz nie odpowiadał.

— Dajcie mu się uspokoić i przyzwyczaić do obcych... Dzieciak zalękniony jak zając w kotle.

— Pewnie przedewszystkiem głodny.

— Święte wasze słowa, Wojciechu, jak Pana mego Jezusa Chrystusa kocham. Kto tam w dniu dzisiejszym o pożywieniu bachora pomyślał!

Zakrzętnął się i w parę chwil później dymiła przed

*) *Bambino* — znaczy po włosku: chłopczyk.

chłopcem miseczka pełna zupy, zgotowanej z mięsem. Znalazł się i kawał chleba białego, jeden z legionistów położył przed nim dwie pomarańcze, drugi garść daktyli i fig; ale chłopiec nie podnosił oczu na stojącą strawę, zalekniony i drżący.

— Bo nie patrzcie na niego, jak wół na nowe wrota! — huknął Ciompa, uderzając pięścią w stół — jak mu wszyscy w gębę spoglądać będziecie, to się pierwszą łyżką udławi...

Roześmiali się wszyscy, ale widać uznali słuszość twierdzenia, bo odwrócili się od chłopczyny jak na komendę, a po chwili przybycie kilku towarzyszy, powracających od grzebania umarłych, i ich opowiadania całkiem oderwały uwagę od dziecka.

Ciompa tylko z Sendalem zasiedli naprzeciwko, wiodąc cichą rozmowę, sobą tylko i chłopcem zajęci.

— Przecież go z sobą w nasze drogi nie zabierzesz — rzekł Sendal. — Sumienia trza nie mieć, żeby na taką poniewierkę dziecko narażać. — A lepiej mu będzie ostać tu, pod gołem niebem? Dom mu spalili, matkę zabili. — Może ma ojca? — Nie ma. — Może mieć krewnych. — Nie będzie miał. — Pułkownik ci nie pozwoli dzieciaka ze sobą wodzić. — Uproszę. — Skądże ci to jedną gębę więcej dołączać! — Żebyś ty był usłyszał tak, jak ja...

— Stary dzieciak [z ciebie i dzieciakiem bawić się chcesz. — A ty wrólbabyś puścić? — Wróbel wojska nie odje. — I ta marnota przy pułku się używi. — Jaby wróbla nie puścić, bom się do niego w więzieniu przyzwyczaił, my stamtąd oba ruszyć się nie mogli: ja dla więzów, on, bo latać jeszcze nie umiał. A kiedym się przywiązał, rozstać się ciężko. Ale to też ty ostaw to dziecko, póki ci obojętne. Przepytały w mieście, może [ma znajomych, muszą też tu być klasztory, opiekujące się sierotami, oddamy go.

Ciompa porwał się z miejsca.

— Znalazłem przy jednym zabitym Włochu dziesięć czerwonych złotych: zechce pułkownik, żebym oddał — oddam. Zabrałem jednemu rozszczepionemu oficerowi złoty zegarek, każe oddać — oddam... Ale dzieciaka nie dam sobie zabrać! — Stary, a głupi! — Gdybyś ty był słyszał tak, jak ja...

— W imię Ojca i Syna... — doleciały nagle do ich uszu dziecięcym głosem dobitnie wymówione słowa.

Obaj, jakby zelektryzowani, zwrócili oczy na chłopca. Stał przed swą miseczką z oczyma spuszczone, z twarzą dziwnie poważną i uroczystą; przeżegnawszy się, ręce złożył i mówił wolno, dobitnie słowa modlitwy: — Po-błogośław, Panie Boże, te dary, które z łaski Twej spoży-wać będziemy! W imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen.

Ta modlitwa dziecięca, przyciszonym, tklwym głosem wypowiedziana, zapanowała nagle nad gwarem izby. Uci-szono się i zwrócono do dziecka.

Ten i ów czapkę zdejmował z głowy, tu i owdzie łąza błyskała w oku. Nagle, wśród ciszy, która panowała jeszcze chwilę, choć chłopczyzna, skończywszy modlitwę, zabrał się do jedzenia, wybuchnęło łkanie.

Jan Mowca, najtęższy, najokazalszy artylerzysta, nie powstrzymał się — wybuchnął płaczem — Jak tam... u nas! jak mój dzieciak!

Sendal porwał się, skoczył ku chłopcu i uniósł go na rękach. — Polskie dziecko! jak Boga kocham! polskiel polskiel!

— Teraz ci nie dziwota, żem zapłakał z radości, jakem w tem obcem mieście, po tylu latach tułaczki zdala od kraju, posłyszał dziecko, wołające: „matusiu! matuchno!“...

Zaczęto cisnąć się do chłopca, wyrywać go sobie, tulić do piersi, całować.

— Polskie dziecko! polskie dziecko! — Jak ci na imię? — Staś. — Staś! Staś!

Rozkoszowano się tem imieniem, wymawiano z naj-

wyższą czułością; kto z nich nie miał Stacha między najbliższymi!

Ale więcej nad to nie udało się tego wieczora wy dobyć z chłopczyny. Wreszcie na silne zakłęcia Ciompy, by malca nie męczono, pozwolono mu spokojnie zjeść wierzęgę i udać się na spoczynek.

Sendal z Ciompą podesłali mu złożony w kilkoro dywan, wywleczony z zakrystji, Ciompa podłożył mu pod głowę swój płaszcz, Sendal swoim go okrył, Ciompa z czułością matki zdjął mu trzewiki, Sendal owinął mu nogi szalem.

I położyli się, każdy z jednej strony, pilnując malca jak skarbu najcenniejszego.

Dzień już był wysoko, gdy w refektarzu rozpoczął się ruch między żołnierzami. Zbudził się i Ciompa, przedewszystkiem rzucił okiem na dziecko; spało skręcone prawie w kłębek.

Legjonista widział jego plecy wąskie, dziecięce, jedną różową piętę, która wysunęła się z pod szala, jego złotawe kędziory na wezglówiu z płaszcza, więc ogarnęła go nieprzeparta chęć zajrzenia w oczy chłopczyny. Uniósł się na rękę i wysunął głowę.

Nagle zaklął i odskoczył; taka sama klątwa rozległa się z drugiego boku chłopięcia: to Sendal, który, obudziwszy się, równie zapłonął chęcią pocałowania dzieciaka, posunął także głowę, no, i rzecz naturalna, nastąpiło gwałtowne zderzenie się czaszek.

— Do licha! Do pioruna! nie możesz leżeć spokojnie? — A ty czego się kręcisz, jak pliszka na płocie? — Pchły mnie gryzą. — A mnie twardo leżeć... — Et, co to za sens dzieciucha wśród żołnierstwa trzymać!

Ciompa tarł czoło. — Aż, czaszkę macie twardą, jak armata!

Wykrzyki opiekunów zbudziły Stasia. Otworzył oczy,

spojrzał niepewnym wzrokiem po izbie, zatrzymał spojrzenie na twarzy pochylonych nad nim legionistów i znowu zamknął oczy.

Ciompa zlekka pociągnął go za nos. — Stachu, wstawaj!

Sendal pieszczotliwie ujął go za kędziory. — Stachu, otwórz ślipka!

— Dzień dobry! — szepnął Stach, nie otwierając oczu.

— Dzień dobry! — powtórzyli z zapalem legioniści... Tak mówi, jak u nas dzieci... Jak nasze dzieci!

— Dobrześ spał, Stasiuniu? — Dziękuję waszmości, dobrze. — Jaki on grzeczny! — Jak dobrze wychowany! — No, to powiedz, Stasiu, kiedyś taki grzeczny, jak twoje nazwisko? — Gutowski.

Chłopiec otworzył oczy, zdawał się całkiem oswojony z tem, co go otaczało.

— Czyście stale mieszkali w Weronie?—Od roku; tata malował świętym suknie. — Więc tata był malarzem? — Tak, odnawiał kościół z jednym malarzem Włochem; tamten malował twarze, a tata suknie, a jeszcze inny obłoki. — No, tak... A tata gdzie?

Twarzyczka chłopca zadrgała spazmem. — Tatę zabili wczoraj. — A dlaczego?

— Dlatego, że u nas Francuzi ciągle bywali; to jak Włosi poczęli mordować Francuzów, to jeden oficer i trzech żołnierzy strasznie poranionych schroniło się do naszego mieszkania. Mama pochowała ich za firanki i w wielkiej szafie. Włosi wpadli w podwórze, tata nie chciał ich do domu puścić, więc oni tatę zastrzelili ze strzelby... sam widziałem... tata tylko strzepnął rękami po powietrzu i zaraz padł, a potem stał się taki biały... biały... No, i Włosi wpadli, tamtych poznajdowali, pomordowali, a potem mamę..

Zaszlochał gwałtownie.

— No, nie płacz, nie płacz! tu każdy z nas będzie

dla ciebie jak tata i mama. — A może ty wolisz zostać tu w Weronie? — zagadnął Sendal. — Nie przewracaj chłopakowi w głowie! — krzyknął Ciompa. — Masz ty kogo w Weronie? jakich przyjaciół rodziców? — U rodziców sami tylko francuscy oficerowie bywali.

— A widzisz! — zatryumfował Ciompa.

— Tata Włochów nie lubił; mówił, że oszuści. Nawet pan Borascini, ten główny malarz, chciał tatę oszwabić i często zamiast sześciu sukien, wymalowanych przez dzień, zapisywał pięć i kłócił się z tatą.

— Więc prawda, wolisz pójść z nami, niż tu zostać? — prawie błagalnie patrząc, pytał Ciompa.

— Tu nie chcę! Tu tatę i mamę zabili. Znow zaczął płakać.

— No, nie płacz! Pójdiesz z nami?

Chłopczyna oczy tarł pięściami. — A dokąd wy idziecie? — Dokąd idziemy?... ano, widzisz, Stasiu...

Zaciął się Ciompa, odchrząknął, zastanowił się i rzucił w stronę Sendala: — Ty mu wytłomacz, gdzie to my idziemy.

— Ano my idziemy... my idziemy w świat... do ojczyzny. — Do Polski? — Do Polski — rozrzuwionym głosem powtórzył Ciompa. — A ty znasz Polskę? — zapytał Sendal.

Staś nie odrzekł zaraz, tylko przeciągnął się, oczy przymknął i szeptał: — Takie wielkie, wielkie pola, w nich tyle maków i bławatków i kąkoli, a na domu naszym każdego roku pięł się groch na słupkach ganku, kwiatki się czerwieniły, jak korale.

— W ogródku malwy.. — szepnął Ciompa. — Różowe, czerwone, żółte... — kończył Sendal. — I nagietki i słoneczniki. — W sadzie grusze i wiśnie — westchnął Sendal. — Na wiosnę to tak biało, jakby śniegiem drzewa osnuł. — A zimą to śniegi... — Bieluśkie, jak na ołtarzu...

— A te ciemre bory! — Sosny śmigają w górę... — Świerki, jodły takie wielkie... — A spodem paprocie, jak haftowane.

— Wrócimy, dziecko! — Kiedy?... kiedy?... — Wprzód trzeba nam przejść wiele krajów, wiele bitew wygrać, wiele miast zdobyć, wiele towarzyszy pogrześć...

— Ale my wrócimy? — Nie wszyscy, dziecino, nie wszyscy. — Ale ja wrócę? — Ty wrócisz, wrócisz, Stachu. — Pomnijcie, przyrzekliście!

3.

Nie bez trudności zdobyto pozwolenie dla Stacha, żeby mógł iść z legionistami.

Ciompa i Sendal prześcigali się w objawach troskliwości i czułości dla dziecka. Każdy lepszy kąsek jemu oddawali; spostrzegłszy zmęczenie, brali go na ramiona, lub uprosiwszy ogniomistrza, sadzali na lawecie armaty. Kłócili się przytem nieustannie, zarzucając sobie wzajemnie nadmierne puscie dziecka.

To też Stach, ciągle na powietrzu, w cudownym klimacie, męźniał i poważniał; wśród tych najczęściej głodnych zastępów on jeden nigdy głodu nie zaznał; co dziwniejsza, sam jenerał Dąbrowski codziennie mu część swego przysyłał.

Legjoniści wdzierali się na drzewa, aby zdobyć jaki owoc dla malca. Wkońcu ogłoszono go dzieckiem legji, odbywszy formalne chrzciny, w których pokumali się Ciompa z Sendalem: pierwszy jako ojciec, drugi jako matka chrzestna. I dalej trwało współzawodnictwo między dwoma legionistami pod względem dogadzania chłopcu.

Ale w Mantui zaszedł wypadek, który nie tylko po-

łożył kres współzawodnictwu, lecz całkiem zniechęcił Sendalę do Stacha.

Wezwano raz legionistów dla odbicia wycieczki w okolicy, pod dowództwem pułkownika Bogusławskiego, celem położenia kresu wybuchłemu w kilku miasteczkach zamieszkom.

W koszarach, w izbie przeznaczonej dla chorych, pozostało trzech legionistów, nie mogących wylizać się z ran dwóch chorych na febrę i Stach nad numerem „Dekady“, *) z której Ciompa przykazał mu się nauczyć na pamięć dzieśnięć wierszy.

Czytanie drobniotkiego pisma szło mu opornie, wiersz Godebskiego jeszcze bardziej w głowę mu nie wchodził.

„Tu mszcząc się na mieszkańcu praw ludzkich pogardy,
Szedł w sławie na wyścigi Sarmata z Lombardy.

A wprawiony do boju swoich przodków torem,

Stary uczeń Bellony nowemu był wzorem,

I rycerz, co odwagą w swej ojczyźnie słynął,

Walcząc mężnie za swoją — za cudzą tu zginął.“

— „Tu mszcząc się na mieszkańcu...“ panie Miętus, przecie jak my Warszawę weźmiemy, to rzezi nie uczynimy?

— Nie zawracałbyś głowy!... gdzie nam do Warszawy?.. — Przecież my wrócimy do Polski, więc musimy przedewszystkiem Warszawę zdobyć. — Rożenki strugać, a wróble na dachu! Ucz się lepiej, bo ci Ciompa lanie sprawi. — Ojciec Ciompa nie bije.—Oj, żeby cię trzeci raz nie ochrzczono! wtedy ja będę chrzestnym ojcem, a Ciompa będzie kropidłem wywijał.

Ten sposób rozmawiania nie podobał się Stasiowi, więc wrócił do uczenia się wiersza:

*) Pisemko dla legionistów, wydawane w kilku przepisywanych egzemplarzach przez Rymkiewicza i Cyprjana Godebskiego.

„Tu mszcząc się na mieszkańcu praw ludzkich pogardy...”

— O, taki ten wiersz bez sensu! — Coś ty powiedział, gałganie? bez sensu wiersz porucznika Godebskiego?... Pana Cyprjana wiersz bez sensu! A wiesz ty, zatracone bambino, że takiego poety, jak pan Godebski, to ani Grecja, ani Rzym nie miały?.. To nie sztuka pisać wiersze taką mową, której nikt nie rozumie, której sam Pan Bóg i Najświętsza Pamiątka słuchać nie chcą; ale w polskiej mowie każdy czyn żołnierski w rymowaną formę przywdziać to dopiero sztuka i zasługa Panu Bogu i wszystkim świętym miła! O, tak, jak w tym wierszu: „tu z pogardy dla Lombardy...”

— Ale to nie tak, panie Miętus! „Tu mszcząc się na mieszkańcu praw ludzkich pogardy...” — Przeciem tak mówił i dalej, bo tam stoi jeszcze „i Lombardy”. — A dalej? — Patrzcie go, będzie mnie egzaminował!

— Przeczytaj lepiej cały głośno! — słabym głosem odezwał się leżący na tapczanie Ksawery Rembowski, któremu niewiele już od życia się należało.

— Kiedy te literki takie drobniaśkie, takie ciężkie, że ja ani rusz przeczytać nie mogę... Panie Miętus, panie feldfeblu, panie poruczniku, panie kapitanie... — Nie kpij sobie! zasłużonymi oficerskimi stopniami gęby sobie nie wycieraj po próżnicy... — To proszę was, przeczytajcie głośno ten wiersz, ale tak z pięć, sześć razy, a ja będę powtarzał za wami i nauczę się.

Miętus mruczał niechętnie, ale nie mogąc się oprzeć urokowi dziecka, zaczął czytać głośno wiersz Godebskiego.

Stach powtarzał za nim jak maszynka, widocznie myśląc o czem innem, bo tymczasem zbliżył się do klatki, w której znajdował się „Józio”, i począł mu się przypatrywać z wielką uwagą. Nie było to już owo liche, maleńkie pudełeczko ze starych desek i zardzewiałego

drutu, w jakim wróbel ze swym panem zaciągnął się w narodowe szeregi, ale wspaniała mosiężna klatka, z kryształowemi naczynkami i gniazdkiem ze złożonej trzciny, klatka kosztowna, kupiona za bezcen na targu w Medjolanie, zapewne ukradziona z jakiego pałacu podczas walk rewolucyjnych.

— Józiu, jak się masz?— rzekł Stach, unosząc drzwiczek i wsuwając rękę do klatki. Ptak, znający swe imię i przyzwyczajony do łaskawego obejścia, skoczył na palec chłopcu, otoczył go suchemi szponkami i zwrócił ku niemu głowę, spoglądając, jakby pytająco, jednym czarnem, jak perełka, oczkiem.

— Chodź, wezmę cię na spacer, przedstawię cię panu Rembowskiemu, bo on lubi takie głupie, jak ty, ptaszki.

Niósł go ostrożnie na palcu w stronę łóżka Rembowskiego.

Nagle porwał się Miętus.

— To tyś taki, urwisiel! Każesz mi czytać, masz się ze mną uczyć... Ja, jak bałwan, ślepie sobie psuję, a ty tymczasem z wróblem psie figle urządzasz? A idź na złamanie karku, piekielny rekruciel!

Rozsierdzony wielce cisnął na Stasia trzymaną w ręku gazetą, która przeleciała tuż nad wróblem; strwożona ptaszyna porwała się z palca chłopca, z trzepotem przeleciała izbę i wpadła w szeroki kominek.

Stach rzucił się za nią. W kominie były węgle, dym odurzył ptaszka, z żalosnem ćwierknięciem padł między dwie palące się główne.

Rozdzierający krzyk Stasia napełnił izbę. Skoczył Miętus i parząc sobie palce, wyciągnął ptaszynę z niebezpiecznej pozycji; ale biedactwo miało nadpalone skrzydło i nóżkę, dyszało ciężko, nastrzępiając piórka.

Smarowano ptaszka oliwą i trzeźwiono wodą, gdy wrócili legjoniści.

Sendal rzucił się ku Miętusowi, spostrzegłszy, że trzyma w ręku wróbla, w tej chwili Staś objął go za kolana, zanosząc się głośnym płaczem.

— To ja! to ja! jegomościu! to ja, matko chrzestna, jestem winien: ja ptaszka wyjąłem z klatki, ja obnosiłem po izbie... Pan Miętus go spłoszył...

Sendal pobladł jak ściana, wyciągnął rękę po wróbla. Długą chwilę patrzył na oparzeliny i dwie łyzy wielkie poczęły spływać po wynędzniałej twarzy.

— Przebaczcie! przebaczcie mi, jegomościu!

Ale Sendal odtrącił Stasia szorstko, nie rzekł ani słowa, raz jeszcze nalał oliwy na rany i zaniósł ptaszka do gniazodka.

Nie zrobił słowa wymówki Stasiowi, ale dziwnie odrazu serce do niego stracił; nawet choć wróbel zaczął przychodzić do siebie i choć o sztywnem skrzydełku i skurczonej nóżce skakał po klatce, Sendal nie mógł zdobyć się na słowa przebaczenia.

Ciempa, widząc takie zacięcie w twarzy Sendala, nie próbował wstawiać się za Stasiem, tylko zdwoił czułość swą dla chłopca i każdemu, kto chciał, czy nie chciał słuchać, przekładał, że dzieciak nie winien okaleczeniu wróbla, że nie chciał mu krzywdy uczynić, że ptaka często wypuszczano na izbę, więc czemu, jak owca, sam w ogień wlaził. Wyrozumował to sobie wkońcu w ten sposób: — Wiadomo, bez matki chowany... a toć człek człeka rozumu uczy, zając — zająca, pszczoła — pszczołę, a wróbel — wróbla. Ten zaś, przez Sendala wychowany, człeczego rozumu nie przejął, a ptasiego się nie nauczył. A stąd morał dla każdego, że głupia sprawa jest ptaka zabierać i oswajać, bo choć mu się brzuch zapełni, ale rozum pozostanie pusty.

Sendal przeniósł swoje rozżalenie ze Stasia na Ciompę, którego unikał do tego stopnia, że nawet gdy im na-

kazano wymarsz do Rzymu, postarał się znaleźć w szeregu pomiędzy dwoma braćmi Makami, chociaż dotychczas okazywał im niechęć.

Dopiero wejście do Rzymu zbliżyło ich do siebie. Chwila była zbyt podniosła, aby uczucie niechęci i nienawiści mogło nie wypelznąć z serca.

Był dzień 3 maja 1798 roku.

Wkroczone do miasta trzema kolumnami, przy odgłosie trąb i bębnow. Ulice wypełniały tłumy, okna domów pstrzyły się od różnobarwnych strojów. Wszyscy z zajęciem patrzyli na szeregi roslých męczyzn, ze znakami wy-czerpania, śladami przebytych trudów i walk.

Zwyczajni mieszczanie, dbali jedynie o wzrost bogactw i ciche, wygodne życie, radzi widzieli zdobywców, wierząc, że oni położą kres rujnującej ich rewolucji. Ci jednak, którzy prawdziwie pragnęli wywalczyć wolność krajowi, ponurym wzrokiem spoglądali po szeregach, jakby mówili: dopełniacie miary nieszczęść naszych, zaciskacie nam więzy.

Ale wchodzący legjoniści zanadto przejęci byli myślami, jakie nasuwało im wejście do stolicy Piotrowej, aby się mogli nad tem zastanawiać. Miarowym krokiem dążyli w stronę Kapitolu, którego marmury nabierały różowego odblasku w świetle zachodzącego słońca.

Poważnie, w skupieniu wstępowano na górę. Jenerał Dąbrowski na pięknym cisawym koniu, darze ziemi Lombardzkiej, wjechał pierwszy, kazał sformować szyki, rozwinęto chorągwie, odezwały się bębny raz, drugi i trzeci, a potem nastąpiła cisza, zamacona ledwie od czasu do czasu brzękiem bagneta.

Jenerał Dąbrowski stanął pod pomnikiem cesarza Marka Aureljusza i przemówił:

— „Stanęliśmy na szczycie góry, na której od tylu wieków sława jaśniała. Ona i wam towarzyszy. Pomnij-

cie, w jakim dniu wstępujecie tutaj, w dniu drogiej dla was pamiątki. Niech godło sławy i miłości kraju w sercach waszych na zawsze pozostanie!”

Uderzono w bębny; wojsko otrzymało rozkaz udania się na kwatery.

4.

W klasztorze Ara Coeli w dniu 8 czerwca ruch pannaował niezwykle. Legjoniści czyścili ubrania, naprędcie zszywali buty, doprowadzali broń do blasku nowości, gogli się i nastrzępiali wąsy.

— Co to dziś za uroczystość, ojczy?—zapytał Ciompe Staś, zszywając na kolanie pończochę szpagatem.—Wręczenie sztandaru króla Jana Sobieskiego naszemu wojsku. — Jan Sobieski przysłał nam sztandar? — Ach, ty nieukul Jan Sobieski nie żyje od stu lat. Sztandar tylko, który on zdobył na Turkach pod Wiedniem a w wielkiej swej pobożności do świętego miasta Loretto wysłał, został ofiarowany Polakom, rozumiesz? naszym legjonom, jako znak, żeśmy nie gorsi od tych, co pod Wiedniem z wielkim królem walczyli.

— Nie podoba mi się to zabranie sztandaru ze świętego miejsca—odezwał się Miętus, stale usposobiony do przeczenia.

— Święte miejscel — zawołał Ciompa — byle jakie miejsce może być uświęcone, skoro duch ofiary nas przenika. Małośmy to krwi przelali, mało trudów i nędzy znosimy; jednakowoż nie szemrze z nas nikt, w kościele co dzień bywamy, do sakramentów świętych codzień przystępujemy, więc nasz zastęp jest Bogu miłym, i sztandar wśród nas może być jak wśród tłumów w kościele, bo jednakowo na modlitwie i ofierze trwamy.

— Co nam z onej szmaty! żeby nam lepiej furgon chleba przysłali! — powtórzył znów Miętus.

— Pana Boga nie obrażaj takim gadaniem! Jak można ową relikwię narodową nazywać szmatą?...

— Nie uważajcie, kumotrze Bartoszu, na to, co Miętus gadał. On się z temi farmazonami *) ze strzelców jenerała Girardona wdał, a oni na wszystko święte plwają.

— Tak, z onym Pochardem osobliwie, co tak się przechwala, jako w Wandei **) do chłopów, co bronili wiary i króla, jak do wróbli strzelał.

— Oj, przywiodą cię na zły koniec te znajomości!... Uczciwy Polak i katolik nigdy nie powinien podawać ręki takiemu łotrowi, co własnych braci mordował.

Miętus wziął się pod boki, głowę podniósł hardo i rzekł:—Uczciwym Polakiem i gorliwym katolikiem byłem dotychczas i co mi z tego przyszło?... Żonę i dziecko zostawiłem doma aż nad Bugiem, przyszedłem tu obcym się wysługiwać i co?... głodem przymieram, buty mi z nóg spadają. Patrzę, jako różnym heretykom, co Ojca Świętego precz wyrzucili, dobrze się powodzi, jak jeneralskimi szlifami błyskają; a my, cośmy zawsze świętemu Kościołowi służyli, świecimy ciałem naszym, co przez dziury munduru wygląda.

Cisza zaległa salę. Dowodzenie Miętusa wydało się przekonywajacem tej wynędzniałej i zbiedzonej gromadzie.

Nagle rozległ się cichy, lecz dźwięczny i dobitny głos Jakóba Milskiego, żołnierza jeszcze z drużyny Pułaskiego, który pomimo lat siedemdziesięciu służył w legjonach, wytrwale znosząc trudy i nędzę.

— Powiadacie, Janie, że nie było ludu tak wiernego

*) = niedowiarkami.

**) Wandea — prowincja we Francji. Za czasów wielkiej rewolucji francuskiej powstała przeciwko republikanom.

Kościółowi, jako my byliśmy, a że niema tak nędznego, jako my jesteśmy. Prawda, dzielnych obrońców Kościoła nie brakowało nam nigdy; ale popatrzcie, Janie, na sprawy z drugiej strony! Kilka lat oto przebiegamy Europę, widzimy różne ludy, słyszymy różne historie. I czyście słyszeli o drugim narodzie, któryby rzekł wrogom: pójdźcie do nas, gospodarujcie, okujcie naszą ojczyznę, ale nam zostawcie swobody, ale nam złotem zapłaćcie? Czyście słyszeli o drugim takim ohydnyim postępku w historii?

— Więc dlatego, że było kilku wśród nas łotrów, my mamy tyle cierpieć?... Gdzie tu sprawiedliwość?

Milski podszedł do Miętusa, ujął go za ramiona i podnosząc ku niemu jasne, o dziecięcym niemal wyrazie oczy, zapytał z prostotą: — Wolisz-li być takim nędznym, jak my, czy tak, jak oni, zdrajcy?

Miętus nie znalazł odpowiedzi, spuścił głowę na pierś i przygryzał wąsa.

A Milski ciągnął dalej: — Ja, skoro nam tak chłodno i głodno i gdy tak gnani jesteśmy od miasta do miasta, jak cyganów gromada, powiadam sobie: Panie Boże, chwała Ci i dzięki za tę nędzę, te rany, tę poniewierkę! O tem historia pisać będzie. Wnuki nasze wiedzieć będą, że jeśli w dziejach naszych byli występni i przekupni, to znaleźli się i ofiarni i cisi i bohaterscy. Tamtych była garść, a nas jest kupa, a zatem nie napróżno śpiewamy marsze Dąbrowskiego. Komu ojczyzna miła, kto chce, aby nie wolno było przyszłym pokoleniom płuć na cały nasz wiek, ten Bogu dziękować będzie za one rany, za on głód, za oną poniewierkę.

W izbie dało się słyszeć łkanie; to Staś przypadł do kolan starego wiarusa, tuląc się do nich z płaczem.

— A czego ty buczysz? — Ojcie, ja rad cierpię.
— Ty, dzieciuchu!... czy ty wiesz, co cierpienie?

Uniósł chłopca i spojrzał mu serdecznie w twarz,

w twarz czerstwą, ogorzałą, ale rzeczywiście nad wiek poważną i wyszlachetnioną.

— Czy ty wiesz, co cierpienie?

— Jam w Weronie był... — szepnął chłopiec.

A stary Milski do piersi go przycinał.

Wszyscy legioniści znali historję dziecięcia legjonu; i oto przed oczami starca przesunęła się ohydna scena mordu rodziców w oczach dziecka, więc tulił jasną głowę Stasia i szeptał: — Zaznałeś, co ból; zaznasz, co szczęście, gdy wrócisz... gdy do ojczyzny wrócisz.

Rozległa się trąbka wymarszu.

Ustawiono się w uliczce, tworząc szpaler. Jenerał Dąbrowski przy kościółku św. Stanisława na koniu, w świetnym mundurze, oczekiwał uroczystego pochodu. Na wieży kościółka rozlega się hejnał na trąbce, taki sam hejnał, jaki od wieków płynie ze szczytu Marjackiego kościoła w Krakowie, jaki rozbrzmiewał przy koronacji królów, przy wjazdach bohaterów, przy przysiędze Kościuszki.

W wąską uliczkę wjeżdża pochód trójkami. Na przodzie kapitan Kozakiewicz na białym koniu; przy nim chorąży Świstacki, ten sam, który za Głowackim pod Racławicami pierwszy dopadł baterji wroga, dzwiga wsparty na ramieniu sztandar Mahometa. Zielona materja chorągwi powiewa nad jadącym jak symbol wielkich nadziei, które nad tymi bohaterami się unoszą; błyskają na niej bogate złote hafty, gwiazda i półksiężyc złoty; oczy wszystkich wznoszą się w górę ku tym znakom niebieskim.

O, złota nadziejo! o ty, górny porywie, co skrzydła do ramion przypinasz, co duchom na niedostępne wyżyny wzlatywać każesz!...

Muzyka gra, żołnierze broń prezentują, a chorągiew Sobieskiego łopocze nad legjonami pieśń zwycięstwa, pieśń tryumfu.

Zbliżają się do wodza... i on — wódz naczelny, Dą-

browski, broń prezentuje, a twarz ma uroczystą, głowę schyla, jak przed świętością, przed tym sztandarem, którego zdobycie tytułu husarzy z chorągwi królewicza Jakóba śmiercią przypłaciło. *)

Weszli do kościoła, tam przedewszystkiem sztandar Sobieskiego podniesie uroczystość nabożeństwa.

Legjoniści sznurem przystępują do komunji świętej; wznoszą się marsowe oblicza, składają spracowane dłonie, biją w piersi potężne ręce. Słońce wpada przez kolorowe szyby okien, nadając blasku zniszczonym mundurom, uwpuklając napisy na amarancie epoletów: „gli uomini liberi sono fratelli“ **), znacząc silnie liczne na twarzach blizny.

Po wszystkich towarzyszach, na końcu przystępuje Stach do komunji, do swej pierwszej komunji, do której ksiądz Fałęcki, kapelan legji, przygotowywał go od czasu wejścia do Rzymu. Ręce na piersiach ułożył, przyciskając do serca białą-amarantową kokardę z gałązkami mirtu.

Ksiądz Fałęcki, który w ciszy od kilkunastu minut rozdaje hostję świętą, zatrzymał się.

— Oto Ciało i Krew Pańska; zastanów się nad tem ty, którego nazwano dzieckiem legionu! Ciało i Krew Tego, który za nas cierpiał mękę, który za nas krew przelał, który za naszą krzyżu umarł, podnosząc cierpienie do wysokości bóstwa. A oto ty codziennie patrzysz na cierpienie zastępów, które ojczyznę nadewszystko ukochały, z których mała zaledwie część do ojczyzny powróci. Chłopcze, przeżyjesz pewnie nas wszystkich; pamiętaj, abyś z czasem dał świadectwo prawdzie, że jeśliśmy walczyli z takimi, jak i my, rzecznikami swobody, że jeśliśmy wkraczali jako zwycięzcy w miejsca dla nas święte, to tylko dla świętych nadziei naszych, których owoców oby Bóg pozwolił zaży-

*) W bitwie pod Wiedniem w r. 1683.

**) Te wyrazy włoskie znaczą: „Wolni ludzie są braćmi.“

wać chociaż prawnukom naszym!... Niegdyś rycerze złote ryngrafy *) na pancerze kładli, a oto ja ci wkładam ryngraf jedyny, na jaki dziś stać nasze żebracze zastępy — medalik Matki Boskiej Częstochowskiej, biedną małą blaszkę, a która za pancerz stać nam musi, bo serce krzepi do hartu stali. Dziecię legjonu, oto cię błogosławię na trudy, na niedolę, oto cię pasuję na rycerza naszej biednej, zdeptanej ojczyzny. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

5.

Wśród wspaniałych murów odwiecznego miasta, pod złotem słońcem, wśród gajów róż i kwitnących mirtów, legjoniści chodzili coraz smutniejsi, bardziej ponurzy i wynędzniali. Z powodu częstych zmian w składzie rządu rzeczypospolitej Cyzalpińskiej **), był legji pod względem prawnym, ani tem mniej pod względem materjalnym, nie był dostatecznie zapewniony. Dąbrowski i Wielhorski czynili w tej mierze usilne starania w Mędjolanie, ale narażenie nie zdołali usunąć różnorodnych trudności.

Tymczasem legjoniści pełnili służbę o głodzie, niepłatni, źle odziani, z najwyższym wysiłkiem zdobywając się na podtrzymywanie opadającego z nich w kawałach umundurowania.

Bywały wypadki, że legjonistów podnoszono zemdlnych z głodu na ulicy. Pomoc ze strony mieszkańców stawiała się rzadką; Rzymianie patrzyli na legjonistów jako na sprzymierzeńców ujarzmiających ich Francuzów, a choć mieli uznanie dla ich pobożności, uczciwości i karnego

*) *Ryngraf* — blacha napierśna z wizerunkiem świętym.

**) Utworzonej przez zwycięskich Francuzów w północnych Włoszech.

spełniania obowiązków, za wiele mieli sami do dźwigania ciężarów, wynikłych z wojny i rewolucji, aby przychodzić obcej nędzy z pomocą.

Pewnego popołudnia do izby, w której Ciompa uczył Stasia, wszedł Sendal chwiejącym krokiem, rzucił na stół niewielkie zawiniątko, zbliżył się do klatki wróbla, przemówił do niego serdeczną pieśczętą, potem wrócił do stołu, a zasiadłszy na ławie, jął nożem starannie skrobać przyniesione korzonki.

Ciompa podniósł oczy z nad okularów. — To leki? — Aha, leki — mruknął Sendal. — A co wam dolega? — Głód! — rzucił ze złością wiarus. — Warto takową chorobę leczyć? Skoroście do legji wstępowali, nieboszczyk pan pułkownik Liberadzki mówił wam, że u nas głodu zaznacie, a wyście na to przystali. — Nie prawda! nie przystałem! — huknął Sendal — jeno powiedziałem, że mam nawykły korzonkami się żywić... No, to i uzbierałem sobie korzonków! — dodał łagodniej — i siedzę cicho, więc czego na mnie nastajecie? — Nie nastaję na was, jeno myślałem, że się na głód skarżycie. — Aha, głód!.. gdy ziemia takie specjały rodzi!... Jeno je trza zgotować. Kuchnia na drugim końcu klasztoru, pół mili drogi, a ja nóg nie czuję, bom się po kamieniach i skałach za tem świństwem nałaził.

— Ja zaniosę do kuchni — zawołał, zrywając się Staś — tam przy ogniu...

Sendal odsunął go niechętnie. — Tam przy ogniu może znowu jakiego wróbla usmażysz.

— Jak Pana mego Jezusa Chrystusa kocham, mieliście już nie wspominać, Pawle! — surowo odezwał się Ciompa; — darowaliście dzieciakowi jego mimowolne przewinienie, gdy do pierwszej komunji szedł, i samiście od owego wypadku tyle razy do Stołu Pańskiego przystępowali, a tej paskudnej złości precz z serca nie umiecie wygnać.

Sendal się zawstydził. — Staram się — rzekł — ale żał często tak do serca napłynie, tak żółcią napłynie, gdy wejrzę na onego biedaka a pomyślę, że choć wróci do ojczyzny, nie pobuja już swobodnie po naszym ogródku przed chałupą, bo kaleka już, weteran do śmierci. — Co dla niego ojczyzna!... Ptak nie ma ojczyzny. — Nie obrażajże Pana Boga, Bartoszu! Żeby ptak nie miał ojczyzny, toby boćki i czajki i skowronki do Polski co wiosna nie wracały. A co zaś wróble, skoro to zawsze do rodzinnej strzechy przywiązane... — Jeśli tak, to właśnie że twój wróbel nie Polak, jeno Austryjak, boś go w Ołomuńcu złapał.

Sendal aż zakipiał. — A psiapara! coś rzekł?... coś rzekł? Józio niby wróg?... Pod moją pazuchą, na mojem sercu wychowany, Austryjakiem miał zostać? Chodź, Józiu, pójdziemy sobie precz od tych, co nas tak szkalują, co z nas wrogów robia! Jeszcze cię, jako Austryjaka, zamordują...

Ledwo udało się Ciompie wyperswadować Sendalowi, aby się do innych koszar nie wyprowadzał, a przyjaźni ich, związanej w ogniu racławickich armat, nie zrywał.

Ale Sendal czuł się tak dotkniętym przez Ciompę, że tak o nim, jak o Stasiu, stale mówił: — Zbój i oprawca!

Dopiero choroba Ciompy przywróciła dawne stosunki. Wiarus zapadł mocno, dostał gorączki i boleści; doktor zdecydował, że na tle wyczerpania przyłączyło się jakieś powikłanie żołądkowe, z powodu zjedzenia czegoś niezdrowego.

Sendal przypisywał to korzeniom, na które namówił przyjaciela, i był w rozpacz. Z całą więc dawną czułością począł czuwać nad Ciompą, złagodził nawet dla Stasia, widząc zaniepokojenie chłopca i jego pełne troskliwości oddanie się opiekunowi.

Ale Stasiowi nie wystarczało czuwanie nad chorym. Wiedział, że Ciompa choruje z niedostatku, i zapragnął

gorąco zapracować na lepszą strawę dla opiekuna, choć do czasu odzyskania przez niego zdrowia. Przemyślał nad tem całemi dniami, radził się wszystkich, ale bez skutku. Wreszcie zaczął co rano chodzić do kościoła i modlił się gorąco o możliwość zdobycia pracy.

Pewnego dnia szedł z kościoła do koszar, gdy uwagę jego zajął widok dwojga dzieci, które szły o kilkanaście kroków przed nim.

Dziewczynka mogła mieć lat sześć, chłopczyk cztery zaledwie; oboje mieli czarne kędziory i ubrani byli dostatnio, lecz nie strojnie. Dziewczynka prowadziła chłopca za rękę i opowiadała mu coś z miną poważnej nauczycielki; chłopczyzna miał zwróconą ku niej puciołowatą twarzyczkę, oczy otwierał szeroko, słuchając siostry z widocznym zachwytem.

Staś pośpieszył i znalazł się blisko nich. Dziewczynka opowiadała baśń o zaklętej królewnie, która i Stasia mocno zaciekaowała.

Nagle mały chłopczyk rozpromienił się, a wyciągając ręce ku kamienicy, znajdującej się po drugiej stronie ulicy, począł wołać: — Mamusiał, mamusiał

Rzeczywiście, w oknie pierwszego piętra ukazała się postać ładnej, młodej Włoszki, która serdecznie wyciągnęła ramiona ku malcom.

Chłopczyk wyrwał dłoń z ręki dziewczynki i rzucił się ku środkowi ulicy, pomimo ostrzeżeń siostry. W tej chwili z przeciwległej bramy wypadł wózek, zaprzężony w dwa konie, które rwały naprzód, nie dając się utrzymać stojącemu na nim żołnierzowi francuskiemu. Widocznie do wózka, na który miano naładować prowianty, założono wierchowce, które, nie nawykłe do ciągnięcia, rzuciły się naprzód spłoszone i niesforne.

Z dwóch stron ulicy rozległ się krzyk: — „Ritol..“

Byli już o krok jeden od rozhukanych koni, gdy przytomny Staś porwał dziecko wpół i rzucił się z niem w bok. Stracił przytem równowagę i padł na bruk, uderzając głową o kamień, uratowanego jednak dziecka nie puścił, przytulając je do boku.

Matka z błyskawiczną szybkością znalazła się przy dziecku i jego zbawcy.

Mała dziewczeczka skoczyła także ku nim, zanosząc się od płaczu. Staś podniósł się, ale blady był jak ściana, usta miał zsiniałe i chwiał się na drżących nogach.

— Moje dziecko! moje drogie dziecko! — wołała Włoszka, unosząc jedną ręką syna, drugą przytulając do serca główkę Stasia.

Nagle wstrząsnęła się, bo spojrzała na swą rękę—była zakrwawiona. Z głowy Stasia, wzdłuż szyi, spływała nitka krwi.

— Ranny! ranny!—krzyknęła. I postawiwszy na ziemi, synka, który zaraz uchwycił się jej sukni, otoczyła ramieniem Stasia i powiodła do mieszkania.

Tu z pomocą służącej jęła obmywać skaleczoną głowę Stasia.

Chłopiec tymczasem oglądał się po pokoju. Był urządzony jak mieszkanie przeciętnych zamożnych mieszczan rzymskich: meble staroświeckie, kominek z pięknym zegarem i wazonami, w rogu pokoju szpinecik, *) okryty wschodnią makatą **).

Nadbiegł też i właściciel mieszkania, pan Borasco, właściciel sklepu korzennego. Dowiedziawszy się o wypadku, jął się dopytywać chłopca o rodzinę jego i okoliczności, w jakich znajdował się w Rzymie.

*) Narzędzie muzyczne w kształcie stolika.

**) = grubą tkaniną, podobną do dywanu.

Chłopiec opowiadał o swem położeniu od chwili tragicznego zgonu rodziców.

Pan Borasco słuchał w skupieniu; małżonka jego, piękna pani Wiola, wydawała ciągle westchnienia i wykrzykniki. Chciano zatrzymać chłopca na obiad, ale wymówił się zapewnieniem, że opiekun byłby niespokojny. Wówczas pan Borasco wyjął z kantorka *) kilka sztuk złota i podał je Stasiowi:—Weź to razem ze słowami naszej wdzięczności; przyda ci się to z pewnością.

Krew uderzyła chłopcu do głowy; cała duma i godność wystąpiła rumieńcem na twarz i zarysowała się hardym błyskiem oczu. Senatorskim iście ruchem ręki i głowy odsunął dłoń pana Borasco. Włoch spojrzał nań zdziwiony i zmieszany cokolwiek. Ale w tejże chwili Staś wspominał na nędzę chorego opiekuna i zawstydził się swej dumy, pocałował więc zwieszoną rękę Włocha i rzekł nieśmiało:

— Za złoto dziękuję; ale skoroście tacy łaskawi, pozwólcie, że póki mój opiekun nie powróci do zdrowia, codzień przychodzić będę do was z garnkiem po obiad dla niego.

Pani Borasco ze łzami uściskała Stasia, i; zapewniała, że będzie najszczęśliwsza, mogąc pamiętać o posilnem jedzeniu dla nich obu.

I oto, tak się stało, że odtąd Staś uszczęśliwiony przynosił codziennie garnuszek posilnej zupy, kawał mięsa, a nie-raz całe kurczę lub kaczkę. Porcje były duże, tak że i Sendal mógłby się jako tako pożywić przy nich; ale wiarus nie chciał przyjąć nawet takiej pomocy, dowodząc, że stary, ledwie trzymający się na nogach Milski więcej jej potrzebuje. Spożywali przeto obiady Ciompa z Milskim w sekrecie, po wyjściu z izby reszty legionistów, aby innym zgłodniałym nie czynić oskomy.

*) = biurka.

Jenerał Dąbrowski, z boleścią patrząc na nędzę swej drużyny, postarał się, by ją najmowano do żniw na olbrzymich łąkach, osuszonych po dawnych bagnach Pontyjskich; legjoniści więc mogli zarabiać po talarze dziennie.

Niemąła była radość między wiarusami, gdy im to oświadczone.

O świcie wyruszono do roboty.

Ciompa, za słaby jeszcze, by mógł iść do żniwa, ze smutkiem śledził wybierającego się Sendala i dawał przestrogi Stasiowi, by sierpa nie ruszał, poprzestając na wiązaniu snopków, by nie pił zgrzany, a jeżeli robota zagna ich dalej, nie pozwalając na powrót do Rzymu, nie zawie-ruszył się gdzie na pastwę włoskich bandytów, tylko trzymał się ciągle Sendala.

Ten ostatni wprawdzie zapewniał, że od czasu wypadku z wróblem nienawidzi Stasia, ale z boku śledził, jak się chłopczyzna ubiera, uśmiechnął się, gdy spostrzegł zdumienie Stasia z powodu łąty, która „nie wiedzieć skąd na bucie się znalazła“, a nad którą przecie on dwie godziny tej nocy przed kominem siedział; wreszcie wziął od niego tobolek cięższy, bo zawierający i garnuszek i ronderek i grubą kołdrę, jemu zaś oddał swój mały pakiećik.

Rozdano im sierpy i kosy. Miejscowy ekonom rozpoczął pochód.

Słońce rozlało się już purpurą na wschodzie, gdy stanęli gromadą przed wielkim łąnem, szumiącym pełnemi kłosami zbóż, upstrzonym różnobarwnem kwieciami. Każdy trzymał sierp lub kosę, poważnie, ze skupieniem. Wtem feldfebel Bojasiński uniósł rogatywkę i zawołał: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — Na wieki wieków, Amen! — odrzekli wszyscy. — Panie Boże pobłogosław nam w tej pracy, aby wyszła Bogu na chwałę, ludziom na pożytek! — Amen!

Nagle Stach, który od chwili wymarszu z powrośłem

na ramieniu z trudnością powstrzymywał wzruszenie, wybuchnął płaczem i rzucił się na piersi Sendala.

— Dziecko, co tobie?—ze szczerem przerażeniem zapytał Sendal. — Takie pole, jak u nas, i takie kwiaty i takie sierpy... — szlochał dzieciak. — Wszystko takie, a jednakże inne... — Kiedy my na naszym polu tak stanimy o świcie, o słońku, do roboty? — Ano, jak Bóg Najwyższy dać raczy...

Przygarnął chłopca gorącym uściskiem, po raz pierwszy od paru miesięcy, bo i jego rozrzewnienie i czułość ogarniały pod wpływem wspomnień i porównań. A że w robocie na polu on jeden był opiekunem Stasia, więc też wypełniał opiekę z całym oddaniem się i troskliwością.

I wesoło, rażno uwijano się na rozległych łąkach Pontyjskich. Pod żarzącym niebem włoskiem płynęły piosenki. „Oj, dana! dana!“ — rozlegało się, jak na weselu, od świtu do nocy; a przedsiębiorcy i właściciele Włosi patrzyli ze zdumieniem i uznaniem na ten lud sterany i zbiedzony, taki wesoły dlatego tylko, że pozwolono mu pracować na roli, którą przywykł kochać i szanować od dzieciństwa.

Ale po kilku dniach zaczęły piosenki przycichać; coraz częściej ktoś siadał na ściernisku, uskarżając się na brak sił, dojmujący ból w piersiach i dreszcz pomimo upału.

Wieczorami widma gorączkowe zaczęły wkradać się do izb legionistów, napełniając je majaczeniem i jękami.

Po tygodniu już kilkunastu leżało złożonych ciężką niemocą. A potem śmierć zaczęła grasować. Coraz częściej ulicami Rzymu kroczył smutny orszak: dwie, trzy trumny, z prostych desek zbite, na nich płaszcz żołnierski, przed nimi ksiądz Fałęcki ze zboląłą twarzą, a dalej pół bataljonu żołnierzy wynędniałych i obdartych.

Straszną tę kośbę sprawiała malarja, *) wypełzająca

*) = zimnica, febra

z moczarów, otaczających osuszone pola. Ale lekarze nie od razu poznali się na tem; przypisywali śmiertelność mdłej strawie włoskiej; zakupiono więc buraków i kapusty, kwaszono ją w olbrzymich kadziach i rozdawano żołnierzom. Pomimo to śmiertelność zwiększała się ciągle.

Pewnego popołudnia dostrzegł Sendal, że Staś jakoś zostawał w tyle, nawet dwukrotnie usiadł na kupce snopków. Zarzucił sierp na ramię i zbliżył się do chłopca. — Stachu, co ci? czyś chory? — Tak mi jakoś... — Co ci? — Tak, jakby mnie głowa trochę bolała i ziębi mnie w pierśsiach. — Idź do izby, legnij! — Nie, odpocznę trochę i zarutko do roboty wrócę.

Ale nie wrócił; dostał gwałtownych dreszczy i gorączki; odniesiono go do domu dozorcy. A że był to dzień sobotni i miano po sześciu dniach nieobecności wrócić do Rzymu, Sendal po całodziennęj pracy wziął rozpalonego gorączką Stasia w ramiona i niósł pełen smutku i niepokoju.

Tyłu już druhów odniósł na miejsce wiecznego spoczynku; miałżeby i to dziecię, co im umilało dni smutnej tułaczki, co tak wierzyło w powrót do kraju, złożyć w obcej ziemi?... ..

Gdy za pierwszym zatrzymaniem się zmęczonego Sendala spostrzegli towarzysze, jak ocierał pot z uznojonego czoła, skoczyło kilku, dopominając się, żeby im pozwolił nieść Stasia.

Ciempa, który już w zupełności przychodził do siebie, wyszedł daleko za miasto, naprzeciwko wracającej gromady. Miał w kieszeni doskonałą bułeczkę z konfiturami od pani Borasco i cieszył się, że zaraz na wstępie obdarzy nią wychowańca.

Pierwsze szeregi legionistów - żniwiarzy minęły go, odpowiadając na słowa pobożnego powitania, gdy spostrzegł zsuwającą się z ramienia Władka Mięty jasną główkę Stacha. Z bijącym sercem poskoczył ku niemu, popatrzał

w rozpaloną twarzyczkę i z rozpaczliwym szeptem rzucił: — Stachu!

Stach otworzył oczy, ale go nie poznał, tylko wyszeptał rozpalonemi wargami: — Wody!

Więc Ciompa, nie mówiąc słowa, wziął go w objęcia, ułożył wygodnie na ramieniu i niósł, trzymając się prosto, choć tłumione łkania wstrząsały silną postacią.

Staś walczył z niemiłosierną śmiercią.

Legjoniści co do jednego orzekli, że mogą oni umrzeć wszyscy, ale nie on, nie to dziecko legjonu. Dowiadawali się więc ciągle o zdrowie chłopca i zaklinali doktorów, by nie szczędzili usiłowań i ratowali Stacha.

A on chorował, otoczony wygodami, państwo Borasco bowiem, dowiedziawszy się o ciężkiej chorobie dziecka, zabrali je do siebie, nie szczędząc trudów i kosztów, dla podtrzymania życia tego, co im uratował dziecko.

Sendal w poniedziałek przed świtem udał się znów na żniwa, aby zarobić więcej grosza na życie swoje i przyjaciela. Ciompa zaś, korzystając z niezależnego położenia ozdrowieńca, dnie całe spędzał przy łóżku Stasia.

Stach nieprzytomny był ciągle, mówił naprzemiennie po polsku i po włosku, powtarzał modlitwy i słowa komendy i nucił piosenki, słyszane od żniwiarzy.

W końcu tygodnia, niespodziewanie, zaraz po południu, zjawił się Sendal, chwiejnym krokiem przyszedł do Borasców dowiedzieć się o zdrowie Stasia i oświadczył Ciompie, że udaje się do lazaretu, jako chory. Jakoż dźwigał na sobie znamiona ciężkiej niemocy.

Stanął nad łóżkiem Stasia, długo patrzył na bladą twarzyczkę dziecka i oczy, osadzone głęboko, sinemi obwódkami otoczone, modlił się chwilę, a potem zwrócił się do Ciompy i rzekł miękko, przez łyzy tłumionym głosem:

— Józia przynieś mi jutro... mnie się widzi, że ja, stary i zmarnowany, już nie wyjdę z lazaretu... Jeżeli on

przeżyje, będzie miał pamiątkę po mnie i dobry dla niego będzie, bo to nieprawda, żeby on był ukrzywdził ptaszyne... A jeżeli... jeżeli Pan Bóg nam go zabierze... to ptaszyne mu do trumienki... jak będą zamykali... przecież takie małeństwo nie namęczy się... przypadnie to do piersi Stasiénka, przytuli się do serduszka, chwilę grzać będzie jego zimne ciało swoim gorącym jeszcze, i tak pochowamy ich obu razem... Szkoda, że w obcej ziemi!

Ciempa rzucił się ze szlochaniem w ramiona przyjaciela: — A co ja zrobię, jak mnie wszyscy trzej odejdziecie?

— Ty, Bartoszu, zdrów teraz jesteś i krzepki... wrócisz do ojczyzny.

6.

W ogródku przy domu Borasców róże odurzały zapachem. Na trzcinowym leżaku, uślanym pościelą, spoczywał Staś wyczerpany chorobą, lecz już bliski wyzdrowienia. Mała Janina obierała mu pomarańcze z powagą dorosłej pielęgniarki, gdy chłopiec uniósł się z rozjaśnioną twarzą.

— Idą! — zawołał.

Jakoż z sieni domu wyszli dwaj legjoniści, dążąc w stronę ogródka. Ciempa w pełnem uzbrojeniu i tornistrze, jak do wymarszu, szedł miarowym krokiem, prowadząc pod rękę wspartego na kiju i powłóczącego nogami Sendala. — Widzicie! widzicie, żeście nie umarli, matko chrzestna! — wołał, klaszcząc w dłonie Staś. — Pani Borasco mówiła mi, że się tak spłakała tej nocy, kiedyście to przyszli żegnać się ze mną i przykazali Józia do trumny mi włożyć...

Zawisł na szyi Sendala, który całował go drżącymi usty.

— Mój złoty! mój najmilszy! jak dobrze, żeście nie umarli!... a jak dobrze, że i ja nie umarłem! — Aleśmy się ledwo, ledwo wymigali. — Znać, że nam tak zaraz umrzeć nie sędzono... I że wrócimy do Polski! — Wrócimy, synku!

— A co to ojciec Ciompa tak, jak do szturmu?

— O, bo przyjdzie mi szturmować pewnie niejedną kąt. Dziś wychodzimy z generałem Girardem do południowych prowincji Państwa Kościelnego, gdzie srogię wybuchło powstanie, wzniecone przez podżegaczy rządu neapolitańskiego. Rad jestem, że Sendal już może codzień ze szpitala się wywlec: będziecie sobie towarzystwa dotrzymywać we dwóch.

— We trzech — poprawił Sendal. — We trzech z Józkiem! — z uśmiechem dokończył Ciompa. — A tam, dokąd idziecie, sroga wojna będzie? — Pewnie, Stasiu! — Taka, jak przy wzięciu Werony?

— Prawdopodobnie straszliwa; górską to bowiem krajiną, pełną skał stromych i niebezpiecznych wąwozów, a i powstańcy uzbrojeni doskonale, amunicji mają moc i armaty pono strzegą wszystkich ważnych punktów.

Staś rękę Ciompy do ust przycisnął. — Tylko pilnujcie się, ojcie chrzestny, nie ciskajcie się na bagnety i armaty! Pod Racławicami, tam było co innego, tam broniliście naszej sprawy, ale teraz... — Może chcesz, żebym uciekł? — A niechże Pan Bóg i Matka Najświętsza bronią!... Honor żołnierski zawsze jednaki być powinien... Ale się nie narażajcie, ale się strzeżcie!

— Oj, ty, ty, dzieciaku! jak to mnie pilnujesz, akurat jak kwoka kurczę, co się na wodę puszcza.

— Przysięknijcie mi, ojcie, że się strzec będziecie. — Przysiękam! przysiękam! — Pomnijcie, największy ku-

raź *) zostawcie do kraju, a teraz walczcie z tym mniejszym kurażem. Dobrze, ojczusiu? — Dobrze! dobrze! — Pomnijcie, przyrzekliście mi! — No, przyrzekłem.

*

*

*

Ale zapomniał o obietnicach, skoro mu trąby zagrały, a huk armat wstrząsnął wierzchołkami skał, otaczających miasteczko Frosinone, gdy w sprawnym szyku, wśród gradu kul i kamieni, z majorem Nadolskim na czele, szli wysadzić bramy miasta, by następnie zdobywać dom za domem, ulicę po ulicy, wśród najzaciętszego oporu nieprzyjaciół.

Dawno Ciompa nie bywał w tak srogim ogniu, w tak zaciętych walkach, jak przy uśmierzaniu tego powstania, jak przy zdobywaniu tej miejsciny. W oczach jego zabito dzielnego majora Podoskiego i kapitana Kwiatkowskiego, i porucznika Wysłoucha. Widział przeszło sto ciał najmężniejszych legionistów w objęciach śmierci, a wszystko to podniecało go do czynów odwagi nadludzkiej.

Niepomny obietnicy, danej Stasiowi, rzucał się w miejsca najniebezpieczniejsze, w otwartym boju bywał w pierwszym szeregu, przy braniu miast — na wyłomach spostrzegano przedewszystkiem jego twarz, szerniałą, zadymioną, z bohaterskim błyskiem w oczach. I rzecz dziwna, z wszystkich tych miejsc, w których śmierć zdawała się czyhać na każdym kroku, wyszedł cało, bez rany, bez jednego draśnięcia.

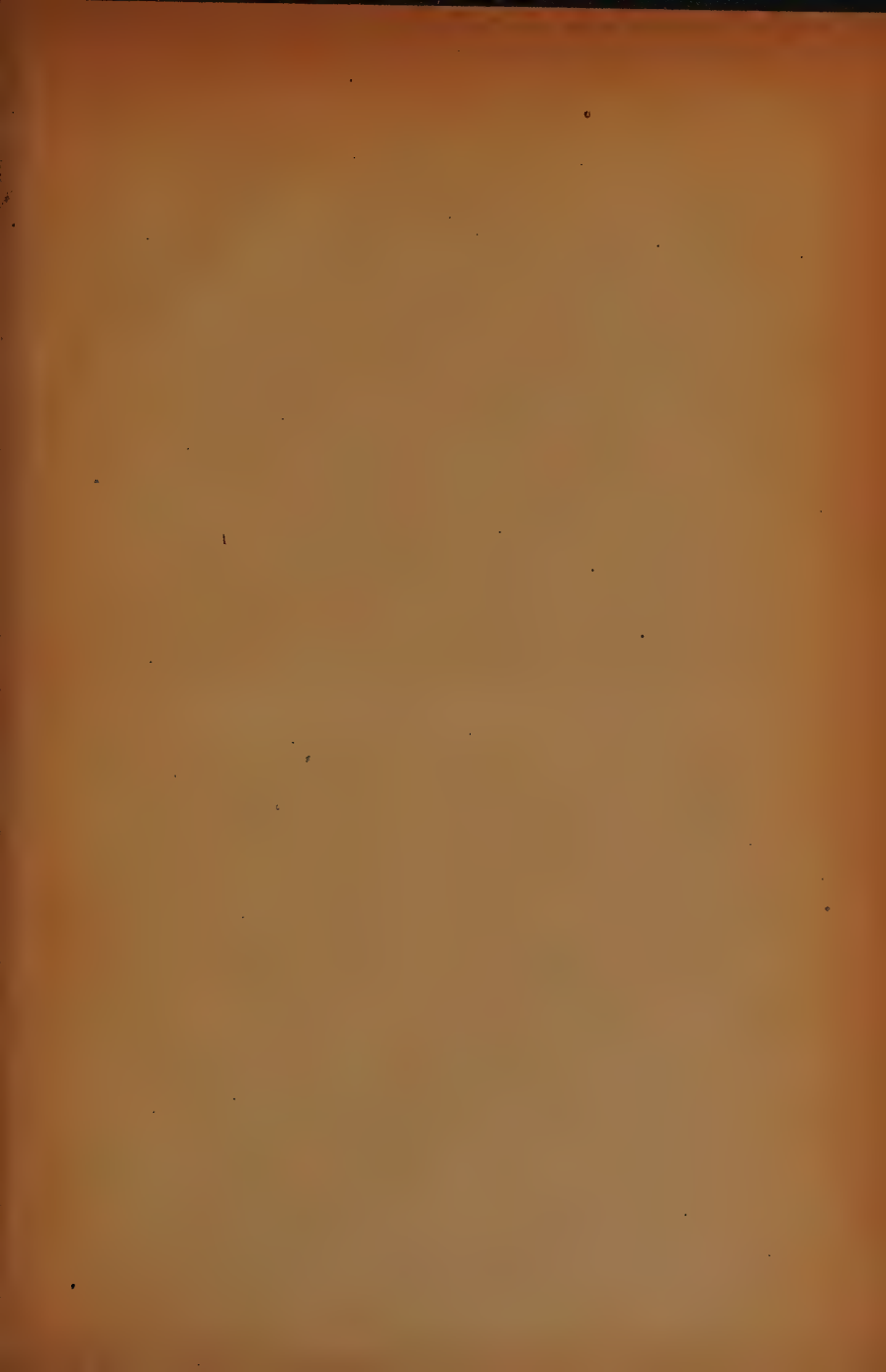
— Nic innego, tylko ta sierota kochana, to dziecko naszej legji musi modlić się za mnie, a wiadomo, modlitwa niewinnego dziecka — to puklerz nielada.

*) po francusku = odwaga.

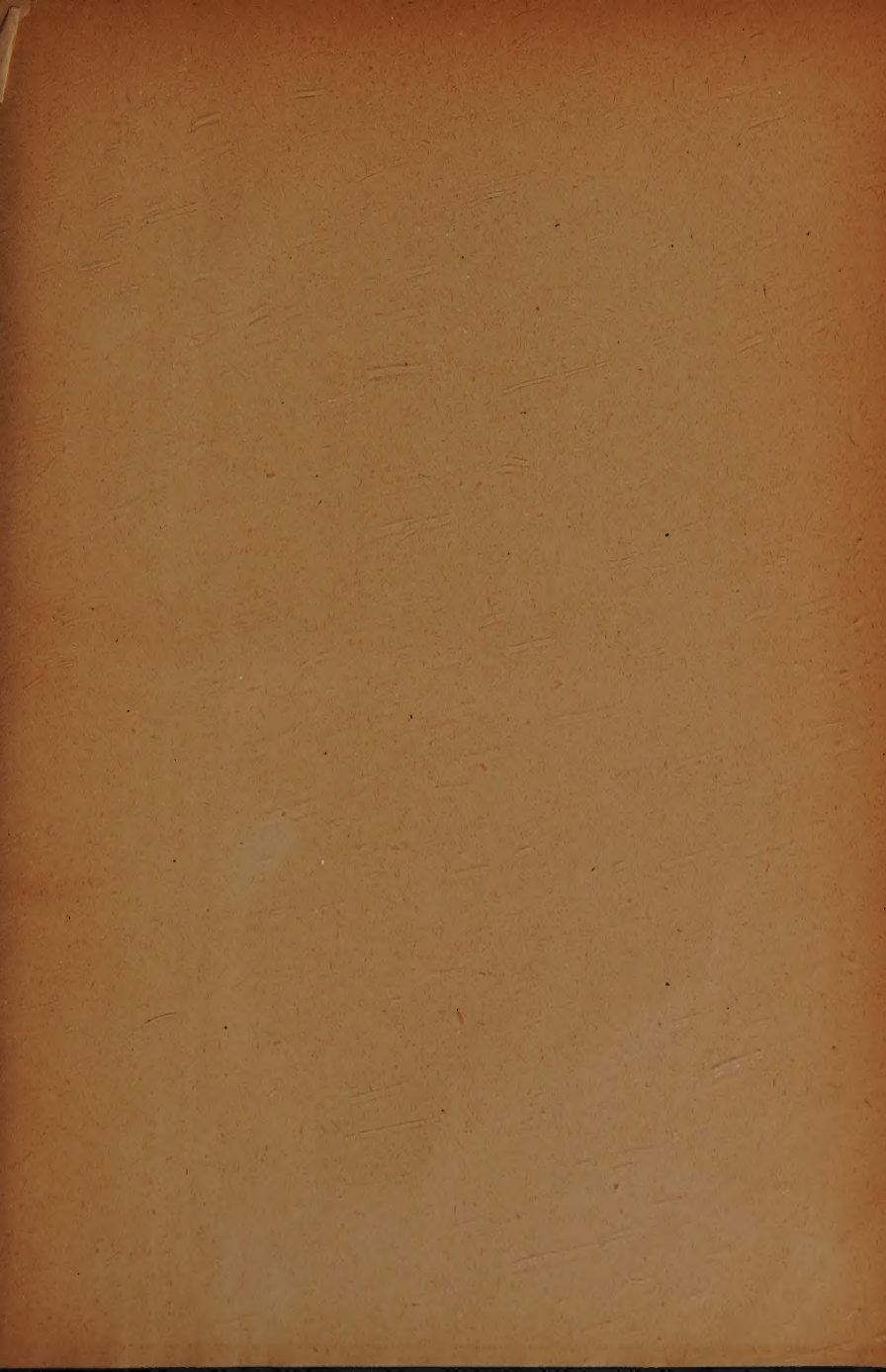
A gdy przed odwrotem do Rzymu generał Girardon ozdabiał najdzielniejszych, to i na piersi Ciompy, przy tryumfalnem warczeniu bębna, błysnął krzyż ozdobny szafirową i czerwoną emalją z białym orłem.

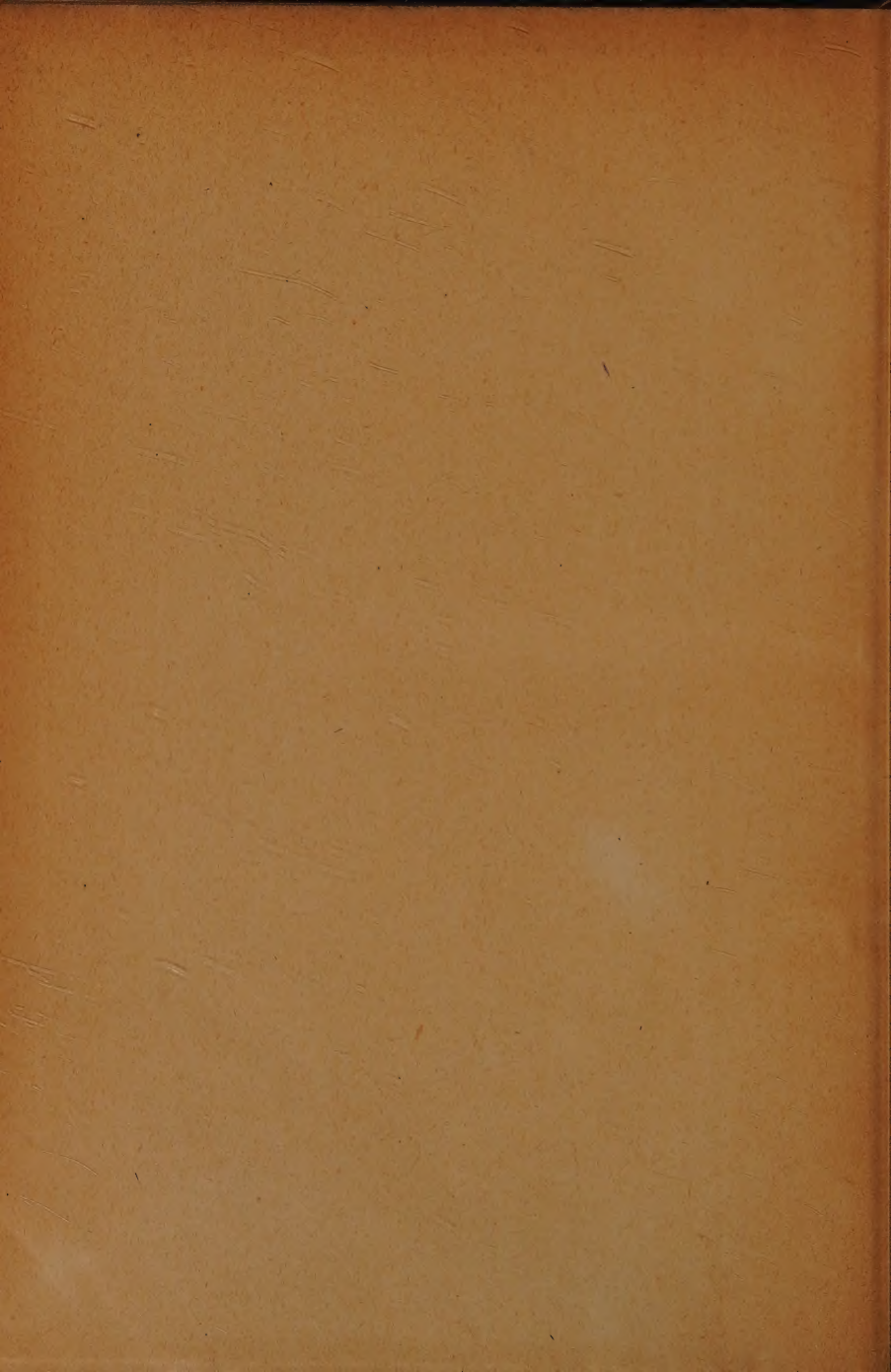
Ciomba spuścił wzrok na drogocenny przedmiot, twarz przybrała wyraz uroczysty i wyszeptał drżącemi usty:

— Będzie miał Stach pamiątkę po chrzestnym ojcu, jak Pana mego Jezusa Chrystusa z duszy kocham.









U.C. BERKELEY LIBRARIES



C096414299

